

Krystyna
Lubieniecka-Baraniak



**CÓRKA
GENERALA**

OPOWIEŚĆ O LOTNICZCE
ZAMORDOWANEJ W KATYNIU

Krystyna
Lubieniecka-Baraniak
CÓRKA GENERAŁA

Opowieść o lotniczce zamordowanej w Katyniu

Fundacja „Nasza Przyszłość” 2013



Wprowadzenie

Drogi Czytelniku!

Zapraszam Cię do wędrówki po bezdrożach naszej polskiej historii w towarzystwie niezwyklej osoby. To porucznik pilot Janina Lewandowska, córka generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, twórcy Pierwszego Korpusu Polskiego na terenie Rosji (1917-1918), organizatora Armii Wielkopolskiej i głównodowodzącego zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim w 1919 roku.

Warto poznać jej krótkie, lecz wspaniałe życie, które oddała Polsce, posłuszna testamentowi swojego wielkiego ojca.

(...) Moje dzieci winny pamiętać, że są Polakami, że pochodzą ze starej rodziny szlacheckiej o pięciowiekowej, nieskazitelnej przeszłości i że ojciec ich dołożył wszelkich swych możliwości dla wskrzeszenia Polski w jej byłej chwale i potędze. Ma zatem prawo żądać od swego potomstwa, by nazwiska naszego niczym nie splamiło (...). (Testament Dowbora z 1 lutego 1936 roku.)

Udowodniła, że jest jego nieodrodną córką, a jej krótkie dzieje i tragiczny los, sprzężony z losem polskiego Narodu, stał się symbolem polskiej golgoty Wschodu. Jest ofiarą jednej z największych zbrodni II wojny światowej. Zbrodni katyńskiej. Jediną kobietą - jeńcem wojennym - więzionym w łagrach Ostaszkowa i Kozielska. W dniu swoich trzydziestych drugich urodzin stanęła nad masowym dołem śmierci w Lesie Katyńskim wypchnięta do niego kopnięciem kata, z przestrzeloną czaszką, ze skrępowanymi w tyle rękami, z okrzykiem: „Niech żyje Polska!”.

Z głębokości tej mogiły, poprzez pokolenia, w imieniu własnym jak i tysięcy zamordowanych współtowarzyszy, woła o naszą pamięć.

Niezbadane wyroki Bożej Opatrzności sprawiły, że świat o niej usłyszały stała się głosem wzywającym do opamiętania wszystkie narody Aby pamiętały, że w pięciu Katyńiach - Kozielsku, Starobielsku, Ostaszkowie, Mińsku i Kijowie wymordowano w ciągu kilku tygodni narodową elitę. Ze 21 857 polskich oficerów oraz przedstawicieli polskiej nauki i kultury zginęło okrutną śmiercią za to tylko, że byli Polakami. (W liczbie tej kryją się także ofiary z tzw. Listy Ukraińskiej i Białoruskiej.)

Zlikwidowano ich na mocy tajnej klauzuli paktu o nieagresji Ribbentrop Mołotow, w istocie: Stalin - Hitler z 23 sierpnia 1939 r., w praktyce oznaczającej Ich rozbiór Polski i likwidację klasy przywódczej Narodu. Kolejna Uchwała Biura Politycznego KCWKP(b), z dnia 5 marca 1940 rok - zaproponowana przez szefa NKWD Ławrientija Berię, podpisana

prze sekretarza generalnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii ZSR Josifa Stalina oraz kilku innych członków Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych Związku Sowieckiego, (byli to: Kliment Woroszytów - marszałek ZSRS, Wiaczesław Mołotow - premier rządu, Anastas Mikojań i Lazar Kaganowicz - wiceprzewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, oraz Michaił Kalinin) skazała ich zaocznie na śmierć prze. rozstrzelanie. Bez przedstawiania zarzutów i bez aktów oskarżenia. Na tej podstawie NKWD7 wiosną 1940 roku dokonało aktu ludobójstwa na tysiącach niewinnych ofiar. (Zlecenie wykonania uchwały otrzymali trzej wysocy rangą funkcjonariusze NKWD: Wsiewotod Mierkułow - komisarz Bezpieczeństwa Państwowego I zastępca Berii, mjr Bachczo Kobutow - zaufany człowiek Berii i znany sadysta, oraz mjr Leonid Basztakow.). (Ławrientij Beria - ludowy komisarz spraw wewnętrznych Związku Sowieckiego i szef sowieckich służb bezpieczeństwa - odpowiedzialny za masowe represje i ludobójstwo - w notatce nr 794/G skierowanej do Stalina stwierdził, że polscy jeńcy wojenni i przetrzymywani w więzieniach zachodniej Ukrainy i Białorusi są wrogami władzy sowieckiej, wobec czego należy Ich zlikwidować bez sądu, co zostało zaakceptowane.)

Po 17 września 1939 roku, kiedy milionowa Armia Czerwona zdradziecko wdarła się w granice zaatakowanego wcześniej przez Niemcy państwa polskiego, do niewoli dostało się ponad 240 tysięcy polskich oficerów i żołnierzy. Szeregowych w większości zwolniono do domów, oficerów zaś uwięziono w trzech obozach jenieckich: Ostaszków, Kozielsk, Starobielsk.

Poddawani indoktrynacji i przetrzymywani w upokarzających warunkach bytowych (Związek Sowiecki nie podpisał konwencji genewskiej z 27 lipca 1929 r. o traktowaniu jeńców wojennych i prawach człowieka) na koniec zostali podstępnie unicestwieni. Masowe mordy rozpoczęły się w dniu pierwszej wywózki z łagrów, 3 kwietnia 1940 roku. Grupa wykonawców wyroku liczyła 53 wyspecjalizowanych katów, (niektórzy badacze twierdzą, że aby zabić 21 857 skazańców w ciągu kilku tygodni, musiało „pracować” kilkuset katów) a transporty z poszczególnych obozów eskortowało 12 tysięcy żołnierzy Wojsk Konwojujących:

- z Kozielska 4421 (zabici w Katyniu),
- z Ostaszkowa 6311 (zabici w Twerze¹⁰, pogrzebani w Miednoje),
- ze Starobielska 3820 (zabici w Charkowie),
- z Kijowa i Mińska 7305 (doły śmierci: Bykownia, Piatichatki, Włodzimierz Wołyński i Kuropaty). (Są to dane pochodzące z notatki szefa KGB ZSRS Andrieja Szelepina dla I sekretarza KPZS Nikity Chruszczowa z 3 marca 1959 roku, więc najbardziej

prawdopodobne. Inne dane mówią o 24 377, 23 778 zabitych, a w samym Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie - 15 131 osób, podczas gdy z notatki Szelepina wynika liczba 14 552 zamordowanych.)

Choć dokonano się to w różnych miejscach, wszystkie one stanowią synonim Katynia. To, co się tam wydarzyło, historiografia nazwała mordem katyńskim, ponieważ w Katyniu właśnie, już w 1943 roku, odkryto pierwsze masowe mogiły.

Dotychczas nie odnaleziono wszystkich miejsc kaźni i pochówku ofiar ludobójstwa, które Polskę pozbawiło najbardziej wartościowej tkanki społecznej. Tych, którzy po wojnie mogliby stanąć na czele państwa, odbudować je ze zniszczeń i nie dopuścić do przejęcia władzy przez agentów Moskwy. W miarę upływu czasu odkrywa się coraz to inne miejsca zbrodni sowieckich dokonanych na bezbronnej polskiej ludności, co rokuje jeszcze większą liczbę ofiar. (Niektóre źródła polskie wymieniają liczbę nawet 70 tysięcy zabitych w okresie od 3 kwietnia do czerwca 1940 roku prof. Józef Szaniawski). Nie należy przy tym zapominać o ponad 2 milionach wywiezionych na Syberię, skąd większość - skazana na pracę ponad siły, głód, choroby, plagi wynikające z zabójczego klimatu i złe traktowanie - nie powróciła do kraju.) Być może więcej światła rzucą na ten problem zlokalizowane ostatnio masowe groby w Bykowni pod Kijowem, Włodzimierzu Wołyńskim, Piatichatkach pod Charkowem na Ukrainie i w Kuropatach rod Mińskiem na Białorusi.

Straciliśmy kadrę dowódczą Wojska Polskiego wszystkich formacji, funkcjonariuszy Policji Państwowej i Żandarmerii Wojskowej, Straży Granicznej i Korpusu Ochrony Pogranicza oraz filary nauki i kultury. Pisarzy, dziennikarzy, naukowców, profesorów uniwersyteckich i gimnazjalnych, księży, prawników, lekarzy, inżynierów i przedstawicieli arystokracji. Niestety, współczesna Rosja - mimo iż jest spadkobierczynią własnej historii, a więc i katyńskiego, bezprecedensowego ludobójstwa - nadal nie chce nazwać go po imieniu, usiłując sprowadzić do rangi „przykrego wydarzenia” lub „zbrodni pospolitej”. Jednak - wobec orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z 16 kwietnia 2012 roku, które kwalifikuje mord katyński jako „zbrodnię wojenną niepodlegającą przedawnieniu” - stanowisko to będzie musiało ulec weryfikacji.

Autorka

CZĘŚĆ PIERWSZA - ZŁOTA NIĆ

Żeby pokazać prawdę o jakichś czasach, trzeba pokazać bohaterów. (abp Marek Jędraszewski)

Prolog

Lusowo-Batorowo, 26-31 października 1937 r.

POŻEGNANIE GENERAŁA

Stangret Kłosinek, zajechawszy - jak lubi jego chlebodawca - z fasonem pod główne pałacowe wejście, zatrzymuje konie łagodnym szarpnięciem lejców, lecz generał Dowbor - jak nigdy - długą chwilę zwleka z opuszczeniem bryczki. Wyjątkowo w generalskim mundurze (na co dzień chodzi w ciemnym garniturze i zwykłej czapce z daszkiem), czego wymagało uczestniczenie w spotkaniu z poznańską Korporacją Akademicką Lechia, której jest czynnym członkiem, prezentuje się okazale, widać jednak, że coś mu dolega.

Gorączkowo rozluźnia wysoki kołnierz i ciężko oddycha. Nie reaguje nawet na powitalne akrobacje i radosne szczekanie swoich czworonożnych ulubieńców - Tedię i Digana, szalejących wśród złotych liści klonu, których pełno na podjeździe. Psy, chociaż to staruszkowie, trzymają się nieźle. Zazwyczaj powolne, w takich sytuacjach odnajdują w sobie dawną werwę. Zawiedzione, z wywieszonymi jęzorami, przysiadają, skomlą cichutko, jakby rozumiały, że dzieje się coś niedobrego.

To nietypowe zachowanie pana na Batorowie niepokoi również stangreta. Bije się z myślami, nie śmiać przemówić nieproszony.

„Toż nie młodzieniaszek z niego. Siedem krzyżyków, jakby nie było, dźwiga. Co robie! Jak zapytam, obrazi się. Przecież to mój dowódca! A jednak zapytam. Każdy wie, jaki z niego grzeczny pan, czy to dla równych sobie, czy dla prostych ludzi.”

Zbiera się na odwagę, bo duża, wyrazista twarz Dowbora, zwykle czerstwa, blednie tak mocno, że jego bujne, czarne dawniej, teraz siwiuteńkie wąsy niemal się od niej nie odróżniają. Nawet przyroda bierze w tym jakiś niepojęty udział. Sponad pałacowego dachu i wysokiej wieży, od strony jeziora, wypływa na niebo purpurowa łuna - ostatni, pożegnalny akord zachodzącego, październikowego słońca. Cała wieża zdaje się płonąć, co potęguje wrażenie nadchodzącej grozy.

- Panie generale, pomóc może?

- Tak, Franciszku, dziękuję - szepcze, ku jego zdumieniu, ten twardy żołnierz.

Mimo że postawny i z wyglądu krzepki, całym ciężarem wspiera się na uczynnym ramieniu, lecz osłabłe nogi odmawiają mu posłuszeństwa i gdyby nie pomoc dzierżawcy, pana Wojnowskiego, były dowborczyk, acz zaprawiony w wojennych trudach, mógłby sobie nie poradzić z doprowadzeniem pana na Batorowie do jego gabinetu. Chociaż nie lubi nowego włodarza, z wdzięcznością przyjmuje tę nieoczekiwaną interwencję, lecz - uważając za szkodnika - patrzy na niego nieprzychylnie. Nedomagający ostatnio generał wydzierżawił mu posiadłość (z wyjątkiem pałacu i parku), co - gdy zabrakło „pańskiego oka” - ujemnie

odbiło się na kondycji całego majątku, a wierny Franciszek dobro swojego komendanta traktuje niczym własne.

Zaledwie usadowią chorego w fotelu, do gabinetu wkracza jego córka, Franciszka Kłosinek - Łukanowska. Niesie herbatkę dla swego chlebobdawcy, lecz on nie ma już siły, by się napić. Za nią wpada młody jeszcze człowiek, osobisty jego sekretarz, pan Henryk Buczyński, zasiedziały w pałacu od lat, najpierw jako student i korepetytor młodszych dzieci właściciela, a czasem awansowany na stanowisko sekretarza.

Zorientowawszy się błyskawicznie w sytuacji, ostrożnie rozpina pryncypałowi mundur i zdejmuje z głowy generalską czapkę, odsłaniając jego gładkie, wysokie czoło dodatkowo przedłużone łysiną, teraz pokryte gęstymi kroplami potu. Rozchylone usta z trudem łapią powietrze. Jeszcze parę świszczących oddechów, poruszenie jakby pragnących coś powiedzieć sinych warg i wszystko ustaje. Słysząc tylko żalosne skomlenie Tediego i Digana warujących u stóp pana.

Nikt nie zwraca uwagi na Franciszkę, która - zgodnie z codziennym rytuałem, którego, jako prowadząca dom osamotnionemu generałowi, bezwzględnie przestrzega - trzyma w rękach srebrną tacę z gorącym samowarem, cukiernicą, szklanką i talerzykiem z ciasteczkami. Stoi jak wryta, wpatrzona w nieruchomą postać na fotelu. Opamiętawszy się, radzi.

- Po dobrodzieja trzeba by ślać, bo tutaj widzę, ostatnie namaszczenie potrzebne jest.

Pan Buczyński, spojrzawszy wymownie na generała, pospiesznie opuszcza gabinet, gestem pociągając za sobą pozostałych.

- Czy Franciszka za grosz taktu nie ma? - karci nieboraczkę surowo, po czym zwraca się do stangreta.

- Niech Franciszek do Poznania po panienkę Gusię pędem jedzie, bo do panny Janiny i pana Olgerda depesze trzeba ślać. Biedna nasza mała. Akurat maturę zrobiła, a tu taki smutek, bo to przecież tatusiowa ulubienica. Tu studia w Instytucie Rolnictwa jako przyszła spadkobierczyni majątku rozpoczyna, a tu pogrzeb!

- Oj, to chyba ze szkodą dla innych dzieci? - wtrąca pan Wojnowski praktycznie.

- Zgadzą się z wolą ojca. Jeden syn za granicą korzenie zapuścił, drugi karierę wojskową, jako oficer 3. Pułku Lotniczego w Poznaniu robi, a pannie Janinie w głowie tylko latanie. To całe jej życie. Jeszcze w gimnazjum będąc, zaraziła się tą pasją od Ola. Nawet śpiewanie poświęciła, a szkoda, bo śpiewa pięknie. Ale co ja gadam, przecież pan Henryk to wie.

- Aż się do kościoła chce chodzić, kiedy przyjeżdża na niedzielę. Nikt tak na organach nie gra i takiego głosu jak ona nie ma - wtrąca stangret.

- A co za charakter! Jaka odwaga! Co pomyśli, realizuje - uzupełnia Franciszka. - A pracowita, a miła, życzliwa dla ludzi, skromna i oszczędna. Sama sobie sukienki szyje! Nasza Władzia, co jej w Poznaniu usługuje - świadkiem. Nieodrodna córka swojego ojca.

- Oj tak. Pan Gedymin już nie taki... Za granicą siedzi, ale adresu nie znam, bo fruwa z miejsca na miejsce, więc go nie zawiadomię. Ach, jeszcze i nekrologi do gazet! - pan Henryk chwyta się za głowę. - A Franciszka niech po księdza leci. Co za nieszczęście!

Proboszcz lusowskiej parafii, ks. Antoni Czeszewski, przybywa w samą porę, by namaścić generała świętymi olejami. (Ksiądz Antoni Czeszewski był proboszczem w parafii lusowskiej w latach 1930-1939, zginął w niemieckim obozie śmierci). Późną nocą nadjeżdża osiemnastoletnia ulubienica tatusia, Agnieszka zwana Gusią, osierocona przez matkę zaledwie rok po urodzeniu. Starsze rodzeństwo - dwudziestotrzyletni Olgierd i dwudziestodwuletnia Janka docierają dopiero następnego dnia.

Pierworodny Gedymin nie pojawia się wcale. Według ostatnich wiadomości przebywa w Hiszpanii, ale co tam robi, jest owiane tajemnicą. Jego ojciec nie chciał na ten temat rozmawiać; nawet z pozostałymi dziećmi, a kiedy wymieniano przy nim imię Gimba, gwałtownie wychodził.

Generał w mundurze wojsk wielkopolskich, z orderami na piersiach - wśród nich Order Świętego Stanisława, Biskupa i Męczennika - spoczywa na wysokim, przykrytym czernią katafalku ustawionym w gabinecie, otoczony kwiatami z własnej oranżerii i płonącymi świecami. Okna i żyrandole osłonięte kirem. W półmroku jego twarz zdaje się ożywać od pełgających po niej światła.

W ich blasku duże portrety wiszące na ścianach także nabierają życia. Na jednym - wódz Powstania Wielkopolskiego ze swoim osobistym adiutantem, Zygmuntem Plucińskim, dawniej dowódcą oddziału powstańczego u Korfantego, wiernym towarzyszem broni od stycznia 1919 roku aż po kres. Bliskim przyjacielem i powiernikiem, który twierdził, że czasu spędzonego u jego boku nie zamieniłby na żaden inny. Nawet po odzyskaniu niepodległości pozostał w jego pobliżu, nabywając od Urzędu Ziemskiego niewielki majątek. Drugie płótno przedstawia Dowbora w karykaturalnej postaci, pochylonego nad pługiem, z koszem wypełnionym gromadą dzieci na plecach. Uśmiecha się dobrodusznie do umieszczonego na dole cztero wiersza.

Źle się w Polsce dzieje, skoro Dowbor hreczkę sieje.

Może oręż nam wyorze dla ósemki, co daj Boże.

Całe pomieszczenie pełne jest pamiątek po nim. Spoza oszklonych półek bogatej biblioteki wychylają się grzbiety gromadzonych latami książek, w gablocie - prezenty

ofiarowywane wodzowi przez wojsko. Piękna szabla ozdobiona szlachetnymi kamieniami lśni beużytecznym blaskiem. Właściciel już jej do ręki nie weźmie. Stojące na marmurowej płycie, odlane z mosiądzu jego popiersie, zdaje się oddychać, tak wiernie odtwarza postawę modela.

Na podłodze leży skóra Panny Europejskiej. Ulubionej klaczy - wiernej towarzyszki generała podczas całej I wojny światowej i Powstania Wielkopolskiego, a także tu, w Batorowie, gdzie dokonała żywota, uległszy wypadkowi. W gablocie znajdują się jej spreparowana czaszka i kopyto.

Wokoło katafalku - rodzina i służba pałacowa, coraz liczniej gromadzący się dawni towarzysze broni - dowórczy z Pierwszego Korpusu Polskiego i powstańcy wielkopolscy. Wśród nich - adiutant i przyjaciel gospodarzący w bliskim Lusówku, por. Zygmunt Pluciński z rodziną.

W otwartych drzwiach i w hallu tłoczą się pracownicy zmarłego, a na podjeździe mieszkańcy Lusowa z dziećmi, które on tak bardzo lubił i przy każdej okazji częstował cukierkami.

Cały pałac i otoczenie rozbrzmiewa szmerem modlitw, żałobnych śpiewów i cichych westchnień.

- Taki człowiek, mój Boże... Świeć, Panie, nad jego duszą!
- Miał serce otwarte dla biednych!
- Oj tak. Nie gardził prostymi ludźmi. Hojny był pan i sprawiedliwy
- Kto nam teraz pomoże, kto się zatroszczy w potrzebie?!
- Kochał ludzi, Boga i Ojczyznę!
- A jaki z niego gospodarz dobry był!
- Dawał ludziom pracę i zarobek! Nawet podczas kryzysu regularnie płacił!
- A za dobrą pracę dodatkowo wynagradzał!
- Biednym zboże rozdawał, owoce i odzież po swoich dzieciach!
- A naszym dzieciakom słodkości do rąk wtykał!
- Otwarty był. Z każdym porozmawiał. Nie wywyższał się!
- A odchodzącym na emeryturę pracownikom w dalszym ciągu mieszkanie gminne, gdzie od początku mieszkali, opłacał i jeszcze deputat dawał!
- Nie ma takiego drugiego w całym świecie!

Najbliżsi spoglądają niespokojnie na szczupłą, wysoką dziewczynę o krótko ostrzyżonych kasztanowatych włosach, od wielu już godzin pochyloną nieruchomo ku trumnie, jakby nasłuchiwała, czy ojciec oddycha. Janka, w przeciwieństwie do swej siostry,

która wylewa potoki łez i bez przerwy szlocha, nie potrafi płakać. W jakimś gościu samoobrony przed rozpaczą usiłuje pamiętać go żywego. Rozpamiętuje surowe, szlachetne rysy, energiczne ruchy i gesty, i słowa - każde na wagę złota. W rękę ścisną starodawny, srebrny medalion z drzazgą Chrystusowego Krzyża wewnątrz - drogą pamiątkę rodzinną, która teraz - zgodnie z wolą ojca wyrażoną w testamencie, jak nakazuje tradycja - po mieczu - należy do najstarszego syna, Gedymina. Podobnie, jak pierścień rodowy z herbem Dowborów-Muśnickich. Ten, Gimba otrzymał od ojca, wyjeżdżając na zagraniczne studia.

Tylko z medalionem generał nie chciał się rozstawać aż do śmierci. To bezcenna relikwia, będąca w posiadaniu już trzech pokoleń rodziny Dowborów, przekazana przez prababkę, Jadwigę Dowborową-Muśnicką z hrabiów Lanckorońskich.

„Lecz Gimby nie ma - mówi w myślach Janina. Na razie nie muszę się z tą częścią tatki rozstawać. Tyle razy otwierał wieczko i dawał nam, dzieciom, osłoniętą szkiełkiem świętość do ucałowania. I za każdym razem wspominał dzień, kiedy - po ukończeniu studiów - dostał ją od swojego ojca wraz z uroczystym nakazem: - Kiedyś przekażesz ten depozyt swojemu pierworodnemu, on zaś kolejnemu dziedzicowi nazwiska. Przyrzeknij!

I tatko przyrzekł. Czekał tylko, aż Gimba skończy studia i wróci do domu.

Nie zdążył.

Nie martw się, tatku. Ja przechowam dla niego ten skarb, obiecuję. I nie gniewaj się na mnie, że nie będzie tak jak chciałeś, kiedy nas opuścisz. Nie myśl, że zapomniałam, co do nas mówiłeś, czując - teraz to wiem - nadchodzący kres. Inaczej nie wzywałbyś na rozmowę wszystkich twoich dzieci. Pamiętam każde twoje słowo, chociaż rok już minął od tamtego dnia.

- Kiedy odejdę z tej ziemi, pochowajcie mnie na lusowskim cmentarzu, przy waszej matce, bez żadnej pompy, a na grobie tylko kwiaty z naszego ogrodu i krzyż drewniany z żelazną tablicą i napisem:

Józef Dowbor-Muśnicki, ur. 25.10.1867 r. w Garbowie na ziemi sandomierskiej, twórca Pierwszego Polskiego Korpusu w Bobrujsku, głównodowodzący Powstaniem Wielkopolskim i twórca Armii Wielkopolskiej.

- To ma być mogiła żołnierza poległego na polu chwały. I żadnych wieńców, żadnych honorów wojskowych! A jeśli mi w przyszłości wzniosą pomnik, to obowiązkowo z sentencją: NIENAWIDZILI GO WROGOWIE POLSKI. To moja ostatnia wola - zakończył.”

Niepodobna uniknąć „pompy”, kiedy wieść o śmierci bohatera błyskawicznie rozniosła się po całej Polsce i kiedy zjechało się tylu utytułowanych gości, chociaż pogrzeb dopiero jutro. Jest generał Józef Haller (ur.1873 - zm.1960) - dowódca II Brygady Legionów

Polskich w 1918 r., od 1939 r. na emigracji, w latach 1940-1943 w rządzie emigracyjnym), zapowiedzieli się też inni generałowie i oficjele, dowódcy, weterani wojenni, powstańcy wielkopolscy, oficerowie i żołnierze oddziałów wojskowych służby czynnej, przedstawiciele Naczelnej Rady Ludowej, członkowie wielu stowarzyszeń - przede wszystkim tych, w których zmarły czynnie do końca działał. Będzie również Korporacja Akademicka Lechia i drużyna harcerska Wilki Morskie z Poznania, skupiająca młodzież ze środowisk robotniczych (generał opiekował się nimi od lat, zapraszał do Batorowa, przy ognisku opowiadał swoje żołnierskie przygody, pływał z nimi łodziami po Jeziorze Lusowskim, uczestniczył w ćwiczeniach terenowych), organizacja studencka Batoria działająca na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie oraz poznańska organizacja Młodzieży Monarchistycznej, której patronował od 1922 roku. Nie zabraknie licznych przedstawicieli duchowieństwa: ks. bp. Walentego Dymka, ks. prałata dr. T. Jachmowskiego oraz wielu księży i kapelanów wojskowych. Także wiernych dowborczyków oraz mieszkańców Lusowa, Batorowa i okolic.

Czuwanie przy ciele trwa trzy dni i noc. Czwartego dnia, w sobotę, okolica pęka w szwach od osobistości, które zjechały się na uroczystości pogrzebowe. Cały pałac pełny, a jego piętnaście pokoi ledwie pomieści wszystkich gości. Generał Jan Wroczyński - były szef sztabu Armii Wielkopolskiej, Władysław Seyda - minister byłej dzielnicy pruskiej, Aleksander Sroka - prezes Korporacji Akademickiej Lechia, płk Tadeusz Rozwadowski - przedstawiciel „Sokoła”, gen. Anatol Kędzierski - w imieniu oficerów w stanie spoczynku, pan Kazimierz Wawrzyniec Juszcak - prezes Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny” oraz przyjaciele. Państwo Hasiewiczowie i państwo Au z Poznania, którzy swoje sublokatorki - córki generała - traktują niby własne. Jest i hrabina Zofia Broel-Plater Wańkownicowa - przyjaciółka generałostwa jeszcze z czasów Bobrujska. Mała Gusia kochała ją jak matkę. Przybył również dawny współtowarzysz walk, aktualnie ks. prałat Stanisław Tworkowski. Nie może sobie darować, że podczas ostatniej wizyty w Batorowie - mimo prośby generała o kilkudniowe rekolekcje - odłożył je do następnego spotkania, bo musiał wracać do swoich obowiązków szkolnego katechety w Warszawie, a oto żegna go na zawsze.

Gośćmi trzeba się zająć, nie czas na pogrążanie się w żalu. Franciszka, choć doświadczona w prowadzeniu domu otwartego, zupełnie sobie nie radzi co odbija się na reszcie pałacowej służby, więc Janina - zakasawszy rękawy - włącza się do prac kuchennych, co zresztą bardzo lubi.

Na drodze biegnącej wzdłuż pałacowego parku - teraz w pięknych jesiennych barwach - wiodącej do parafialnego kościoła w Lusowie, ustawił się ogromny kondukt żałobny. Na czele - krzyż procesyjny, za nim orkiestra wojskowa, wojsko i poszczególne organizacje z

pocztami sztandarowymi. Na podjeździe pałacowym czekają najbliżsi. Rodzina i przyjaciele. Także służba i pracownicy. Wyciszone, smutne stare psiska - Tedi i Digan - warują przy drzwiach, niby warta towarzysząca panu do końca. Podrywają się na widok trumny wynoszonej na ramionach dowborczyków, lecz nie szczekają tylko cichutko, żałośnie skomlą - dwa białe, niewielkie, skulone kształty.

Na metalowej trumnie - czapka generalska wojsk wielkopolskich i korporantka. (Czapka członka jakiejś korporacji, w tym przypadku Korporacji Akademickiej Lecha, do której należał generał Dowbor-Muśnicki). Frontowe drzwi pałacu otwarte na oścież. Właśnie ukazują się w nich generałowie: Józef Haller w swoim niebieskim mundurze, Juliusz Poniatowski, Gustaw Ostapowicz, Jan Wroczyński i wyżsi oficerowie oraz córki zmarłego w ciężkiej żałobie, z twarzami osłoniętymi czarną woalką, prowadzone przez swojego brata Olgierda, ubranego w oficerski mundur 3. Pułku Lotniczego. Przykry zgrzyt stanowi nieobecność pierworodnego Gedymina. Starą damę, teściową generała, panią Korsońską, wiedzie adiutant Zygmunt Pluciński. Jego rodzina zajmuje dalsze miejsce w kondukcje. Ruszają przy zapalonych pochodniach, chociaż to dopiero przedpołudniowa, dziesiąta godzina, dzięki czemu ten sobotni, przedostatni dzień października 1937 roku, zasnuty chmurami, więc ciemny, wydaje się jakiś lżejszy do udźwignięcia. Zaledwie ukażą się na drodze, orkiestra rozpoczyna marsz żałobny Fryderyka Chopina i oto generał Józef Dowbor-Muśnicki po raz ostatni udaje się drogą, którą niezliczone razy przemierzał, idąc do kościoła na niedzielną Mszę Świętą w towarzystwie rodziny i pałacowej służby.

Stojący wzdłuż trasy okoliczni mieszkańcy rozpamiętują ten właśnie, cotygodniowy widok. Z przodu dzieci, za nimi służba i pracownicy, na końcu generał z żoną (dopóki żyła) i bawiącymi akurat gośćmi. Kroczy godnie, wyprostowany, w generalskim mundurze, choć to pewien kłopot. Oto wiejskie wyrostki, wyuczone przez swoich rodziców, rozstawiwszy się dla zabawy w równych odstępach, grzecznie go co rusz pozdrawiają. A on, pełen powagi, acz nieco ubawiony, każdemu saltuje.

Wszystko to żyje już tylko we wspomnieniach.

Teren przykościelny jest wypełniony po brzegi wojskami służby czynnej (dywizja kawalerii i artylerii oraz batalion piechoty), weteranami wojennymi, powstańcami wielkopolskimi, członkami wielu stowarzyszeń z całej Polski, przedstawicielami akademickich korporacji Lechia, Sokół i Batoria. Są też liczne rzesze mieszkańców Lusowa, Lusówka, Rozalina, Sierosławia, Pokrzywnicy, Otowa, Sadów, Kobylnik, Swadzimia, Przeźmierowa i Bator owa - wsi należących do lusowskiej parafii.

Ponad zgromadzeniem powiewają proporce pocztów sztandarowych, panuje podniosły

nastrój. Tylko dzieciarnia nie potrafi się do niego dostosować, pochłonięta podziwianiem szóstki karych koni zaprzężonych do armatniej lawety, która po nabożeństwie żałobnym powiezie trumnę na parafialny cmentarz. Na razie czeka przed kościołem.

Podczas gdy orkiestra, wciąż grając marsze żałobne, zajmuje stanowisko przed wejściem do świątyni, kolejna zmiana dowborczyków wnosi trumnę na ramionach do środka, by ustawić ją przed zabytkowym, gotyckim prezbiterium zwieńczonym gwiazdzistym sklepieniem. Tu również nieopisany ścisk - człowiek przy człowieku - maksymalnie skupieni. Płoną wszystkie światła i dodatkowe świece, katafalk tonie w kwiatkach.

Właśnie zostaje na nim ustawiona trumna, a sześciu oficerów dowborczyków obejmuje wokół niej honorową wartę. Będą ich kolejno zmieniali powstańcy wielkopolscy oraz oficerowie służby czynnej. Orkiestra milknie, za to z chóru rozlegają się dźwięki muzyki organowej. To córka zmarłego, Janina - absolwentka konserwatorium muzycznego - wygrywa swój ból i tęsknotę za utraconym, uwielbianym ojcem. Robi to profesjonalnie. Znać, że nie jest nowicjuską.

Po ukończeniu Państwowego Gimnazjum im. Generałowej Jadwigi Zamoyskiej w Poznaniu i zdaniu matury wstąpiła do tamtejszego Państwowego Konserwatorium Muzycznego, by studiować w klasie śpiewu i fortepianu i jedynie sprzeciw ojca (może też krytyczny stosunek do własnych możliwości) sprawił, że nie została śpiewaczką, o czym zawsze marzyła. Pasję tę mogła realizować, jedynie występując w lusowskim kościele, w kabaretach oraz w poznańskim kinie Muza przed seansami - to był sposób na dorabianie do pensji urzędniczej pocztowej, czego ojciec nie pochwalał. Widywano ją także, czynnie się udzielającą, na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. Lecz całą swoją energię skoncentrowała na lataniu, traktując ten sport wyczynowo. Tej pasji oddała serce.

Gra i płacze, tak żywo przypomina sobie wszystkie poprzednie swoje występy w tym miejscu, kiedy przyjeżdżała do domu na soboty i niedziele. Patrząc teraz z góry na las pocztów sztandarowych udekorowanych czarną krepą i na morze głów, dziękuje Bogu, że to właśnie ona - córka - swoją grą uświetnia uroczystość poświęconą uwielbianemu ojcu.

„Nie możesz mieć do mnie żalu, tateńku, o tę pompę. Na nic nie miałam wpływu. Jesteś... Byłeś przecież osobą publiczną. To zobowiązuje”. Przy ołtarzu rozpoczyna się nabożeństwo żałobne. Uroczystą Mszę Świętą celebryje (w licznej asyście księży i kapelanów wojskowych, biskupów oraz ośmiu generałów) ks. bp Walenty Dymek, a homilię wygłasza duszpasterz wojskowy, ks. prałat dr Tadeusz Jachmowski. Kolejne mowy pogrzebowe rozpoczyna prezes Kazimierz Juszcak w imieniu Dowborczyków, pierwszego po latach zaborów polskiego wojska, zorganizowanego i dowodzonego przez generała Dowbora.

- Pozwólcie państwo, że - jako prezes Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”, wyjątkowo pominię należne wszystkim tytuły i powiem ogólnie. Drodzy przyjaciele generała, żegnamy dziś nietuzinkowego człowieka. Wielkiego patriotę, odważnego żołnierza, dobrego sąsiada i przykładowego ojca rodziny. Człowieka wszechstronnie wykształconego w sztuce wojskowej, wybitnego dowódcę i organizatora. Niezwykle pracowitego i wytrwałego w dążeniu do celu, o niezłomnej woli, sumienności, prawości i życzliwości wobec wszystkich ludzi. Człowieka czynu.

Przybył do nas z dalekich stron, lecz stał się pierwszym spośród Wielkopolan, choć wydała go ziemia sandomierska, bo w jego domu rodzinnym najwyżej ceniono polskość. Jakże często sam to podkreślał!

Jesteśmy Polakami, co zobowiązuje. Musimy dbać o utrzymanie nieskazitelnej tradycji polskiej, abyśmy byli gotowi, gdy Polska się odrodzi, co niechybnie nastąpi.

To, drodzy państwo, słowa jego surowej matki, które nieraz cytował. Ona mu je wpajała. Słowa niełatwe w konfrontacji z rzeczywistością niewoli. Lecz one pomagały młodemu chłopcu znieść szykany rosyjskich nauczycieli i kolegów w rosyjskim gimnazjum, a w razie potrzeby nawet się z nimi bić, kiedy obrażali najwyższe dla niego wartości - polską mowę, historię i religię katolicką. Pomimo stosowanych kar. Mimo wrogości, z którą - jako Polak - zetknął się także podczas studiów wojskowych (kurs w Szkole Kadetów im. Mikołaja Pierwszego, Szkoła Wojskowa im. Wielkiego Księcia Konstantego i Akademia Sztabu Generalnego w Petersburgu).

Dzięki ciężkiej pracy, umiejętnościom, sprytowi, lecz przede wszystkim waleczności i niesłychanemu talentowi przywódczemu awansował kolejno od stopnia podporucznika aż do generała, pełniąc w międzyczasie odpowiedzialne funkcje dowódcze na wielu frontach - ranny i odznaczany, lecz nieugięty. Przeszedł długi i urozmaicony szlak poszczególnych placówek wojskowych i pól bitew, ale przy jednej chce się zatrzymać. W Irkucku, gdzie tworzył Irkucki Okręg Wojskowy.

Poznał tam, żyjących w skrajnej nędzy, potomków polskich zesłańców syberyjskich, których wcielał do carskiego wojska, aby im zapewnić lepsze warunki bytowe. To oni, proszę państwa, zasilą niebawem jego Pierwszy Korpus Polski - dowborczyków - i staną się jego najwierniejszymi żołnierzami także w szeregach Armii Wielkopolskiej.

W międzyczasie, po wojnie z Japonią, gdzie też pokazał, co potrafi, zakłada rodzinę. Żeni się z rodowitą Polką, córką profesora licealnego z Krzemieńca, panną Agnieszką Korsońską.

W Irkucku, w 1906 roku, rodzi się mu pierworodny syn, Gedymin. Nie ma go dziś

pośród nas, najwidoczniej nie otrzymał telegramu.

Stęskniony za Europą prosi o przeniesienie do Charkowa, gdzie służy w Kijowskim Okręgu Wojskowym i tam 22 kwietnia 1908 roku przychodzi na świat drugie jego dziecko. Nasza wdzięczna śpiewaczka i odważna lotniczka, panna Janina. Pamiętam panią (wówczas) pułkownikową z tą właśnie dziewczynką w ramionach i synkiem u boku męża.

Wiosną 1914 roku jest już dowódcą I Dywizji Piechoty w Woroneżu, gdzie Bóg obdarza go kolejnym synem, Olgierdem, obecnym tu panem porucznikiem, i gdzie tak sprawnie przeprowadza spis koni, że przyspiesza tym mobilizację na wypadek spodziewanej wojny.

Kiedy w sierpniu wybuchnie, tak dzielnie walczy z Austriakami, że osłabia ich zdolności bojowe. Skierowany na front niemiecki, gromi 2. Korpus Gwardii oraz brygadę pruskiego generała Paczeńskiego. Następnie, jako dowódca 14. Pułku Strzelców Syberyjskich, walczy z Niemcami w okolicach Warszawy, co traktuje jako walkę z wrogiem Polski. I za wojenne zasługi właśnie, w maju 1917 roku, otrzymuje stopień generalski oraz zostaje dowódcą 38. Dywizji Piechoty, po czym gromi Niemców w okolicach Rygi, gdzie - zatruty gazem - dwa tygodnie nieprzytomny walczy o życie.

Wybuch rewolucji 1917 roku w Rosji powoduje ogromny bałagan w carskiej armii, a zmanipulowani propagandą żołnierze nie słuchają rozkazów swoich dowódców. To właśnie otwiera generałowi możliwość zorganizowania polskiego wojska. Pierwszego niezależnego polskiego wojska po okresie zaborów, proszę państwa! Tysiące oficerów, podoficerów i żołnierzy uzbrojonych i wyposażonych na koszt Rosji, przeszkolonych, zdyscyplinowanych, przygotowywanych docelowo do walki o wolność ojczyzny.

Głównodowodzący armią carską, gen. Ławr Kornilow, zezwala na utworzenie w Petersburgu Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, jako zwierzchniego organu Polaków służących w tejże armii w liczbie około miliona. (Naczelnny Polski Komitet Wojskowy - organ zwierzchni Polaków w armii rosyjskiej, utworzony w czerwcu 1917 roku w Petersburgu w obliczu zagrożenia bolszewickiego, jako pomocny w walce z nimi. Miał czuwać nad wyłonieniem spośród 500 tysięcy Polaków służących w armii carskiej czterech polskich korpusów do walki z bolszewikami. Część jego przedstawicieli niebawem zostanie aresztowana. Wobec przeciwdziałań bolszewików udało się zorganizować tylko jeden - dowborczyków. Pierwszy Korpus Polski (w zamierzeniu) do walki z rewolucją.) Sądzi, że powołane przez ten organ polskie oddziały pomogą rozgromieniu bolszewików i odbudowaniu morale prawowitej armii rosyjskiej.

Od czego zaczyna Naczelnny Komitet?... Proponuje naszemu generałowi

zorganizowanie i dowodzenie Pierwszym Polskim Korpusem na obszarze między Bychowem a Nowozybkowem Mozysz.

Trzeba było widzieć ciągnące tam gromady oficerów, podoficerów i żołnierzy! Młodzi chłopcy i starsi wiekiem, gotowi do walki, pełni zapału. Każdego dnia przybywało ich co najmniej tysiąc. Nigdy nie zapomnę widoku tych świeżo upieczonych dowborczyków, składających ułożoną przez generała Dowbora przysięgę na wierność Radzie Regencyjnej, wprowadzie uzależnionej od Niemców, stanowiącej jednak załączek nowej władzy mającego powstać państwa polskiego. (Rada Regencyjna, utworzona 12 września 1917 r. przez Niemcy i Austro-Węgry, całkowicie od nich zależna, sprawowała ograniczoną władzę. W jej skład wchodził regenci: ks. abp A. Kakowski, książę Z. Lubomirski i hrabia Z. Ostrowski. 7 października 1918 r. Rada wydała orędzie deklarujące dążenie do niepodległości Polski. W listopadzie tegoż roku przekazała władzę Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu.)

Serce rosło! Ja sam do dziś wymawia ze wzruszeniem jej słowa:

Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że Ojczyźnie mojej, Polskiemu Królestwu, na lądzie, morzu i w powietrzu, na każdym miejscu i o każdej porze, wiernie i uczciwie służyć będę, że Najdostojniejszej Radzie Regencyjnej, jako naczelnej władzy Państwa Polskiego i wyznaczonym przez nią przełożonym i dowódcom posłusznym będę, że dawane przez nich rozkazy i przepisy będę wykonywał, a w ogóle tak będę się zachowywał, abym mógł żyć i umierać jako mężny i prawy żołnierz polski. Tak mi, Panie Boże, dopomóż.

Nasz wódz nie tylko nas szkolił. Także wychowywał. Bardzo dbał o formację patriotyczną i religijną swojego wojska. Obok musztry i ćwiczeń w strzelaniu odbywały się lekcje historii Polski, kultywowało się polskie obyczaje, polską tradycję świecką i kościelną. Każdą wieczorną Mszę Świętą kończyliśmy apelem i śpiewem Wszystkie naszeienne sprawy oraz Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród.

Ale najbardziej kochaliśmy inscenizacje zwycięskich bitew, między innymi - pod Raclawicami. Tak nas, pamiętam, poruszyła, że spontanicznie i błyskawicznie usypaliśmy kopiec dla uczczenia Naczelnika Kościuszki A wszystko to działo się, kiedy Polski, proszę państwa, nie było jeszcze na mapach Europy!

Nie podobało się to wrogo nastawionym do nas bolszewikom, więc rozbrajali dążących do polskiego wojska ochotników i bestialsko mordowali. Z tego powodu zamiast zamierzonej liczby siedemdziesięciu tysięcy Pierwszy Korpus Polski liczył dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy. Tylko tylu, czy aż tylu dotarło do celu. W końcu Rada Komisarzy Ludowych zażądała demobilizacji armii carskiej, a wraz z nią - rozwiązania Korpusu Polskiego, ale trafiła kosa na kamień! Nasz komendant - w odpowiedzi - przegrupował swoje

wojsko, pieszym marszem i koleją, w rejon Bobrujska na Białorusi, a w nocy z 2 na 3 lutego 1918 roku opanowaliśmy miasto i twierdzę Bobrujsk razem z zapasami broni, amunicji i żywności.

Nasze położenie nie było jednak łatwe. Niemcy, rozsierdzeni zerwaniem przez Sowieców pokojowych rokowań w Brześciu 18 lutego, ruszyli w głąb Białorusi, a my znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Armia niemiecka od zachodu i bolszewicka od wschodu. A co na to nasz generał? Nawiąawszy kontakt z Radą Regencyjną w Warszawie, za jej pośrednictwem, podpisuje z niemieckim dowództwem układ o neutralności Pierwszego Polskiego Korpusu. Genialne! Cóż, kiedy zdradzieccy Teutoni i tak zażądali rozwiązania i rozbrojenia Korpusu.

Lecz wielki talent wojskowy generała oraz poczucie odpowiedzialności za życie swoich żołnierzy, pomoże mu i z tej sytuacji wyjść obronną ręką. Niebawem ujrzy go polska ziemia. Zwłaszcza ta nasza ziemia wielkopolska, ale o tym powie państwu pan generał Wroczyński.

Skłoniwszy głowę, usuwa się na bok.

Kolejny mówca, powitawszy obecnych według stopnia godności, kłaniając się wszystkim, rozpoczyna uroczyste.

- Szanowni państwo, jako były szef sztabu Armii Wielkopolskiej, pozwolę sobie powiedzieć słów kilka o jej prapoczątkach. Otóż poznaniacy, jak wiadomo, rozpoczęli przygotowania do walki o wyzwolenie niemal bezpośrednio po klęsce Powstania Styczniowego 1863 roku, przygotowując grunt poprzez wcielanie w życie pozytywistycznych haseł pracy u podstaw, pracy organicznej oraz rozwoju gospodarki, nauki i kultury.

Wystąpienie zbrojne, jak wszyscy pozytywiści, odkładali do czasu, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Nadszedł istotnie, kiedy w 1914 roku wszyscy trzej nasi zaborcy znaleźli się w stanie wojny. Wtedy właśnie Polacy w wielu miastach chwycili za broń. My jednak skupimy się na naszym Poznaniu.

Ruszy 26 grudnia, kiedy do miasta przybędzie z misją od aliantów delegat Polskiego Komitetu Narodowego, sławny kompozytor Ignacy Jan Paderewski. Powitalne manifestacje zorganizowane na jego cześć drażnią Niemców do tego stopnia, że zaczynają strzelać do poznaniaków. Ci nie pozostają dłużni i tak wybucha powstanie. I tu właśnie wkracza do tej historii nasz świętej pamięci bohater, którego dziś z żalem żegnamy.

On to, na prośbę Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, mianowany przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego dowódcą Powstania Wielkopolskiego - przybywa do

Poznania z Sandomierza, gdzie mieszkał po powrocie z Rosji, aby 16 stycznia 1919 roku objąć dowodzenie i rozpocząć organizowanie regularnego wojska. Pierwszego polskiego wojska, obok Legionów, w odrodzonej Polsce. Ono to wywalczy naszej Wielkopolsce niepodległość i orężem wytyczy nasze zachodnie granice. (26 grudnia 1918 r. do Poznania przybył, owacyjnie witany, światowej sławy pianista i polityk zabiegający w świecie o odrodzenie państwa polskiego, Ignacy Jan Paderewski. Następnego dnia na jego cześć odbyła się patriotyczna manifestacja osłaniana przez oddziały Polskiej Straży Ludowej, a miasto udekorowano polskimi i alianckimi flagami. Doszło do walk między Niemcami a demonstrantami, co zapoczątkowało powstanie, które w ciągu kilku dni objęło całą Wielkopolskę. Tymczasowym dowódcą został obecny akurat na miejscu kpt. Stanisław Taczak - oficer Sztabu Generalnego z Warszawy, lecz Komisariat Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu bez zwłoki zwrócił się z prośbą do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego o mianowanie głównodowodzącego w stopniu generała. Piłsudski wyznaczył na to stanowisko gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, który objął je 16 stycznia 1919 roku. Walki trwały aż do czerwca, ponieważ Niemcy przygotowali wielką ofensywę pod dowództwem gen. Paula Hindenburga, co gen. Dowbor udaremnił, zawierając porozumienie z dowódcą armii francuskiej, gen. Ferdynandem Fochem, który ostrzegł Niemców, że - jeśli ruszą na Wielkopolskę - on zaatakuje ich tyły. Dzięki temu Niemcy zrezygnowali z dalszych działań.) Tylko generała Dowbora-Muśnickiego było na to stać, proszę państwa.

Dlatego oczekiwał od przedstawicieli Naczelnej Rady Ludowej pełnej swobody działania. Z tego powodu, zanim wziął na siebie brzemię, zapytał wprost:

- Czego po mnie oczekujecie?

- Doprowadzić powstanie do zwycięstwa - brzmiała odpowiedź.

- Będę więc potrzebował nieograniczonych pełnomocnictw. Wszystkie decyzje podejmuję osobiście i głową za nie odpowiadam. A oto pierwsza. Trzeba utworzyć armię. Armię liczną, silną, doskonale przeszkoloną, wyposażoną i uzbrojoną, o wysokim morale. Armię Wielkopolską!

- Generale, tobie serce i klucze Poznania! - od razu mu zaufali.

I generał dokonał cudu. Po trzech miesiącach armia, do której powołał jedenaście roczników, liczyła ponad sto tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy wszystkich rodzajów broni. Każdy tak samo umundurowany, przeszkolony, świetnie uzbrojony.

Sprawił, że już 26 stycznia 1919 roku na poznańskim placu Wolności, podczas uroczystej Mszy Świętej, odbyła się przysięga wojsk wielkopolskich.

Drodzy państwo, póki żyję, nie zapomnę tej chwili uroczystej, kiedy plac Wolności i

cały Poznań - w sztandarach i narodowych flagach - rozbrzmiewał słowami przysięgi! Pamiętam każde słowo.

W obliczu Boga wszechmogącego w Trójcy Świętej jedyne - ślubuję, że Polsce, Ojczyźnie mojej, i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć będę, że kraju ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić będę, że Komisariatowi Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, dowódcom i przełożonym moim, mianowanym przez Komisariat, zawsze i wszędzie posłusznym będę, że w ogóle tak się zachowywać będę, jak to przystoi na mężnego i prawego żołnierza - Polaka, że po zjednoczeniu Polski złożę przysięgę żołnierską, ustanowioną przez polską zwierzchność wojskową. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący!

Dziś jeszcze mam przed oczami nieprzeliczone plakaty ze słowami miłości i oddania poznaniaków. Nie mogę tu pominąć jeszcze jednej uroczystości, kiedy w święto narodowe i kościelne, 3 maja 1919 roku, na łęgach lotniska Ławicy odbyła się parada wojskowa w obecności zaproszonych attache wojskowych Francji i Anglii. Zobaczywszy 15. Poznański Pułk Ułanów, orzekli, że takiej reprezentacji wojskowej jeszcze nie widzieli. A było się czym zachwycać. Widzę generała, gdy w pełnym galopie przejeżdża wzdłuż trzykilometrowego frontu na swojej Pannie Europejskiej. Za nim jego adiutant, porucznik Pluciński, a obok ja - ówczesny szef sztabu, wtedy pułkownik, nie generał - Jan Wroczyński. A za nami całe dowództwo w równym szeregu.

Generał zadumał się na chwilę, lecz błyskawicznie nad sobą zapanował.

- Proszę państwa, to była najmocniejsza siła zbrojna na ziemiach polskich w 1919 roku! Trzy dywizje strzelców, tyleż pułków jazdy, pięć pułków artylerii, wojska techniczne, formacje lotnicze, trzynaście tysięcy koni, tysiąc karabinów maszynowych, pięćset siedemdziesiąt dział, trzy pociągi pancerne i trzydzieści osiem samolotów! A do tego wytwórnie i składnice leków oraz opatrunków, własna fabryka amunicji, służba sanitarna dysponująca sześcioma szpitalami polowymi i całe zaplecze: kuchnie polowe, magazyny, namioty... A dokonał tego geniusz jednego człowieka. Wielkiego Polaka, generała Józefa Dowbora-Muśnickiego.

Dokonał tego, ponieważ uważał, że tylko potężne wojsko jest gwarantem wolności, suwerenności i niepodległości każdego państwa. Wojsko uformowane w duchu trzech podstawowych wartości: BÓG - HONOR - OJCZYŻNA. W tej armii - nie waham się powiedzieć, że był to kwiat większości sił bojowych kraju - uczono żołnierzy nie tylko strzelać, ale kochać to, co robią. Wprowadzono lekcje polskiej historii, nauką i śpiew pieśni patriotycznymi, kształtowano przywiązanie do tradycji i wiary katolickiej.

To właśnie stanowiło jej ogromną siłę moralną. Była to, w myśl przekonań jej wodza, armia narodowa.

Armie muszą być narodowe, bo tylko narody biją się o własne interesy - powtarzał.

Dzięki temu nie dopuścił, aby Niemcy wydarli nam to, co im odebraliśmy - ważny argument podczas pokojowej konferencji w Wersalu, gdy będą się wazyły losy polskich granic. Śmiało można powiedzieć, że to on - obok takich postaci, jak Józef Piłsudski, Roman Dmowski czy obecny tu pan generał Józef Haller - zasłużył się dla tworzenia polskiej państwowości po zaborach. Jego zasługą jest zwycięstwo Powstania Wielkopolskiego i wytyczenie naszych zachodnich granic, co kosztowało wiele krwi. Lecz działał i na innych frontach.

Wyłoniony z Armii Wielkopolskiej Pułk Strzelców Wielkopolskich (trzy baterie artylerii i eskadra lotnicza) w 1919 roku dwukrotnie bronił Lwowa i granic wschodnich przed aneksją ukraińską i odegrał znaczącą rolę w Bitwie Warszawskiej zwanej Cudem nad Wisłą. Uczestniczył także w formowaniu czterech Dywizji Strzelców Pomorskich i Pułku Pomorskich Ułanów i - wraz z Wojciechem Korfantym - współorganizował Bytomski Pułk Strzelecki na Śląsku. (Wojciech Korfanty (1873-1939) - jeden z przywódców powstań śląskich, zasłużony w budzeniu polskiej świadomości narodowej Ślązaków.)

Wobec tych zasług i wielu innych, których z braku czasu niepodobna tutaj przytaczać, awans do stopnia generała broni nadany mu przez Naczelną Radę Ludową w marcu 1919 roku nie stanowił wygórowanej nagrody.

Na koniec pozwolę sobie jeszcze przywołać postać generała - człowieka. Ojca dla swoich żołnierzy. Kiedyś, a było to po słynnej paradzie, bo około 15 maja, na Ławicy wybuchł bunt lotników. Generał udał się tam natychmiast w towarzystwie moim i adiutanta. Obecnego między nami pana porucznika Zygmunta Plucińskiego. Wezwawszy dowódcę, pyta:

- Co się tu dzieje?

- Na złe jedzenie narzekają.

Generał tylko ruszył wąsem, a potem wyszedł do żołnierzy.

- Co i kiedy było złe?

- Wczoraj. Kartoflanka ze zgniłych pyr.

- Sprawdź to - zlecił adiutantowi.

Uzyskawszy potwierdzenie, zarządził zbiórkę całej kompanii.

- Żołnierze! Daję słowo, że to się zmieni. Dopilnuję, by wam przysłano świeże kartofle. A teraz - do koszar!

Rozeszli się karnie wśród wiwatów. Słowa, oczywiście, dotrzymał. Tak... Był nie tylko wodzem, ale i ojcem dla swoich podkomendnych. Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. Już zmierzam ku końcowi.

Wykonawszy zadanie obronienia Wielkopolski przed Niemcami, 13 listopada 1919 roku generał pożegnał się ze swoją armią w ostatnim rozkazie nr 249 i przekazał ją Naczelnemu Dowództwu Wojskowemu w Warszawie. Sam ograniczył się do dowodzenia Frontem Zachodnim trwającym do końca 1920 roku. W międzyczasie, z myślą o rodzinie, osiedlił się w tutejszych stronach.

Po ratyfikacji traktatu wersalskiego przez Niemców 10 stycznia 1920 roku rząd polski powierzył mu rewindykację przyznanych Polsce obszarów. W międzyczasie, jak wszyscy wiedzą, nabył od Urzędu Ziemskiego tutejszą poniemiecką posiadłość i sprowadził rodzinę. Dzięki temu mieliśmy zaszczyt żyć w wolnej Polsce z tym nietuzinkowym człowiekiem, powszechnie kochanym i szanowanym.

Mimo obowiązków właściciela majątku i męża chorej żony, która właśnie obdarzyła go małą córeczką, podjął się i tego zadania. Wykonał je perfekcyjnie. W każdym mieście, do którego wkraczał na czele polskiego wojska, witano go z entuzjazmem, organizując patriotyczne uroczystości, a on - wśród oklasków - ogłaszał przyłączenie kolejnych terenów do Macierzy. Po ostatecznym ugruntowaniu się polskiej państwowości i zwycięstwie nad bolszewikami, 6 października 1920 r., wkrótce po śmierci żony, na własną prośbę zostaje przeniesiony do rezerwy, by poświęcić się prowadzeniu gospodarstwa, wychowywaniu czworga dzieci i działalności pro publico bono. Przychodzi mu to tym łatwiej, że rok później, 14 września 1921 r., otrzymuje wojskową emeryturę.

Teraz szablę zamienia na pióro. Redaguje dział wojskowy w „Rzeczpospolitej”, spotyka się z weteranami, współpracuje z różnymi stowarzyszeniami, organizacjami patriotycznymi i harcerzami, a od 1925 roku, kiedy zawiąże się Stowarzyszenie Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”, zostaje jego prezesem. Funkcję tę pełni do końca życia. Co godne podkreślenia, jest autorem dwóch książek: Szkic do historii Pierwszego Polskiego Korpusu i Moje wspomnienia.

Mówca, wzruszony i wyczerpany, przerywa na dłuższą chwilę, lecz tę nagłą ciszę wypełniają fanfary. Grzmią organy, pochylają się sztandary, w oczach obecnych - łzy. Kiedy umilkną, nie będzie kontynuował. Ustępuje miejsca kolejnym prelegentom. Chociaż starają się mówić krótko, nabożeństwo potrwa bite trzy godziny.

Po okadzeniu trumny i pokropieniu wodą święconą, z chóru rozlegają się dźwięki Ave Maria Schuberta. Janina śpiewa z takim uczuciem, że w kościele rozlega się powszechny

szloch, a wzruszony minister Seyda nie potrafi się powstrzymać przed spontanicznym krótkim wystąpieniem.

- I tak twórca i dowódca Pierwszego Polskiego Korpusu w Rosji, głównodowodzący Powstaniem Wielkopolskim, organizator i dowódca stutysięcznej Armii Wielkopolskiej utworzonej w ciągu trzech zaledwie miesięcy, spocznie na wieki na tym wiejskim cmentarzu. Niechże ta ziemia przyjmie cię z miłością, generale!

Rozbrzmiewa rozkaz „Prezentuj broń!” i - pośród pochylonych drzewców sztandarowych, przy dźwiękach chopinowskiego marsza wykonywanego przez orkiestrę wojskową, Lechici - członkowie Lechii wynoszą trumnę na zewnątrz, by ją umieścić na wojskowej lawecie, do której bezskutecznie usiłują się docisnąć wiejskie dzieciaki. Konie prychają niecierpliwie, przebijając kopytami, gotowe ruszać, lecz muszą czekać, aż ustawi się kondukt, a wtedy spoza chmur pada na trumnę kilka słonecznych promieni, co obecni odczytują jako szczególny znak, bo dzień to pochmurny.

- Od razu widać, że wielkiego Polaka chowają!

- Wielkiego Polaka i dobrego, szlachetnego człowieka!

Zanim ciało zostanie złożone do grobu, ktoś proponuje, by otworzyć wieko.

- Chcemy zapamiętać twarz bohatera!

Wywołane tym ponowne szlochy, przerywa nieoczekiwanie ks. prałat Stanisław Tworowski²¹, kapelan Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”. (Ksiądz prałat Stanisław Tworowski (1901 -1999) - żołnierz Pierwszego Polskiego Korpusu na terenie Rosji, uczestnik wojny bolszewickiej, kapelan w Powstaniu Warszawskim 1944 r., katecheta i pisarz („Krzyż Dowbora”, „Krzyżak”), pod koniec życia mieszka w podwarszawskich Kaniach, w Domu Rekolekcyjnym. Współtwórca Komitetu Obrony Poczętego Życia.) Przedstawivszy się, od razu nawiązuje do przysięgi dowborczyków zacytowanej przez prezesa Juszcza.

- Ja również składałem ją, drodzy moi bracia i siostry w Chrystusie Panu. Nie jako ksiądz, tylko żołnierz. Dopiero po wojnie, po rozwiązaniu Korpusu, wstąpiłem do seminarium i może to właśnie sprawiło, że świętej pamięci generał Dowbor-Muśnicki zechciał mnie zaliczyć do grona swoich przyjaciół.

Nigdy nie zapomnę naszych długich spacerów po parku i naszych rozmów o nieśmiertelności duszy. Dlatego jestem spokojny o jego piękną, oddaną Bogu i Ojczyźnie duszę. Pozwólcie, drodzy, że powrócę dziś wdzięcznym wspomnieniem do momentu, kiedy dane mi było spotkać tego cudownego człowieka.

Jest wiosna 1915 roku. Trwa I wojna światowa. Wśród odciętych od Ojczyzny

Polaków - nastroje smutku, niepewności i lęku. Jestem jednym z nich. Samotny czternastoletni chłopiec pozbawiony rodziców i bliskich, przerażony, wciśnięty w tłum zgromadzony w kościele. Świątujemy Zmartwychwstanie Pańskie, lecz nie ma w nas radości. Nie potrafimy jej wykrzesać nawet wobec faktu, że oto „radosny nam dzień nastał”. Są łyzy dławiące śpiew.

Opłakuję i ja swój sierocy los. Powoli wychodzę ze świątyni, bo nie mam dokąd iść. Jestem dzieckiem ulicy. Skulony, przysiadam w załomie muru, prosząc Boga o pomoc. I oto czuję na ramieniu dotyk ręki. Łagodny i przyjazny.

Tym większe rozczarowanie, kiedy stwierdzę, do kogo ta ręka należy. Stoi nade mną rosyjski pułkownik. Wysoki, postawny, twarz w czarnym zaroście. Zawiedziony, opuszczam głowę. Pewnie dlatego nie dostrzegam wielkanocnego jajka, które ku mnie wyciąga. Dobrze za to słyszę, co do mnie mówi najczystsza polszczyzną.

- Masz tu kolorowe jajeczko i nie smuć się, chłopcze. Przecież Chrystus zmartwychwstał!

Zaskoczony, zapominam podziękować.

„Rosjanin składa mi życzenia w katolickie święto?! Po polsku!? Osiem dni wcześniej niż prawosławni!”

On tymczasem podaje mi adres, pod który mam się do niego zgłosić, a potem pomaga dostać się do trzeciej klasy gimnazjum, za które sam opłaca chesne. Teraz już wiem na pewno. To nie Rosjanin. Nadal jednak nie znam jego nazwiska.

Znane jest powiedzenie: fortuna kołem się toczy. Bywa, że koło się zatrzymuje i to właśnie przydarzyło się mnie. Kiedy w piątej klasie, za ściąganie dostanę pałę z matematyki, co równa się powtarzaniu roku, ze wstydu porzucam szkołę. Nie mógłbym spojrzeć w oczy mojemu dobroczyńcy.

Błąkającego się z gromadą sobie podobnych po dalekim Mohylowie, bezdomnego włóczęgę zastaje rewolucja 1917 roku, a wkrótce wieść o polskim wojsku. Pierwszym Polskim Korpusie w okolicach Bobrujska, pod wodzą jakiegoś generała Józefa Dowbora-Muśnickiego.

Decydujemy się bez wahania.

- Do Bobrujska, bracia!

Po drodze napotykamy inne grupy, a nawet całe oddziały Polaków służących dotychczas w armii carskiej, którą bez namysłu porzucili - wszystko pośród straszliwego chaosu, kradzieży, rozbojów, napadów, walk, a nawet zabójstw. Zanim dotrzemy do celu, zmuszeni jesteśmy brać w tym udział, często krwawo walcząc z napastnikami. Bolszewicy,

drodzy bracia i siostry, nie chcieli dopuścić do powstania polskiego wojska. A jednocześnie głosili piękne hasła o samostanowieniu narodów.

Mimo wielu przeszkód docieramy szczęśliwie na miejsce. Czy wyobrażacie sobie, drodzy, moje zdumienie, kiedy w głównodowodzącym rozpoznam mojego dobrego Samarytanina? Na szczęście nie ulegam fałszywemu wstydowi. Zgłaszam się. Jest nas coraz więcej i więcej, a nasz ukochany wódz w ciągu trzech zaledwie miesięcy formuje pierwsze polskie wojsko. Korpus liczący 26 tysięcy żołnierzy i oficerów z wszystkimi rodzajami broni. Tworzy też szkołę kształcą podoficerów i artylerzystów. Niebawem liczba ta znacznie wzrośnie.

Wierzcie mi, że podczas składania przysięgi wojskowej przytoczonej tu przez prezesa Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”, pana Kazimierza Wawrzyńca Juszczaaka, płakaliśmy z radości. Bo jak nie płakać, słysząc takie słowa wodza:

Kochani! Mamy tu kawałek wolnej Polski, chociaż to na razie tylko wyspa pośród nieprzyjaciół.

Byliśmy nimi rzeczywiście otoczeni. Pełni nienawiści do każdego, kto nie był z nimi, bolszewicy nie cofali się przed najbardziej wyrafinowanym okrucieństwem wobec pojmanych żołnierzy, cywilów wszystkich stanów, w tym kobiet i dzieci. Pijani, rozbastwieni, dopuszczali się gwałtów, stosowali tortury prowadzące do śmierci w nieopisanych męczarniach, z obciętymi kończynami, uszami i nosami. Potrafili nawet wrzucać swoje ofiary do ognia z rozpaloną smołą. Nic dziwnego, że ludzie, często całymi rodzinami, szukali ratunku w Polskim Korpusie! A nasz generał wszystkich przyjmował.

Rozwścieczeni, w odwecie, atakowali nasze oddziały, ponosząc straty, wobec czego komisarz Krylenko wezwał Dowbora do współdziałania. Spotkał się z kategoryczną odmową. Monarchista z przekonania nie mógł poprzeć gwałcących ład społeczny i Boże prawo zwyrodnialców.

Utworzyłem polskie wojsko, by walczyć o odrodzenie państwa polskiego, a nie pomagać bandytom.

To jego własne słowa. Wówczas Krylenko zażądał rozbrojenia Korpusu. W odpowiedzi usłyszał.

- Przyjdź i sam zabierz nam broń!

Wobec tego bolszewicy nasilili propagandę nawołującą do niszczenia polskiego wojska oraz do mordowania carskich oficerów i przejmowania dowodzenia rosyjskimi oddziałami. Sprzyjał im panujący chaos. Nędza, głód i zniewolenie. Trudno uwierzyć, ale zdolali dotrzeć aż do serca Korpusu Polskiego i zbuntować jeden pułk. Najwidoczniej

podesłali nam wytrawnego agitatora. Sprytną wtyczkę. Młodzi chłopcy, od dawna pozbawieni kontaktów z bliskimi, nie dość że sami dali się zwieść, to jeszcze zamierzali rozszerzyć agitację na inne jednostki.

Od czego jednak mądry dowódca! Dobrze wie, co w trawie piszczy. Z miejsca zwołuje naradę sztabową.

- Co proponujecie?

- Trzeba buntowników zniecka otoczyć, rozbroić i rozpędzić na cztery wiatry!

- I zmarnować tylu młodych Polaków? Spróbuję to rozwiązać po swojemu.

I rozwiązał. Po mistrzowsku. Tylko on był do tego zdolny. Pozwólcie, drodzy, że wam o tym opowiem, bo to świadczy, jakim był człowiekiem.

Jak dziś widzę go stojącego przed rebeliantami zgromadzonymi na majdanie otoczonym - ma się rozumieć - wojskiem. Spogląda na nich srogo, mina marsowa i nagle - zdjęwszy generalską czapkę - jak nie wrzaśnie.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I jak myślicie, drodzy, co odpowiedzieli?... Oto, stanąwszy na bacność i także pościągawszy czapki, odchrzyknęli zgodnym chórem.

- Na wieki wieków. Amen!

A on tylko się pod wąsem uśmiecha. A następnie... Następnie zbeształ ich, nie przebierając w słowach, po czym rozkazał.

- Prowodyrów wyprowadzić na środek!

Wywlekają trzech trzęsących się ze strachu, zielonych na twarzach, bo wyrok pada najsurowszy.

- Za zdradę Boga i Ojczyzny - kara śmierci przez rozstrzelanie! Jutro staniecie przed plutonem egzekucyjnym. Będę nim dowodził osobiście. Wykonają koledzy, co się dali zwieść. Tymczasem do koszarniaka z nimi!

Kiedy nazajutrz pojawi się w areszcie, zastaje nieszczęśników na klęczkach.

- Wasze ostatnie życzenie?

- Pokornie prosimy o księdza. Dusze oczyścić chcemy. Wypowiadać się przed śmiercią.

- Zgoda.

Najwidoczniej stosowane w Korpusie praktyki religijne (niedzielne Msze Święte polowe, modlitwa żołnierska, sakramenty pokuty i Eucharystii, śpiewanie pieśni religijnych, celebrowanie świąt) wydały owoce. Po spowiedzi i szczerej ekspiacji w towarzystwie kapelana, eskortowani przez straż, docierają na majdan.

Naprzeciwko - pluton egzekucyjny, wkoło wojsko. Panuje śmiertelna cisza. Wszystkie oczy wpatrzone w dowódcę. I wśród tej ciszy rozlega się mocny, jasny głos wodza.

- Pluton, do nogi broń! Ułaskawiam!

Nie oczekujcie ode mnie, drodzy, abym opisał, co się dalej działo. Trzeba to było widzieć i przeżyć. Jedno tylko powiem. Ci rokoszanie szli potem za nim wszędzie. Na śmierć i życie. Najlepsi, najwierniejsi żołnierze. A on, który wysoko cenił każde polskie życie, wciąż powtarzał:

- Żywi musimy wrócić do Polski! Jej będziemy potrzebni!

To właśnie było dla niego priorytetem. Kiedy w 1918 roku Niemcy podejną do Bobrujska i zażądają rozwiązania oraz rozbrojenia Korpusu, długo wazy w sobie decyzję. Wreszcie - po wewnętrznych zmaganiach z własną dumą, naradach sztabowych, negocjacjach z wrogiem i z Radą Regencyjną w Warszawie - jako dobry strateg, wyraża zgodę. Pod jednym wszakże warunkiem. Kapitulacja ma być honorowa. (Wywołało to protest zwolenników Józefa Piłsudskiego (podjęty bez jego wiedzy, ponieważ w tym czasie był więziony w Magdeburgu), skupionych w tajnej organizacji „Związek Broni” z płk. Przemysławem Barthelem Weyddetalem i kpt. Leopoldem Lisem na czele. Spiskowcy zażądali zerwania umowy i podjęcia walki. Wobec sprzeciwu głównodowodzącego, postanowili pozbawić go dowództwa, jednak spisek został wykryty. Lecz winnym generał wielkodusznie umożliwił potajemne opuszczenie twierdzy w Bobrujsku. Nie skorzystał z tego nieugięty przyszły pisarz, Melchior Wańkowicz. Skazany na rozstrzelanie, został jednak przez Dowbora ułaskawiony i wyroku nie wykonano.)

- Całe wojsko (razem z polską ludnością cywilną) zostanie przemieszczone pociągami do Polski.

Mimo że uzyskał zgodę i wynegocjował, co się dało, gorzko przeżywał dramat rozdarcia. Z jednej strony - wobec przeważających sił niemieckich i gotowych do ataku bolszewickich - perspektywa wytracenia żołnierzy co do nogi, z drugiej - ambicja i pragnienie walki.

Trzeba go było wtedy widzieć, z kamienną twarzą, z rozpaczą w oczach, kiedy 22 maja 1918 roku, po Mszy Świętej polowej i modlitwie żołnierskiej, zwalniał nas z przysięgi i kiedy załoga opuszczała Bobrujsk. Pamiętam go dosiadającego swojej Panny Europejskiej przed szeregami wojaka i jego pożegnalne przemówienie. W kilku zdaniach wyjaśnił powód swojej zgody na rozwiązanie Korpusu.

ŻOŁNIERZE! MY, PIERWSZY POLSKI KORPUS, STANOWIMY WIELKĄ WYSZKOLONĄ SIŁĘ. DLATEGO ŻYWI MUSIMY WRÓCIĆ DO POLSKI. POLSKA

POTRZEBUJE NAS ŻYWYCH! DO ZOBACZENIA W KRAJU!

Tak wzięliśmy to sobie do serc, że - chociaż rozbrojeni - nie pozostaliśmy bezbronni. Oddaliśmy wrogom starą, zniszczoną broń, sprawną przemycając do kraju. Raz jeszcze podkreślę. Nie była to dla generała łatwa decyzja. Bóg jeden wie, ile go kosztowała. Wychudł, poczerniał na twarzy, ale się nie załamał. Chociaż przygnębiony, wciąż powtarzał:

Musimy żyć, bo będziemy jeszcze Polsce potrzebni.

Zadecydował cel nadrzędny. Strategiczny. Wolna Polska. Dzięki temu ocalił nas. Ustrzegł od bezsensownej walki z 300-tysięczną armią niemiecką i 500-tysięczną bolszewicką. Uratował też rzesze rodaków, którzy mogli się wydostać z szalejącego wkoło piekła rewolucji.

Zanim opuściliśmy Bobrujsk, ślubowaliśmy, że po powrocie do Ojczyzny wzniesiemy pomnik ku czci poległych w latach 1917-1918 dowórczyków. Jak wiecie, równo siedem lat temu, 1 listopada 1930 roku, na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie został odsłonięty monument dłuta artysty rzeźbiarza mjr. Michała Kamińskiego, byłego żołnierza Pierwszego Korpusu. (Pomnik ten przetrwał II wojnę światową i Powstanie Warszawskie, ale nie komunizm. W roku 1949 nagle tajemniczo zniknął, zburzony nocą (świadczenia mieszkańców Powiśla), lecz w roku 1997 z inicjatywy zawiązanego w tym celu Komitetu Odbudowy Pomnika Dowórczyków, na zlecenie przewodniczącego mgr. Edwarda Mazika, odtworzył go profesor Antoni Pastwa z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Odlana w brązie rzeźba 16 września 2003 roku została tymczasowo ustawiona przed Muzeum Wojska Polskiego w Alejach Jerozolimskich. Ponieważ zachował się przedwojenny fundament pomnika, władze miejskie proponowały usytuowanie go na dawnym miejscu, jednak Komitet Odbudowy nalegał na lokalizację na osi ulicy Lipowej, więc spór trwa.)

Nasz dowódca opuścił Bobrujsk jako ostatni, wraz z rodziną i gronem najbliższych oficerów, aby na ręce ówczesnego marszałka polskiego już Sejmu Wojciecha Trampczyńskiego przekazać 28 lutego 1919 r. skarb Pierwszego Korpusu. (Informację na ten temat zamieściło czasopismo „Placówka” w numerze sierpniowym z 1927 r., s. 34. Zgodnie z nią był to skarb o wartości ok. 172 mln ówczesnych złotych polskich w gotówce, złotych i srebrnych przedmiotach, papierach wartościowych oraz zobowiązaniach finansowych Niemców za przejęty materiał wojenny. Do tego należy dodać zasoby żołnierskie - karne, wyćwiczone, ofiarne, które utworzą kadry polskiej armii w liczbie: 2372 oficerów, 125 lekarzy wojskowych, 484 urzędników wojskowych, 14117 szeregowych liniowych, 6463 szeregowych nielinowych. Razem: 23561 żołnierzy gotowych do walki zbrojnej.)

Ze jego decyzja o demobilizacji, aczkolwiek bolesna i gorzka, okazała się słuszna,

przekonaliśmy się już 10 listopada tegoż roku, kiedy to dowborczycy pod dowództwem kpt. Łąckiego odebrali Niemcom Dworzec Główny w Warszawie i - wraz z innymi - zaczęli uwalniać stolicę z rąk niemieckich. Później wstąpił do Wojska Polskiego, by bronić świeżo odzyskanej niepodległości w Bitwie Warszawskiej i walczyć o odrodzenie państwa polskiego. Generał Dowbor miał rację. Żywi przydaliśmy się Polsce. A wszystko to dzieło jednego człowieka, którego właśnie z żalem żegnamy, dziękując Panu Bogu za jego surowe życie, wypełnione pracą dla Polski. Za to, że nie szczędził dla niej własnej krwi, nie żądając w zamian ani władzy, ani zaszczytów, ani pieniędzy.

Tacy ludzie rodzą się raz na sto lat, a może rzadziej. Dla siebie nie potrzebował nic. Rasowy frontowy żołnierz - nie przywiązywał wagi do dóbr materialnych i wygod. Nawet kiedy już dowodził Powstaniem Wielkopolskim, mieszkał z rodziną w trzypokojowym mieszkanku przy ulicy Mylnej 15. Jeden pokój dla żony i dzieci, drugi dla służącej, trzeci jako gabinet z łóżkiem polowym, stolikiem i krzesłem - dla siebie oraz interesantów. Mocno stąpał po ziemi - wierny trzem wartościom. BÓG - HONOR - OJCZYZNA.

Ponad wszystko kochał nasz kraj i to, co polskie, a więc i krzyż nierozdzielnie z Polską związany. Czczył krzyż Chrystusowy, wierny słowom uwielbianej matki - córki napoleońskiego żołnierza - która, zawieszając na szyi siedemnastolatka udającego się do rosyjskiej Szkoły Kadetów mały krzyżyk i błogosławiąc go nim, powiedziała:

NIECH TEN ZNAK ŚWIĘTY BĘDZIE DROGOWSKAZEM TWOJEJ ŻYCIOWEJ DROGI, SYNKU.

I tak się stało. Do ostatniego tchnienia miał tę świętość na sobie. Ten drogowskaz do bram Wieczności. Znak, który zawsze go inspirował. Także wtedy, gdy ustanawiał najwyższe odznaczenie dla żołnierzy Pierwszego Polskiego Korpusu - Krzyż Dowbora, przyznawany wyłącznie dowborczykom - Polakom.

Nie spotkałem drugiego takiego człowieka, wielkiego duchem, a jednocześnie skromnego. Zawsze powtarzał, że wszystko zawdzięcza swojej surowej matce, która ukształtowała go duchowo i moralnie. Wielokrotnie powtarzał, że matka, to wielka i święta osoba. Trzeba ją kochać i szanować, podobnie jak KRZYŻ. Tę ŚWIĘTOŚĆ, z którą ściśle związane są dzieje Polski.

Wysoko cenił rolę matek, które wychowują przyszłych żołnierzy i ich opłakują - gdy zginą. To matka Polka okazała się silniejsza od zakusów rusyfikatorskich i germanizacyjnych, bo siłę swą czerpała z wiary w odrodzenie Ojczyzny i z nauki Kościoła katolickiego. Stąd już jako wódz Armii Wielkopolskiej sam zaprojektował kolejne odznaczenie - Krzyż Matkom Poległych w boju synów, a Komisariat Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu zatwierdził jego

projekt. Takich medali, wytłoczonych ze srebra ofiarowanego przez Wielkopolan, wręczono tysiąc pięćset. (Jest to krzyż zbliżony do orderu Virtuti Militari. Jego ramiona zakończone są kulkami, na awersie ramion widnieją obwódki z czarnej emalii, w tle - złoty wieniec z kłosów, pośrodku krążek z czerwonej emalii, na nim srebrny orzeł w koronie. Poziome ramiona krzyża noszą napis WIELKO - POLSKA, na poziomych - MATKOM POLEGŁYCH.)

Również my - dowborczycy - mieliśmy ustanowioną przez niego odznakę - Krzyż Dowbora z wpisanym wewnątrz godłem państwowym i dwoma szablami u podstawy. Pamiętam, jak do nas przemawiał, kiedyśmy ją otrzymywali po złożeniu przysięgi żołnierskiej.

ŻOŁNIERZE! TA ODZNAKA TO NASZ WSPÓLNY ZNAK. NAWIĄZUJE DO DZIEJÓW POLSKI TAK SILNIE ZWIĄZANYCH Z CHRZEŚCIJAŃSTWEM. TAKI ZNAK POWINIEN BYĆ ZNAKIEM WSZYSTKICH POLAKÓW. TO NIE JEST TYLKO ZNAK WOJSKOWY. TO SYMBOL WIARY W WYŻSZE, CHRZEŚCIJAŃSKIE IDEAŁY. SYMBOL ZESPOLENIA W DUSZY NARODU JEGO NAJWYŻSZYCH WARTOŚCI LUDZKICH I BOŻYCH. ŁĄCZY ON DOWÓDCĘ I ŻOŁNIERZY. NAKAZUJE WCIAŻ WALCZYĆ I ZWYCIĘŻAĆ.

Na koniec muszę jeszcze wspomnieć o działalności generała w czasie pokoju. W odrodzonej Ojczyźnie. Bywał na każdym zjeździe Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”, wsłuchiwał się w treść sprawozdań, sam wygłaszał referaty, udzielał rad i pomocy, brał udział w dyskusjach. Każdy zjazd, jako kapelan Stowarzyszenia, osobiście rozpoczynałem Modlitwą Żołnierza Pierwszego Polskiego Korpusu, a on zaszczycił mnie, ofiarowując swoją książkę *Moje wspomnienia* z dedykacją:

Memu byłemu żołnierzowi, obecnie żołnierzowi Chrystusa, na pamiątkę ciężkich przeżyć wojennych, w dowód uznania za walkę o duszę Narodu Polskiego.

Drodzy moi, bracia i siostry w Chrystusie Panu. Możemy być dumni, że było nam dane znać tak wielkiego, a zarazem skromnego człowieka. Polecając jego piękną duszę Panu Bogu, dziękujemy za niego i prosimy o godnych następców. I módlmy się za pogrążone w żałobie jego dzieci. Krew z jego krwi i ciało z jego ciała. Janinę, Agnieszkę, Olgierda i Gedymina. Niech Bóg Wszechmogący, który opiekuje się sierotami, czuwa nad nimi i obdarzy łaską sprostania cierpieniu.

W zapadłej ciszy rozpoczyna nieoczekiwanie modlitwę, którą rzesza skwapliwie podchwytuje.

- Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi.

- I poczęła z Ducha Świętego. (...)

Na koniec ks. bp Walenty Dymek odprawia ostatnie egzekwie. Trumna zostaje zamknięta i generał dołącza do swojej żony. Ustawione w długi korowód delegacje zaczynają składać wieńce i kwiaty, co Janinę napełnia poczuciem winy.

„Wybacz, tatku. Wiem, że tego nie chciałeś, ale... Sam widzisz. Nic nie mogłem zrobić. Nie jesteś tylko własnością rodziny, należysz do Narodu. Na pewno to rozumiesz...”

Mogła tymczasem powoli przeobrazić się w kopiec z kwiatów. Niezliczone wieńce pokrywają niby wielobarwny dywan także okoliczne groby, a kiedy obok krzyża załopocze narodowy sztandar, ponad głowami obecnych rozlega się nagle głośny huk samolotu. Przelatuje, kilkakrotnie zawracając, tak nisko, że wszyscy kulą się odruchowo, wydając przeciągły jęk, bo oto z nieba szybuje wiązanka biało-czerwonych róż.

- Ciekawe, który z klubowych kolegów pilotów wymyślił tę niespodziankę i który szalenie ją zrealizował!? - w brązowych oczach Janiny pojawia się lekki błysk.

I już grzmi salwa armatnia. Tak poznańscy artylerzyści żegnają Naczelnego Dowódcę Powstania Wielkopolskiego i twórcę Armii Wielkopolskiej. To końcowy akord uroczystości, jakiej Lusowo dotychczas nie widziało, więc Janina, jako najstarsza z rodzeństwa, nie bez trudności zdobywa się na kilka serdecznych słów podziękowań, po czym zaprasza dostojnych gości na pożegnalną konsolację do pałacu.

Na łzy pozwala sobie dopiero wtedy, gdy w pałacu pogasną wszystkie światła, a jej bolesny jęk utonie w szumie listopadowej już ulewy. Szybko jednak bierze się w garść. Niby deski ratunku czepia się wspomnień o ojcu.

Oto idą wolniutko parkową aleją w stronę jeziora, co polśniewa słonecznie tam, w dole. Tedi i Digan wyprzedzają ich w podskokach, poszczekując radośnie i baraszkując z rozbawioną trzpiotką Gusią. Ona sama woli kroczyć u boku ojca, gotowa słuchać bez końca jego opowieści; szczególnie tych o czasach, kiedy był chłopcem. Chłonie każde słowo.

- Rozbisurmaniłem was, moje dzieci. To dlatego, że wcześniej straciliście matkę. Zwłaszcza Gusia. Rok tylko miała, nawet jej nie pamięta. A ty, moja droga? Co ty o niej wiesz?

- Wszystko, tatku. Często mnie przytulała i lubiła, kiedy śpiewałam. Dlatego chciałabym zostać śpiewaczką.

- A cóż to za kariera - śpiewaczka! Mama też by tego nie chciała, wierz mi. A matkę trzeba szanować. Matka to świętość, zapamiętaj sobie. Jeśli się stałem tym, kim jestem, zawdzięczam to twojej babci. Uwielbiałem ją. Nie rozpieszczała mnie, to prawda, ale nigdy nie karciała cieleśnie. Dziadek tak... Nieraz i różga bywała w robocie, ale babcia?!

Dla mnie najwyższą karą były łzy w jej oczach, kiedy raz przyniosłem świadectwo z

obniżonym stopniem ze sprawowania.

- Tatu! Ze sprawowania? Ty? Za co?

- Biłem się. Biłem się z ruskimi kolegami, kiedy się wyśmiewali z tego, że jestem Polakiem. Z kształtu katolickiego krzyża, z religii.

- A nauczyciele? Trzeba było...

- Rosyjscy nauczyciele też polskie dzieci prześladowali. Poza tym... Czy to honorowo skarżyć się na kolegów? W naszym rodzie nie było donosicieli, tylko prawi Polacy. Moja matka, córka napoleońskiego żołnierza, kochała mnie bardzo, a wymagała jednego. Abym pamiętał o tym, że jesteśmy Polakami i żebym pielęgnował tradycje polskie i rodowe. Ona wierzyła w odrodzenie Ojczyzny i do tego momentu nas przygotowywała. I chociaż wiedziała, ile wycierpiałem w rosyjskim gimnazjum, wysłała mnie do szkoły wojskowej w Petersburgu.

- Poznaj wojskowe rzemiosło, synu, by - kiedy nadejdzie czas - przydać się Polsce.

- Taka była wasza babcia!

Tam już zrobiło się bardzo ciężko. Rosyjska szkoła wojskowa to miejsce dla Polaka wręcz wrogie. Ale wytrzymałem. Głównie dzięki surowemu wychowaniu domowemu, ale i z pomocą nauczycielki francuskiego, panny Zakrzewskiej. Ona udaremniała zabiegi rasyfikatorskie wychowawców usiłujących zohydzać nam wszystko, co polskie, ukazujących rzekomo doskonałe wzorce rosyjskie.

Mówię ci to, córeczko, abys o tym pamiętała. Polska kobieta - matka, żona, siostra, nauczycielka - to ostoja polskości. Nigdy o tym nie zapominaj.

To one przędą, snują w sercach dzieci tę „złotą nić” łączącą kolejne pokolenia. Nić zamocowaną w polskiej duszy. Wzmocnioną krwią naszych przodków przelaną w imię jedynych wartości: BÓG - HONOR - OJCZYŻNA. Hasło, które nas wyróżnia. Nie pozwala Polakowi zapomnieć, skąd się wziął i co to oznacza.

My, Dowborowie-Muśniccy, pochodzimy ze starodawnego rodu, którego członkowie zawsze hołdowali tym trzem największym dla każdego Polaka ideom. Tylko tyle i aż tyle. Te trzy ideały są w nas wszczepione od pokoleń i poprzez pokolenia snują się od serca do serca, niby nić złota, która się nigdy nie zerwie. Przynajmniej nie powinna. Bo Polska, córeczko, to dla Polaka wartość najwyższa. Zawsze byłem jej wierny i tak sobie myślę, że los mnie za to sowiecie wynagrodził. Złożę moje kości w ojczyściej ziemi. Kiedyś to zrozumiesz. Dla człowieka, który błąkał się po świecie od Jakucka do Trebizondy i od portu Artura do Zbąszynia, i który nieraz zaglądał śmierci w oczy, i wątpić zaczął, czy wolną Polskę kiedyś zobaczy, jest to wielka nagroda. I to jeszcze, że moje dzieci żyją w niepodległej Ojczyźnie.

To się liczy.

Zaciekawiona Gusia, która idzie teraz z nimi, uczepiona ojcowskiej dłoni, słucha z szeroko otwartymi oczami, poważna, jak rzadko kiedy. On tymczasem kończy.

- Bo jeśli kogokolwiek spotka to nieszczęście, że do zerwania tej nici złotej dopuści, zginie. Stanie się martwy i pusty. I to jeszcze pamiętajcie, moje córeczki, że dla trwałości tej serdecznej nici złotej warto wiele poświęcić. Najwięcej. Ona pobudza polskiego ducha. To jakby złota nić umiłowania wolności, wiary i honoru. Tych wartości strzeżcie.

Janina ulega złudzeniu, że ojciec jest obok - wyraźnie odczuwalny, choć niewidoczny. Poddaje się temu wrażeniu tak dalece, że bezwiednie odpowiada:

- Tak, ojczy, wiem. Zastanawiam się tylko, kiedy to „najwięcej” nam się przytrafia? Ty to wiedziałaś. Dlatego przekazałaś nam tę nić w stanie nienaruszonym. Czy i mnie się to uda? Nie mam przecież dzieci. Ba, nawet męża nie mam ani kandydata na niego. Zakochana w pokonywaniu przestworzy nie zauważyłam, że coś mnie ominęło. Miłość. Prawdziwa miłość. Tylko gdzie ją znaleźć?... Co zrobiłam nie tak?

Z zamyślenia wyrывa ją młodsza siostra, zapłakana i bezradna.

- Co teraz zrobimy, Janeczko? Musimy przecież do Poznania wracać, i kto się pałacem zajmie? Wojnowski go do reszty zrujnuje.

- Musimy się z Olem naradzić Gusieńko. Myślę jednak, że nadzór nad pałacem i parkiem, a także rozliczenia z dzierżawcą możemy powierzyć sekretarzowi tatki. Nikogo innego nie widzę.

- Ani ja. To chodźmy do Olusia.

Olgierd zgadza się z siostrami, toteż wszyscy troje rozjeżdżają się, spokojni o los rodzinnego gniazda pozostawionego w rękach nowo mianowanego administratora, Henryka Buczyńskiego.

NOWE GNIAZDO

Stangret Kłosinek, wciąż jeszcze w mundurze wojsk wielkopolskich, zaledwie państwo z dziećmi wysiądą na pałacowym podjeździe, kieruje bryczkę ku części gospodarczej. Czuje się szczęśliwy. Mimo że wojna skończona, generał zatrzymał go przy sobie, zapewniając tym samym pracę i utrzymanie dla żony i córeczek. Ważniejsze jednak, że został przy uwielbianym dowódcy.

On również tryska dziś humorem. Cieszy go radość najbliższych, zachwyconych niespodzianką, którą dla nich w tajemnicy przygotował. Rzeczywiście robi wrażenie. Nic dziwnego, że stoją oniemiały na widok wspaniałego, dziewiętnastowiecznego, neogotyckiego pałacu, wybudowanego przez baronową Paulinę von Richthofen z Objezierskich, o czym dowiedział się, kupując posiadłość od Urzędu Ziemskiego.

- Ziuteczku, to naprawdę nasze?

Pani Agnieszka, dotykając bezwiednie swojego bardzo już wydatnego łona, patrzy na męża z niedowierzaniem.

- Naprawdę. Kolejny członek rodu zawita do nas w stałej nareszcie siedzibie, w nowym gnieździe Dowborów-Muśnickich. W Polsce! Nie jak poprzednia trójka - w obcej ziemi rosyjskiej. Koniec z poniewierką po ciasnych, wynajętych mieszkankach lub goszczeniem u życzliwych ludzi. Koniec z tymczasowością i niepewnością jutra. Czuję, kochanie, że będziemy tutaj szczęśliwi. To nasze miejsce na ziemi. W centrum Polski, pięknie położone, nad jeziorem. Po prostu letnisko! Podobno latem poznaniacy przyjeżdżają tu na wywczasy. Zwróciłaś uwagę, że mamy tu wieżę? To prawie zamek, nie zwykły pałacyk. Godzinami można z niej kontemplować krajobraz, przekonasz się.

- A szkoła? Dzieci rosną, więc...

- Jest. Czteroklasowa. Ale dla naszej gromadki guwernantkę zatrudnię, nie martw się.

- A co z dalszym kształceniem?

- Czyżbyś wolała na poznańskim bruku mieszkać niż w tym sielskim zakątku? Przyjdzie czas, znajdzie się rada. Cieszymy się tym, co mamy. Własna ziemia, dach nad głową, woda, las i kościół pół kilometra stąd. Czego ciec więcej? To wszystko dla ciebie, moja droga. Dla was. Rekompensata niewygody, tak dzielnie, bez słowa skargi znoszone z mojego powodu.

- To dla Polski, tatku!

Janeczka z miłością przytula ciemną główkę do ojcowskiego boku. Choć dość wyrosnięta jak na swoje jedenaście lat, sięga mu zaledwie do pachy, taki jest wysoki.

Przygarnia córeczkę ramieniem, najwyraźniej zadowolony, że jego nauki nie poszły w las. Wzbudza tym zazdrość starszego brata, Gedymina - Gimby (sam tak się nazwał, kiedy nie umiał jeszcze dobrze mówić), wysokiego, dobrze zbudowanego trzynastolatka. Aby nie zostać w tyle za siostrą, dodaje:

- To tak, jak byśmy i my walczyli o wypędzenie Niemców z Wielkopolski, tatku, prawda?

Rodzice uśmiechają się do siebie ponad głowami dzieci i tylko pięcioletni pędrak Olgierd - Oluś nic z tego nie rozumie. Ale i jemu udziela się rodzinny nastrój. Puszczą się biegiem dookoła klombu, wydając triumfalne okrzyki. Gimba z Janeczką, radzi by już zobaczyć wnętrze pałacu, na próżno zaglądają do przesłoniętych firankami okien. Nie śmia jednak ponaglać malców. Dwa małe białe szczeniaki, nabyte przez generała „na nowe śmieci” wypuszczone przez Kłosinka na dwór, gonią za Olusiem, łapiąc go za nogi popiskując, a on - rozbawiony - co chwila nawołuje.

- Tedi, Digan! Łap!

Schyła się po jakiś patyk tak niefortunnie, że - upadłszy - ściera sobie skórę na obu kolankach. Jego rozpaczliwy płacz przywołuje tatusia. Tuli synka w ramionach, ocierając zapłakane oczka, jednocześnie surowo upominając.

- Mężczyzna nie płacze.

- Zwłaszcza kiedy jest synem generała! - wypala Gimba, wpatrzony w ojca z uwielbieniem.

Mały „mężczyzna” dzielnie pociera oczy piąstkami, a kiedy stangret obiecuje mu, że po obiedzie pójdą do boksu Panny Europejskiej - ulubionej klaczy tatki - zupełnie zapomina o bólu. Wysuwa się z ojcowskich rąk, gotów natychmiast maszerować do stajni, lecz Franciszek już odszedł. Ma teraz inne zajęcie.

Otworzywszy ciężkie drzwi frontowe, uroczystym ukłonem zaprasza nowych właścicieli do wejścia. W progu wita ich służba domowa. Pokojówka Marysia - młode dziewczę w białym fartuszkach, zażywna kucharka - żona stangreta Kłosinka, i ich córka, Frania. Kiedy nie jest w szkole, pomaga mamie w kuchni.

- To nasi pracownicy, kochanie. Na początek - informuje żonę generała. - Pozwól! I wybac, że cię przez próg nie przeniosę. W twoim stanie nie ryzykowałbym.

Ująwszy ją pod ramię, troskliwie wprowadza do środka.

- Dzieci przodem! - zarządza pani Agnieszka.

Wchodzą nieśmiało, potykając się o płaczące się między nogami psiaki i stają oniemiale na widok wspaniałości ogromnego hallu.

Lśniące klepki podłogi, rzeźbione plafony na suficie, imponujący, kryształowy żyrandol, obrazy i lustra na ścianach, stylowe kanapki - wszystko to onieśmiela nawykłych do mniej niż skromnych warunków.

- Tatu, dużo tu jeszcze takich ślicznych pokoi? - pyta Janeczka.

- Poza tą piękną sienią, piętnaście - odpowiada generał, zerkając przy tym na żonę, aby sprawdzić wrażenie.

- Aż tyle?! Na co nam?

Pani Agnieszka czuje się bardzo zmęczona i trochę oszołomiona tym przepychem, więc pośpiesza do salonu, aby nareszcie usiąść w wygodnym fotelu. Dziecko w jej łonie przypomniało o swoim istnieniu energicznym kopnięciem, napełniając serce słodyczą, ale i troską.

„Jak ja to wszystko ogarnę?! Taki dom, służba, czworo dzieci, Ziuteczek wciąż w rozjazdach i nikogo bliskiego do pomocy.”

- Zadowolona? - generał pochyla się ku niej z miną chłopca pewnego pochwały.

- Ogromnie! A wiesz, coś mi przyszło do głowy. Może by moją mamę sprowadzić? Co ty na to, Ziotku? Od kiedy owdowiała, nie radzi sobie z samotnością, a i nam... Mnie by się... - znacząco dotyka dłonią brzucha.

Wzmianka o ukochanej babuni wywołuje taki aplauz dzieci, że ojciec, zanim odpowie żonie, karci je ostro za wtrącanie się do rozmowy dorosłych.

- Co ja na to? Popieram. Musisz, skarbie, wiedzieć, że - jak przystało na niebawem już emeryta i hreczkosieja - zamierzam prowadzić dom otwarty. Jeszcze tylko zakończę sprawy wojskowe, bo obowiązków jak na razie huk, i przyrzekam, że nigdzie się stąd nie ruszę. A co do babci Korsońskiej - sam ci to chciałem zaproponować, zwłaszcza że - jak na razie - będę w domu gościem. Jeszcze nie pora na emeryturę. Co rozpocząłem, dokończę.

- Rozumiem i dziękuję. Ale ty - żołnierz frontowy - hreczkosiejem? Zupełnie cię w tej roli nie widzę.

- My, Dowborowie, mamy to we krwi. Miłość do ziemi. Sporo jej im podarowała Boża Opatrzność. Udało mi się nabyć od Ziemskiego Urzędu Osadniczego ponad sto hektarów upraw ornych z resztówki poniemieckiej. Do tego łąki i las. Razem sto pięćdziesiąt. Do tego jedna trzecia Jeziora Lisowskiego tuż za domem, więc i swoje ryby na stole zapewnione. No i ten pałac z parkiem. Wiedz, że zamierzam być samowystarczalnym gospodarzem. Wszystko sam wyhoduję. Zobaczysz. Wynagrodzę ci, najdroższa, ta chude lata u boku męża - żołnierza.

- Boże, to chyba krocie kosztowało?

- To mienie, w pewnym sensie, zdobywcze, choć tak naprawdę - odzyskane, więc niecały milion marek. Nie tak znowu wiele, w sytuacji kiedy pensje otrzymuje się w nieporozcinanych arkuszach, tak niska wartość marki. Tyle z generalskiego żołądka składałem.

- To chyba potrzebna będzie jakaś liczniejsza służba? Sami tego nie ujmujemy.

- Naturalnie. I służba domowa, i pracownicy, i administrator. Niebawem przybędą; już wynająłem. Nie zostawię cię tutaj samej, zwłaszcza że muszę jeszcze dzielić obowiązki pomiędzy domem a działalnością pro publico bono. Zamierzam również sekretarza zatrudnić, no i guwernantkę do dzieci. Myślę, że zdążę przed twoim rozwiązaniem, kochanie. Ktoś musi się naszą gromadką opiekować podczas moich okresowych nieobecności.

- Boże, czy ten bałagan kiedyś się skończy? - wzdycha pani Agnieszka.

- Niebawem. Jedno mogę ci obiecać. Jeszcze trochę i pożegnam się z armią na dobre. Dwa, trzy miesiące i przekażę ją naczelnemu dowództwu. Będzie stanowiła integralną całość z Wojskiem Polskim.

- A do rezerwy nie czas? Dość się nasłużyłeś.

- Dojdzie i do tego. Jeszcze ci się znudzi mąż emeryt. Daj mi jeszcze... no, może rok, dwa?...

- Tatku, a możemy na wieżę? - nie wytrzymują dzieci.

- Możecie, ale trochę później. Jak obejrzymy nasze gniazdko. Nie jesteście ciekawi swoich pokoi?

Oszołomieni wielkością sali jadalnej, a zwłaszcza długim stołem nakrytym śnieżnobiałym adamaszkowym obrusem, otoczonym niezliczoną ilością wygodnych krzeseł z wysokimi oparciami wkoło, nieśmiało przystają w drzwiach.

- Nie za duży ten stół, Ziuteczku?

Generalowa czuje zawrót głowy i lekkie mdłości, co usiłuje przed mężem ukryć, aby nie posądził jej o niewdzięczność za tyle starań.

- Może się nawet okazać zbyt mały! Będziemy za nim zasiadać razem z pałacową służbą. Wszyscy domownicy. Jeden dach nad głowami, jeden stół! Tak było w moim domu rodzinnym.

Duże wrażenie robią kolejne zwiedzane pomieszczenia. Gabinet pana domu z wielkim rzeźbionym biurkiem i oszkloną szafą biblioteczną, przytulna małżeńska sypialnia, pokoje dzieciinne, gościnne, dla przyszłej nauczycielki, a nawet pomieszczenia dla służby. Wszystkie starannie i wygodnie urządzone, bo generał lubi ład i porządek.

- A ten może być dla starszej pani - prezentuje miły jasny salonik obok pokoju chłopców. - Będzie miała oko na wnuków. Zanim wydorosną, niech mieszkają razem -

tłumaczy żonie. - Chodzi o więzi braterskie, rozumiesz.

Ją tymczasem najbardziej cieszy duża łazienka wyłożona pięknymi kafelkami, z białą wanną i błyszczącymi kranami. Strefę kuchenną mąż pomija. To domena kucharki, żony stangreta. Właśnie przysyła Franię.

- Mama pyta, proszę jaśnie pana, czy podawać obiad? - onieśmielona, mnie dłonią róg białego fartuszka.

- Przede wszystkim nie jaśnie panie, dziecko. Wystarczy „proszę pana” albo „panie generale”. - A czy podawać, niech zadecyduje pani.

Wyczerpana oględzinami (lada dzień spodziewa się rozwiązania) pani Agnieszka marzy tylko o odświeżeniu się i odpoczynku, przeważa jednak wzgląd na dzieci. Na pewno zgłodniały.

- Proszę podawać - dysponuje z miłym uśmiechem.

Zanim do tego dojdzie, pojawiają się dwaj mężczyźni, których pan domu kolejno przedstawia żonie.

- Pozwolisz, moja droga, ten pan w mundurze leśnika to Jan Ludwik Mikołajczak. Moja, mam nadzieję, prawa ręka w prowadzeniu gospodarstwa. A ten o żołnierskich ruchach to kapitan Adam Miłosz, oczywiście dowborczyk i powstaniec. Będzie zarządzał pracami w ogrodzie.

Do jadalni wchodzi stangret Kłosinek z małą dziewczynką prowadzoną za rączkę.

- To Franciszek ma jeszcze jedną córeczkę? - dziwi się pani generałowa.

- Tak jest, proszę szanownej pani. Moja młodsza, Władzia, rok starsza od panicza Oła, a Frania - rok więcej od panienki Janeczki. (Władysława Włodkowska z d. Kłosinek będzie w przyszłości prowadziła dom Janiny w Poznaniu i opiekowała się schorowaną babcią Korsońską. Przeżyje swoją chlebobawczynię i przyjaciółkę, by po latach o niej wspominać.

Franciszka Łukanowska z d. Kłosinek rozpoczęła pracę w pałacu od pasania gęsi i pomagania w kuchni, a po ukończeniu szkoły powszechnej w Lusowie awansowała na pomoc kuchenną. W przyszłości, jako samodzielna gospodyni, będzie prowadziła generałowi dom. Wcześniej zamieszka z uczącymi się w Poznaniu dziećmi i babcią Korsońską w wynajętym mieszkanku przy ulicy Mylnej, zlikwidowanym ze względów oszczędnościowych na rzecz prywatnych stacji. Wtedy wróci do Batorowa na stałe, wierna do końca.)

- Jaki panicz!? Jaka panienka? Po prostu Oluś i Janeczka. Będą się razem bawić. Będziemy przecież mieszkać pod jednym dachem. Moja rodzina i zaufani pracownicy - domownicy!

Generał szanuje człowieka, nie status społeczny, czemu wciąż daje wyraz.

Kiedy wszyscy, łącznie z dziećmi, zasiądą przy nakrytym już stole jest taki wielki, że pozostało dużo wolnych miejsc), pan domu - policzywszy wzrokiem nakrycia - przywołuje pokojówkę.

- Marysiu, proszę dołożyć jeszcze pięć nakryć. Dla ciebie, gosposi, Franciszka i jego córeczek.

- Jakże to tak? - dziewczę nie może uwierzyć w taki honor.

- Właśnie tak. W tym domu do stołu zasiadamy wszyscy razem. Pracownicy również. Wyjątek robimy tylko dla gości. Będę z nimi jadał w gabinecie. Pozostali - bez zmian. Proszę to zapamiętać.

Po obiedzie pan domu zamyka się ze swoimi pracownikami w gabinecie. Pani, zmęczona podróżą, wrażeniami i swoim stanem, udaje się do sypialni, a dzieci - na rekonesans w terenie.

Wracają, ogromnie przejęte, jedno przez drugie opowiadają mamie, co widziały.

- Mamusiu, jesteśmy strasznie bogaci!

- Park taki wielki, że mało nie zabłądziliśmy w tych wszystkich alejkach i zakamarkach.

- A budynków tu ile oprócz pałacu!

- Mamusiu, poznaliśmy tatusiowego sekretarza! Przyjechał na koniu, ale od razu do gabinetu poszedł. I mamy go słuchać, kiedy tatuś wyjedzie służyć Ojczyźnie - oznajmia poważnie Janeczka.

- A my as nad jeziorem byliśmy. Stłasn timer wielkie - paple mały Oluś.

- Masz ci los! Nad jezioro nie wolno chodzić bez opieki. Na pewno głębokie! - zaniepokojona aż się unosi na szezlongu.

- Mamusiu, my nie podchodziliśmy blisko. A potem poszliśmy wszystko zwiedzać - uspokaja ją wesoły Gimba, najbardziej ze wszystkich dzieci podobny do ojca. Wysoki, krępy, czarnowłosy, z tłęcymi się w oczach iskierkami.

- Właśnie! Byliśmy w oboze, widzieliśmy klówki! - chwali się najmłodszy i jednym tchem dorzuca: - A w chlewni świnki i...

Gimba niecierpliwie przerywa „smarkaczowi”.

- Co tam świnki! W stajni już tatki Panna Europejska stoi i nasze kucyki. Franciszek pozwolił nam je poszczotkować! A potem nas oprowadzał.

- Tak. I pokazał nam stodołę, ale pustą. I kuźnię. Mówił, że tam kowal będzie placował. I budynek dla ziemiełników, któłych tatko zatłudni - nie daje się zdystansować malec.

- A dalej, za parkiem są dwa domy dla innych pracowników z rodzinami, bo Franciszek mówi, że taki majątek to bez kupy robotników się nie obejdzie.

Janeczka nie chce pozostać w tyle za rodzeństwem.

- A ten najbliższy pałacu, jednopiętrowy dom, to dla pana rządcy i sekretarza - informuje z nutką wyższości w głosie.

- Dosyć, dzieci, bo mi głowa puchnie od waszego przekrzykiwania się.

Naprawdę łapie się za głowę, czym wypląsa hałaśliwą gromadkę.

- Teraz na wieżę! - zarządza Gimba.

Oglądając krajobraz z wysokości kilku pięter, pokrzykują z zachwytem. Wszystko zdaje się żeglować pośród bujnej parkowej zieleni, po błękitnej, lśniącej w letnim słońcu tafli jeziora, która się z nią łączy. Rozciąga się daleko - gdzie spoza drzew wystrzela w niebo wysoka kościelna wieża - ku grantom zakupionym przez podkomendnych generała, sięgając aż do rozległych łąk naprzeciwko, gdzie pasą się krowy pilnowane przez wiejskich pastuszków. Widać też pojedyncze małe domki w bliższej i dalszej odległości. Przy nich zagrody i niewielkie poletka. Spędzą tu czas do kolacji, a potem, pełne wrażeń, zasypiają tak szybko i twardo, że nie słyszą pierwszego krzyku ich nowo narodzonej siostrzyczki. Kiedy ją nazajutrz zobaczą, niewiarygodnie maleńką, całą w potach, tonącą w koronkach poduszek, tatuś oznajmia z całą powagą.

- W nocy ponad pałacem przelatowały bociany, a na pamiątkę zostawiły nam tę śliczną dziewczyneczkę. Nazywa się tak, jak mamusia. Agnieszka Agusia. Gusia.

- A dlaczego mamusia nie wstaje? Chola? - chce wiedzieć najmłodszy.

- Trochę chora, bo to mamusia złapała dziecko, jak je bocian z dzioba upuścił i teraz musi odpocząć.

- Gdzie je wypuścił? Na dach? To jak mamusia tam wesła? - dziwi się

- Akurat na wieży byliśmy, żeby naszą posiadłość z góry zobaczyć, z tu nagle klucz bocianów na niebie. Jeden, co trzymał w wielkim dziobie zawiniątko, aż pod okno przyfrunął. Prędziutko je otworzyłem, a on włożył maleństwo mamusi do rąk i poleeeciął.

- I to była nasa Gusia?

- Właśnie.

Malec wierzy ojcu święcie. Również Janeczka nie podaje jego słów i wątpliwość. Tylko Gimba kpiąco się pod nosem uśmiecha. Nie wie wprawdzie, skąd się biorą dzieci, ale jednego jest pewien. Nie roznoszą ich bociany. Tyle zdołał wywnioskować z zasłyszanych rozmów ich poznańskiej gosposi z inną służącą.

Nowa siostrzyczka taka jest nieruchoma i prawie niewidoczna w koronkach i haftach,

że strach jej dotknąć. Tym bardziej, że wciąż płacze i płacze...

„Po co nam ten krzykacz!” - myśli Gimba, lecz nie śmie tego powiedzieć głośno. Czuje, że to by się rodzicom nie podobało.

OSIEROCENI

Za każdym razem, kiedy pani Agnieszka bierze w ramiona swoje najmłodsze dziecko, ogarnia ją niezrozumiały jakiś smutek, a nawet lęk. Dzieje się tak od momentu narodzin Gusi. Jakby ktoś szeptał jej do ucha:

- Nie wychowasz tego maleństwa. Nie zdążysz.

Daremnie usiłuje nad tym zapanować. Na próżno stara się przewycięzać dziwną słabość ciała i daremnie próbuje karmić niemowlę piersią, które zamiast nabrzmiwać od pokarmu, pozostały małe i puste. Nie ma rady, musi o tym powiedzieć mężowi. To samo radzi jej babcia Korsońska.

- Akurat Ziuteczek przyjechał z Poznania, dobra okazja do rozmowy, córeńko. Już nie mogę słuchać płaczu tego wiecznie głodnego dzieciątka.

- Jeszcze i tym zmartwieniem mam go obarczyć, mamusiu? On jeszcze Polsce potrzebny.

- Zgoda. Ale i dziecko swoje prawa ma.

- Kiedy ja nawet okazji do rozmowy nie mam. Tak rzadko bywa w domu, a jak już jest, to gospodarstwem zajęty. I wciąż ktoś coś od niego chce, a on nikogo nie lekceważy.

- Tym bardziej nie lekceważy własnej żony.

- Ziuteczku, trzeba by dla Gusi mamkę znaleźć - zaczyna nieśmiało.

Ledwie to powie, żałuje, lecz stało się. Trzeba brnąć dalej, z zachowaniem ostrożności, aby go nie zmartwić.

- Co się dzieje, skarbie? Nie masz pokarmu? Nigdy nie miałaś tego problemu.

- Ale teraz coś się zmieniło. Coś we mnie. Wciąż nie mogę odzyskać sił, chociaż warunki mam luksusowe i nareszcie nie muszę się martwić o twoje życie. Drżęć, że mi ciebie zabiją albo zranią. Wojna skończona, jesteś bezpieczny, a dzieci zdrowe. Mimo to czuję, jakby życie ze mnie uchodziło.

- Nie bój się, kochanie, zatrzymamy je. Pan Bóg nie zabierze mat-c czworogu dzieciom. Zaraz ślę kapitana Miłosza do Tarnowa Podgórnego po lekarza, bo to bliżej. A jak ten nie pomoże, zwołamy konsylium: Poznania.

Usiłuje rozjaśnić swoją surową twarz uśmiechem, lecz serce zamiera w nim z nagłego lęku. Teraz dopiero, przyjrząwszy się żonie uważnie, dostrzega jej nienaturalną bladość i brązowe cienie pod oczami. Również dłoń, nad którą pochyla się, by ją ucałować, jest wychudzona i papierowo biała.

Czuje, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, zdradzi się. Opanowawszy się, delikatnie

ujmuje jej wiotką, bezwładną rączkę.

- Kochanie, obowiązki wzywają. Niebawem wrócę.

Po schodach stąpa możliwie najciszej, lecz dotarłszy do gabinetu, wali się z łomotem na fotel. Niecierpliwie odpędza łaszących się psich ulubieńców, co mu się nie zdarza, i trwa nieruchomo, ściskając oburącz głowę. Szybko jednak bierze się w garść. Przywoławszy przez pokojówkę Marysię dawnego towarzysza broni, wyprawia go po lekarza.

- Adam, goń, co koń wyskoczy. Spraw mi się, jakby o życie chodziło! Bo chodzi - dodaje ciszej.

Sam spiesza do żony, której będzie towarzyszył aż do przyjazdu medyka. Diagnoza jest niewesoła. Powikłania poporodowe, duża utrata krwi dalsze krwawienie, podwyższona temperatura ciała, ogólne wyczerpanie organizmu.

- Proszę się jednak nie martwić, generale. Odpowiednia dieta, leki, które przepisałem i spokój. To postawi małżonkę na nogi.

Wszystko to słyszy stojąca w drzwiach gabinetu Janeczka. Właśnie kończyła lekcję francuskiego z guwernantką i chciała się pochwalić tatusiowi znajomością nowych słówek, teraz jednak - przerażona - nie śmie się ujawnić. Nad wiek poważna i opanowana, spieszy do pokoju mamusi, gdzie babcia Korsońska, która nie odstępowała córki na krok, usiłuje ją właśnie rozruszać radosną wiadomością.

- Spójrz, Agnieszko, nasza panna Gusia chodzi!

Na twarzy chorej ukazują się blade uśmiechy, co ośmiela przyczołganego za bujanym fotelem małego Olusia. Chwyta małą rączkę, zachęcając do tego samego starszą siostrę.

- Chodź, zaprowadzimy Gusię do mamuni! - mówi już wyraźnie, bez spieszczenia.

Ona jednak nie potrafi zapomnieć o tym, co przed chwilą usłyszała, więc - ukucnąwszy przy łóżku mamy - przytula ciemną główkę do jej poduszki.

Malutka Gusia, postawiona przez babunię Korsońską na podłodze, chwiejąc się na wszystkie strony na tłustych nóżkach i szczebiocząc radośnie, rusza ufnie ku rozpostartym ramionom tatusia.

- Moja córuchna!

Porywa dziecko w objęcia i przynosi żonie do łóżka.

- Spójrz, kochanie. Ona chodzi!

- Pierwsze kroczki - szepcze chora i odwraca głowę, aby ukryć łzy.

Wąska, wypielęgnowana, pergaminowa dłoń muska leciutko jasne, niemowlęce jeszcze włoski i opada bezsilnie. Generał zbyt jest obyty ze śmiercią, aby nie dostrzec, że i to doświadczenie nie zostanie mu oszczędzone.

- Chryste, dlaczego teraz?! Bolszewicy pod Warszawą, Wielkopolsce wciąż Niemcy zagrażają, jestem potrzebny Ojczyźnie, ale i tu muszę być! Jak zwykle w sierpniu roboty huk, bo zbiorów trzeba dopilnować, a jeszcze i to!

Ucałowawszy umierającą w czoło i powierzywszy dziecko siedzącej obok teściowej, którą ciekawski Oluś zanudza pytaniami, powoli wycofuje się z małżeńskiej sypialni. Spieszy po księdza.

- Nie czas na luksus rozpaczy. Trzeba odchodzącą na drugi brzeg życia zaopatrzyć na drogę.

Piaszczysty kopczyk na lusowskim parafialnym cmentarzu, co wyrósł ponad jasną trumną z ciałem generałowej Dowborowej-Muśnickiej, wywołuje paroksyzm płaczu wśród uczestników tej smutnej uroczystości. Szlochają nawet obcy, tak wzruszający jest widok cichej gromadki w czerni. Szczególnie boli widok dzieci, a zwłaszcza rocznego maleństwa w ramionach owdowiałego generała. I ta właśnie czarna sukieneczka maleństwa oraz czarna krepka na rękawie generalskiego munduru jest nie do zniesienia.

Nie płacze tylko wdowiec, co wszyscy podziwiają, lecz nikt nie zdaje sobie sprawy, za jaką cenę zachowuje kamienną twarz. Jego twarde żołnierskie serce krwawi i chyba by pękło z bólu, gdyby nie ta kruszynka wtulona w jego szeroką pierś.

A wkoło sierpniowe, gorące powiewy i zieleń drzew cmentarnych litościwie osłaniających swym cieniem obecnych. I świergot ptaszęcy w konarach - radosny, jakby nic się nie stało. Janeczki nic nie jest w stanie pocieszyć. Nawet współczujące spojrzenie przyjaciółki, Frani Kłosinek, trzymającej w ręku wielki bukiet kwiatów, czym wyróżnia się spośród szkolnych dzieci przybyłych na pogrzeb pani generałowej.

Bez powodzenia usiłuje naśladować uwielbianego ojca. Nieposłuszne łzy strumieniami spływają po jej nieruchomych policzkach i stoi tak - cała jakby bez życia - ze zdziwieniem wsłuchana w ptaszęce, beztroskie trele.

„Jak one mogą tak sobie śpiewać, nieczułe na nasz ból! Jak mogą! I Ty im na to, Boże, pozwalasz? Czy one nic nie czują? A Ty, Panie, co Ty teraz czujesz? Teraz, kiedy zabrałeś do siebie naszą mamusię?!”

Śpiew ptaków zagłusza wszystkie inne dźwięki. Olbrzymieje w jej głowie, tłumiąc żałobne śpiewy.

Dobry fezu, a nasz Panie, Daj jej wieczne spoczywanie.

Wypiera go inny, stłumiony odgłos. Głuche uderzenia piaszczystych grud o wieko trumny. Jej dwunastoletnie serce nie jest w stanie tego znieść. Odwróciwszy się gwałtownie, zaczyna uciekać. Biegnie na oślep, potykając się i przyspieszając, ścigana tym straszliwym,

tępy odgłosem. Pędzi coraz szybciej, bo tak tylko potrafi sobie pomóc.

Wysiłek fizyczny rozładowuje wewnętrzne napięcie, przynosi ulgę. Kiedy - wyczerpana - zaszyje się w najdalszym zakątku parku, w mało uczęszczanej, obrośniętej dzikim winem altance, zapada w jakiś niby trans, błogosławiony stan, który wycisza ból i wymazuje z głowy wszelką myśl. Trwa tak - nieruchoma i niema - dopóki nie odnajdzie jej babcia Korsońska. Ciepło jej ramion przywraca dziewczynkę do życia, a pełne miłości słowa przynoszą pocieszenie.

- Przytul się do mnie, maleńka, i posłuchaj, co ci powiem. Twoja mamusia bardzo się męczyła i dlatego Pan Bóg zabrał ją do Nieba, gdzie nie ma bólu ani chorób. Jest tam szczęśliwa. Wolałabyś, aby tutaj nadal cierpiała? - Nie, ale mogłaby wyzdrowieć. Gusia taka malutka...

- Musisz wiedzieć, skarbie, że Pan Bóg opiekuje się sierotami.

- Pólsierotami też?

- Naturalnie. Pólsierotami również.

- Ale tatuś nie umrze?

- Tatuś? To twardy żołnierz. Nie umrze. Tyle bitew za nim. Niewygody, rany, a nawet zatrucie gazem. Wszystko przezwyciężył. Tym bardziej teraz. Dobrze wie, że jest potrzebny swoim dzieciom.

Zajęte sobą nie dostrzegają zbliżającego się Gedymina. Niezwykle poważny przemawia jak dorosły. Jeszcze przez ten rok wyrósł.

- Nareszcie was znalazłem, moje panie. Goście głodni czekają w salonie, w jadalni stół do konsolacji nakryty, Olek beczy, Guśka nie chce zasnąć, niania już głos prawie straciła od tych kołysanek, bo już jej nie słyhać, a tatko się gniewa, bo nie możemy bez babuni siadać.

- Jak ty możesz! Myśleć o jedzeniu, kiedy mamusia umarła?! Idźcie sobie sami!

Janeczka, znowu wzburzona, wybucha płaczem, lecz babcia już jej nie tuli. Ująwszy ją za ramiona, ścisza mocno i surowo spogląda w oczy.

- Czy takie mazgajstwo przystoi córce generała? A co mamusia na to, że nie chcesz wziąć udziału w jej pożegnalnym przyjęciu?

- Mamusi nie ma. Nie ma!

- Nieprawda. Jest! Stoi tutaj obok nas i wszystko słyszy. Byłaś już u Pierwszej Komunii, więc cię o świętych obcowaniu uczono, prawda? Wobec tego bierz się w garść, moja panno, i pomyśl o obowiązkach stanu.

- Jakiego stanu? - mała pociąga jeszcze nosem, lecz już nie płacze.

- Stanu córki i siostry. Także wnuczki. Teraz tym bardziej musimy się wzajemnie wspierać. I tym mocniej kochać. Nie o sobie myśleć, tylko o innych, którzy tak samo cierpią. Rozumiesz?

- Tak, babuniu. To już chodźmy na tę... konsolację.

Gedymin wpada do pokoju babci bez pukania, tak bardzo jest przejęty. Pani Korsońska widzi to, więc mu nawet nie zwraca uwagi.

- Babciu, tatuś ma kłopoty! - wypala bez żadnego wstępu.

- Ja myślę! Przecież mamusia...

- Nowe kłopoty. Słyszałem, jak do pana rządcy mówił, że ma zapłacić jakiś podatek. Pięć tysięcy w złocie! Babciu, tatko był zły strasznie i powiedział, że ma tego dość. Czy to znaczy, że nie zapłaci? Wtedy nas z pałacu wyrzucą i co zrobimy?

- Nie bój się, zapłaci. Podatki trzeba płacić, a twój tatuś jest praworządnym obywatelem. Ale nie powtarzaj tego nikomu i więcej nie podsłuchuj. To szlachcicowi, a tym bardziej synowi bohatera narodowego, nie przystoi.

- Ale ja nie chciałem. Okno w gabinecie było otwarte, więc przypadkiem usłyszałem.

- To cię nie usprawiedliwia. Honorowy człowiek nigdy nie powtarza tego, co nie dla jego uszu przeznaczone. Wstyd mi za ciebie. Do tego stopnia, że sama o tym zapomnę. Gdyby tatuś chciał, sam by mi powiedział, ale to są męskie sprawy. A dla ciebie mam jedną radę. Jeśli chcesz oszczędzić tacie zmartwień, więcej nad sobą pracuj.

Ponieważ stoi przed nią zawstydzony, aby go pocieszyć, dodaje uśmiechem:

- Gimba! Gdyby doprawić ci zarost, mógłbyś ojca udawać!

Chłopiec nie potrafi ukryć zadowolenia, o czym świadczy jego dumna mina i wyprostowana z nagłą sylwetka. Ucałowawszy starszą panią rękę, odbiega jak na skrzydłach.

PAN NA BATOROWIE

Od chwili przejścia na emeryturę generał wszystkie siły i czas poświęca wychowaniu dzieci, w czym pomagają mu wynajęci nauczyciele, teściowa i od dawna zaprzyjaźniona z rodziną, hrabina Zofia Wańkowiczowa, żona znanego pisarza. Dużo uwagi poświęca też prowadzeniu majątku, nie zapominając jednak o obowiązkach obywatelskich i społecznych. Zalicza do nich troskę o swoich dawnych żołnierzy - dowborczyków, obecnie sąsiadów. Przywiązani do swojego wodza - osiedlili się w okolicy, wykupiwszy ponemieckie gospodarstwa rolne od Urzędu Ziemskiego. Niektórym udało się nabyć ziemię niemal za bezcen, bezpośrednio od uciekających kolonistów, pragnących odzyskać chociaż część pieniędzy.

Kłopot w tym, że nowi właściciele nie znają się na rolnictwie. Są świetnymi żołnierzami, nie rolnikami. Również i teraz dowódca ich nie zawiedzie. Wspólnie ze swoim adiutantem organizuje dla nich kursy nowoczesnego gospodarowania oraz praktyki odbywane w jego wzorowo prowadzonej posiadłości, ale i w pałacu.

Gospodarstwo generała jest samowystarczalne. Nie brakuje tu nawet kuźni, chociaż konie nadal trzeba podkuwać u lusowskiego kowala Gabrielskiego, gdyż dworski zajmuje się tylko naprawą sprzętu. Obok pracowników stałych, mieszkających na terenie posiadłości, zatrudnia dochodzących, sezonowych. Jednych i drugich nie spuszcza z oka, bez przerwy objeżdżając pola lub obserwując z wysokości pałacowej wieży, skąd dobrze wszystko i wszystkich widzi. Wiadomo przecież, że pańskie oko konia tuczy.

Nie ujmuje mu to powszechnej sympatii i szacunku. Tym bardziej że sam potrafi zakasać rękawy, czy to w parku, czy w ogrodzie, czy w polu. Wymagający wobec siebie i innych, nie dopuszcza się niesprawiedliwości czy nierzetelności. Jego słowu można wierzyć bez zastrzeżeń. Rządca regularnie wypłaca ludziom zarobki, a za dobrą robotę dodatkowo, na polecenie dziedzica, wynagradza.

Z pracownikami kłopotów nie miewa, a jeśli się pojawią, radzi sobie doskonale. Nawet z amatorami cudzej własności. Wprawdzie ich nie toleruje, jednak z góry nie przekreśla. Przekonawszy się, że jeden z fernali permanentnie go okrada, stawia mu ultimatum.

- Daję ci szansę, ale tylko jedną. Odrobisz straty i więcej ręki po cudze nie wyciągniesz.

- Ale panie generale, ja...

- Jeśli będziesz w potrzebie, przyjdź i powiedz. Zrozumiem. Ale sam nie bierz. Duszy

swojej nie gub.

Za to właśnie wszyscy go szanują. Z wzajemnością. Wobec nikogo nie robił wyjątków - czy to inteligent, czy chłop, czy prosty żołnierz. Tych ceni szczególnie. Zwłaszcza swoich byłych towarzyszy broni. Wiernych i zapatrzonych w dowódcę.

Dziś czekają na generała w wielkim pałacowym salonie. Najchętniej zaszyłby się gdzieś w głębi parku albo pocwałował na Pannie Europejskiej, i spadła na niego nowa troska - kolejne podatki - jednak społeczny obowiązek przede wszystkim.

Na jego widok wszyscy z uszanowaniem powstają.

- Czołem, panie generale!

- Czołem, sąsiedzi!

Zajmuje miejsce obok swojego adiutanta, obecni siadają także, tylko jeden stoi nadal. To stary dowborczyk, kpt. Miłosz, obecnie główny ogrodnik w majątku.

- Co się dzieje, kapitanie?

- Panie generale, melduję, że... Właśnie uradziliśmy, że... Słowem, mamy propozycję.

- Słucham, kapitanie.

- Otóż my, dowborczycy, prosimy i nalegamy. Oddzielmy pański majątek i nasze gospodarstwa od Lusowa, które podchodzi aż pod Las Przezierowski, i utwórzmy nową wieś. I nazwijmy ją Dowborowo!

Generał uśmiecha się, ale pomysłu nie akceptuje.

- Dziękuję wam, kochani, za ten przejaw sympatii, ale nie. Kimże ja jestem, abym sobie uzurpował przywilej nadawania nazw miejscowości? Do co nazywał ją własnym nazwiskiem. Nie mam takiego prawa i nie chcę go mieć. Gdybym się na to zgodził, powiedzieliby, że mi woda sodowa do głowy uderzyła. Powstałby taki huczek, że w stolicy by usłyszano.

- Ale my to urzędowo załatwimy!

- Nie zgadzam się. Ale... Jeśli już tak bardzo chcecie podkreślić własną odrębność, zaproponuję inną nazwę. Może... BATOROWO? Od imienia wielkiego króla polskiego, Stefana Batorego, któremu nasza Ojczyzna wiele zawdzięcza.

Na to wstaje Ignacy Szajkowski - dzielny dowborczyk i powstaniec wielkopolski.

- Panie generale. To może lepiej będzie brzmiało Batoria? Od Korporacji Akademickiej Batoria z Wilna, którą pan, jak wiadomo, wspomaga.

- Albo inaczej! - wykrzykuje ktoś jeszcze. - Może Lechitowo? Od Korporacji Akademickiej Lechia z Poznania. Jest pan jej członkiem rzeczywistym i znanym działaczem.

- To ja zarządzam głosowanie - kapitułuje gospodarz.

Jak się okaże, jest to najlepsze wyjście. Przechodzi jego pomysł: Batorowo. (Po długich staraniach ówczesne władze administracyjne wyraziły na to zgodę i od roku 1927 ta część Lusowa nosi nazwę Batorowo. W 1955 r. zmniejszono jego obszar o ulice Nową i Poznańską, przydzielając je do Lusowa. Stąd w rozmaitych publikacjach można przeczytać, że „gen. Dowbor-Muśnicki zamieszkał w Lusowie-Batorowie”.)

Po wysłuchaniu pogadanki na temat stosowania płodozmianu i wspólnej herbatce uczestnicy rozchodzą się, jeszcze mocniej podziwiając swego dowódcę.

- Nie dość, że taki skromny, to jeszcze najlepszy w okolicy gospodarz! Majątek prowadzi wzorowo, każdy kawałek ziemi wykorzystany. Nic się nie marnuje. A przecież ma jeszcze obowiązki obywatelskie i często do Poznania wyjeżdża!

- A hodowlę bydła i drobiu jak rozwinął!...

- A jaki ogród i park!... Takiej ilości kwiatów daleko by szukać, choć to i kapitana Miłosza zasługa!

- Przy tym oszczędny. Kawał jeziora do niego należy, a on w parku dwa stawy rybne z karpem założył.

- Pracę szanuje i prostego człowieka. Sam w parku i w polu pracuje dla przykładu.

- Wszyscy to widzą. Nie ma takiego drugiego! Generał nasz, wódz i żołnierz, co krwi się nie bał przelewać.

Idąc w kierunku stawów rybnych, oddaje się niewesołym myślom.

- Kłopoty. Same kłopoty. Znowu jakieś pretensje z Urzędu Ziemskiego. Teraz chcą następne pięć tysięcy; dobrze chociaż, że w rocznych ratach po tysiąc dwieście. Może wtedy dostanę wreszcie akt własności?

Z ratami sobie poradzę, ale i o stacji w Poznaniu trzeba pomyśleć. Dla Gimby, a potem dla reszty. No i melioracja łąk niezbędna. Nie tylko moich, ale i sąsiednich. Mam nadzieję, że ksiądz proboszcz też chętnie się do tego przyłączy.

Z zamyślenia wyrывa go chłopięcy śmiech. Parkową alejką wzdłuż ogrodzenia przemykają wiejscy chłopcy skrcający sobie drogę do szkoły. Na jego widok zatrzymują się zmieszani i - z niedzielnego nawyku - wygłaszają zgodnym chórem, jak na komendę.

- Dzień dobry, panie generale!

- Dzień dobry. Chyba na cukierki macie ochotę, co?

Ponieważ stoją zawstydzeni, robi się mu ich żal, więc - jak zwykle przy takich okazjach - sięga do kieszeni marynarki.

- Panie generale! - wyrывa się najśmielszy łobuziak. - A we wsi to Pawlickiej Katarzynie wczoraj się zmarło. Ale matka mówi, że dosyć się nażyła, to i czas był.

Dziewięćdziesiąt dwa lata żyła. To dosyć czy nie?

- Jak się wszystko wykonało, to dosyć. Śmiało można o odpoczynku w Niebie pomyśleć i po nagrodę iść - odpowiada z całą powagą.

Pożegnawszy psotników skinieniem ręki i przywoławszy psy, podąża dalej, lecz z nowym problemem.

- Trzeba by pójść, pożegnać najstarszą chyba mieszkankę Lusowa, a skąd czas brać. Jednak trzeba. Ktoś musi ludziom przykład miłości bliźniego dać.

Rozlega się głuchy stukot końskich kopyt o polną drogę. Nadjeżdża Gimba. Jedną ręką na cuglach gniadosza, drugą prowadzi Pannę Europejską. Widok wiernej klaczy zawsze budzi w starym żołnierzu uczucie nostalgii za wszystkim, co z nią związane. Zwycięskie starcia z nieprzyjacielem, rany, zatrucie niemieckim gazem, powrót do kraju i znów pola bitew...

Dosiadłszy wiernego konika, rusza truchcikiem, aby dać synowi szansę, gdyż umówili się na wyścigi, po czym płynnie przechodzi w galop. Panna Europejska, posłuszna każdemu drgnieniu jego ciała, niesie lekko i płynnie. Gimba dogania go, wymuszając na swoim biegunie coraz szybsze tempo, podjeżdża tuż, wydaje dziki okrzyk zwycięstwa, co płoszy ojcowską klacz.

Uskoczywszy gwałtownie w bok, potyka się o jakiś korzeń czy kamień i zwala na bok. Jedynie wprawa kawalerzysty ratuje jeźdźca przed przygnieceniem. Zdaży szczęśliwie zeskoczyć, lecz nie udaje się mu uratować biednej Panny. Złamanie nogi jest tak paskudne, że kość piszczelowa przebija skórę i sterczy na zewnątrz. Cierpienie zwierzęcia musi być straszne, bo płacze najprawdziwszymi, wielkimi łzami.

Niepodobna na to spokojnie patrzeć. Generał wsiada na wierzchowca Gimby i pędzi do pałacu. Wraca z pistoletem w dłoni.

- Odwróć się, synu! - mówi cicho, a potem przystawia lufę do końskiego łba.

Huk wystrzału głuszy jego krzyk rozpaczony, a kiedy się odwróci, Gimba po raz pierwszy w życiu ujrzy łzy w oczach swojego surowego ojca.

Utrata wiernego konia, pamiętającego wszystkie jego bitewne drogi, boli tak bardzo, że każe wyprawić skórę, którą potem rozłoży na podłodze w gabinecie, a spreparowaną czaszkę i oczyszczone kopyto umieści w oszklonej gablocie pośród najdroższych pamiątek.

Jak każdego niemal dnia, także tego popołudnia generał wspina się na pałacową wieżę, by z wysoka ogarnąć wzrokiem swoją posiadłość, lubi spoglądać na te pola tak pięknie uprawione, łąki, na których pasą się jego stada, dalekie zabudowania ukochanych dowborczyków, zagrody okolicznych wieśniaków i błękitną powierzchnię jeziora, w którym

się wszystko odbija. Wsłuchany w wiejskie odgłosy, czuje się zespolony ze swoją nową małą ojczyzną. Z tymi ludźmi i z tym miejscem własnym na ziemi, które sam wybrał. Z najmilszą ziemią wielkopolską. Właśnie pomocnik ogrodnika, kpt. Miłosza, uruchamia pompę zamontowaną niedawno przy przepastnej studni i zaczyna podlewać ogród warzywny z długiego węża. W rozproszonych kroplach wody mieni się kolorowo wspaniała tęcza.

Nasyciwszy oczy barwną grą światła, przenosi wzrok ku jezioru. Płyną na nim łódki z harcerzami spędzającymi w Batorowie swoje coroczne wakacje. To chłopcy z robotniczych rodzin, którymi się opiekuje. Czuje się za nich odpowiedzialny. Cieszy go ich radosna młodość i to, że ma przy sobie wszystkie swoje dzieci. Całą czwórkę. Obmyśla dla nich na dzisiejszy wieczór dodatkową atrakcję. Ognisko z pieczeniem kiełbasek, występem muzycznym Janeczki i wspólnym harcersko-legionowym śpiewaniem. Aż się ‘ uśmiecha na myśl o tej niespodziance.

Turkot kół na podjeździe, zapowiadający przybycie gości, odwraca jego uwagę od harcerzy. Zaciekawiony, zwraca się ku przeciwległemu oknu i szybko je otwiera, aby powitać wysiadającą właśnie przyjaciółkę jeszcze z Bobrujska, hrabinę Zofię Wańkowiczową. Gusia już wisi na jej szyi - roześmiana i uszczęśliwiona, toteż i on pospiesza na dół.

Popijając herbatkę z samowara, gawędzą w zaciszu gabinetu i ta rozmowa przyjaciół sprawia, że może się otworzyć. Zwierzyć z kłopotów, podzielić radością, że dzieci rosą i że się dobrze uczą, bo pierwsze pytanie przybyłej ich przede wszystkim dotyczy.

Jest się czym pochwalić. Janeczka to już uczennica przedostatniej klasy gimnazjum, a przed Gedyminem matura.

- Nie ukrywam, droga pani Zofio, że Gimba to moja duma i nadzieja, chociaż hreczkosiejem nie zostanie na pewno. Prędzej jakimś wynalazcą. Dlatego pogodziłem się, że niebawem nas opuści. Nie ja będę stawał w poprzek jego ambicjom. Chce studiować we Francji, grosza nie poskąpię. Przyznam jednak, że trochę się o niego martwię.

- O Gimbę? Niepotrzebnie. To taki mądry, inteligentny, ambitny młodzieniec.

- Zgadza się. Umysł nieprzeciętny, ale charakter nieprzewidywalny i słomiany z niego ogień. Liczę na serce. Lecz czy zdążyłem je ukształtować? Zbyt prędko wyfrunął spod rodzicielskiej pieczy. No i matki mu zabrakło.

Dopóki jest w Poznaniu, czuwają nad nim i państwo Hasiewiczowie, i Janka, choć młodsza. Ale kiedy się za granicę wyrwie... Bóg raczy wiedzieć, co mu strzeli do głowy.

Hrabina trwa jednak przy swoim.

- Syn takiego ojca da sobie radę wszędzie, panie Józefie. Jestem pewna, że wstydu rodzinie nie przyniesie.

- Wiem. Tym bardziej że i teraz wśród zacnych ludzi przebywa. Mimo to boleję, że własną krew musiałem obcym powierzyć. Szkoły też, mam nadzieję, wybrałem im dobre. Dla Gimby prywatne Gimnazjum im. Bergera, dla Janeczki - Państwowe Gimnazjum im. Generałowej Zamoyskiej, ale co z niej wyrośnie?... Charakter ma mocny, więc się o nią, w przeciwieństwie do Gimby, nie martwię. Chyba tym jedynie, że marzy o studiach w konserwatorium muzycznym w klasie fortepianu, o nauce śpiewu o karierze śpiewaczki. Moja córka śpiewaczką! Aż takiego talentu chyba nie ma?

- Artystyczna z niej dusza; to dobrze. Panna z dobrego domu powinna grać na fortepianie i śpiewać. Ja bym się tym konserwatorium nie przejmowała.

- Może i tak. Dziewczyna niemal dorosła, wie, czego chce. Czas Olusiem się zająć. Od września też do Poznania wyfrunie.

- I zostanie pan sam ze swoją tatusiową pieścioszką. To wielka pociecha, prawda?

- O tak. Na szczęście z Gusiątkiem tak prędko się nie rozstanę. To jeszcze maleństwo.

- Przyjdzie i na nią czas, to nieuniknione - uśmiecha się przyjaciółka.

- Zgadzam się, taka kolej rzeczy. Ja także poszedłem kiedyś z domu. One i tak są w lepszej sytuacji. Polskie dzieci w polskich gimnazjach, w polskiej rodzinie, która swoich młodych sublokatorów traktuje jak własne potomstwo. I nikt im polskości nie wytyka. Nie muszą jej bronić jak ja. Nawet pięścią. Ech, stare dzieje...

Pani Wańkowiczona dłuższą chwilę coś w sobie waży i kilkakrotnie otwiera usta, zanim to wypowie.

- Pozwoli pan zadać sobie niedyskretne pytanie?

- Pani? Każde!

- Nie chciałabym być wścibska, ale... Co z aktem własności Batorowa? Ma go pan wreszcie czy nie? Melchior bardzo się tą sprawą przejmuje.

- Niestety, jeszcze nie. Może kiedy wpłacę kolejną żadaną kwotę, mam nadzieję, że ostatnią. Na szczęście coś się zaoszczędziło, więc... Nieraz tak obie myślę, że może trzeba było kupić raczej duże mieszkanie w Poznaniu zamiast ziemskiego majątku?

- Wiem, co pana trapi. To by jednak chyba nie miało znaczenia. Tak czy tak nie utrzyma się dzieci pod korcem.

- Święta prawda. Czy ja podziękowałem pani, jak Pan Bóg przykazał, a radę, aby zlikwidować mieszkanie przy Mylnej? Chyba nie dość gorąco? Wynajęcie stacji naprawdę mniej kosztuje niż utrzymanie drugiego mieszkania w mieście. Przy tym państwo Hasiewiczowie traktują moje dzieci jak własne, a Janeczka zyskała przyjaciółkę. Bez Irenki Hasiewiczówny żyć nie może. Właśnie ją ze sobą do Batorowa, jak zwykle, przywiozła;

razem z jej starszą siostrą, Helenką.

- No i babcię Korsońską uwolnił pan od obowiązku matkowania starszym wnukom, dzięki czemu mogła się zająć młodszymi.

- Odzyskałem też Franciszkę, doskonałą gospodynię. W Batorowie bez niej jak bez rąk. Doskonale radzi sobie z prowadzeniem domu. To niemal członek rodziny. Myślę, że i po wyjściu za mąż nie odejdzie.

- Zwłaszcza kiedy zatrudni pan także przyszłego męża - hrabina podchodzi do samowara, by po raz kolejny napełnić filiżanki.

Do pokoju wpada nagle sześćioletnia Gusia w stroju amazonki. Jest bardzo podniecona. Rzuciwszy się na szyję pani Wańkowiczowej, woła:

- Ciociu, kucyk osiodłany! Popatrzysz, jak jeżdżę?

- Z przyjemnością, ale... Coś ty taka gorąca? Możeś chora?

- Zdrowa jak rydz! - mała ze śmiechem znika za drzwiami.

- W takim razie chodźmy, generale! Widocznie perspektywa jazdy tak ją ożywiła.

- Na wieżę?

- Na wieżę!

Gusia kłusuje na swoim kucyku, a jej wrzaski przynaglające wierzchowca do galopu docierają aż na górę. Generał z dumą obserwuje wyczyny swojej ulubienicy, lecz hrabina zaczyna się niepokoić.

- Za dużo sobie pozwala, nie uważa pan, panie Józefie?

Podobnie reaguje czuwająca nad dziewczynką niania.

- Zwolnij, bo spadniesz! - bezskutecznie próbuje zabiec jej drogę.

Tedi i Digan gonią kucyka, szczekając radośnie, co tym bardziej małą pobudza. Śmiejąc się i pokrzykując, skręca gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę. Generał patrzy na nią z zachwytem.

- Widzi to pani, hrabino? Trzyma się w siodle jak przyrośnięta. Jakby się na koniu urodziła! Gotowa zajeździć to biedne zwierzę! Tylko patrzeć, jak konia dosiądzie!

- Generale, zwracam pańską uwagę, że to dziewczynka! Mała dziewczynka! - mityguje go pani Wańkowiczowa.

Zanim zdąży jej odpowiedzieć, dziecko przechyla się niebezpiecznie i w tej pozycji pozostaje. Jeszcze chwila i spadnie.

- Jezus Maria! - zatrwożony zbiega co tchu na dół.

Omali nie przewracając niani, rzuca się ku konikowi i zatrzymuje go w momencie, gdy dziewczynka - puściwszy lejce - osuwa się w ojcowskie ramiona, rozpalona jak piec i

bezwładna.

Niesie ją do dziecinnego pokoju, układa na łóżku i - tracąc panowanie nad sobą - krzykiem wzywa pomocy służby. Pierwsza wpada zasapana niania, którą wysyła po stangreta Kłosinka, a kiedy ten się pojawi, dysponuje:

- Po lekarza! Natychmiast! Co koń wyskoczy!

Gusia ma odrę i bardzo cierpi. Generał całymi niemal dniami i nocami przesiaduje w zaciemnionym pokoju chorej córeczki, czuwając nad nią i kontrolując pracę opiekunek (hrabina musiała, niestety, odjechać). Trzymając w swych wielkich żołnierskich dłoniach małą rączkę, opowiada zapamiętane z własnego dzieciństwa bajki, lecz chora żąda wspomnień wojennych, szczególnie o Pannie Europejskiej, tatusiowej klaczy, której skóra leży na podłodze w jego gabinecie. Bardzo lubi na niej baraszkować, kiedy tylko może tam wejść, co zdarza się rzadko, bo tatuś bywa zajęty i często miewa u siebie gości lub pracowników. Na przykład rządcę, pana Mikołajczaka, z którym grywa w szachy.

Po opowieściach wojennych mała najbardziej lubi słuchać biblijnych, wykorzystuje to, aby pocieszyć dziecko budującym przykładem uzdrowienia córki setnika przez Pana Jezusa. Sam także szuka pociechy w modlitwie do Matki Bożej Ostrobramskiej, błagając o uzdrowienie dziecka i obiecując pielgrzymkę dziękczynną do Wilna. Razem z nim modlą się o to samo starsze rodzeństwo oraz cała domowa służba, a nawet wynajęci pracownicy. Najwidoczniej robią to skutecznie, bo dziewczynka szybko powraca do zdrowia, a szczęśliwy tatuś - wierny obietnicy - z całą rodziną udaje się do Ostrej Bramy.

Od tego czasu stanie się to stałym, rodzinnym zwyczajem. Podczas każdych wakacji nawiedzają cudowny wizerunek Madonny Ostrobramskiej i drogie sercom Wilno. Za każdym razem przywożą stamtąd mnóstwo poświęconych obrazków, medalików i różańców, które rozdają służbie.

Generał jest bardzo religijny, co szczególnie ujawnia się w świętowaniu Dnia Pańskiego. W każdą niedzielę wszyscy razem udają się pieszo do pobliskiego kościoła pod wezwaniem św. Jakuba Apostoła i św. Jadwigi Śląskiej, oddalonego od pałacu około pięciuset metrów, prostą wiejską, lekko opadającą w dół drogą. Z przodu kroczy służba pałacowa. Niania, guwernantka, rządcą Mikołajczak, pracujący dorywczo w ogrodzie student Henryk Buczyński, który niebawem będzie pomagał Gusi w nauce, a w przyszłości zostanie sekretarzem Dowbora i - na koniec - administratorem pałacu i parku. Pokojówki starają się trzymać blisko niego, bo bardzo im imponuje. Pomoce kuchenne maszerują obok gospodyni Franciszki Kłosinek, przy niej zarządca ogrodu - kpt. Miłosz, stangret Kłosinek i pracownicy mieszkający w budynku nieopodal pałacu. Dalej dzieci generała i dworskie, a na końcu on

sam w galowym mundurze, z małym bagnecikiem u boku - postawny, wysoki, o energicznych ruchach frontowego żołnierza, podtrzymujący za łokieć teściową, babcię Korsońską. Często towarzyszą mu goście, gdyż wódz Powstania Wielkopolskiego prowadzi dom otwarty. Najczęściej adiutant Zygmunt Pluciński i Zofia Wańkowiczowa, kochająca małą Gusię matczyną miłością i mająca na nią wielki wpływ. Rządziej - gen. Juliusz Poniatowski z małżonką, gen. Józef Haller i ksiądz prałat Stanisław Tworkowski z Warszawy - dawny dowborczyk i przyjaciel.

Przed kościołem czekają na nich ustawieni w odstępach wiejscy chłopcy przygotowani do odegrania rytualnego już spektaklu. Każdy po kolei kłania się dziadziowi, jak przykazali rodzice.

- Dzień dobry, panie generale!

- Dzień dobry, panie generale!

Chichoczą przy tym niepowstrzymanie, a on, z całą powagą, tylko się pod wąsem uśmiechając, każdemu grzecznie odpowiada.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Dobrze wiedzą, że po skończonej Mszy Świętej poczęstuje ich cukierkami. Wewnątrz czekają na mieszkańców pałacu ławki po obu stronach ołtarza, tylko Janeczka udaje się na chór, by podczas Mszy Świętej śpiewać i grać na organach. Towarzyszy jej chórek złożony ze służby, który sama zorganizowała i przeszkoliła.

Podczas podniesienia, kiedy wszyscy opadają na kolana, generał stoi na baczność, salutując, w swoim galowym mundurze, którego kieszenie wypchane są cukierkami dla wiejskiej dzieciarni. Ma dla nich tak czułe serce, że podczas odpustów oprócz słodyczy kupuje im drobne prezenty, a kiedy zobaczy jakieś blade, chude dziecko, głaszcząc je po główce i przytulając, pyta, czy nie jest głodne, i zaprasza na poczęstunek.

Przy takiej właśnie okazji poznaje kilkunastoletniego półsierotę, Walusia z Lusowa, opiekującego się chorą matką. Aby mu pomóc, lecz nie demoralizować datkami, proponuje pracę.

- Chciałbyś, Waluś, zarobić trochę grosza?

- No pewnie, tylko gdzie?

- Choćby u mnie. Będziesz drwa do kuchni nosił, zgoda?

- Dziękuję panu generałowi!

Chłopak jest rezolutny i pracowity i chętnie wykonuje powierzony obowiązek. Aby się tym lepiej wykazać, zaprzęga do pracy podwórzowego osła, dużego wilka. Przewiesza mu

przez grzbiet dwie wiązki polan związanych sznurem, dzięki czemu zwiększa wydajność. Pomysłowość chłopaka xxioba się dziedzicowi.

- Chciałbyś się Waluś uczyć?

- Ale to kosztuje.

- O to się nie martw. Załatwię ci naukę i pracę u Cegielskiego w Poznaniu.

- Bardzo dziękuję, panie generale, ale mama... Leżąca jest. Nie zostanę jej tak.

- Rozumiem. Możesz więc nadal u mnie pracować.

Z końcem wakacji dom pustoszeje. Starsze rodzeństwo wyjeżdża do Poznania (Janeczka do gimnazjum, Gedymin - zanim podejmie studia we Francji, w tuluskim Instytucie Elektroniki - do pracy jako mechanik w zakładach Cegielskiego), a Gusia, podobnie jak przygotowujący się do gimnazjum Oluś, rozpoczyna naukę pod okiem kierownika szkoły powszechnej w Lusowie, pana Antoniego Bobera, który prowadzi dla obojga indywidualne lekcje w pałacu. Posłuszny życzeniu chlebodawcy jest wobec nich bardzo wymagający, toteż czasu na próżnowanie nie mają.

Kiedy Olgierd dołączy do Janeczki (Gedymin jest już w Tuluzie), Gusia podrośnie, troskliwy tatuś zatrudni dla niej stałego korepetytora, studenta Henryka Buczyńskiego, który w przyszłości zostanie administratorem pałacu i parku. Dziewczynka jest zdolna i pilna, więc uczy się dobrze i już nie może się doczekać, kiedy dołączy do starszego rodzeństwa w Poznaniu.

Jeśli czegoś tu żałuje, to ukochanego tateńka, swoich przyjaciółek - córek dworskich pracowników - Frani Kwiatek i Stasi Kaczmarek, także kochanej cioteczki Wańkowiczowej - częstego gościa w Batorowie, zastępującej dziecku zmarłą mamę, i tego, że nie będzie mogła jeździć ani konno, ani na nartach. Obie siostry uwielbiają te sporty, więc używają sobie, zwłaszcza kiedy Janka zjawia się w Batorowie. Ojciec, patrząc, jak są sprawne i zdrowe, nie kryje zadowolenia.

- W zdrowym ciele zdrowy duch, moje panienki! - powtarza i sam chętnie dosiada swojego wierzchowca, nie tylko by objeżdżać pola, ale i dla przyjemności. Niezmiennie myśli wtedy o nieodżałowanej Pannie Europejskiej, której żaden koń nie jest w stanie mu zastąpić.

Najczęściej jednak krąży po posiadłości w towarzystwie dwóch nieodłącznych psów, nieco już posuniętych w latach - Tediego i Digana - dla których w obu kieszeniach marynarki trzyma kawałeczki kielbasy. Bawi go, że każdy wie, która kieszeń należy do którego i tylko do tej sięga nosem po przysmaki, delikatnie wyciągając je ostrymi zębami.

Jesień to w majątku czas wytężonych prac, a dla jego właściciela zwielokrotnionych obowiązków. Nie ma więc czasu tęsknić do wakacyjnego rozgardiaszu, kiedy okolica tętniła

młodym życiem. Kiedy nad brzegami jeziora zastęp Wilków Morskich rozbijał harcerskie namioty, każdego wieczoru płonęło ognisko, chłopięce śpiewy niosły się po wodzie, a w jej lśniącej metalicznie, czarnej tafli odbijało się rozgwieżdżone niebo.

W dzień rozśpiewane towarzystwo pływało łodziami po jeziorze, zażywało kąpeli lub urządzało harcerskie podchody. Brał w tym czynny udział czując, że ubywa mu lat. Kocha tych młodych skautów z biednych robotniczych rodzin poznańskich, którym dyskretnie pomaga i których umysł i serca umiejętnie kształtuje. Przyszłość Narodu! Nie stanowią dla niego ciężaru. Posiadłość jest zasobna we własne produkty. Do wspólnych posiłków podaje się dziczyznę ze swojego lasu i pól, mięso, drób i jaja z miejscowej hodowli, ryby z jeziora i stawów (węgorze prosto z wędzarni), warzywa z ogrodu, owoce z sadu, a chleb i ciasta z własnego ziarna. Wszystko to przechowuje się w obszernym loszku, gdzie niska temperatura jest utrzymywana przy pomocy lodu wyrąbywanego zimą z grubej tafli na jeziorze.

Goście zawsze jednak czekają na ulubioną potrawę - pieczone prosię specjalność Janeczki. Sama je przyrządza, nie dopuszczając kucharki. Co najwyżej pozwala jej obracać ziemniaki tak, aby żaden wielkością nie przekroczył rozmiarów orzecha włoskiego. Smaży je w brytfannie - ułożone wokół - prosiaczka. Kiedy się zrumieni, a cienka skórka stanie się chrupiąca, przekłada go na wielki półmisek, otacza złocistymi ziemniaczanymi kulkami, wsuwa do ryjka czerwone jabłuszko i osobiście podaje gościom. Zwabieni wyglądem królewskiego dania i aromatycznym zapachem, pochłaniają je tak błyskawicznie, że mistrzyni nierzadko musi się zadowolić marnymi resztkami. Mimo to cieszy się z kolejnego kulinarnego sukcesu, wdzięczna Franeczce za naukę. To dzięki niej odkryła w sobie nową pasję. Gospodarzenie w kuchni. Potrafi piec ciasta, robić przetwory owocowe i warzywne i smażyć konfitury. Ogromnie lubi te zajęcia ku zadowoleniu gosposi.

- Moja zasługa! Ja ją wszystkiego wyuczyłam!

- Co za metamorfoza! - pokpiwa z siostry Agnieszka. - Zamiast oklasków na światowych scenach, smakowite mlaskanie przy zastawionym stole!

- Najwidoczniej Pan Bóg obdarzył mnie innym talentem - broni się pół żartem, pół serio niedoszła śpiewaczka.

- No, no, całkiem ładnie śpiewasz i grasz... na kościelnym chórze nie odpuszcza trzpiotka.

- Zapomniałaś o moich wiekopomnych występach w kinie Muza przed seansami!

Siostrzane żarty nie boją. Od pewnego czasu myśli i wyobraźnię zaprzęta jej nowa idea. Zaraziła się nią od Olgerda, który uczęszcza na kurs lotniczy, co ojciec popiera i opłaca, choć dla gimnazjalisty oznacza to zwiększenie obowiązków. Chłopak uprawia także boks,

którym pasjonuje się jego przyjaciel, student medycyny, Jurek Kotowicz. Jednak przyszłość swoją i karierę wiąże z lotnictwem. Zamierza zdać konkursowy egzamin do Szkoły Podchorążych, by po jej ukończeniu służyć w 3 Pułku lotniczym na Ławicy koło Poznania. Mieszka razem z Janką na stacji Państwa Hasiewiczów, co tym bardziej ich zbliża. Któregoś dnia postanawia zabrać starszą siostrę na pokazy szybowcowe. Ten jeden raz wystarczy, by połknęła bakcyła.

- Skoro nie mogę być śpiewaczką operową, będę lotniczką!

Generał, kiedy mu o tym powie, oddycha z ulgą.

- To już lepsze niż wycieranie scen i wyczekiwanie na oklaski, moje dziecko. Lepiej zająć się sportem niż mizdrzeniem do publiczności. W zdrowym ciele - zdrowy duch!

W przeciwieństwie do studiującego we Francji Gedymina, który w ostatnim liście wspominał dość mgliście o swoim rozczarowaniu studiami i chęci ich porzucenia, pozostała trójka nie przysparza mu zmartwień. Może - ostatnio Janka.

- Ta jej nagła miłość do samolotów i latania! - skarży się swej przyjaciółce, pani Zofii, kiedy znów go odwiedzi.

- Chwilowa fascynacja. Minie.

- A co z naszą Gusią? Lada moment trzeba będzie i ją z domu wypuścić - martwi się ojciec.

Hrabina uśmiecha się łagodnie.

- Pójdzie tam, gdzie Janeczka. Do Generałowej Zamoyskiej.

- Ale u państwa Hasiewiczów nie ma miejsca na trzecią osobę.

- Nie szkodzi. Upatrzyłam już dla naszej pieszczoszki dobry dom. U państwa Au.

Mają córkę w jej wieku. Krysia to słodka, dobrze wychowana panienska. Ręczę, że się zaprzyjaźnią. Zwłaszcza kiedy ją Gusia będzie przywoziła do Batorowa. Będą tu miały towarzystwo Oli Plucińskiej, córki pańskiego adiutanta. Zdaje się, że się z Gusią lubią?

- Nawet bardzo. Już teraz marzą o wspólnych studiach rolniczych. Obie kochają ziemię i konie. W siodle Gusia trzyma się tak, jakby się na nim urodziła. Już mnie pytała, czy to prawda, że w Poznaniu istnieje Klub Jeździecki. To dziewczę jest moją wielką pociechą i nadzieją. Zostawię kiedyś Batorowo w dobrych rękach.

- Gusia przyszlą spadkobierczynią majątku?

- No przecież nie Gimba, którego zabrał mi świat, i nie Janka, której w głowie jak nie kariera śpiewaczki, to zdobywczynie przestworzy.

- A Olgierd?

- Nareszcie jeden syn, który kocha wojsko. Ten hreczkosiejem nie zostanie.

General wstaje nagle z fotela, aby ucałować ręce swego gościa.

- Co ja bym bez pani, hrabino, począł! Dzięki pani moja biedna Gusia nie odczuwa braku miłości matki.

- Bo też trudno jej nie kochać - śmieje się pani Wańkowiczowa. Z radością matkuję tej słodkiej dziewczusce, zwłaszcza że oboje z mężem mamy dług wdzięczności wobec pana. Gdyby nie pańska wielkoduszność, Melchior mógłby zmarnieć w tym Bobrujsku. Doraźny sąd wojenny, kula w łeb i byłoby po nim. Wszystko przez głupią ambicję!

- Nie ma o czym mówić.

- Przeciwnie. Doskonale pamiętam, co się stało pewnej majowej nocy osiemnastego roku, kiedy członkowie tajnego Związku Broni chcieli pozbawić pana dowództwa, aby nie dopuścić do umowy kapitulacyjnej z Niemcami. Melchior był wśród nich. Spisek - jak pokazały późniejsze wydarzenia, na szczęście! - nie powiódł się, a zamachowcy, z cichym pańskim przyzwoleniem, opuścili twierdzę po angielsku.

- Poza niezłomnym panem Wańkowiczem, którego musiałem - na jego życzenie - postawić przed sądem polowym.

- Właśnie. Ale do najgorszego nie doszło. Wielkoduszny generał Dowbor, zamiast spiskowca ukarać, ułaskawił go.

- Stare dzieje...

Stało się! Najstarszy syn, Gedymin, duma i nadzieja ojca, niezwykle inteligentny, uzdolniony w naukach ścisłych, na którego nie żałował grosza, by pozwolić mu rozwinąć skrzydła na zagranicznej uczelni, porzuca studia w Instytucie Elektroniki w Tuluzie tylko dlatego, że się nimi znudził.

Tak więc wszystkie obawy dotyczące niestałości jego charakteru okazały się słuszne. Początkowy zapał do nauki wygasa, a zainteresowania idą niewłaściwym kierunku. Żyje tylko miłością do pięknej Hiszpanki, właścicielki salonu fotograficznego w Toledo. Zrozpaczony i rozgniewany generał reaguje zamknięciem konta bankowego, jednak pełen wyrzutów list czyli dającym nadzieję: „Dopóki się nie opamiętasz”.

Lecz opamiętanie nie następuje. Gimba na studia nie wraca, a radzi sobie zdając odpłatnie egzaminy za kolegów. O powrocie do domu, na co ojciec nalega, nie chce nawet słyszeć. Tym większej zgryzoty przysparza mu niespodziewanym opuszczeniem Francji i wyjazdem do Hiszpanii, by pomagać ukochanej prowadzić interes. To dla ojca ból nad bóle. Utrata pierworodnego. (Gedymin Dowbor-Muśnicki (ur. 4 lipca 1906 r. w Jarosławiu) podczas wojny domowej w Hiszpanii w 1936 r. broni twierdzy w Toledo jako zwykły żołnierz, a po wybuchu II wojny światowej zgłasza się na ochotnika do francuskiego wojska.

W 1940 r. dostaje się do niewoli niemieckiej, gdzie nabawia się gruźlicy i zaprzyjaźnia z pewnym szewcem z Tuluzy. Nie rozstaje się z nim także po wojnie i pracuje w jego warsztacie szewskim. Po śmierci przyjaciela żeni się z wdową i nadal szyje buty, które sprzedaje na tuluskich jarmarkach. Umiera bezpotomnie w końcu lat 60. na gruźlicę.)

Wynagradzają mu to pozostałe dzieci. Zwłaszcza najmłodsze z nich - pieszczoszka tatusia, Gusieńka - ostatni dar ukochanej żony i jej imienniczka, a jego nadzieja i sukcesorka.

Obie siostry z radością spędzają każde wakacje w rodzinnym Batorowie, maksymalnie wykorzystując wszystkie możliwości odpoczynku i rozrywki. Lecz najbardziej lubią konną jazdę. Opanowały tę sztukę od kolebki niemal, zaczynając naukę od dosiadanania kucyka, a potem - każda własnego wierzchowca. Janka - gniadosza, Agnieszka - kasztanka. Jeździ jak dżokej. Nie na darmo ćwiczy w klubie jeździeckim. Dzień w dzień obie galopują jak szalone. Ubrane w długie buty i spodnie bryczesy, w dopasowanych kurteczkach, najczęściej z gołymi głowami. Starsza - wysoka, szczupła, zgrabna, wysportowana, z krótko obciętymi kasztanowatymi włosami, młodsza - jasnowłosa, delikatniejszej postury, lecz równie sprawna i odważna. Żywa jak srebro, od dzieciństwa nie potrafi usiedzieć spokojnie na miejscu, bez przerwy biegając po pałacowych pokojach i parkowych alejach. Niestraszne im przeszkody, które bez namysłu przeskakują, podobnie jak zimowe szusowanie po stokach na nartach, czym budzą podziw okolicznych mieszkańców i dają wiejskim wyrostkom okazję do figłów. Są do nich przyzwyczajone.

Za każdym razem, kiedy pędzą na łeb na szyję po szutrowej drodze prowadzącej do Zakrzewia, zbliżając się do akacyjowego zagajnika, zerkają na siebie porozumiewawczo, w oczekiwaniu na spodziewaną akcję zaczajonych w nim, poniżej traktu, urwisów z trzymanymi za kudły psami. Przewodzi im braciszek pomocnika kowala Gabrielskiego. Zaledwie dziewczęta miną zasadzkę, rozlegają się dzikie, chłopięce, szczujące wrzaski i chichoty, wypuszczone kundły, szczekając, puszczają się w pogoń, bieguny galopują, a one - ku tym większej uciechu psotników - jeszcze je poganiają - roześmiane, szczęśliwe, beztroskie. Pęd rozwiewa im włosy, smaga zaróżowione policzki, cała okolica rozbrzmiewa tętentem kopyt, psim ujadaniem, głośnymi okrzykami i śmiechem. Jeszcze chwila i zziąbane psiska rezygnują z daremnego wyścigu. Figlarze powracają do swoich zajęć, a one wciąż pędzą przed siebie, skręcając między łąki, gdzie - na piaszczystej tam drodze zwanej latówką - zasłaniają je tumany kurzu.

Kiedy, zawróciwszy, ponownie wjadą na szutrówkę, koń Janeczki potyka się i zaczyna kuleć. Ściągnąwszy lejce, zeskakuje z siodła, by obejrzeć kopyta.

- Zgubił podkowę. Jedziesz Gusia ze mną do Gabrielskiego, czy wracasz?

- A dasz sobie radę?

- Jasne.

Zeskakuje z siodła, by nie narażać ulubieńca na uszkodzenie kopyta.

Idzie obok swojego gniadosza, prowadząc go za uzdę, na szczęście od kuźni dzieli ją najwyżej kilometr. Wystarczy tylko skręcić w lewo z szosy. Z daleka widzi ją jeden z urwisów szczujących psy, trochę przestraszony. Zdążył już wręczyć bratu przysłany przez matkę podobiadek, więc na wszelki wypadek zamierza wyprzeć się udziału w zabawie.

- A nuż mnie poznała?

Ona jednak nawet o tym nie myśli.

- Jak ci na imię, chłopcze?

- Adaś Raszewski. (Obecnie bardzo wiekowy mężczyzna, który przekazał Autorce swoje wspomnienia.)

- Potrzymasz mi konia, Adasiu?

- Czemu nie!

Kiedy zabiera się do zdejmowania siodła, pomocnik kowala, który wszystko z głębi kuźni widzi, podbiega ku niej, wyręczając ją. Za nim podąża spieszenie sam mistrz Gabrielski, bo takiej klientce nie można pozwolić czekać. Podczas gdy uczeń czyści końskie kopyto, majster - dopasowawszy podkowę - zabiera się do wkręcania haceli, a chłopak z przejęciem przytrzymuje wierzchowca, ona odchodzi sobie spacerkiem, niezbyt jednak daleko, cały czas wszystko obserwując.

„Pańskie oko konia tuczy” - powtarza w myślach ulubione powiedzonko ojca.

Po około godzinie, stwierdziwszy, że koń gotowy, wraca. Zapłaciwszy podkuwaczowi należność, wręcza chłopcu suty napiwek. Całe dwa złote. Tyle, ile kosztuje pięćdziesiąt kilogramów żyta!

- Bardzo ci dziękuję - mówi, zręcznie wskakując na siodło.

Chłopak ze szczęścia nie jest w stanie otworzyć ust.

- Boziuniu, dwa złote za nic! Mam szczęście!

Równie pomyślne okaże się dla niego spotkanie oko w oko z samym, groźnie wyglądającym generałem.

Chłopcy z chałup po drugiej stronie Batorowa, idąc do kościoła na przedkomunijne katechezy, jak zwykle, skracają sobie drogę przez dworskie podwórze. Czyściutkie, wyłożone kamieniami, poprzegradzane alejkami i zielenią trawników, ukrzewione i ukwiecone, przyciąga ich jak magnes. Nic to, że administrator, pan Mikołajczak za każdym razem ich przegania.

Najważniejsze to bieg przez dworski teren aż do czworaków, gdzie mieszkają pracownicy generała i gdzie kończy się Batorowo, a - koło kościoła - zaczyna Lusowo. Suną jak najbliższej siatki okalającej park - z patykami w dłoniach. Przykładane do ogrodzenia powodują piekielny hałas, co samo w sobie stanowi dodatkową atrakcję.

Wtem, jak spod ziemi, wyrasta przed nimi właściciel z dwoma białymi psami, które zaczynają wściekle na nich ujadać. Choć nieduże, tak są zajadłe, że winowajcy boją się ruszyć. Tym bardziej, że dziedzic minę ma marsową i wcale nie przypomina dobrodusznego dziadka widywanego przed kościołem. Mimo to, jak na komendę, wygłaszają zgodnym chórkciem.

- Dzień dobry, panie generale!

- Dzień dobry, dzieci - odpowiada i jego srogie oblicze łagodnieje. Ucisza też psy.

- Tedi, Digan! Do nogi!

Najwidoczniej żal mu trzęsących się ze strachu łobuziaków, gdyż wcale na nich nie krzyczy.

- Chłopcy, nie róbcie tego więcej, bo będę musiał siatkę od nowa malować, a to kosztuje i na cukierki dla was nie starczy.

Uciekają bez słowa, porzuciwszy kije, a on patrzy za nimi z wyrozumiałym uśmiechem.

JAK PTAKI PODNIEBNE

Olgierd wbiega po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, tak mu spieszo podzielić się z siostrą oraz Irką Hasiewiczówną upragnioną przez nie wiadomością.

- Panienci, fundować tutaj buziaki, ale już! - nadstawia policzek. Zabieram was dziś na Ławicę. Szybowcowe pokazy będą!

Dziewczęta rzucają się mu na szyję, a on udaje, że się przed nimi opęda. Nie potrafi jednak ukryć radości i dumy.

- No, no, tylko bądźcie grzeczne! Ale teraz jeść mi dajcie, bo umrę z głodu i kto was zabierze na lotnisko?

- Jesteś od nas młodszy, więc kto kogo zabiera?

- Ten, kto zorganizował wstęp!

Podskoczywszy, zawiesza się końcami palców na górnej framudze drzwi i - podkuliwszy nogi - huśta się, wydając triumfalne okrzyki. Wtórują mu radosne piski tańczących na środku pokoju przyjaciółek.

Z jednej strony szybowiska - wielkiego placu okolonego różnokolorowymi chorągiewkami, w długim, równym szeregu stoją wyczynowe szybce na „szubienicy”, czyli na uwięzi lin przytrzymywanych przez obsługę. Na kadłubach widnieją nazwy poszczególnych egzemplarzy: „Orzeł”, „Sokół”, „Lechita”... Przeciwny koniec placu wznosi się ku górze, tworząc płaskie wzniesienie. Na nim - wyciągarka i sędziowski stolik, ponad którym powiewa rękaw wiatromierza i klubowe chorągwie.

Pierwszy w szeregu „Orzeł” rusza wolniuteńko ku pochyłości, ciągniony na wyprężonych linach przez kilku pochylonych z wysiłku mężczyzn, następnie windowany w górę na wydzwigarce.

Na placu mnóstwo widzów; wśród nich Janka z Irką. Wielu stoi na trawie. Niektórzy, bardziej podnieceni, biegną ku szybowcom, jakby przyciągani niewidzialnym magnesem, lecz ludzie z obsługi, o czym świadczą służbowe opaski na przedramionach, zawracają ich w połowie drogi. Tłum kłębi się także koło sędziowskiego stolika na górze.

Olgierd, ustawiwszy dziewczęta w „dobrym punkcie”, odchodzi do swoich obowiązków pomocnika naciągacza lin.

- Spójrz! - Janeczka ściska mocno łokieć Irenki. - Wyglądają jak jakieś białe, egzotyczne ptaki, które się zgrupowały na wiecu przed odlotem do ciepłych krajów. Cudownie!

Ich szeroko rozpięte skrzydła lśnią srebrzyście w słonecznym blasku, kontrastując ze

świeżą zielenią trawy. Wysoko na masztach łopoczą dumnie chorągwie z barwami Aeroklubu Poznańskiego. Całą przestrzeń wypełnia radosny zgłęb miłośników szybowcowych zawodów. W jakiejś chwili milknie, zagłuszony dźwiękiem trąbek. Czterej trębacze dmą w nie ze wszystkich sił, głosząc rozpoczęcie zawodów.

Jakby na potwierdzenie tego faktu rozlega się huk samolotu i wszyscy zadzierają głowy do góry, by w niemym zachwycie podziwiać sunącego za nim na hoku białego ptaka. Kiedy w następnej chwili zostanie uwolniony z uwięzi i rozpocznie samodzielny, majestatyczny, podniebny lot, z piersi widzów wydobywają się mimowolne piski, nieartykułowane zawołania, a nawet słowa dopingu. Szybowiec wykonuje właśnie trzykrotny obrót w powietrzu, co wywołuje gromkie okrzyki i oklaski.

Janeczka klaszcze w dłonie, uniósłszy ramiona, co nie rozładowuje w niej uczucia nigdy jeszcze niezaznanej ekscytacji i gorącego pragnienia, aby się znaleźć na miejscu pilota.

- Irka, to właśnie chcę robić! To coś dla mnie!

- A śpiewanie? La Scala?! Mdlejący z zachwycenia wielbiciele? - pokpiwa koleżanka.

- Tamto? To po prostu rozrywka, przyjemność. Ale nie prawdziwe życie!

- Ale to niebezpieczny sport. Wątpię, czy twój tatuś się na to zgodzi.

- To mu nie powiem.

- Aha! A skąd „flotę” weźmiesz choćby na opłacenie kursów, szkolenia, na strój pilota? Widzisz, jak wyglądają. Skórzana pilotka, okulary ochronne, kombinezon, buty... To nie bluzeczka, którą sama uszyjesz, co ci zresztą świetnie wychodzi. Kto by pomyślał, że jesteś córeczką właściciela majątku ziemskiego i magnackiego pałacu na dodatek!

- A ja i tak będę latać. Patrz! Patrz, co on wyczynia! To w górę szybuje, to w dół spada! O, a teraz... Spójrz, obraca się. Spirale robi! Potrójną!

- Korkociąg - podpowiada ktoś z boku.

Zanim szybowiec, wyrównawszy znów lot i bezszelestnie przemkną ponad placem, wylądowuje w jego odległym krańcu, a chłopcy z obsługi, a wśród nich Olgierd - zaczepiwszy go na liny, odprowadzają do hangaru, pozostałe maszyny suną - jedna za drugą - przez plac i wjeżdżają po zboczu na wyciągarce. Tłumy entuzjastów podążają za nimi, pragnąc chociaż ich dotknąć, zanim pofrzną w niebo. Janina, pociągnawszy za sobą przyjaciółkę, też pędzi w ślad za nimi.

Następują kolejne starty i kolejne, coraz to bardziej wymyślne ewolucje powietrzne. Stąd jeszcze lepiej widać wykonywane przez wyczynówki akrobacje. To dla niej jednocześnie pierwsza lekcja w tej dziedzinie, a każde nowe określenie z nią związane przyswaja sobie od razu. Brzmia w jej uszach tajemniczo i podniecająco. Co chwila rozlegają się okrzyki obsługi:

- Naciągaaaj!

- Bieegieem!

- Puść!

I fachowe zawołania widzów:

- O, korkociąg!

- Wyszędł, zuch!

- Looping! Looping!

- Renversement! (looping - ang. pętla. Po wyjściu z loopingu szybowiec staje pionowo w powietrzu, by błyskawicznie wykonać renversement - franc. I niby zanurkować w dół.)

Kiedy ostatnia maszyna miękko usiądzie na trawie, a po dłuższej chwili z kabiny zeskoczy na trawę pilot, tylko dlatego nie ruszy ku niemu, że ją Irka od tego powstrzymuje.

- Przestań. Nie wypada!

Od tej chwili marzy tylko o jednym. Jak by się dostać do Poznańskiego Aeroklubu!

- Czy ty byłeś kiedy, tateńku, na zawodach szybowcowych?

Janka patrzy na ojca z nadzieją, że ją zrozumie.

- A wiesz, że nie - generał zamyśla się przez chwilę. - Rozumiem, że ty byłaś, i że to sprawka Ola?

- Zgadłeś, tatku. I... ja już nie chcę być śpiewaczką operową. Wolę latać

- Aha, latać! Ale to chyba trzeba najpierw jakiś kurs przejść, co?

- Właśnie. I dlatego ja... Chciałabym prosić ciebie o zgodę. Już się dowiadywałam. To tylko trzy miesiące i przyjmą mnie do Aeroklubu. Przedtem tylko jeszcze trzeba będzie na obóz szkoleniowy pojechać. Płatny. Kategorię „A” i „B” zdobyć. Olo młodszy ode mnie, a już ma to za sobą.

- Czy to znaczy, że już nie zamierzasz studiować w konserwatorium?

- Wcale nie. Dobrze jest umieć śpiewać i grać na instrumentach. Zwłaszcza na pianinie. To przyjemność. Ale latanie to moja pasja. Tylko to! Bo co można zrobić dla Ojczyzny śpiewem? Za to pilot... Tatku, taką umiejętnością to przecież krajowi można służyć!

- Latając szybowcami?

- A kto mówi, że szybowcami! To początek. Będę pilotem motorowym, tatusiu. Będę broniła polskiego nieba, gdyby wybuchła wojna!

Serce generała od razu mięknie.

- Moja krew! Dobrze cię wychowałem.

Przygarnąwszy córkę mocno, co zdarza się mu nieczęsto, ponieważ jest zwolennikiem surowego traktowania dzieci (z wyjątkiem Gusi), wyraża zgodę.

- Nie mam nic przeciwko temu. Żeby tylko nauka na tym nie ucierpiała. Przed tobą matura!

Wykłady z wiedzy teoretycznej odbywają się raz w tygodniu w sali Klubu Lotniczego na Ławicy, najpierw z zakresu matematyki, następnie z mechaniki lotu, a na koniec z techniki latania. Kursanci uczą się ze skryptów, lecz jej to nie wystarcza. Podczas zajęć robi dokładne notatki, które potem pilnie studiuje, a dobra pamięć sprawia, że nie koliduje to z obowiązkami gimnazjalistki.

Kurs kończy z wynikiem celującym, z doskonałą teoretyczną znajomością mechaniki lotu i niezbędnych do tego wzorów. Równie dobrze radzi sobie z egzaminem dojrzałości i wstępnym na studia. Przed nią wakacje i wyjazd na obóz, gdzie - po odbyciu ćwiczeń naziemnych - zamierza zdobyć licencję pilota szybowcowego z kategorią „A” i „B”.

- Nareszcie wypróbuję siebie na wysokości!

Pierwszy, niesamodzielny jeszcze lot, poprzedzony ćwiczeniami najemnymi, dzięki czemu zdobędzie kategorię „A” i „B”, odbywa na szybowisku w Radkowie koło Piły. Usytuowane pod górką, na której powiewa długi „rękaw” wskazujący kierunek wiatru, pokryte trawą, budzi w niej uczucia, których nie potrafi wypowiedzieć.

Z roziskrzonym wzrokiem spogląda w stronę hangarów, w których odpoczywają podniebne ptaki - lekkie, białe szybowce.

- Tu, w tym miejscu, oderwę się od ziemi. Poszybuję w przestworza!

Lecz najpierw trzeba się zainstalować w obozie. Na niewielkiej polanie sąsiadującej z szybowiskiem stoją w rzędzie niewielkie domki, w których mieszkają pracownicy. W jednym z nich mieści się kancelaria. Obok rozbito półkołem wojskowe namioty dla kursantów. Na wysokim maszcie powiewa biało-czerwona chorągiew.

Przed chwilą załatwiła w kancelarii formalności związane z pobytem i otrzymała miejsce w namiocie. Drugim z lewej. Lecz nie od razu oderwie się od ziemi. Najpierw żmudne ćwiczenia naziemne, ale i to dla niej przeżycie niemające sobie równego.

- Nareszcie wewnątrz szybowca!

Niczego podobnego dotychczas nie doświadczyła, więc puszcza wodze fantazji. Podekscytowana, nie jest w stanie przełknąć kolacji wydawanej w największym namiocie - stołowym - a potem nie może zmrużyć oka. Kiedy wreszcie zaśnie, śni, że się unosi w powietrzu, na własnych, potężnych, białych skrzydłach - lekka i bezgranicznie szczęśliwa.

Budzi ją głos trąbki, a z polówki podrywa okrzyk instruktora.

- Zbióórkaaaa!

Po porannym apelu na świeżym powietrzu nieoczekiwanie odzyskuje apetyt. Lepiej

jednak zachować wstrzemięźliwość. Przejedzenie grozi ociężałością. Myślami krąży przy hangarach, gdzie „spią” jej ukochane białe, techniczne ptaki podniebne.

Już się przy jednym krzątają chłopcy z obsługi. Wyprowadzony na szybowisko, ucepiony do „szubienicy”, ustawiony pod wiatr, oczekuje na kursantów.

Janina, ubrana jak pozostali koledzy (jest tu jedyną dziewczyną) w treningówki i lekką koszulkę, czeka na swoją kolej, kiedy nareszcie będzie mogła wskoczyć na siodełko. Czyni to zgrabnie, co ułatwia jej wysoki wzrost i wysportowane ciało. Pewnymi ruchami zapina pasy, lecz drążek ujmuje nieco drżącą z emocji ręką. Jej koronne zadanie to utrzymać kiwający się mocno szybowiec w równowadze. Niby łatwizna, lecz instruktor poucza:

- Drążki trzymamy lekko, nie ściskając. Trzeba czuć maszynę. Be tego nigdy nie będziesz dobrym pilotem.

„Ależ ja ją czuję! Jak żywą istotę!” - myśli, ogarniając drążek pewną i czułą dłonią, a on znów instruuje.

- Pilnuj, żeby horyzont na wprost utrzymywać w linii poziomej. Nie ma prawa się przechylać. I żeby skrzydła nie opadały.

Mimo zdenerwowania udaje się jej zapanować nad mechanizmem tak doskonale, że zasłuży na pochwałę wymagającego nauczyciela. Tym niechętniej odpina pasy, ustępując miejsca za sterami następnemu kursantowi.

- To wprawdzie „ptak na uwięzi”, ale ma w sobie potencjał! Kiedyś wzbije się w przestworza - wolny, zwycięski, a ja na nim!

Zdumiona i uradowana, że sterowanie bezsilnikowym samolotem jest takie łatwe, wyskakuje z błyszczącym wzrokiem, zarumieniona na twarzy, z rozwianą kasztanową czupryną - zgrabna i szczupluteńka jak chłopiec.

Kiedy wszyscy kandydaci odbędą ćwiczenia naziemne, instruktor zarządza:

- Maszyna do hangaru, a kursanci do namiotów biegiem marsz!

Pędzi, ile sił, lekka jak ptak, w duchu już wzbijając się pod niebo.

Zanim to nastąpi, wiele jeszcze razy odbędzie lot symulacyjny. Aż któregoś ranka trener ogłasza:

- Dziś start z góry!

Rozlega się chóralny wrzask radości i wszyscy puszczają się w ślad za ciągnionym przez konia szybowcem. Zwierzę wciąga go aż na szczyt. Tu, umocowany linami, zdaje się rwać jak ptaszysko do lotu. Pierwszy wykonuje instruktor, potem kolejno jego podopieczni.

Janka mocno przeżywa każdą próbę kolegów, a uwagi mentora w rodzaju: „Pompuje!” albo „Zwis niewyrównany”, odbiera, jakby stosowały się do niej. Sama przeżywa

mękę, w strachu, że zrobi świecę i rozbije maszynę, albo że ją zniesie gdzieś na las czy jakąś wodę.

Wreszcie przychodzi kolej na nią. Już wkracza na deskę startową, już siedzi w siodełku, a serce omal nie wyskoczy jej z piersi. Mimo to panuje nad sytuacją. Instruktor pochyla się nad nią, udziela ostatnich rad, a potem prostuje się gwałtownie, by dać znak obsłudze trzymającej liny i chłopcu, który stoi przy ogonie, trzymając drut od zaczepu. Jednocześnie wydaje im i każdemu osobno - stosowne polecenia. Kiedy potwierdzą gotowość na swoich stanowiskach, zwraca się do niej.

- Pilot gotów?

- Gotów! - odpowiada suchymi wargami, lecz wyraźnie.

Z ręką na drążku, z nogami w orczyku, czeka w gotowości na ostatnie jego słowo. Wreszcie pada.

- Puść! - rozkazuje obsłudze, jednocześnie wciskając stoper.

- Nareszcie!!!

Choć nerwy napięte do ostateczności, błyskawicznie, leciuteńko odpycha drążek steru od siebie. Czuje mocne szarpnięcie i maszyna rusza cichym świstem, który towarzyszy puszczonej linkom. Kiedy poczuje, że nie dotyka już ziemi, leciuteńko przyciąga wolant. Prowadzi pewnie, sterując z wyczuciem i kierując się prościutko na upatrzony wcześniej punkt, kilka cudownych chwil i sprawnie, czując lekkość szybowca oraz własną, bez przechyłu osadza go na trawie. Dopiero wtedy przeważa na prawą stronę, bo jedyna płoza uniemożliwia utrzymanie równowagi. Obsługa bez zwłoki bierze go na liny.

- To już?! Tak krótko?

To nie umniejsza jej szczęścia. Wziąwszy głęboki oddech, wyskakuje na trawę i pędzi ku instruktorowi. Jego mina świadczy, że wypadła znakomicie. Nie ma żadnych uwag.

- Jaki czas? - to interesuje ją najbardziej.

- Czterdzieści pięć sekund. O tyle bliżej do kategorii „A” - dodaje żartobliwie.

Nie przeczuwała, że można przeżyć aż taką radość. Nie był to wprawdzie długi, podniebny lot na samolotowym holu, liczy się jednak, że leciała!

Dzień w dzień ćwiczą teraz starty, loty na wiraże i skręty oraz siadanie na upatrzonym punkcie, a mistrz za każdym razem zwiększa stopień trudności.

Wszystko to wykonuje bezbłędnie, z wyczuciem i coraz doskonalej, chociaż przy pierwszym skręcie czuje tremę. Głównie z powodu silnego akurat wiatru. Wieje z prędkością 5 m/s i bardzo nią huśta. Mimo to odważnie, z wyczuciem popycha orczyk lewą nogą i pochyla lotkę w lewo, a maszyna posłusznie kładzie się w lewo. Kiedy cofnie lotkę i nogę,

prostuje lot. Podobnie - prawą stroną ciała - zmusza ją do skrętu w prawo.

Zespolona ze swoim podniebnym, płóciennie-drewnianym ptakiem, przeżywa pełnię szczęścia. Jej dłonie prowadzą go pewnie, oczy ogarniają całą przestrzeń i zawsze siada tam, gdzie zamierzyła. Bez trudu zdobywa kategorię „A”, lecz to tylko ćwierćmetek. Bez przerwy marzy o chwili, kiedy wystartuje samodzielnie. Gdy, w związku z tym, pod koniec kursu zdobędzie kategorię „B”.

Mimo że działa jak w transie, zachowuje przytomność umysłu i najwyższe skupienie. Nie dopuszcza myśli o najmniejszej nawet pomyłce. Na razie wpatruje się w ciemnawe wnętrze ogromnego hangaru, a raczej w bielejący tam szybowiec. Zbliży się do niego z bijącym sercem, dotyka leciutko dłonią specjalnej tkaniny opiętej na drewnianym szkielecie, po czym wycofuje się na zewnątrz. Instruktor już na nią czeka i uśmiecha się krzepiąco. Patrzą teraz oboje, jak mechanicy sprawdzają stan techniczny maszyny, jak - usunawszy podkładki spod kół - zaczynają wypychać ją z hangaru. Kiedy ją transportują na górę, podążają za nimi powoli, w milczeniu.

I wreszcie ta chwila... Zająwszy miejsce w siodełku i zapiąwszy pasy, zerka na wskazówkę wiatromierza. Pokazuje niezbyt dużą szybkość wiatru. Zaledwie 2,5 m/s. Jest gotowa do lotu, lecz trzymający skrzydła mechanicy jeszcze do niego nie dopuszczają. Skupiona maksymalnie, ale i podekscytowana, z trudem przełyka ślinę, a terkot silnika samolotu holującego, chwilami przechodzący w wycie, brzmi w jej uszach jak najwspanialsza muzyka. Drży z przejęcia, każdym nerwem ciała czując wibrowanie gotowej do zrywu maszyny, lecz tamci wciąż ją mocno trzymają.

- Jeszcze nie czas.

Dobrze wie, o co chodzi. Musi przecież sprawdzić działanie sterów. Dopiero wtedy, poprawiwszy okulary ochronne i skórzaną pilotkę przytrzymującą włosy, zerknawszy pytająco na instruktora, daje obsłudze znak ręką.

- Usuwać podkładki!

Ruszając na start, trzęsie się razem ze swym narowistym ptaszyskiem, kiwającym na boki płóciennymi skrzydłami - niezgrabnym jak monstrualna gęś. Rozlega się ogłuszający huk holownika, rozdygotany szybowiec nabiera szybkości. Pęd powietrza smaga jej policzki, wyciska łyzy z oczu, chociaż osłonięte okularami. Zanim zdąży ochłonać, wszystko ulega zmianie.

Oto odrywa się od ziemi, która gwałtownie umyka w dół. Cichnie także ryk silnika oddalającego się samolotu. Uspokojona, z łatwością wyrównuje lot i płynie oto w powietrzu, pośród majestatycznej ciszy, zatopiona - zda się - w muzyce sfer niebieskich. Wtopiona w tę

muzykę i w tę ciszę, doznaje poczucia niezaznanej dotychczas wolności. Jakiejś przy tym dziwnej mocy, lekkości i swobody nieosiągalnej tam, w dole. Znikły zabudowania obozu, hangary i cały Radków. Już unosi się ponad ulicami Piły. Pęd powietrza chłodzi rozpaloną twarz. Wychyliwszy się, spogląda na ziemię, śledzi odbicie szybowca na błękitnej wodnej połaci. A wszystko takie malutkie, odległe. Drzewa i domy, i... Nie, ludzi już nie widać. Tylko rozległość dokoła. We wszystkich czterech wymiarach. Horyzont kołysze się, przechylając na boki, opuszczając w dół, to wędrując w górę, w miarę jak szybowiec unosi lub opuszcza skrzydła na boki. Również jej ciało bierze w tym udział.

Jestem ptakiem. Rajskim, złotym ptakiem. Motylem! Zdobywcą przestrzeni! Nie istnieją dla mnie żadne przeszkody ani granice. Mogę bujać ponad polami, lasami i wodami - wygodnie oparta, z posłusznym drążkiem od ręką. Tylko ja i ten bezmiar wkoło mnie! - woła na cały głos, pewna, i nikt jej, poza Bogiem, nie usłyszy.

Rozzuchwalona, siłą woli posłuszna głosowi rozsądku, powstrzymuje się, by nie wykonać ósemki. Zawraca. Zniża lot. Ziemia rośnie pod nią, olbrzymieje, maszyną zaczyna trząść i płoza dotyka łąki, sunąc po niej miękko, kładąc trawy, które przypominają teraz pofalowane, zielone rozlewisko.

Zatrzymuje się w miejscu, gdzie czekają chłopcy z obsługi. Podczepiwszy gumowe liny i odczekawszy, aż pojazd stanie i pilot wysiądzie, natychmiast zaczynają odciągać go tam, gdzie oczekuje następny kursant. Rusza za nimi powoli, bo trochę kręci się jej w głowie. Myśli tylko o jednym.

- Nigdy nie wyrzeknę się latania. Nigdy! Nie umiałabym już bez tego żyć. Jeszcze tylko zdobycie kategorii „C” (zdobędzie ją na kursie pilotów szybowcowych w Bezmlechowej koło Leska, w Bieszczadach), a potem... Potem uprawnienia pilota motorowego. A w przyszłości, kto wie, może nawet skoki ze spadochronu? To by było coś! Sama w powietrzu, bez żadnej osłony, tylko z parasolem nad głową!

Wciąż doskonalili swoje umiejętności nabywane całymi latami. Od chwili, kiedy Olgierd zabrał ją po raz pierwszy na pokazy lotnicze, nawet granie i śpiew poszły w ką, choć całkowicie z tych upodobań nie rezygnuje. Każde wolne popołudnie spędza na Ławicy, marząc o jednym: dostać się do Aeroklubu Poznańskiego.

Jako jego członek, przeszedłszy szkolenie na kategorię „C”, zdobywa licencję szybowcowego pilota sportowego i natychmiast podnosi sobie poprzeczkę.

- Szybowce, to nie wszystko. Pilot motorowy, to jest coś!

Mimo to pozostaje wierna swojej pierwszej miłości do płóciennych ptaków. Rezultat przechodzi wszelkie jej oczekiwania.

W 1930 roku, w wieku dwudziestu dwóch lat, uczestniczy w międzynarodowych zawodach kobiet w dyscyplinie skoków spadochronowych. Wykona skok z wysokości pięciu kilometrów, ustanawiając rekord Europy.

Mimo że zawsze w siebie wierzyła i że snuła wielkie plany związane z podbojem przestworzy, nie liczyła na aż taki sukces. Ta CHWILA, kiedy stoi na najwyższym miejscu podium, a cała przestrzeń rozbrzmiewa dźwiękami Hymnu... Polskiego Hymnu! Niepodobna się do nich nie przyłączyć. Jej śpiew płynie prosto z serca - spontaniczny, zwycięski.

Jeszcze Polska nie zginęła, Kiedy my żyjemy...

Słuchając oklasków, ściskając liczne dłonie, odbierając puchar, gratulacje i wiązanki kwiatów, myśli o jednym.

- Będziesz ze mnie dumny, tatusiu.

Zapagnie czegoś więcej. Zdobyć wiedzę, która uczyni ją przydatną. Samo latanie to za mało, by służyć Ojczyźnie. Jako córka swojego ojca czuje się do tego zobowiązana.

- Muszę coś umieć. Coś konkretnego. Inaczej jaki ze mnie pożytek?

Jako pilot szybowcowy zostaje przyjęta do Wyższej Szkoły Pilotażu we Lwowie. Tam też zapisze się na dwuletni kurs radiotelegraficzny - przedsięwzięcie ukończone tuż przed śmiercią ojca. Umie już obsługiwać aparaty Jughesa, tak zwane juzy - szybko piszące telegrafy, będące na wyposażeniu wojska w sztabach. Podnosi to jej akcje na poczcie i owocuje awansem, chce coraz więcej, toteż wkrótce zdobywa uprawnienia pilota motorowego latania na samolotach RWD-8.

Pokazując ojcu dyplom, oświadcza:

- Jestem gotowa, tatusiu.

- Do czego, moje dziecko?

- Do obrony Ojczyzny!

- Obyś nie musiała. Ale wiedz, że bardzo, bardzo mi zaimponowałaś, powinnaś być chłopcem, moja mała.

WYRZUCONA Z GNIAZDA

Po śmierci i pogrzebie generała pałac w Batorowie pustoszeje. Stałą jego mieszkanką jest już tylko schorowana babcia Korsońska, lecz ona nie prowadzi domu otwartego dla licznych gości, jak to czynił jej zięć. Nawet wnuki nie przyjeżdżają tutaj tak często, jak wcześniej. Kiedy się żali z tego powodu Janeczce, ta - nękana wyrzutami sumienia - tłumaczy:

- Obowiązki, babuniu. Pracuję, prowadzę własny dom przy Niecałej...

- Dom! Dwa pokoiki. I Władzię masz do pomocy.

- To prawda. Proszę jednak nie zapominać, że ja latam. To trochę czasu pochłania. A wracając do tematu; Gusia studiuje, do tego w klubie jeździeckim szaleje, a na mojej głowie opieka nad młodszą siostrzyczką. Także planowanie wydatków.

Dobrze muszę głową kręcić, aby pieniądze z dzierżawy na wszystko starczyły. Ledwie mi je pan Buczyński przez Czesława Masztalera dostarczy, już ich nie ma. Czesne za Gusię opłacić, jej stancję u państwa Au, kieszonkowe dać... Latanie też kosztuje. Muszę dorabiać.

- No a Oluś? Nie pomaga?

- Babciu, on także na swoją część co miesiąc, jak na zbawienie, czeka.

- Mam jednak nadzieję, że ciebie chociaż duchowo wspiera? Jedyne mężczyzna w rodzinie. Bo po Gimbie ślad zaginął.

- Olo, jak to w wojsku, nie należy do siebie.

- Coś mi się zdaje, dziecko, że twój czas pochłania nie praca, tylko to latanie nieszczęsne. Jeszcze sobie kark skręcisz! - starsza pani grozi jej żartobliwie palcem.

- Nic, babuniu, nie poradzę, ale to moja największa pasja.

- Obok muzyki i miłości do koni. Wiem, kochanie. Powinnaś mieć jeszcze jedną.

- Jakąż to?

- Ile ty masz lat, moje dziecko? Trzydzieści najmniej. A... miłość? Mąż, dzieci...

- Babciu, ja nie mam na to czasu!... Ani odpowiedniego kandydata - dodaje ciszej.

- Znajdzie się. Otwórz tylko szerzej oczy, marzycielko.

- Po doświadczeniu z moim niewydarzonym hreczkosiejem, nie mam ochoty szukać.

- A może należałoby?

Słowa te nieoczekiwanie wracają do niej podczas pracy na poczcie, po chwili przerwy między „grzebaniem w papierkach”. W myślach kontynuuje rozmowę z babcią.

- Właściwie to ja jestem starą panną, babuniu. I nie narzekam. Moja rodzina to koledzy z aeroklubu, a dzieci to kolejne zdobywane uprawnienia i osiągnięcia. Wśród nich to

najwspanialsze, sprzed ośmiu lat. Skok na spadochronie z pięciu kilometrów. Pierwsza kobieta w Europie!

- Niedobra dziewczynka. Myślałam, że serce mi pęknie, kiedy sobie wyobraziłam ciebie, spadającą z nieba! Cud, że nóg nie połamalaś!

Janina ściska babcię serdecznie i uśmiecha się do TAMTEJ CHWILI.

- Zawsze pragnęłam być podziwiana. Najpierw na scenie, ale to marność. Nie wytrzymuje porównania ze skokiem w przepaść. Ze spadaniem z uczuciem, że wszystko zależy ode mnie. Jedno pociągnięcie dźwigni i czasa spadochronu bezpiecznie, po napowietrznym locie, doniesie mnie na ziemię. A tam wiwatujące tłumy, owacje i nagrody!

- Zasłużyłaś sobie na to, moje dziecko.

Pani Korsońska dyskretnie ociera samotną łzę, co - nieproszona - spływa po policzku.

- Może?... Żeby do tego dojść, musiałam ostro zakasać rękawy. Gdzie mi tam w głowie amory były! Chyba dlatego zerwałam z narzeczonym. Chociaż... Może babunia ma trochę racji? Nigdy nie patrzyłam na płęć przeciwną inaczej jak na kolegów. Może więc to moja wina, że nie zaznałam prawdziwej miłości?

Tak się zamyśla, że nie widzi zapłakanej buzi Irki w uchylonych drzwiach jej biurowego pokoju. Zareaguje dopiero na cichy głos.

- Jana...

- Boże, Iruś! Co ci jest? Chodź tu do mnie!

Sadowi przyjaciółkę na krzesło, przykuca z dłońmi na jej rozdygotanych kolanach.

- A teraz mów!

- Ty nic nie wiesz? - dziewczyna płacze tym mocniej.

- Mam nadzieję, że mi powiesz.

- Wczoraj po południu spotkałam na przystanku tramwajowym koło Arkadii Ola - zaczyna przez łzy.

- No i?... Jakaś przykrość ci zrobił?

- To ja... Ja. Gdybym z nim poszła, do niczego by nie doszło.

- Słuchaj Irka. Ja za moment zwariuję. Mów jaśniej, o co chodzi!

- On mnie zaprosił na bal lotników, do Arkadii właśnie, ale odmówiłam. Nie byłam przygotowana, żeby tak z chwili na chwilę... Boże, dlaczego to zrobiłam! Gdybym z nim poszła, nie doszłoby do nieszczęścia.

- Jakiego nieszczęścia?! Coś się Olusiowi stało?

- Jana. On nie żyje! - Irka ponownie wybucha płaczem.

- To nieprawda! Przestań, przestań! - zrywa się na równe nogi, chwyta szlochającą za

ramiona. - To jakaś pomyłka! Przyznaj się! To wiadomość niesprawdzona!

- Niestety. Trochę za dużo wypił, a potem... Poszło o honorowy kodeks oficerski. Kobieta, rozumiesz. No i strzelił sobie w łeb. Boże, dlaczego z nim nie poszłam! On miał dopiero dwadzieścia cztery lata!

Olgerda Dowbora-Muśnickiego pochowano z wojskowymi honorami w kwaterze lotników w Poznańskiej Cytadeli. Utrata jedyne, obecnego w jej życiu brata, zaledwie rok po śmierci uwielbianego ojca, wstrząsa Janką do głębi. Przystaje nawet bywać w aeroklubie. Wciąż o nim rozmyśla, zbiera wszystkie wycinki z gazet na temat tej strasznej śmierci, nosi po nim żalobę, oplakuje go i modli się o Niebo dla niego.

- Panie Boże Wszechmogący, wybacz mu. Nie potępij! On nie wiedział, co czyni, niemądry dzieciak. A może myślał, że w ten sposób wykonuje testament ojca? Aby nie splamić oficerskiego honoru? Nazwiska Dowborów-Muśnickich?... Tak czy tak, nie przekaze już złotej nici łączącej pokolenia swoim dzieciom. Nigdy nie będzie ich miał.

- Dobrze, że tatko tego nie dożył - tatusiowej ulubienicy, Gusi, to najbardziej zdaje się leżeć na sercu.

Całymi godzinami rozmawiają na ten temat, wspominają szczęśliwe dzieciństwo w Batorowie, zmarłą wcześniej mamę, którą młodsza siostra zna tylko z fotografii, oraz cudownego ojca, który był dla swoich dzieci bogiem. Wpatrzone w jego portret wiszący na ścianie sypialni płaczą z tęsknoty za nim i za życiem, które bezpowrotnie przeminęło, oglądają też pamiątki, które starsza siostra pieczołowicie przechowuje.

- Był... jest dla mnie wzorem. Wielkim autorytetem. I wciąż pamiętam jego testament. Ten duchowy, który nam przekazał trzy lata przed swoją śmiercią. Pamiętasz?... Abyśmy nie splamili rodzowego nazwiska, a życie tu poświęcili Polsce. A my... Olo strzelił sobie w łeb, a Gimba całkiem wyrzekł Ojczyzny.

- Wyrodził się, kosmopolita.

- Wygląda na to, że nam, dziewczynom, przypadnie w udziale wypełnienie woli ojca - kończy Agnieszka z dziwną powagą.

Śmierć Ola tak mocno dotyka babcię Korsońską, że Janka nie ma serca ją zostawić na łasce służby. W kwietniu 1939 roku zabiera staruszkę do siebie, aby się nią - z pomocą niezastąpionej Władzi - opiekować. W Batorowie bywa bardzo rzadko. Jeszcze tylko Agnieszka przyjeżdża tam z przyjaciółmi na niektóre soboty i niedziele.

NARESZCIE MIŁOŚĆ

Rozpacz Janiny spowodowaną rodzinną tragedią łagodzi tym większe oddanie się pasji latania. Mija właśnie rok od tamtych dramatycznych wydarzeń i, chociaż serce wciąż ściska żal, już nie krwawi. Pomaga też nawał obowiązków. Praca zarobkowa (wpływy z dzierżawy Batorowa musi dzielić ze studiującą Agnieszką), również dodatkowa - dorywcza, plus zajęcia związane z lotnictwem wypełniają jej czas całkowicie.

Wiosenne pokazy szybowcowe 1939 roku w Tęgoborzu koło Nowego Sącza to okazja, której nie może pominąć. Postanawia wziąć w nich udział. Nie przeczuwa, że będą w jej życiu przełomem.

Korzystając z mocno już przygrzewającego tu kwietniowego słońca, postanawia opalić się na górskim stoku. W kostiumie kąpielowym pod sukienką, z książką i kocem pod pachą, wędruje do upatrzonego miejsca zapewniającego intymność (jest tu jedyną kobietą wśród mężczyzn). Kiedy jednak minie upatrzoną kępkę jałowców, staje - zawiedziona. Ktoś ją ubiegł.

Na murawie leży jak długi, rozebrany do pasa, wysoki szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy, z dłonią zanurzoną w ciemnej czuprynie, co tym bardziej odsłania jego przedłużone lekką łysiną, gładkie czoło.

Wycofując się tyłem, aby go nie obudzić, bo zdaje się drzemać, zahacza nogą o kamień. Padając, wydaje mimowolny okrzyk.

- Bardzo się pani potłukła?

Nieznajomy stoi nad nią, uśmiechając się tak uroczo, że traci mowę. Bez słowa przyjmuje jego wyciągniętą rękę, podnosi się zgrabnie i... Jego ciemne, roziskrzane oczy, tuż przed jej oczami, a szczególnie uśmiech, w ułamku sekund eksplodują w niej taką radością i czymś nienazwanym a cudownym, że bezwiednie też się do niego uśmiecha. I wciąż milczy, niezdolna do otworzenia ust, zmieszana i... bezprzedmiotowo szczęśliwa!

On tymczasem, schyliwszy się błyskawicznie po koszulę i osłoniwszy tors, wciąż z tym oszałamiającym uśmiechem, kłania się szarmancko.

- Pozwoli pani - rezerwista lotnictwa, starszy sierżant pilot 305. Dywizjonu Bombowego Ziemi Wielkopolskiej, instruktor tutejszej szkoły szybowcowej, Mieczysław Lewandowski, do usług. (W czasie wojny awansuje do stopnia podpułkownika.)

Najwidoczniej zadziałała dobra kindersztuba, bo - mimo iż potężnie oszołomiona - rewanżuje się automatycznie.

- Pilot szybowcowy i samolotowy, Janina Antonina Dowbor-Muśnicka.

Z dłonią w jego dłoni trwa jak rażona gromem, po prostu zniewolona. Ten uśmiech!...

„Co to jest?!” - myśli, zdumiona narastającą w niej radością. Bezwiednie pozwala mu zatrzymać swoją rękę, z całego serca pragnąc, aby to trwało.

Stoją więc - oboje znieruchomiali - wpatrzeni w siebie, gotowi - gdyby wypadło - rzucić się sobie w objęcia. Mają to pragnienie wypisane w oczach i oboje dobrze o tym wiedzą. Bezsilni wobec tego, co się właśnie wydarzyło, nieświadomi cudu, którego jeszcze nie potrafią nazwać, jednego są pewni jak niczego na świecie. Żadne z nich nie pozwoli drugiemu zniknąć ze swego życia.

Zdumiona i oczarowana nawałnicą nigdy niezaznanych uczuć zapragnęła nagle tańczyć, śmiać się i śpiewać. I jeśli tego nie robi, to dlatego, by nie stracić z oczu jego uśmiechu. Trzyma ją jakby na uwięzi. Im dłużej na niego patrzy, tym głębsza radość, tym większa jakaś słodycz w sercu.

- niepojęte - wie, że on czuje to samo.

Ślub cywilny, zawarty w obecności świadków - pana Stanisława Kowerskiego i przyjaciółki, Ireny Hasiewicz - uświetniony tylko skromnym przyjęciem przy Niecałej 1, z udziałem świadków - Agnieszki, państwa Jasiewiczów i Au, Władzi Włodkowskiej i oczywiście babci Korsońskiej, zawierają w poznańskim Magistracie już 10 czerwca. Kościelny odbędzie się również bez pompy), tydzień później, 17 czerwca, w Tęgoborzu, w kościółku pw. św. Stanisława Biskupa. Łączy ich podwójnym węzłem: miłości od pierwszego wejrzenia i przysięgi złożonej przed Bogiem.

Zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej uroczystości obecni napa trzecią się nie mogą ich szczęściu, tacy są radośni, zakochani w sobie, jak para dzieciaków. Najbardziej cieszy się babcia Korsońska.

- Teraz, moje dziecko, jestem o ciebie spokojna. Nie zginiesz, masz opiekuna.

Po ślubie państwo młodzi wyjeżdżają do Batorowa. Przeżyją tu niezapomniane chwile, a ich szczęście sięga zenitu. Trzeba się jednak na jakiś czas rozstać. Jego obowiązki wzywają tymczasowo do Tęgoborza, ona musi zostać w Poznaniu. Nie przypuszcza, że to pożegnanie na peronie dworcowym będzie kiedyś dla niej najboleśniejszym i najcudowniejszym zarazem wspomnieniem.

Nieświadomi, że od wojny dzieli świat tylko dziesięć tygodni, snują plany na najbliższą wspólną przyszłość, kiedy Mieczek - rozwiązawszy umowę z szybowiskiem w górach - przeniesie się na podpoznańską Ławicę. W międzyczasie obiecuje przyjeżdżać w każdą niedzielę, by spędzać je razem z ukochaną w Batorowie.

- Potem nikt i nic nas już nie rozłączy!

Janina, nie zważając, że na peronie pełno ludzi, tuli się do niego rozpaczliwie, a on - ująwszy jej twarz w obie dłonie - zapewnia żarliwie:

- Nikt i nic.

- Nawet wojna?

- Nawet. Nie wierzę zresztą, że do niej dojdzie. To zwykłe plotki.

- Coś za dużo tych plotek ostatnio.

- Naprawdę musimy się rozstawać, „Jaskółeczko”? - nie chce wypuścić jej z objęć. - Rzucaj pocztę i jedź ze mną. Sześć dni bez ciebie to koszmar nie do zniesienia! Ja nie wiem, jak jeden dzień przeżyć samotnie, a ty mi mówisz o sześciu dniach!?

- Obowiązki, Mieczku. Obowiązki... Muszę uporządkować sprawy. Gusia, babunia, dzierzawa - wszystko było dotychczas na mojej głowie. I mieszkanie jakieś wypadłoby znaleźć. Nie możemy zamieszkać razem w klitkach przy Niecałej. Jest przecież babcia.

- Ale w Batorowie jak najbardziej.

- I dzień w dzień do Poznania dojeżdżać?

- Jeśli chodzi o mnie, mogę.

- Oj, Mieczuś, nie żartuj. Wszystko zależy od ciebie. Jak najprędzej kończ z Tęgoborzem i przyjeżdżaj.

- Chciałbym, ale umowa. Sama rozumiesz. Nie sposób zerwać. Zamierzam wprawdzie zostać milionerem, ale do płacenia kar mam wrodzony wstręt.

- Ale na wrześniowe mistrzostwa lotnicze Polski do Warszawy ze mną pojedziesz? Dawno zgłosiłam swój udział.

- I oczywiście musisz je wygrać?

- Spróbuję. A teraz już idź, bo jeszcze chwila, a wsiądę z tobą do pociągu.

Głos z megafonu zapowiada wjazd składu do Krakowa, więc - przytuliwszy się do niego z całej siły - mówi przez łyżę:

- Czekam w niedzielę rano. Od razu do Batorowa cię porwę!

- A nie w sobotę późnym wieczorem?

- A zdążysz?

- Muszę!

Obejmuje ją tak mocno i tak się cudownie uśmiecha, że niemal jest gotowa albo go nie puścić, albo jechać razem, lecz poczucie obowiązku przeważa.

Kiedy - wychylony z okna - macha jej ręką, wołając: „Do widzenia, jaskółeczko”, płacze tak przejmująco, jakby go traciła na zawsze.

NA RATUNEK OJCZYZNIE

Janina patrzy głęboko w oczy swojej młodszej siostry. Jest niezwykle poważna.

- Gusia, wojna trwa już drugi dzień, dłużej nie mogę zwlekać. Wierzę, że dasz tu sobie radę. Pamiętaj, że odpowiadasz za babunię. Zresztą Władzia ci pomoże, już mi to obiecała. Myślę, że powinnaś zamieszkać przy Niecałej, tak będzie lepiej. Mieszkanie opłaciłam, węgiel na zimę kupiłam, w spiżarni pełno zapasów - da Bóg, nie zginiecie. Lada dzień Masztalerz powinien się pojawić z dzierzawą, będzie dobrze. Ja zresztą dłużej niż dwa miesiące na wojnie nie zabawię.

- Boże, Janka, a Mieczysław? Nawet się z nim nie pożegnałaś.

Agnieszka za wszelką cenę próbuje powstrzymać siostrę.

- Trudno, wojna. Pamiętasz testament taty. Któreś z jego dzieci musi go wypełnić. Jeszcze jedno. Jak oka w głowie pilnuj albumów i portretu tatusia. Te rodzinne fotografie ważniejsze są od złota. Pamiętaj!

- Janka, a gdybym i ja... musiała wyjechać?

- Ty?! A dokąd?

- Tylko ty jesteś córką naszego ojca.

- Za młoda jesteś. No i obowiązki masz!

Głos starszej siostry brzmi surowo. Malutka Gusia - tatusiowa pieszczoszka miałyby iść na wojnę? Tego sobie nie wyobraża. Co innego ona. Pilot motorowy, przygotowana do służenia Ojczyźnie!

Nie wie, że babcia Korsońska, wsparta o ramię Władysławy, od paru chwil stoi w uchylonych drzwiach i słyszy każde słowo.

- Dzieci, co też wygadujecie! - woła ze łzami.

Podszedłszy do niej, starsza wnuczka całuje pomarszczone dłonie.

- Babuniu. Kto jak kto, ale ty powinnaś mnie zrozumieć. Znam testament duchowy tatusia na pamięć. Wiem, co jestem winna jemu i Polsce!

Również Władka nie może się z tym pogodzić.

- Starsza pani ma rację. Nie idź na wojnę, Janka! Obejdzie się bez biednej kobiety.

- A obowiązek patriotyczny? Muszę go wypełnić.

Rankiem 3. września, ubrana w polowy mundur pilota, z małą walizeczką z rzeczami osobistymi w rękę, z bezcennym medalionem-relikwią na szyi (Gimba nie dał jej okazji, by mu ten zapis przekazać, więc uznała, że jako najstarsza z rodzeństwa, do tego idąca na wojnę, ma do niego prawo), torbą wojskową przewieszoną przez ramię, daje ostatnie polecenia

swojej gosposi, którą traktuje jak koleżankę i z którą są po imieniu.

- Do widzenia, moja droga Władziu, niedługo wrócę. Opiekuj się babcią, Gusią i mieszkaniem, proszę. Masz tutaj dwieście złotych; na razie powinno wystarczyć. Potem do Gusi się zwracaj. A tu kartka dla mojego męża. Oddasz, gdy się pojawi.

Zanim włoży czapkę, przeczesuje palcami swoje bujne, kasztanowate, krótko obcięte włosy, po czym - uściskawszy serdecznie zapłakaną Władzię jak siostrę, już w drzwiach dodaje:

- No nie płacz, to długo nie potrwa. I Gusię ode mnie jeszcze raz ucałuj.

- A do starszej pani nie wstąpisz?

- Masz rację. Jeszcze jej nie powiedziałam, jak bardzo ją kocham.

Zgłasza się w Aeroklubie Poznańskim, gdzie spotyka trzech kolegów klubowych, również w gotowości. Jeden z nich to lekarz pułkowy, ppor. Michał Kulikowski, młody, niespełna trzydziestoletni, energiczny człowiek, drugi - pilot Władek Nycz. (Pilot Władysław Nycz, w niedalekiej przyszłości pilot wojenny Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.)

- Musimy dostać się do Łucka - radzi Władek. - Tam podobno przeniósł się nasz 3. Pułk Lotniczy.

Wyruszają natychmiast, pełni entuzjazmu, gotowi do udziału w walce, pewni, że długo nie potrwa, już planujący wspólne świętowanie po powrocie.

Poznański Dworzec Zachodni zatłoczony po brzegi. Próbuje dostać się do kas w nieopisanym ścisku i zgiełku, między spanikowanymi ludźmi po to tylko, by się dowiedzieć, że pociągi zarezerwowano wyłącznie dla jednostek udających się na front. Ich jednostki już tutaj nie ma. Zewsząd słychać pożegnalne okrzyki, lament żon, dzieci i matek odprowadzających swoich mężów, ojców i synów. Wszystko to wytwarza nastrój grozy, rozpacz, niepewności i lęku. Mimo to nie poddają się.

Przyjdzie im długo czekać, zanim wsiądą na otwartą, zatłoczoną platformę ruszającego w kierunku Warszawy pociągu towarowego i jeszcze dłużej podróżować. Piątego dopiero dnia, po kilku przesiadkach i długich przerwach, 8. września docierają do Lublina, skąd nazajutrz ruszają w kierunku Trawnik i Łucka, lecz skład zatrzymuje się nagle w szczerym polu, co zmusza ich do pieszej wędrówki. Okazuje się, że tory w tym miejscu zostały zbombardowane i że na szybką naprawę nie ma co liczyć.

- W ten sposób nigdy nie złapiemy naszego pułku! - denerwuje się Janina.

Lecz to, co wydawało się pechem, okaże się darem losu. Nieoczekiwanie spotykają na drodze rzut kołowy Bazy Lotniczej 3. Poznańskiego Pułku zmierzający ku wschodniej granicy Polski. Z miejsca oddają się do dyspozycji dowódcy, oficera ewidencyjnego kpt.

pilota Józefa Sidora. Ten od razu zwraca uwagę na ich ubiory.

- Jak się wstąpiło do wojska, trzeba nosić mundur wojskowy, nie polowy.

- Z radością! Idę przecież na wojnę! - cieszy się Janina.

Wysoka, zgrabna i szczupluteńka wygląda nie najlepiej w męskim, zbyt obszernym, oficerskim mundurze Polskich Powietrznych Sił Zbrojnych, lecz takimi drobiazgami wcale się nie przejmuje. W duchu już widzi na swoich naramiennikach belki i gwiazdki. Również jej koledzy klubowi przebrali się w oficerskie uniformy.

Po czterech dalszych dniach marszu i przestojów docierają do Trawnik. Tu ponownie ładują się do pociągu, którym udaje się im dojechać do Buczacza, na południe od Tarnopola. Stąd, tym samym pociągiem, pamiętnego 17 września, docierają do miejscowości Kopczyńce, gdzie usłyszą hiobową wieść. W tym dniu, z samego rana, Armia Czerwona zdradziecko napadła na Polskę.

Kapitan Sidor, zgodnie z otrzymanym rozkazem, zarządza zbiórkę całej jednostki.

- Żołnierze, w tej sytuacji nie mamy możliwości dalszej walki. Jest jednak wyjście. Marsz w kierunku granicy rumuńskiej na Dniestrze, stamtąd dalej na zachód i dalsza walka u boku sprzymierzeńców. Francuzów i Anglików.

To cios, który trudno znieść.

- Zdrada! Nóż w plecy!

Jedni płaczą, inni klną, jeszcze inni odgrażają się.

- Jeszcze żyjemy! Jeszcze wam pokażemy!

Janina walczy z wątpliwościami.

„Tu, na miejscu, lepiej chyba przydalibyśmy się krajowi - rozmyśla. Może jednak powinniśmy zostać? No i Mieczuś!. Nie zdążyliśmy się sobą nacieszyć. Dwa i pół miesiąca, raptem dziewięćdziesiąt dni... Ile jeszcze dni rozstania przed nami? Kto wie, kiedy się znów zobaczymy, jeśli opuszczę Polskę. Czy tęskni tak jak ja? Nawet się z nim nie pożegnałam. Gdzie teraz jest? Czy także do wojska wstąpił? Boże, strzeż jego najdroższej głowy!”. (Mieczysław czekał w Poznaniu na Janinę lub chociaż na wiadomość od niej kilka dni, przez co wpadł w ręce gestapo. Osadzony w przejściowym obozie przy ul. Głównej został przesiedlony - podobnie jak inni aresztowani Polacy - do Generalnej Guberni, skąd udało się mu przedostać do Francji, a następnie Anglii, gdzie w stopniu podpułkownika brał udział jako lotnik w bitwie o Anglię w 307. Eskadrze Myśliwców. Po wojnie nie wrócił do kraju, lecz przez wiele lat szukał nadaremnie żony, także przez swoją matkę, która dotarła do Lusowa (Batorowo znajdowało się w rękach wojska sowieckiego, które kompletnie zdemolowało pałac), gdzie odnalazła dawną gospodynię generała Franciszkę Kłosinek-Łukanowską. Ta

przekazała jej relacje dwóch naocznych świadków (Władysław Nycz ujęty wraz z Janiną przez Sowietów i uratowany ze względu na cywilny ubiór oraz przyjaciel rodziny Rafał Bniński, były wojewoda poznański, który cudem wydostał się z Kozielska, gdzie spotkał Janinę, o czym już w styczniu 1941 roku powiadomił jej krewnych). Żegnając się, płakała, powtarzając: „To było wyjątkowo szczęśliwe małżeństwo. Na krótko tylko zaświeciło mojemu synowi słońce”. Po pewnym czasie wdowiec ożenił się z Angielką, lecz w swoim domu do końca kultywował pamięć o pierwszej żonie, co poświadcza jego mieszkająca obecnie w Holandii córka, pani Diane Pitt z d. Lewandowska. Mieczysław Lewandowski zmarł 24 listopada 1997 roku w Blackpool w Wielkiej Brytanii. Spoczywa w Kwaterze Polskich Lotników w Carleton. Zabrakło mu ośmiu lat, by poznać wojenny los swojej pierwszej żony.)

Władysław Nycz ma na sobie cywilne ubranie, ponieważ jego mundur uległ w drodze zniszczeniu, co pomaga mu podjąć decyzję.

- Los tak chciał. W cywilu tym łatwiej się przedostanę. Idę na Węgry, potem... Zobaczymy.

Kilku innych kolegów przyłącza się do niego. Odjeżdżają zarekwirowanym mercedesem z zamiarem przedostania się na Węgry. Osiemdziesięciu pozostałych - łącznie z jedyną kobietą - zostaje ze swoim dowódcą, jednak po kilku godzinach i tamci doganiają oddział.

- Lepiej trzymać się razem!

Janina ma otartą nogę i trochę kuleje. Jej klubowy kolega, Michał Kurowski, jako lekarz, natychmiast spieszy z ratunkiem. Zakłada na otarcie opatrunek, a potem pomaga jej, podtrzymując i dźwigając walizeczkę. Przewieszoną przez plecy torbę niesie sama. Wdzięczna za pomoc, w duchu postanawia zaprosić go po wojnie do Batorowa.

- Jestem pewna, że się z Mieczkiem polubią.

Daleko nie dojdą. Po kilku dniach marszu, 22. września (z noclegami w wiejskich stodołach), okrążeni zniemacka przez sowieckie czołgi w okolicach Husiatynia, zostają wzięci do niewoli. (Władysław Nycz twierdzi, że stało się to w okolicach wsi Zwiniacz, w odległości 60 km od Tarnopola). Sowiecki dowódca w randze kapitana, rozstawiwszy szeroko nogi i zadarłszy butnie głowę, pyta o tłumacza. Ponieważ nikt nie zna rosyjskiego, Janina, chcąc nie chcąc, podnosi rękę.

- A ty kto? Żenszczyzna? (kobieta). Oficer ili sałdat! (oficer czy żołnierz). Mundur oficerski, ale dystynkcji nie ma!

Dowódca, pragnąc zapewnić jej lepsze traktowanie, pospiesza z odpowiedzią.

- Oficer.

- Nu ładno. (no dobrze) Niech tłumaczy. Macie natychmiast złożyć broń, inaczej wszyscy zostaną rozstrzelani na miejscu!

Kapitan Sidor daremnie próbuje z nim pertraktować.

- Z panami oficerami nie układam się! Albo się poddacie, albo pod stienkę! (pod ścianę).

Są w sytuacji bez wyjścia. Niepodobna ginąć bez walki! Martwi nie przydadzą się Polsce. Janina cały czas myśli o ojcu. Co czuł, kiedy i on musiał wyrazić zgodę na rozbrojenie Pierwszego Korpusu! Teraz już wie.

Rosjanin, spoglądając pogardliwie na bezbronnych, rozkazuje:

- Szeregowi wystąp!

Poganiani przez żołdatów ustawiają się w kolumnie, która natychmiast zostaje otoczona zbrojnym konwojem, zaś on zwraca się ku grupce oficerów. Widok jednego w cywilnym ubraniu zdumiewa go.

- A ty co robisz obok panów oficerów? Do kolumny!

Nie wiadomo dlaczego, Władek posłusznie wykonuje polecenie. W tej samej chwili dowódca konwoju otrzymuje rozkaz.

- Odprowadzić do obozu przejściowego!

Oficerowie tymczasem czekają w milczeniu, ponieważ duma nie porwała im pytać wroga o swój los. Na jego twarzy widać kpiący uśmiezek.

- Dla jasnych panów samochód podstawimy.

Jak na zamówienie podejżdza zdobyczny polski samochód sanitarny. Zaledwie wsiądą, rusza. Po paru minutach doganiają kolumnę żołnierzy, wśród nich - uznanego za cywila - Władka. Schodzą na pobocze, unoszą ręce w pożegnalnym geście. W oczach niepewność i lęk. Jadący samochodem mają pewniejsze miny.

- Chroni nas konwencja genewska. Nic nam nie zrobią! - zapewnia kpt. Sidor. (Nie wie, że Rosji sowieckiej nie obowiązuje, ponieważ jej nie podpisała).

- Ale Polsce się już nie przydamy! - wzdycha Janina.

- Pożyjemy, zobaczymy. Niewola to jeszcze nie śmierć.

GUSIA

Mieczysław spóźnia się tylko o jeden dzień, lecz dzień ten - być może - zaważy na jego losie. Jego i Janiny. Długo nie potrafi uwierzyć w to, co mówi babcia Korsońska i potwierdzają Agnieszka z Władzią.

- Niestychane! Na wojnę poszła? Wczoraj? Nie wierzę. To żart, prawda?

Uwierzy, kiedy przeczyta pożegnalny liścik żony, który gosposia wręcza mu bez słowa. Płacząc rzewnie, woła:

- Na wojnę! Ona? Taka delikatna, taka wrażliwa... To jakaś pomyłka!

Nie słucha żadnych pocieszeń, tylko bez przerwy wpatruje się w portret nieobecnej wiszący na ścianie obok portretu generała i - trzymając się za głowę - w kółko z rozpaczą powtarza.

- Moja żona... Moja żona... Moja „Jaskółeczka”.

Nagle, tknięty jakąś myślą, wybiega bez słowa. Pędzi do Aeroklubu, ale tam niczego się nie dowiaduje poza tym, że Janina, w towarzystwie trzech klubowych kolegów - lotników, wyruszyła, by dołączyć do swojej jednostki. Przysiadłszy na schodach, raz po raz czyta to, co do niego w ostatniej chwili napisała.

Najdroższy Mieczku, wybac, że odchodzę w takim pośpiechu, ale Ojczyzna woła. Dzień i noc będę o Tobie myślała i Ty o mnie nie zapominaj. Wkrótce się spotkamy, musimy w to wierzyć. Bóg nie mógłby rozłączyć tych, których sobie wzajemnie podarował. Kocham Cię, kocham, kocham bezgranicznie. Tylko Twoja wierna „Jaskółeczka”.

W nagłym przeczuciu, że nigdy jej więcej nie zobaczy, szlocha jak małe, skrzywdzone dziecko. Kiedy wróci na Niecałą, zastaje straszny widok. Babcia Korsońska nie zniosła ciosu. Jest nieprzytomna. Agnieszka siedzi przy niej, zrozpaczona, powtarzając cichutko:

- Babciu. Babuniu... Nie rób nam tego. Otwórz oczy. Musisz na Jankę czekać. Ona wróci!

Władzia, tak samo bezradna, nawet nie próbuje zrozpaczonej pocieszać. Dopiero powrót szwagra przywraca jej zdolność działania. Jako tako opanowana wyciąga go do sąsiedniego pokoju.

- Posłuchaj, Mietku... Jeśli babcia... to ja... też wyjadę. Musisz się zająć rzeczami Janki. Co cenniejsze do państwa Hasiewiczów przenieś, bo Władzia swój dom ma na głowie.

- Nigdzie, Gusi, nie pojedziesz, ale jeśli chcesz... Wybierz, co uwalasz za stosowne.

- Albumy i portrety. To najważniejsze. Tego Janka kazała strzec. A reszta... Przecież to własność twojej żony, a więc i twoja. Sam decyduj.

- Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz, ale najpierw babcia. Lekarz był?

- Tak nagle zasłabła; nie zdążyliśmy...

Srowadzony przez Mieczysława lekarz nie robi nadziei i radzi iść po księdza.

- Życie z niej ucieka. Pozostała modlitwa i czuła obecność bliskich.

Po dwóch dniach Mieczysław zostaje aresztowany przez gestapo wywieziony z mieszkania. Odchodzi też na zawsze babcia Korsońska. Po pogrzebie Agnieszka nieoczekiwanie oświadcza:

- Czas i na mnie, Władziu. Nie mam tu już nic do roboty. Na mieszkanie, jak słyszałam, czyha już ten Niemiec z góry, na co mam czekać? Żeby po mnie gestapo przyszło? Nie oszczędzą rodziny generała Dowbora. Za dużo zalał Niemcom sadła za skórę.

- To co? Do Batorowa?

- Tam mnie znajdą tym pewniej. U rodziców Marysi i Stasi Kwiatkówien na wsi w Lusowie przycupnę. Już z nimi rozmawiałam.

- To może rzeczy twoje spakuję?

- Nie trzeba. Wystarczy mi mój adapter z płytami.

Po tygodniu zjawia się jednak w mieszkaniu państwa Włodkowskich, również przy Niecałej, tylko o kilka numerów dalej.

- Wróciłam, Władziu. Na rowerze Masztalerza, choć wolałabym bryczką, ale cóż. Nasz kochany stangret, twój tata, nie żyje od dawna, wierzeć też niemożliwe, bo co potem z koniem zrobić. Wróciłby pewnie sam do domu, ale w dzisiejszych czasach... Tak czy tak, jestem. W dużym mieście łatwiej się ukryć. Tam mnie już gestapo szukało. Poza tym... Nie chcę beczynnienie wojny za piecem przesiedzieć. Co by na to nasz tatko powiedział!

- Tylko się Gusik w nic nie mieszaj!

- Nie martw się o mnie, moja droga. Na razie idę załatwić sobie jakieś lokum.

- To może u nas zamieszkaż?

- O nie. Za blisko. Znają mnie tu.

Wychodzi z gotowym planem. Musi znaleźć kontakt z jakąś organizacją konspiracyjną. Ma nadzieję, że pomoże jej w tym przyjaciółka, Krysia Au. Przybrana siostra, u której rodziców mieszkała dotychczas na stacji.

Okazuje się, że Krysia, podobnie jak jej brat, Andrzej, nie zna nikogo, kto należy do tajnej organizacji, postanawia zatem - aby zatrzeć po sobie wszelki ślad - wyjechać do Warszawy.

Radzi jej to poznany dzięki spotkanej przypadkowo dawnej koleżance, Halinie Besert, lotnik, który się nie przedstawia. Ufa mu jednak ze względu na to, że jest lotnikiem i że - jak

oświadcza - znał Janinę.

W Warszawie zgłasza się pod wskazany przez niego adres i, już w końcu grudnia, staje się członkiem Niepodległościowej Organizacji Wojskowej „Wilki”, co pieczętuje uroczystą przysięgą na wierność Ojczyźnie i dowództwu w Imię Boga Wszechmogącego. (Do grupy „Wilki” należał także znany polski sportowiec, Janusz Kusociński.)

„Możesz być ze mnie dumny, kochany tateńku! - cieszy się jak dziecko. - Oto wypełniam Twój testament. Twoja mała Gusia. Nie tylko Janka”.

Nie wie, że w międzyczasie do stolicy przeprowadzają się także państwo Au z dziećmi - Krystyną i Andrzejem. Oni za to - od wspólnych znajomych - dowiadują się o niej rzeczy nieprawdopodobnej, w którą nie sposób uwierzyć.

- Nasza Gusia zadaje się z Niemcami?! To jakaś straszna potwarz! Kiedy jednak rodzeństwo spotka ją pewnego dnia przed Fotoplastikonem na Marszałkowskiej, a ona - zwykle pełna wdzięku, osobistego uroku i ciepła - nie reaguje na ich entuzjastyczne powitanie - chłodna i obca - Andrzej nie wytrzymuje.

- Aga, czy to prawda, że... Podobno widywano cię w towarzystwie szwabów?

Wtedy coś w niej drgnęło. Spojrzawszy na przyjaciół z jakąś dziwną determinacją, mówi szybko, ścisząc głos:

- Nie myślcie o mnie źle. Jeszcze dużo dobrego o mnie się dowiecie, ale nie teraz. A w razie czego - my się nie znamy.

Odchodzi pospiesznie, wyprostowana, dumna, nieprzystępna i znika w ulicznym tłumie. Idzie, oślepiona łzami, które spływają po policzkach, czego nie zdaje sobie sprawy.

„Boże, jeszcze i to! Spraw, żeby Andrzej nie myślał o mnie źle. Nie on! miałam nadzieję, że kiedyś zobaczy we mnie kobietę. Że mnie pokocha! Teraz gotów znieawidzić, co robić!?... Nic. Nic nie poradzę. Muszę wykonać zadanie. Przede wszystkim Polska. Wykonam testament taty. Kiedyś się wszystko wyjaśni. Po wojnie”.

Oprowadzają ją wzrokiem, zdumieni tak, że długo nie potrafią ruszyć miejsca.

- Sam nie wiem, co o tym sądzić - w oczach Andrzeja czai się niepewność. Za to Krystyna wierzy niezłomnie w niewinność przyjaciółki.

- Wstydz się, braciszku! A myślałam, że się w niej podkochujesz?

- Co ma jedno do drugiego?

- Nie udawaj! Za dobrze cię znam. Nie lokowałbyś uczuć w byle kim!

Jeszcze ją będziesz przepraszał za to posądzenie!

Kiedy, poprzez pana Beserta, poznają prawdę, będzie za późno na przerośmy. Okaze się, że Gusia istotnie spotykała się z Niemcami, ale w roli wywiadowcy. Niestety, gestapo

wpadło na trop „Wilków”, a tym samym na nią.

Aresztowana 25 kwietnia 1940 roku zostaje osadzona na Pawiaku, następnie, nocą z 20 na 21 czerwca, rozstrzelana w Palmirach koło Warszawy, tuż przed swoimi 21. urodzinami. (Nazwisko Agnieszki Dowbor-Muśnickiej widnieje w wydanej po wojnie publikacji Palmiry).

„Złota nić Dowborów, tatku... Łączyła nas do końca. To nic. Trwa w sercu twojej drugiej córki. Ona przekaże ją swoim dzieciom. Ma przecież męża”. Z tą myślą przechodzi na drugą stronę życia, gdzie spotka nie tylko swoich rodziców i Olgierda, ale też Jankę.

CZĘŚĆ DRUDA - KATOWSKI POWRÓZ

Sprawa Katynia jest stale obecna w naszej świadomości i nie może być wymazana z pamięci Europy.

(z modlitwy bł. Jana Pawła II, 24 grudnia 1993 r.)

OBÓZ OSTASZKOWSKI

W oparciu o pracę śp. ks. prałata Zdzisława Jastrzębiec Peszkowskiego, jedyne na świecie kapelana Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie, oraz Stanisława Zygmunta Zdrojewskiego Ostaszków - Kalinin - Miednoje, Łódź - Warszawa, Orchard Lake, lipiec 1999 r., a także o zapiski znalezione w grobach katyńskich.

Po 17 września 1939 roku i podstępym wkroczeniu do Polski milionowej Armii Czerwonej, co spowodowało IV rozbiór Polski. (27 lutego 1940 r. Sowieci - podzieliwszy się Polską z Niemcami - zakończyli wytyczanie swojej nowej, zachodniej granicy wbiciem ostatniego, 2820. słupa granicznego. Wykreśliło to Polskę z liczby istniejących na świecie państw). Jej dowódcy - nawołując do kapitulacji - gwarantowali polskiemu wojsku uwolnienie. Uczynili to jedynie w odniesieniu do większości szeregowych. Oficerów zamknięto w licznych obozach jenieckich; głównie Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, skazując na likwidację poprzedzoną niewyobrażalnym cierpieniem i upadaniem ze strony władz obozowych. Skutkowało to ciężkimi chorobami, dużą umieralnością oraz - niejednokrotnie - załamaniem psychicznym.

Wyżsi rangą oficerowie, profesorowie i księża przeciwdziałali temu energicznie i skutecznie, organizując swoim współtowarzyszom drugi, nieoficjalny nurt bytowania. Służyły temu zakazane spotkania, obchody świąt kościelnych i narodowych, odczyty, wykłady, nauka języków obcych, kółka samokształceniowe, Eucharystia, spowiedź, wspólna modlitwa, śpiewanie pieśni patriotycznych i religijnych oraz deklamacja poezji wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida...

OSTASZKÓW, miasto położone nad jeziorem Seliger (205 m n.p.m. i w odległości 327 km od Moskwy, to umowna nazwa zespołu dziewiętnastu obozów NKWD na ziemi seligerskiej, rozmieszczonych na trzech wyspach wybranych spośród stu pięćdziesięciu istniejących na tym obszarze obejmującym 260 kilometrów kwadratowych.

Wody jeziora, obramowane gęstymi, świerkowymi i mieszanymi lasami, odznaczają się przepięknym, intensywnie błękitnym kolorem. Ich głębokość wynosi od około 6 do 24 metrów, a szerokość (w najszerszym punkcie) zaledwie ponad 2 kilometry. Jego zachodni kraniec znajduje się w pobliżu źródeł rzeki Wołgi. Stanowi ono system wód połączonych kanałami, rzeczkami i cieśninami. Niektóre wyspy łączą naturalne i sztucznie zbudowane groble, mosty oraz kładki. W okresie mrozów komunikacja odbywa się po grubym, mocnym lodzie.

Od pradawnych czasów zsyłano tam skazańców, lecz w latach 1939/1940 dla

wziętych do niewoli polskich jeńców przeznaczono trzy: Stołobnoje, Iłowa oraz Skrieibel. Są synonimem Katynia, podobnie jak Kozielsk, Starobielsk, Mińsk, Kijów, Bykownia, Kuropaty i Piatichatka oraz inne, dopiero odkrywane miejsca masowych mordów i pochówków.

Zlikwidowano ich na rozkaz Stalina wiosną 1940 roku, topiąc w jeziorze i na Woldze lub (po przetransportowaniu) strzałem w tył głowy, w kazamatach Kalinina (przedtem Twer) i grzebiąc w dołach śmierci koło wsi Miednoje nad rzeką Twercą, a na zbiorowych mogiłach pobudowano dache i szamba.

STOŁOBNOJE - łagier nr 1 (przepustowość - od jesieni 1939 r. do wiosny 1940 r. - 15 991 jeńców), to niewielka wysepka zwana NILOWĄ PUSTYNIĄ. Należą do niego również zabudowania na półwyspie Swietlina, z którym łączy ją trzydziestotrzymetrowa bobrza grobla dwuipółmetrowej szerokości oraz część największej na Seligerze wyspy Chaczin wraz jej wewnętrznym Jeziolem Białym, do którego wpada sztuczny kanał.

W jeziorze tym utopiono na barkach z rozsuwanym dnem starszych wiekiem i chorych oraz funkcjonariuszy Straży Granicznej i Korpusu Ochrony Pogranicza, więzionych na wyspie Skrieibel, straconych również w dopływie bliskiej Wołgi.

Już w XVII w. na Stołobnoje powstał klasztor zwany Nilową Pustynią lub Soborem św. Nila (1485-1559) - cel pielgrzymek pobożnych wiernych przyciąganych tam głównie kultem świątobliwego pustelnika z wyspy SŁUP-STOŁB (późniejsze Stołobnoje). Z czasem w okolicy zbudowano kolejne cerkwie i klasztory (najsłynniejsze i najpiękniejsze: Sobór Zwiastowała Pańskiego - „Bogojawlenija”, pierwotna cerkiew Nila Nad Wrotami - „Nadwratnaja”, sobór Wniebowstąpienia - „Wozniesiensi”, klasztor „Znamienski” oraz Monastyr Troicki) zamieszkiwane przez posługujących tam mnichów. Służyły także pobożnym pątnikom ściągającym do świętego Ni; z całej Rosji. Do niedawna spoczywał w podziemiach świątyni, słynąc z licznych cudów. Przybywali tu również arystokraci rosyjscy, a nawet para cesarska.

Starodawne mury pamiętają jeńców z Powstania Kościuszkowskiego kampanii napoleońskiej i obu polskich powstań narodowych 1830 i 1863 roku. Ich katorżnicza praca przyczyniła się do rozkwitu tych miejsc, przez stuleci użyźnianych krwią, potem i łzami skazańców. Niektóre funkcjonowały do czasów współczesnych. Łagier na wyspie Skrieibel przetrwał do 1960 r., na Iłowej - do 1974 r., na Stołobnoje zaś, chociaż w 1990 r. stał się własnością Cerkwi prawosławnej, jeszcze w 1998 r. więziono jeńców czeczeńskich.

IŁOWA - łagier nr 2 (przepustowość: 9115 jeńców), wyspa siedmiokrotnie większa od Stołobnoje, inaczej Czarcia (Czertowyj Ostrów), lub IŁOWA PUSTYŃ. Polscy jeńcy połączyli ją w ciągu około pół roku z Półwyspem Ostaszkowskim (na którym leży miasto

Ostaszków) studwudziestometrowym drewnianym mostem oraz dwoma groblami długości dwieście pięćdziesiąt i trzysta metrów. Jest też połączona z małą wysepką o nazwie Psia (obecnie Fomiczew) przy pomocy kładki o długości siedemdziesiąt cztery i szerokości dwa i pół metra. Pełniła funkcję trupiarni.

Pomiędzy Półwyspem Ostaszzkowskim a Iłową leży druga wysepka, Ptasia (obecnie Woroneżskij) rozmiarów Stołobnoje, na której znajdowało się miasteczko NKWD. Obóz na Iłowej zajmował powierzchnię 200 na 300 metrów.

SKRIEBEL - podobóz nr 7 (przepustowość: 4475 jeńców) - wysepka wielkości Stołobnoje, opasana murem obronnym. Należy do niej port NOWY SKRIEBEL zajmujący około 1,5 km na lądzie, lecz wiedzie do niego tylko droga wodna. Obóz tu zbudowany został przeznaczony głównie dla funkcjonariuszy Straży Granicznej i Korpusu Ochrony Pogranicza. Wszyscy oni zostali utopieni w Seligerze lub w dopływie Wołgi.

ŁĄCZNIE PRZEZ OSTASZKÓW w okresie od jesieni 1939 r. do wiosny 1940 r. przeszło 29 581 POLAKÓW - oficerów, podoficerów i szeregowych Polskiej Policji Państwowej oraz żandarmerii, pracowników Służby Więziennej, wywiadowczej, szeregowych i podoficerów Wojska Polskiego, funkcjonariuszy Straży Granicznej (w liczbie 60), Korpusu Ochrony Pogranicza, Żandarmerii Wojskowej, kapelanów wojskowych, ziemian, wyższych urzędników państwowych, osadników wojskowych, nauczycieli, harcerzy i uchodźców. W TYM - wiosną 1940 r. - ZAMORDOWANO 6311. (Liczba bardziej prawdopodobna figurująca w aktach NKWD (tajna notatka szefa KGB - sukcesora NKWD - Andrieja Szełepina z 1959 r. do I sekretarza generalnego KP2F Nikity Chruszczowa, której odpis przekazał Polsce w 1993 r. rezydent Rosji Borys Jelcyn). Inne źródła podają liczbę 7393 zamordowanych). Część w międzyczasie odesłano etapami do obozów w Kozielsku i Starobielsku, część utopiono.

Dowódcą Wojsk Konwojujących NKWD był mjr NKWD Michał Iwanowicz Pszenko. Nad partiami wysyłanymi do obwodów kalinińskiego i smoleńskiego czuwał naczelnik sztabu Wojsk Konwojujących kombryg Michaił Spiridonowicz Kriwienko. Za organizację transportu odpowiadał mjr Sołomon Rafajłowicz Milsztejn. Akcją likwidacji kierował major NKWD, Wasilij Błochin, komendantem ostaszковского 'ozu był mjr Paweł Fiodorowicz Borisowiec. (Wasilij Błochin nie tylko stał na czele grupy wykonawców wyroków śmierci, ale wykonywał je osobiście. Chwalił się, że sam zabił ponad pięćdziesiąt tysięcy „wrogów Związku Sowieckiego”. Ubrany w długi gumowy fartuch i także rękawice, aby się nie ubrudzić krwią ofiar, potrafił strzelać w potylicę kolejnych ofiar, z pistoletów podawanych mu usłużnie przez gorliwych asystentów.)

W NIEZNANE

Samochód trzęsie, podskakuje na wybojach. Janina nie może sobie darować, że tak szybko wpadła w ręce wroga. Nowego wroga.

- Jak pan myśli, kapitanie, co z nami będzie? - zwraca się do najstarszego tu rangą, Józefa Sidora.

- Cóż... Żołnierska to rzecz - niewola. Szkoda tylko, że tak... bez walki. Posiedzimy w jakimś oflagu i wrócimy do Poznania. Wojna dopiero się zaczęła.

- Ale ja nie jestem oficerem. To tylko mundur, więc...

- Oni o tym nie wiedzą i niech tak zostanie. Oficerów, zgodnie z konwencją genewską, lepiej się traktuje. (Nie wiadano, że Sowieci nie podpisali konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych z roku 1929).

Nagle szarpnięcie spowodowane gwałtownym hamowaniem rzuca nimi do przodu i w tył. Ruszają ponownie, znów stają. Czekają... Na zewnątrz rozlegają się rosyjskie przekleństwa, z których wynika, że stoją przeciw więzieniom, jednak komendant odmawia przyjęcia „wojennoplennych” (jeńcy wojenni).

- Dostyc mam tutaj kryminalistów! - wrzeszczy.

Zagonieni do jakiejś stajni, stłoczeni w pustym boksie, trwają w niepewności, głodni i spragnieni.

- Czy u nich jeńców nie karmią? - denerwują się mniej wytrzymali, a kiedy wreszcie dwaj żołdaci przyniosą kolację, wyrzekają:

- Widział to kto? Chleb ze słoniną i gorąca woda! Ale się szarpnęli!

Podczas kolejnych kilku dni, które przyjdzie im tutaj spędzić, muszą zadowolić się zupami i kaszą okraszoną słoniną, a wszelkie protesty strażnicy po prostu wykpiwają.

- A co, polskie pany! Kłuje w ząbki proletariackie jedzenie?

Podobnie traktują domagających się wyprowadzenia do toalety, czyli budki z serduszkami. Najpierw każą długo czekać, a potem rechoczą z własnych niewybrednych dowcipów. Na szczęście większość ich nie rozumie, wyjątkiem jest Janina, która - przy takich okazjach - drży na samą myśl, że odkryją jej pleć.

Kiedy wreszcie padnie rozkaz wymarszu, niemal wszyscy są u kresu wytrzymałości.

- Wreszcie coś się dzieje!

Maszerują pod uzbrojonym konwojem, poganiani krzykiem, aż dotrą do bocznic jakiejś stacji, gdzie zostają załadowani, a właściwie doładowani do już zatłoczonego towarowego wagonu. To prawdopodobnie Buczacz, lecz nie są tego pewni.

Jadą potem w nieopisanym ścisku, zaduchu i feterze, ciągnącym z otworu

klozetowego przy drzwiach, bo - mimo częstych i długich postojów nie wiadomo, gdzie - pozostają od zewnątrz zadrutowane. Janina jedyna kobieta pośród mężczyzn - przeżywa istne męczarnie. Na szczęście jej szarmanccy koledzy, w razie potrzeby, tworzą pomiędzy nią a pozostałymi żywy parawan.

Nieświadomi, dokąd i którądy jadą, stojąc na ramionach kolegów, próbują dojrzeć coś przez mały otwór pod sufitem. Dwukrotnie uda się im odczytać nazwy mijanych miejscowości: Woroneż i Starobielsk. Wreszcie stacja końcowa, trzaski odsuwanych drzwi i dzikie wrzaski.

- Wychaditie! Bystro! (wychodźcie, prędko).

Kpt. Sidor i ppor. Michał Kulikowski pomagają koleżance, jak mogą. Jeden - wysiadłszy przodem - podaje ramię, drugi - bagaż. Chociaż chwieje się na nogach, kątem oka dostrzega nazwę stacji.

- Panowie, to Moskwa!

- Moskwa! Może nareszcie zaczną nas traktować zgodnie z konwencją! - pociesza wysoki, postawny nieznajomy w stopniu pułkownika.

Ustawieni w kolumnę, przepędzeni pomiędzy szpalerem uzbrojonych żołdatów, załadowani do samochodów - więźniarek z zamalowanymi oknami, przybywają do więzienia na Butyrkach, gdzie każdy kolejno zostaje wpity na listę. Janina, świadoma swojego pochodzenia, z obawy przed dodatkowymi represjami, postanawia ukryć fakt, że jest córką generała Dowbora-Muśnickiego, co tym łatwiejsze, że nosi nazwisko męża, Lewandowska. Z tego powodu zmienia imię ojca na Marian, a datę własnych urodzin opóźnia. Zamiast roku 1908 podaje 1914. W ten sposób odmładza się o sześć lat, czego nikt nie kwestionuje ze względu na jej dziewczęcy wygląd.

Mimo że jest kobietą, nie odłączono jej od mężczyzn, także w łaźni. Niezawodni koledzy i teraz ratują ją z opresji, ustawiając się tyłem i zasłaniając własnymi ciałami. Gęsta zupa z porcją chleba smakuje potem jak najwspanialsze danie.

Nazajutrz, załadowani do tego samego pociągu, odjeżdżają w niewiadomym kierunku i celu. Jediną dla niej pociechą jest widok przyjaciół i ich krzepiące miny.

Podróż jest długa, uciążliwa i trwa kilka dni z postojami. Znów są spragnieni i głodni. Kalinin (dawny Twer, nazwany tak na cześć wysokiego funkcjonariusza komunistycznego Kalinina) mijają bez przystanku. Wreszcie, na stacji Bołogoje, położonej nad wielkim rozlewiskiem, zanieczyszczonej ekskrementami (brak toalet), konwojenci każą im wysiadać i pod bagnietami prowadzą do pobliskiej stołówki, gdzie dostaną obiad. Pajdę czarnego zakalca i kapuśniak.

Teraz dopiero widać, jak długi jest ich transport. Dlatego nie wszystkich naraz wypuszczają. Jedzą szybko, bo są wygłodzeni, a do tego poganiani przez młodych, niecierpliwych, wrogo nastawionych, nadgorliwych enkawudzistów, jeszcze uczniów. Aby się wykazać przed dowódcą konwoju, posuwają się do okrucieństwa, obelg, a nawet rękoczynów.

- Skariej, swołoczi, wragi Sawieckowo Sajuza! Skariej! (Szybciej, dranie, wrogowie Związku Radzieckiego! Szybciej!)

Następnego dopiero dnia przecinają Batolino, by - po przejechaniu około trzydziestu kilometrów - minąć stację z napisem Ostaszków. Tutaj pociąg zwalnia, by stanąć na dłużej. Czas mija, a oni wciąż siedzą w wagonach, coraz bardziej zaniepokojeni, wykończeni fizycznie i psychicznie.

Wreszcie rozlega się gwizd lokomotywy, a wagony - szarpnąwszy kilkakrotnie - zaczynają toczyć się do tyłu. Zatrzymują się ponownie na boczniczy kolejowej Ostaszkowa, Wierchnie Rudiny, 108 razjezd (rozjazd). To miejsce odludne, otoczone sosnowym lasem. Tu znowu czekają.

Około trzeciej po południu coś się zaczyna dziać. Słychać okrzyki chrzęst żwiru pod ciężkimi buciorami. Tkwiący przy podsufitowym okienku obserwatorzy przekazują informacje o rozbiegających się strażnikach.

- Każdy z karabinem i nastawionym bagnetem!

- I psy mają.

- Dziwne jakieś. Nie szczekają.

Potem dowiedzą się, że były do tego specjalnie szkolone. Młodzi enkawudziści, otwierając ze zgrzytem zaryglowane drzwi wagonów, wrzeszczą:

- Wychodzić po czworo!

I od razu, aby zapobiec ewentualnym ucieczkom do lasu, każą im klękać. Kiedy już cały liczący tysiąc osób transport klęczy, odbezpieczwszy broń, otaczają go rzadkim kordonem. Wtedy na czoło wysuwa się dowódca konwoju, starszy wiekiem oficer NKWD, w długiej skórzanej kurtce z futrzanym kołnierzem. Pod pachą trzyma gruby zwój szarego pakowego papieru.

Są to listy konwojowanych, których po kolei wyczytuje, sprawdzając stan „inwentarza”, a jego podwładni ustawiają ich czwórkami w szyku kominowym, odliczając po stu, przy czym każda setka - sotnia - otrzymuje setnika wybranego spośród więźniów.

Zanim wszystkich wymieni, ochrypnie. Podwładni zwracają się do niego towarzyszu Bułganow”. Ten już nie wrzeszczy, tylko spokojnie poleca.

- Za mną marsz!

Choć to dopiero początek października, a dzień trafił się słoneczny, jest już bardzo zimno i pierwszy śnieg „wisi w powietrzu”. Nic dziwnego, w drugiej połowie tego miesiąca będzie tu już zima, a lód na jeziorach i rzekach zacznie zamarzać.

Wymęczeni, skostniali i zeszywniali, ruszają dość niezdarnie, więc „młodzi gniewni” poganiają ich, nie przebierając w słowach, a nawet - jeśli ktoś się ociąga - popychając ostrzem bagnatów.

Janina, trzęsąc się z zimna (ma na sobie letni wojskowy płaszcz lotniczy), maszeruje w pierwszej setce między kpt. Sidorem a ppor. Kulikowem. Próbuje ją podtrzymać, lecz ona, podziękowawszy im stanowczo, - prostuje się dumnie i z pogardą spogląda na poczynania strażników.

- Nie dam im satysfakcji! Niech się nie cieszą, że nas złamali!

Długa, lecz zwarta tysiącosobowa kolumna posuwa się wolno, więc trochę trwa, zanim wkroczy do Ostaszkowa.

Podążając pustą, jakby wymarłą ulicą Wołodarskiego, mijają niewielkie domki i zrujnowaną cerkiew. Janina mimo woli podziwia jej miniony, unicestwiony przez „dzieci rewolucji październikowej” przepych. Ponieważ zna cyrylicę (niemal dziesięć pierwszych lat życia spędziła w Rosji), odczytuje przymocowaną do odrapanych murów tablicę informującą, że ten świąty przybytek zamieniono na klub. Miejsce zebrań i rozrywki.

Zaczyna wiać coraz zimniejszy wiatr i nagle ulica kończy się nad brzegiem przepięknego jeziora Seliger o intensywnie błękitnych, nieruchomych wodach. W połyskliwej toni pławi się odwrócony świat: dalekie niebo, zieleń potężnych świerków i nagie już konary licznych tutaj dębów. Mimo że widok jest powalająco piękny, wieje tu grozą. W oddali widać jakieś wysepki. Na jednej z nich mającą cebulaste, bizantyjskie kopuły i wysoka wieża, pozbawiona prawosławnego krzyża wieńczącego niegdyś szczyt.

- To wyspa Stołobnoje, ta z cerkwią - informuje ktoś z boku.

- Czyżby nasz punkt docelowy? - zastanawia się Janina.

Na rozkaz Bułganowa, ruszają ku przystani drogą wzdłuż brudnego, zaśmieconego brzegu, zastawionego sągami drzewa. Tworzy ją coś w rodzaju wielkiej, drewnianej kładki. Obok niej zacumowano wielki parowiec „ciepłochod” z uczeponą do niego sporą barką. Nieopodal, rzec by można, na wysypisku śmieci, stoi wielka szopa.

Każda sotnia - jedna za drugą - wchodzi tam, aby dać się zapisać. Robią to młode dziewczyny zasiadające za kilkoma stołami. Przed nimi - grube bruliony na dane osobowe. Zapisani wychodzą na zewnątrz, by czekać na resztę. Kiedy sotnia jest w komplecie, można

się zaokrętować. Wchodząc na kładkę, potykają się o porozrzucane wszędzie kawałki drewna. Niektórzy upadają. Tym współtowarzysze pomagają się podnieść, chroniąc ich przed bagnietami młodych nadgorliwców.

Statek i barka wchłaniają pięć sotni. Kolejne pięć zostaje na brzegu. Odpływają, stłoczeni jak śledzie, stojąc ciasno - jeden przy drugim - co ma tę dobrą stronę, że się wzajemnie ogrzewają.

Janinie przypada miejsce obok kpt. Sidora, na statku, gdzie mniej buja niż na ciągnionej z tyłu barce. Stłoczeni na jej pokładzie - w obawie, że lada moment pójda na dno - głośno śpiewają.

- Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko.

Ci na parowcu podchwytyją modlitwę, nieczuli na protesty konwojentów. Niektórzy wrzucają do wody polskie monety i oderwane od czapek orzełki.

- Jeśli utoniemy, kiedyś je znajdą i rodziny dowiedzą się o naszym losie.

Płyną wolno i długo, klucząc pomiędzy jednym brzegiem jeziora a drugim, w kłębach dymu buchającego z komina, usmoleni, jakby przed chwilą wjechali na powierzchnię z kopalni węgla.

Wbrew wszelkim obawom (statkiem zaczyna mocno bujać) wszyscy ocierają bezpiecznie do jakiegoś bardzo wysokiego kamiennego nabrzeża z kilkoma małymi przystaniami. (Obecnie, na skutek prowadzonych tam po wojnie prac archeologicznych, wyspa Iłowa obniżyła się, a jej brzegi są płaskie. Przedtem wybrzeże wznosiło się na wysokość 15 metrów.) To wyspa Iłowa, strzeżona niby twierdza, tuż nad wodą biegną potrójne zasieki z kolczastego drutu. Poza nimi ciągnie się niezbyt wysoki mur podziurawiony armatnimi kulami, z rozmieszczonymi w pewnych odstępach wieżyczkami strażniczymi. Na każdej czuwa uzbrojony w pepeszę wartownik, gotów użyć polowego telefonu, wypuścić w górę raketę lub oświetlić teren mocnym reflektorem. Wzdłuż muru biegnie droga wysadzona szpalerem drzew, z których opadły już liście.

Rozhuśtana łajba przestaje nareszcie dymić i cumuje przy wolnej akurat przystani. Zanim po opuszczonym trapie zejda na pomost, raz jeszcze oglądają się poza siebie. Tam, gdzie z daleka widać domy Ostaszkowa, wolnego miasta. Ten widok, a zwłaszcza snujące się z kominów dymy, budzą nostalgię. Janina czym prędzej zwraca się w kierunku obozu, ale i tu czeka ją wstrząs.

W odległości kilkunastu zaledwie metrów od brzegu, chociaż skłębione w międzyczasie ciemne chmury przesłoniły zachodzące purpurowo słońce i zaczyna siąpić deszcz ze śniegiem, wyraźnie widać wykutą w murze datę: 1863. To data bolesna i droga

sercu każdego Polaka.

- O mój nieznany rodaku! - wzdycha. - Nie przypuszczałeś, że będą tu jeszcze cierpieć inni Polacy, kiedy upamiętniałeś swój pobyt!

Bezwiednie ściska łokieć swojego towarzysza.

- Kapitanie, 1863!

- Powstańcy styczniowi byli tu przed nami, to pewne!

- Czy widzi pan to, co ja? - patrzy wyżej, wyraźnie zdumiona.

- Co takiego?

- Kościół! Wieża gotycka za murem! Nie cerkiew!

Wysiadłszy na ląd, wchodzi do wąskiej strefy pomiędzy murem a trzema rzędami kolczastych zasieków, rozglądając się niepewnie. Krążą tu patrole - „wachtory” z milczącymi złowrogo psami. Od zwyżki do zwyżki - tam i z powrotem. Jakby tych środków ostrożności było mało, dostępu do wyspy strzegą łodzie patrolujące pobliskie wody.

Czekają tu dość długo, dopóki statek z barką nie odpłynie poza pozostałe pięć sotni. Dopiero wtedy Bułganow - wciąż ze swoim zwojem pod pachą - daje znak do pochodu. Niektórzy, zagapiwszy się, nieostrożnie podchodzą zbyt blisko drutów, a strażnicy przywołują ich do porządku przeraźliwym gwizdaniem.

ŁOWA PUSTYŃ

Posuwając się wzdłuż muru zwieńczonego zwojami kolczastego drutu (okaże się, że pod napięciem) pochylonego do wewnątrz, napotykają ogromną bramę z dwuskrzydłową, otwartą na oścież, ciężką drewnianą kratą zawieszoną na metalowych zawiasach, tak szeroką, że bez trudu mieści się w niej każda czwórka.

To dawna brama wiodąca do klasztoru Znamienskiego - główne wejście na wyspę. Przekroczą je, raz jeszcze wyczytani i skrupulatnie przeliczeni - każda sotnia oddzielnie. Ustawiani z boku, otrzymują po bochenku czarnego, gliniastego chleba, który od razu zaczynają rwać kawałami i łąpczywie pochłaniać. Janina, chociaż wygłodzona jak wszyscy, patrzy na to ze zgorszeniem.

Nieoczekiwanie z ust dowódcy konwoju pada rozkaz:

- Oficerowie i podoficerowie na prawo, szeregowi na lewo!

- To jednak nie wszystkich szeregowych wypuścili! - dziwi się.

Ona sama nosi oficerski mundur, dołącza więc do tych z prawej, dzięki czemu na klasztorne podwórze wkracza u boku kpt. Sidora. Tuż za nimi podąża niezawodny ppor. Kulikowski.

Jest to dawna siedziba mnichów (mnichów), lecz teraz ich tutaj nie ma. Wszyscy, poza trzema brodacami pozostawionymi, o czym się przekonają, do najbrudniejszych prac (wywożenie nieczystości w cuchnącym beczkowie), zostali zamordowani po 1917 roku.

Do klasztoru z lewej strony przylega cerkiew Wozniesińska (Wniebowstąpienia) z gotyckimi oknami bez szyb, osadzonymi w grubym murze obronnym. Mieści się tu świetlica, o czym jeszcze nie wiedzą. W bocznej nawie zbudowano scenę, na której stoi fortepian. Z drugiej strony świątyni znajduje się wielki czworobok zabudowany przylegającymi do siebie budynkami, dawniej zamieszkałymi przez mnichów. Aby się tam dostać, trzeba minąć pierwsze podwórze, na którym zostają szeregowi - skierowani do dużej szopy, w której przetrwają noc na gołej ziemi. Tutaj - w dużym wolno stojącym budynku - mieszczą się stajnie, prymitywna łaźnia, stolarnia oraz pracownia krawiecka i szpitalik. Cała ta wiedza jeszcze przed nimi.

Oficerowie udają się dalej. Minąwszy cerkiew, przechodzą przez jedną z dwóch bram wiodących poprzez długi budynek na drugi dziedziniec w kształcie ogromnego czworoboku, zwany spacerniakiem.

Do obozu Łowa należy również część starego parku oddzielonego od obszaru, z którego korzysta naczalstwo. Przecinają go liczne aleje wysadzone starymi dębami. Zalegają

pod nimi masy żołądźci. Jeszcze nie wiedzą, że stanowią uzupełnienie obozowej diety. Można je prażyć nad ogniem i - oszukując głód - podgryzać, albo parzyć z nich herbatę.

Strażnik kieruje ich do jednej z willi, większej od innych. Zaledwie znajdują się w wielkim hallu, gdzieś z głębi, z półmroku wybrzmiewa wrzask:

- Pod stienku! I kolejny:
- Ruki w wierch! (ręce do góry)

Gdy rozkaz zostanie wykonany, Głos zezwala im usiąść, ktoś obok nich przechodzi, daje się słyszeć stuk ryglowanych drzwi, a w ciemnościach rozlegają się różnorakie dźwięki. Ciche i głośniejsze rozmowy, westchnienia, a nawet przekleństwa. Tego Janina nie jest w stanie tolerować.

- Panowie, cisza!

Kobięcy głos w tym wyłącznie męskim towarzystwie działa piorunująco. Cichną w pół zdania, co ona natychmiast wykorzystuje.

- Nie zapominajmy, koledzy, kim jesteśmy! Jeńcami wojennymi. Polskimi oficerami i podoficerami. Nie zniżajmy się do poziomu chwilowy triumfatorów! Proponuję zakończyć ten dzień po staropolsku.

- Wszystkie nasze dzienne sprawy - intonuje czystym, dźwięcznym, wyszkolonym głosem i natychmiast odpowiadają jej liczne, mocne, męskie wzruszone basy i tenory.

- Przyjm litośnie, Boże prawy...

Kiedy śpiew umilknie, rozlegają się pytania.

- Kto to? Kobieta?
- Nawet z kobietami ta dzicz wojuje!
- Żeby kobietę w obozie trzymać!

Janina siedzi cichutko i tylko najbliżsi sąsiedzi wiedzą, gdzie jest. Czyjaś ręka sunie ku niej z kawałkiem zaoszczędzonego chleba, inna z kostką cukru. Wzruszona do łez, ucieka w świat wspomnień, lecz obrazy nakładają się na siebie - niespójne, skłębione. Spośród tego chaosu wyłaniają się dwie twarze. Ojca i męża. To zbyt bolesne, więc usiłuje myśleć o czym innym. Choćby o pozostałych, oddzielonych współtowarzyszach, szeregowcach.

- Gdzie się podzieli? Co z nimi?

Rano, skostniali, pokurczeni, ledwie żywi, zostają skierowani do łaźni, której Janina - ku swemu żalowi, z wiadomych względów - nie korzysta, potem pod barak kuchenny, odgradzony od reszty obozu dwumetrowym drewnianym płotem z małą furką z boku. Tu otrzymują drewniane łyżki - nieposiadający menażek - puszki po konserwach oraz śniadanie.

Cuchnącą, niedogotowaną zupę ze zgniłych kilek (małe rybki) wrzącą w wielkich parowych kotłach oraz po niewielkiej kostce zakalcowatego, lecz świeżego chleba, bo wypiekanego w obozowej piekarni.

Ci, którzy rzucają się, mimo ostrzeżeń współtowarzyszy, na jedzenie zbyt łapczywie, mocno to odchorują. Jest nawet jeden wypadek śmiertelny - skręt kiszek. Zmarły zostaje pochowany na skraju parku. Potem będą grzebani na wysepce Psiej - obozowym cmentarzysku.

Trzeba być nie lada szczęściarzem, aby - zachorowawszy - dostać się do małego szpitaliku o dwóch salkach mieszczących się na piętrze niewielkiego budynekczku z czerwonej cegły, a i tak pięć polskich pielęgniarek tam pracujących, łącznie z lekarką, może ich jedynie pocieszać przed zgonem. Wszystkie panujące tu przepisy, prawo i bezprawie dopiero poznają, na razie marzą tylko o miejscu do spania.

Tymczasem, skierowani do budynku komendantury, stają kolejno przed obliczem enkawudzisty w stopniu majora. Janinę zaskakuje nie tylko wyjątkową uprzejmością, ale i dobrą polszczyzną, którą najwyraźniej się popisuje. Potem dowie się, że jest z pochodzenia Polakiem.

- No proszę, kogo my tu mamy? Polską damę! Pozdrawiam w imieniu władzy radzieckiej - zaczyna z miłym uśmiechem, po czym przedstawia się.

- Major NKWD Paweł Fiodorowicz Borisowiec, komendant wszystkich tutejszych obozów. Moim zastępcą jest kapitan Sokołow. Poznacie go, bo lubi rozmawiać z ludźmi, ale nie jest taki miły, jak ja, więc radzę uważać. Bo wy, polscy panowie, zbyt jesteście dumni. On tego nie toleruje. Bardzo za to miły jest nasz politruk - Iwan Aleksiejewicz Jurasów, komisarz obozowy.

Robi chwilę wymownej przerwy, po czym kontynuuje w tym samym tonie.

- Jesteście w łagrze Iłowa Pustyń, na wyspie Iłowa, gdzie i ja mieszkam. Zwą ją Czarcią, ale to chyba niestraszne? Czertowyj Ostrów. Dowcipne, prawda? Bo żadnych diabłów tutaj nie ma. Za to sam obóz nazywa się pięknie. Prawda? W odróżnieniu od Nilowej Pustyni na wyspie Stołobnoje. A jak minęła podróż, można wiedzieć?

Najwyraźniej pragnie ją zniewolić uprzejmością (okaże się, że to świadomie stosowana metoda śledcza: uśpić czujność, zdobyć zaufanie i wykorzystać; np. zwerbować do współpracy).

Zdumiona tym mocniej, nie bardzo wie, co powiedzieć, jednakże - zobligowana jego dobrymi manierami i pozorną życzliwością, wciśnięta w ramy konwenansu, jąka.

- Doo... to jest...

Zadowolony kontynuuje jeszcze słodszy tonem:

- A w czasie podróży nie stała się wam jakaś krzywda?

Na to pytanie nie jest w stanie nic odpowiedzieć, więc milczy. Za to on nie przestaje indagować. Na jego szerokiej, myląco szczerej twarzy ukazuje się lekko kpiący uśmiezek, którego nie potrafi, czy nie chce, zamaskować.

- Może konwojenci ubliżali? Nie zauważyli, że z damą mają do czynienia?

Ponieważ ona wciąż milczy, dodaje z obłudną troską:

- A choć karmili dobrze? Pić dawali? Słowem nie obrażali? Dłużej tych jawnych drwin nie sposób słuchać. Wyprostowawszy się, rzuca odważnie.

- Nie byliśmy głodni ani spragnieni i niepotrzebne nam żadne uprzejmości. Jesteśmy jeńcami wojennymi i na wersal nie liczymy, jedynie na przestrzeganie konwencji genewskiej.

- No cóż, bardzo mi przykro, ale Związek Radziecki z burżujami żadnych konwencji nie podpisuje. Możecie liczyć tylko na nasze dobre, socjalistyczne wychowanie i szczere chęci.

Nagle przestaje grać. Spogląda na nią zimno, okrutnie.

- Czy wasze konwencje dopuszczają kobiety do udziału w wojnie?

- Nasze kobiety same, na ochotnika, wstępują do wojska - odpowiada hardo.

- Aha. Znaczy tak... No to teraz kwarantanna przed wami, żeby chorób nie roznosić. Następnym! - rzuca w stronę konwojenta z listą.

Stoi, olśniona pięknem starodawnej świątyni, której rewolucyjni wandalowie nie zdołali do końca zniszczyć. Obramowana wysokimi kruzgankami podpartymi smukłymi kolumnami w stylu korynckim, z trzema wejściami, ku którym wiodą szerokie schody, daje wyobrażenie dawnej świetności, ściany zewnętrzne pokrywają pozostałości po zniszczonych malowidłach przedstawiających sceny z Pisma Świętego, co każe się domyślać, że wewnątrz jest jeszcze piękniejsze i bogatsze.

Podobne wrażenie dają piękne, piętrowe, murowane i drewniane, zabytkowe wille. Nie wie, że służyły niegdyś przybywającym tu na wakacje rosyjskim arystokratom, a nawet parze cesarskiej.

- O, gdybym tu mogła przybyć jako turystka! - wzdycha mimowiednie - ale w tej sytuacji... Nie czas na zachwyty. To miejsce kaźni i cierpienia moich rodaków, najlepszych synów Narodu, a także - kto wie - nasze.

Na szczycie schodów pojawia się kilku współpasażerów ze statku, szeregowych żołnierzy. Wśród nich - jeden ukrywający się oficer.

- Nie wierzę im - zwierza się jej w zaufaniu. - Wiadomo przecież, że polskich panów

nie lubią.

- Przenieśli nas do baraku - dodaje inny. - Lepsze to od szopy, gdzie spaliliśmy na gołej ziemi. Teraz mamy trzypiętrowe prycze, wprawdzie zbite z dykty, a do tego jedna na trzech, zawsze to jednak jakieś niby-łóżko. Udało mi się zająć najwyższą kondygnację; im dalej od podłogi, tym cieplej.

Wszyscy bardzo narzekają na panujący ziąb, gdyż nie ma tam pieca, gdyby nawet był, nie mieliby czym napalić.

- No to jechaliśmy na jednym wózku. My całą noc przesiedzieliśmy na podłodze. - Co dalej, nie wiadomo - uśmiecha się na pożegnanie.

Po powrocie do willi czeka ją niespodzianka. Przeniesieni do bloku oficerskiego nr 9 otrzymują do dyspozycji prycze (dwie osoby na jednej z nieheblowanych desek, za to przykryte siennikami, które trzeba wypchać słomą, oraz cienkie, sztywne, poprzecierane koce.

- Tutaj będziecie odbywać kwarantannę - oznajmia strażnik.

- No proszę. Wersal, proszę panów oficerów! - pokpiwa Janina.

Koledzy przydzielają jej osobne legowisko w kącie, które po rycersku oddzielają kocem, nie ujawniając, który z nich zdobył się na takie poświęcenie. Podejrzewa kpt. rezerwy Jana Górskiego, profesora gimnazjalnego po ukończonej Sorbonie paryskiej, lecz on do niczego się nie przyznaje.

Urządziwszy się jako tako, ponieważ nikt ich nie pilnuje, mimo obowiązującej kwarantanny, wychodzą, by się rozejrzeć po terenie. Jak się przekonają, życie obozowe toczy się na spacerunku.

W jednym rogu placu, w wolno stojącym budynku, mieści się komendantura, a w niej radiowęzeł nadający to, co władze uznają za stosowne przekazać więźniom: piosenki sławiące socjalizm, pogadanki polityczne oraz komunikaty. Urzęduje tu dowództwo obozu, z majorem Pawłem Fiodorowiczem Borisowcem - głównym szefem wszystkich ostaszkowskich obozów. W zarządzaniu pomagają mu: wice komendant kapitan Sokołow, pomocnik tegoż - Połowniek, dyżurny obozu Iłowa Pustyni - Borysow oraz komisarz obozowy - politruk Iwan Aleksiejewicz Jurasów.

Inne niezbędne obiekty to kuchnia, przed którą ustawiają się wielogodzinne kolejki po skąpe racje żywnościowe i cuchnącą zupę, dyskretnie odgradzona od reszty dwumetrowym płotem, wiecznie oblegana „kpiatilnia” (urządzenie wyposażone w krany, z których cieknie gorąca woda - „kpiatok”, czyli wrzątek) i prowizoryczny obozowy sklepik, tzw. ławoczka. Można w nim kupić cukierki, papierosy, cukier, ciastka i jabłka. Jeśli ktoś nie ma rubli, może je zdobyć poprzez handel wymienny. Ppor. Kulikowski kupił właśnie dwa jabłka.

Niezmiennie opiekuńczy, jedno ofiarowuje damie. Przyjmuje dar z wdzięcznością, bardziej uradowana tym dowodem przyjaźni niż jego przydatnością, choć - mimo że niezbyt urodziwe - smakuje jak żadne dotychczas. Może dlatego, że zdobyte za wymienione na ruble wieczne pióro.

Tubylczy funkcjonariusze bardzo chętnie kupują zegarki, wieczne pióra i inne cenne drobiazgi - proceder zabroniony, toteż uprawia się go pokątnie. Jest bardzo intratny. Jeden papieros kosztuje całodzienną rację chleba. W tej sytuacji Janina postanawia rzucić palenie.

Od wydającej obiadową lurę wolnościowej pracownicy dowiadują się, że w Hłowej Pustyni do niedawna przebywały hiszpańskie dzieci przywiezione podczas wojny domowej w tym kraju.

- To i dzieci trzymacie w więzieniu?

- Dla nich to był dom dziecka - odchodzi urażona.

Mimo że kwarantanna skończona oficerowie nadal przebywają w strefie nr 9. Kpt. Sidor, ppor. Kulikowski i nowy przyjaciel kpt. Górski starają się opiekować swoją koleżanką, dzięki czemu czuje się pewniej.

Oficerowie nie mają tu obowiązku pracy (poza funkcją „dniewalnego” - dyżurnego na bloku), kiedy jednak zabraknie nagle rąk, bywają do niej przymuszani w wyniku łapanek urządzanych na spacerunku. Chociaż pracujący otrzymują nieco lepsze wyżywienie, gra nie jest warta świeczki. Lepiej nie dać się złapać. Ciężka fizyczna harówka, zwłaszcza pod gołym niebem, w połączeniu z prymitywnymi warunkami sanitarnymi, głodowaniem i plagą chorób, to najprostsza droga na wysepkę Psia. Trafiają tu codziennie dziesiątkami.

Dzienna racja żywnościowa jeńca wynosi 40 dkg chleba, wydawanego nieregularnie, gdyż piekarnia nie nadąża z wypiekaniem. I nie pomaga, że część wypieku władze powierzają okolicznym gospodyniom. Do powstawania braków przyczyniają się głównie nadużycia ze strony obozowych funkcjonariuszy, którzy bezpardonowo jeńców okradają. Stąd żebracze przydziały innych dóbr, racjonowanych co dziesięć dni: 12 dkg cukru, 2 dkg herbaty, pudełeczko zapalek i paczka machorki, którą Janina - raz sobie powiedziawszy, że nie pali - wymienia na chleb. Ma dla kogo żyć, więc ratuje się jak potrafi. Poza tym można liczyć na porcję cuchnącej zupy dwa razy dziennie, łyżkę obiadowej kaszy na gęsto i kipiatak czyli wrzątek w ilości zależnej od tego, z jakim naczyniem stoi się w kilometrowej, niemalejącej kolejce.

Dodatkowa, nie do zniesienia, plaga, to stała indoktrynacja. Niekończące się przesłuchania oraz nieustający, propagandowy jazgot obozowych megafonów. Wygłodzeni, chorzy, bez przerwy przesłuchiwanie i szykanowanie, zżerani przez wszy i pluskwy, usiłując

jednak trwać i rzadko się zdarza, by ktoś rzucił się na podłączone do prądu, kolczaste zasieki. Podtrzymuje ich myśl o najbliższych i nadzieja na powrót do domów.

Po obozie można się poruszać stosunkowo swobodnie, toteż Janina często wychodzi na spacerki. Jest już pełnoprawnym podporucznikiem czasu wojny, o co zadbał nieoceniony kpt. Sidor.

- Pani Janino, muszę panią oficjalnie mianować, bo jak się Sowieci dowiedzą, że nie posiada pani żadnego stopnia, posadzą razem z cywilami i kto panią, w razie czego, obroni? Wojsko to wojsko!

Wyszła właśnie na przechadzkę po spacerki. Tyle tu się dzieje! Najwięcej przy „ławoczki”. Tłok nieopisany. Jedni sprzedają zegarki, obrączki, sygnety, wieczne pióra, inni płacą rublami, które za chwilę znikną w kasie sklepiku, a powłóczący nogami osobnik wyjdzie z wypchaną pazuchą. Oferowane tu „skarby” kuszą, lecz jedyną wartościową rzeczą, którą posiada, jest jej ślubna obrączka, a tej nie oddałaby za wszystkie specjały świata. Także za upragniony chleb. O srebrnym Medalionie z drzazgą Krzyża Chrystusowego ukrytym na piersiach, nawet w tym aspekcie nie myśli. Prędzej oddałaby życie niż tę rodową relikwię.

„Gdybym miała umrzeć z głodu, nie sprzedam obrączki! Mam ją od Mieczka! Od mojego męża! Nie zdążyliśmy się sobą nacieszyć i kto wie, jak długo potrwa rozłąka! Ta obrączka to jakby częśćka jego samego.”

Dopada ją tęsknota tak żrąca, że aż boli. Za nim. Za jego jedynym na świecie, cudownym uśmiechem. Myśli błądzą - nieposłuszne, niespójne. Jego oczy, jego ręce, a nade wszystko - uśmiech. Ten uśmiech, który powalił ją na kolana. Zapanował nad nią niepodzielnie.

Przed jej wewnętrznym wzrokiem obrazy przesuwają się i nikną. Ich pierwsze spotkanie na zboczu górskim w Tęgoborzu, wybuch supernowej w piersiach i głowie, ślub w maleńkim podgórskim kościółku i spacerki po batorowskim parku. Jakże jest dumna, jak się cieszy, pokazując mu każdy zakątek! Ile radości z galopu na koniach! Przytulny pałac... Rodzinny dom!

„Panie Boże, teraz dopiero wiem, jaka tam byłam szczęśliwa. To prawdziwy utracony raj! Mickiewiczowskie Soplicowo. I tatko - surowy, wymagający, ale czuły i troskliwy. Sam, bez pomocy żony, potrafił zapewnić nam, dzieciom, najwspanialsze warunki rozwoju. Jeśli cokolwiek we mnie dobrego, jemu to zawdzięczam. Nie zawiodę cię, ojczu. Nigdy! Twój testament... Wypełnię go co do joty. Będziesz dumny ze swojej córki. Nie zhańbię nazwiska Dowborów-Muśnickich!”

Z rozmieszczonych w kilku miejscach głośników rozlega się bez przerwy namolna,

męcząca muzyka, przeplatana ogłoszeniami o wyświetlanym w tym dniu filmie propagandowym, sławiącym „bohaterski naród sowiecki, Lenina i Stalina, zdobywcze rewolucji oraz socjalistycznej gospodarki”.

Ta kakofonia dźwięków sprawia, że nie zwraca uwagi, iż koło niej coś zaczyna się dziać, nie słyszy okrzyków.

- Łapiduchy! Uwaga, będą wyłapywać!

Tłum rozpierzcha się błyskawicznie, bo to znaczy, że można trafić na ciężkie roboty w Ostaszkwie; najczęściej do ładowania desek na wagony. (Ponadto jeńcy pracują tu przy wyrębie lasu, wożą drewno z Ostaszkowa do oddalonego 12 km Bologoje, kopią glinę i torf oraz wysoki ziemny wat, który połączy wyspę ze stałym lądem.) Są i inne, katorżnicze prace trwające dzień i noc - każda zmiana dziesięciogodzinna. Ściągają drzewo z lasu i bloki kamienne z uszkodzonych murów okołoklasztornych, które trzeba reperować, przerzucają tony ziemi, budując groble, mosty i kładki, a niebawem będą wyrąbywać grubą lodę na jeziorze.

Nic dziwnego, że zmuszani do tej morderczej harówki szeregowi wymigują się, jak mogą. Trudno pracować na mrozie (wody Seligera zaczynają już zamarzać), gołymi rękami lub przy pomocy prymitywnych narzędzi, bez ciepłego ubrania i obuwia, w mundurowych płaszczach, które tak szybko się niszczą, przy dopingu nagich bagnetów w rękach „wachtiorów”.

Skoro nie ma do niej chętnych, trzeba ich znaleźć, czyli wyłapać. Jeśli, przy okazji, trafi się jakiś zagapiony oficer, „pomyłkowo” biorą i jego. Trafia do pracy pod dachem, najbardziej pożądanej. W elektrowni, w stolarni, piekarni, pralni, fryzjerni, w warsztatach krawieckich, szewskich, ślusarskich, w chlewni. Wszystkim, także niektórym oficerom, zwłaszcza niższym, marzy się praca w świetlicy, gdzie jest wypożyczalnia poprawnych ideowo książek, szachów czy warcabów, lecz to rewiry trudniej dostępne.

Janina - zamyślona, więc nieświadoma, że wpadła w łapankowy kocioł - trwa nieruchomo wśród umykających na boki, nie reagując na przypadkowe potrącenia. Ktoś dotyka jej ramienia. Jakiś wycofujący się z tłumu, niewysoki mężczyzna w mundurze Straży Granicznej, widząc ją taką zagubioną, pociąga za sobą. Ze sposobu, w jaki wbiega po wysokich schodach cerkiewnego krużganka, poznać wysportowanego, sprawnego żołnierza. Podąża za nim posłusznie, aż przystanie w cieniu jednej z kolumn.

- Tu trzeba mieć oczy naokoło głowy, przyjacielu!

Nieznajomy patrzy na nią z lekką przyganą.

- Zamyśliłam się, dziękuję panu.

Uśmiecha się, ubawiona jego zdumieniem.

- Oczom nie wierzę. Kobieta? Tutaj?! A wziąłem panią za bezradnego żołnierzyka!

Jest tym spotkaniem najwyraźniej rozczulony, co się odbija w jego błękitnych jak niebo, bystrych oczach. Budzi sympatię i zaufanie. Jego młoda twarz, choć naznaczona nędzą i głodowaniem, tchnie energią, a stanowczy wyraz ust świadczy o sile charakteru. Kiedy uchyli czapkę, aby przetrzeć ręką czoło, przez moment widać, że jest zupełnie łysy, co czyni go poważnym nad wiek. Obciągnąwszy na sobie mundur (teraz dopiero widać, jak jest wychudzony), przykłada palce do daszka.

- Pani pozwoli, starszy przodownik Straży Granicznej, komendant placówki na południowej granicy państwa polskiego w Leśnicy Pienińskiej, por. Michał Lubieniecki. (Michał Lubieniecki, syn Joachima - ojciec Autorki - przebywał w obozie dla jeńców wojennych w Ostaszkowie. Figuruje w Indeksie Represjonowanych wydanym przez Ośrodek Karta, t. III, pt. Rozstrzelani w Twerze, zawierającym 6311 nazwisk jeńców polskich z Ostaszkowa rozstrzelanych w kwietniu-maju 1940 r. i pogrzebanych w Miednoje (wg źródeł polskich i sowieckich), zawierającym biogramy funkcjonariuszy Policji Państwowej, Straży Granicznej, Korpusu Ochrony Pogranicza, Żandarmerii Wojskowej i Służby Więziennej. Podstawą zbioru jest kopia oryginalnych list wywozowych NKWD. Na s. 168 tegoż Indexu widnieje biogram: „Lubieniecki Michał, ur. 1896, s. Joachima, N 308/85... eniecki (lista wywozowa NKWD), T 892 L... eniecki (Jędrzej Tucholski, Mord w Katyniu, Warszawa 1991, spis jeńców z Ostaszkowa), W-6409 Lubieniecki (cd. z tłumaczenia rosyjskiego N „Wojskowy Przegląd Historyczny”), L 108 (Andrzej Misiuk, Lista ostaszkowska, Szczytno 1993. Na wykazie nr 051/2 z kwietnia 1940 r. (s. 308 poz. 85) sporządzonym przez NKWD w Moskwie z poleceniem przekazania do dyspozycji szefa Zarządu NKWD kalinińskiej obłasti, nr akt sprawy: 7712/216. Zamordowany w 1940 r.” (źródło: kserokopia dokumentów przekazanych Polsce przez prezydenta Borysa Jelcyna w październiku 1992 r. wraz z około dwudziestoma innymi dokumentami przechowywanymi w ściśle tajnej teczce specjalnej Rosyjskiego Archiwum Państwowego).

Jego rodzina, o którą tak się niepokoił, trafiła na syberyjskie zesłanie (1940-1946), z którego szczęśliwie powróciła do kraju. Matka Autorki całe życie pragnęła już tylko jednego: aby odnaleźć grób męża. W 1993 r. pragnienie to po części zaspokoiło pismo Zarządu PCK (Biuro Informacji i Poszukiwań) potwierdzające powyższe dane, z nast. uwagą: „Należy przyjąć, że wyżej wymieniony został zamordowany w 1940 r.”. Nadal jednak nie było wiadome miejsce pochówku.)

Wyciąga do niego rękę, którą on, pochylając się nisko, z uszanowaniem całuje.

- Podporucznik czasu wojny Janina Lewandowska. Pilot szybowcowy i samolotowy,

3. Poznański Pułk Lotniczy - odwzajemnia się bez namysłu.

- Bardzo mi przyjemnie, choć nie ukrywam, wolałbym...

- Ja też, ale... - resztę dopowiada uśmiechem.

Oślaniając ją przed lodowatymi powiewami wiatru, usiłuje przedłużyć rozmowę. Ona również czuje taką potrzebę. Zwłaszcza, gdy okaże się, iż mają ze sobą wiele wspólnego.

Oto pan Michał służył w armii carskiej i walczył z bolszewikami w Wojsku Polskim w 1920 roku. Podobnie jak jej ojciec, który również był carskim oficerem i walczył o wolność Polski, tyle że na innym odcinku. Jednak nazwiska mu nie zdradza. Mówi za to szczerze o swojej pasji latania i o niedawno poślubionym mężu poznanym w Tęgoborzu koło Nowego Sącza. To go najwyraźniej ożywia.

- Nowy Sącz? Kiedy tam pani była? To niedaleko Leśnicy! A może i do Przemyśla Bóg zaprowadził? Bo widzi pani, ja tam przed samą wojną moją rodzinę odesłałem. Żonę i czworo dzieci. Proszę wybaczyć, ale pani... Nie wiem. Te oczy... Wprawdzie moja żona mała i filigranowa, a pani wysoka, a mimo to coś wspólnego... Ja... przepraszam, ale... Czy nie spotkała pani przypadkiem takiej charakterystycznej gromadki? Przypadek, to - jak mówią - sam Pan Bóg chodzący po ziemi incognito, więc... Szczupluteńka osóбка o włosach jak heban, z maleństwem na rękę. Krysiumia, dziewczyneczka trzymiesięczna za ledwie. I jeszcze troje starszych. Dwie panienki - Kamilka i Danusia. Szesnaście i czternaście lat. I chłopczyk, dziewięciolatek. Zbysio. Do mnie bardzo podobny. Najstarsza córeczka też. Bo ja, widzi pani, po prostu szaleję na myśl, jak ona sobie sama radzi. Moja Jadziunia.

Zrozpaczony łapie się rękami za głowę, w oczach pojawiają się łzy.

- Przykro mi, ale nie miałam okazji być w Przemyślu. Ja nawet nie zdążyłam pożegnać się z mężem.

Teraz jej oczy zachodzą mgłą. Chwilę trwa, zanim nad tym zapanuje i czego on stara się taktownie nie dostrzegać.

- A dzieci? - zmienia temat. - Duże mają państwo dzieci? Patrząc na panią, sędzę, że małe.

- Nie zdążyliśmy. Jestem niecałe trzy miesiące po ślubie.

Czując, że się rozplacze, aby temu zapobiec, wyciąga dłoń.

- Czas na mnie. Tym bardziej, że łapanka - jak widać - zakończona. Raz jeszcze dziękuję. Myślę, że się jeszcze spotkamy.

- Nie jestem pewien. Chodzą słuchy, że Straż Graniczną mają odesłać na wyspę Skriebel. (Chorych jeńców wywożono stamtąd niby do szpitala w miasteczku Rudiny, lecz

już nie wracali. Topiono ich w dopływie Wołgi Domyślano się tego, ponieważ dopłynięcie do miasteczka wymagało co najmniej godziny Tymczasem statek na którym odpływali, wracał już po 15 minutach, zamiast - minimum - po dwóch godzinach. Żołnierze, którzy ich konwojowali, mieli podobno obcięte języki.) Selekcję robią. To mnie martwi. Mówią, że ludzie śpią tam na cemencie, bo prycz mało, więc umierają masowo, gdyż karmią ich tylko co drugi dzień chlebem wielkości zapalczanego pudełeczka. To po prostu katownia, ten podobóz nr 7. Nie ma tam żadnego ogrzewania, a druty pod napięciem i cała wyspa otoczona potężnym murem. Stamtąd nie ma ucieczki.

- Chyba pan nie zamierza...

- Proszę pani. Ja z ruskiego lazaretu uciekłem we wrześniu (choruję na katar kiszek), bo rady sobie dać nie mogłem, że moja Jagódka sama z dziećmi, to i stąd... Kto wie?...

- Ale tam nie było murów i wody wokoło. Ani „wachtiorów” z psami i pepeszami, ani kolczastych drutów i strażniczych „grzybków”.

- Są różne sposoby. Dajmy na to wejście w komitywę z którymś pracownikiem tubylczym, ale za to grozi im kara. I tak bym coś wymyślił, gdyby nie perspektywa legalnego wyjścia z obozu, jak głosi pantoflowa poczta. Dranie, nawet gazet nam nie dają, więc nie wiemy, co się dzieje na świecie... No, chyba tylko to, o czym usłyszymy ze szczekaczek. Mają nas podobno wymieniać z Niemcami, jako obywateli niemieckich, to znaczy tych którzy pochodzą z terenów aktualnie zajętych przez Niemcy. Oboje mamy więc szansę. Kto wie, może święta Bożego Narodzenia spędzimy w domach? Mówi się już o zapisach na listę. A może nareszcie Francuzi i Anglicy ruszą. Wszystko może się zdarzyć. (Biuro Polityczne WKP(b) 3 października 1939 r. rzeczywiście wydało Uchwałę o zwalnianiu do domów szeregowców pochodzących z zachodniej Ukrainy i Białorusi, zaś tych ze strefy niemieckiej miano przekazać władzom niemieckim. Wiadomo jednak, że ani jeden więzień z Ostaszkowa nie został przekazany. Wszyscy, poza tymi, których przeniesiono do innych obozów (Starobielsk i Kozielsk, gdzie większość również zginęła), zostali wymordowani. Więźniowie z Ostaszkowa, począwszy od 19 marca 1940 roku, po uprzedniej rewizji, żegnani przy bramie dla zamydlenia oczu orkiestrą, wznoszący okrzyki „Do zobaczenia w Polsce!”, byli sukcesywnie kierowani czwórkami na przystań, gdzie - niczego nie podejrzewając - wsiadali na barki, lub - zanim nie puściły lody - przechodzili suchą nogą po jeziorze, na przedmieście Ostaszkowa, gdzie ich ładowano do więźniarek - „ciepluszek”, i przewożono do Kalinina (Twer) - szczęśliwych, że koniec z wszami, pluskwami i niewolą. Po dwudniowym oczekiwaniu, aż wymordują poprzednią grupę, w tamtejszym więzieniu NKWD, nad rzeką Twercą przy ulicy Sowieckiej (obecnie mieści się tam Instytut Medyczny), byli zabijani w

wygłuszonym wołokiem z wielbłądziej wełny podziemi tegoż więzienia nieoczekiwanym strzałem w tył głowy. Przedtem każdy kolejno musiał przejść pochyłony przez niskie drzwi, poza którymi czekali już dwaj łapacze, zaś trzeci, kat - mjr NKWD Wasilij Błochin oddawał perfekcyjny strzał. Wówczas tamci dwaj wyciągali zwłoki na wewnętrzne podwórze i wrzucali je do osłoniętych plandekami ciężarówek, które odjeżdżały do Miednoje, gdzie koparki wykopały już doły śmierci. W akcji rozstrzeliwania brało tu udział trzydziestu ludzi. W ciągu jednej nocy rozstrzelowano 200-300 skazańców. Taką sprawność zawdzięczano technice opracowanej przez Błochina i komendanta kalinińskiego NKWD Rybanowa. Za mord więźniów z Ostaszkowa odpowiedzialność ponosi generał major Dymitr Stiepanowicz Tokariew (1902-1993). Rok przed śmiercią, niewidomy, być może powodowany wyrzutami sumienia, wskazał prokuratorowi wojskowemu miejsca pochówku pomordowanych w Miednoje oraz złożył zeznanie dotyczące tego mordu. Na mogiłach, dla niepoznaki, zbudowano szamba.)

Słowa te rozpalają wyobraźnię. Nowy znajomy podoba się jej coraz bardziej, więc - zanim go na dobre pożegna - ostrzega:

- Tak czy inaczej, stanowczo odradzam ucieczkę. Słyszałam o dwóch, doktorzy to zrobili. Tego samego dnia ich schwytano i ślad po nich zaginął.

Odwraca się, aby czym prędzej przekazać wspaniałą wiadomość przyjaciołom. Zdąży jeszcze usłyszeć zaproszenie na „nocne rodaków rozmowy”.

- Aha, gdyby zechciała pani spotkać ciekawych ludzi, zapraszam dziś wieczorem, po apelu, do naszego bloku numer 12. To ten wielki barak koło chlewni. Czteryście osób, trzy piętra prycz, bagatela! (Na łowej tylko wyższa kadra oficerska, poczynając od majora, spała na łózkach. Reszta na dwu i trzypiętrowych pryczach albo na gołej podłodze.)

Można tam usłyszeć ciekawe rzeczy, porozmawiać, pośpiewać, zagłuszyć tęsknotę za wolnością i rozpacz, że Ojczyzna w potrzebie, a my tu beczynni. Będzie też Msza Święta.

- Msza Święta? Tutaj?!

- Tutaj. Pod boki Antychrysta! Mamy wśród nas księdza, który pełni swoją posługę, nie zważając na zakazy. To ks. płk Nowak z Lublina. Można się wypowiadać, tylko hostii brakuje. Zawsze nosi przy sobie stulę cudem przemyconą za koszulą. Wystarczy poprosić, a - znalazłszy zaciszne miejsce - wyciąga ją, całuje i zakłada na siebie.

Ma też w kieszeni buteleczkę z wodą i drugą - z olejem, które sam święci, więc i zmarłych godnie na lepszy świat wyprawia. Każdego dnia wpada do szpitalika, bo tam bardziej potrzebny niż bezradny lekarz.

- Wspaniale! Żeby go tylko nie przyłapali.

- Pilnujemy się, wystawiamy czujki. Trzeba dbać o morale. Mamy zresztą alibi. Od kiedy komisarz obozowy Jurasów zezwolił na zorganizowanie chóru i zespołu muzycznego, możemy udawać, że działamy legalnie. Nie wiem tylko, jak długo wytrwamy, bo nie w smak nam oficjalny repertuar sławiący „wielikuju riewolucyju” (wielką rewolucję). Wolimy nasze piosenki wojskowe i pieśni religijne.

- To przecież codzienny, poranny i wieczorny obowiązek nas wszystkich - wtrąca Janina, mocno, po męsku ściskając jego dłoń.

Kiedy wieczorem wśliznie się, niezauważona przez strażnika, do baraku nr 12, przystaje, zdezorientowana, gdyż pozornie nic się tu nie dzieje. Jednak, wsłuchawszy się we wszechobecny rozgwar, z kakofonii rozmaitych dźwięków wyławia dźwięk skrzypiec. Nie jest idealny, bo instrument wykonano z resztek dykty i końskiego włosia, za to odtwarza miłą sercu, legionową melodię Nie mamy wyłogów. Dobiega z odległego kąta, rozjaśnionego nikłym światelkiem lampki-kopciłki wykonanej z puszki po konserwie, knota ze sznurka i oleju wymienionego na jakiś fant. Wtem do skrzypiec włącza się solowy śpiew. Piękny, miękki, ciepły tenor przejmująco wibruje w ciemnościach. Dźwięczy w nim tęsknota i ból, ale też siła.

Podszedłszy bliżej, ku swemu zdumieniu w śpiewaku rozpoznaje porannego rozmówcę. Jest po prostu wstrząśnięta, bo ta prosta melodia i słowa trafiają prosto w serce, Gdyby знаła tekst, chętnie by się do niego przyłączyła. Po chwili zaczyna mu towarzyszyć mormorando.

Na wyspie Iłowej, wśród lasów i wód

Spędzamy dni szare niewoli.

A z nami przebywa tęsknota i ból, Odwieczny towarzysz niedoli.

Ostatni zeszedłszy z wskazanych nam wart, A troska okryła nam czoła, Gdy wróg nasz moskiewski podstępem, jak łotr

Jął szarpać Ojczyznę dokoła.

Poszedliśmy w niewolę bez żalu i skarg

Na nędzę i życie tułacze.

A po nas pozostał jęk matek i żon, Modlitwy dzieciątek i płacze.

Gdy wrócim z niewoli do domów i chat

Przez rzeki, jeziora i góry, Pierś naszą pokryją nie wstęgi, ni haft, Lecz proste, żołnierskie mundury.

Gdy zajdzie potrzeba, gdy zechce tak los, Niepomni na groby i rany, Swe zdrowie i życie oddamy na stos

Dla Ciebie - mój Kraju kochany.

Kiedy śpiewak skończy, długą chwilę trwa w milczeniu, zanim do niego podejdzie.

- Jednak pani przyszła! - wita ją z uśmiechem.

- Co to za pieśń? Kto jest autorem?

Dziwna rzecz, ale nie jest zaskoczona odpowiedzią.

- Stoi przed panią.

- Wobec tego proszę o słowa. Chętnie się nauczę, bo śpiewanie to moja druga po lataniu pasja.

Notuje w kalendarzyku tekst, a potem spędza wśród nowych przyjaciół piękny wieczór. Na zakończenie śpiewa w duecie z panem Michałem.

Następnego ranka budzi się w gigantycznej niby-klatce. Ktoś w nocy odrutował całą oficcerską zonę nr 9, ustawił strażnicze wieżyczki, a u wejścia stanął na posterunku uzbrojony enkawudzista. Od tej chwili mają ograniczoną swobodę poruszania się i mogą wychodzić poza strefę tylko pod konwojem; na przesłuchania, do kuchni lub do łaźni.

W ślad z megafonów popłynęła wiadomość, że szeregowcy pochodzący z terenów przyłączonych po 17 września do Związku Radzieckiego zostaną zwolnieni. To samo dotyczy zamieszkałych w obecnej strefie niemieckiej, których wymieni się na jeńców z terenów radzieckich wziętych do niewoli niemieckiej. Jedni i drudzy wzywani są do zgłaszania się w komendanturze obozu.

Janina nie wie, że tego samego dnia wszyscy policjanci oraz podoficerowie i oficerowie Straży Granicznej i Korpusu Ochrony Pogranicza oraz żandarmeria zostają przeniesieni na ogrodzoną niebotycznym murem wyspę Skrieibel. Nigdy już nie spotka pana Michała.

Wśród oficerów z bloku nr 9 wielkie poruszenie wywołane przez jedyną w tym towarzystwie damę. Z samego rana przypomina:

- Panowie, dziś 11 Listopada! Święto Niepodległości! Jak je uczymy?

Mimo że to surowo zabronione i grozi regulaminowymi sankcjami, nie wahają się ani sekundy.

- Uroczycie, a jakże! Obowiązkowo!

Podczas kiedy radzą, jak to zorganizować, ppor. Kulikowski pochyła się do jej ucha.

- Zaaferowany myślą o Bożym Narodzeniu, które już za pasem, zupełnie o tym zapomniałem. Mam za to coś, co uświetni narodziny Chrystusa, proszę za mną.

Podszedłszy do swojej nary, z tajemniczą miną wyjmuje spod siennika jakieś zawiniątko, a z niego niewielki, blaszany krążek obrzeżony niskim rancikiem. Taka maleńka

niby-patelnka z kilkunastocentymetrowym uchwytem z grubego drutu.

- Co pani na to?

- Pojęcia nie mam, co to jest.

- Ależ to forma do wypiekania komunikantów!

- Boże, to po prostu cud! Panie Michale, skąd?...

- Żaden cud, tylko jeden spryciarz zatrudniony w ślusarni. Na moją prośbę w wielkiej tajemnicy zmajstrował. Wpadłem na to podczas rozmowy z księdzem Nowakiem. Utyskiwał, że Komunii Świętej nie może udzielać, więc zaradziliśmy. Teraz wystarczy garść mąki, parę kropel wody, jakiś ogieniek i odrobina sprytu, żebyśmy mieli w obozie najprawdziwsze Msze Święte!

- Ale mąka!? Skąd...

- Pani porucznik! - uśmiecha się szelmowsko. - Coś się sprzedaje, coś się kupi...

Janina czuje, jak ogarnia ją drzenie.

- Panie Michale, ja... Ja to zrobię!

- Sprzeda pani obrączkę? - najwidoczniej się z nią droczy.

- Nie. To... nigdy! Za to piec potrafię z całą pewnością. Dlatego... Proszę mi to dać. Obiecuję strzec jak oka w głowie. I proszę jak najszybciej mąkę zorganizować. Gorzej z ogniem.

- Pomyślimy... Gdyby tak palnik mieć, ale to nierealne.

- A może by nad kopciłką?

- Musiałyby być dużo większa od normalnej, ale to jest myśl!

Kiedy wieczorem, w ciemnościach, cała oficcerska enklawa zabrzmiała śpiewem patriotycznych, legionowych pieśni, przerażeni i rozwścieczeni „wachtiorzy” na próżno łatają po korytarzach, wrzeszcząc co siłą.

- Nie śpiewać! Nie lzia! (nie wolno)

Nikt ich nie słucha. Może nawet nie słyszy, bo już cały ostaszkowski obóz dla „wojennoplennych” aż się trzęsie w posadach od powszechnego śpiewania.

Maszerują chłopcy, maszeruję, Karabiny błyszczą, szary strój, A przed nimi drzewa salutują, Bo za naszą Polskę idę w bój.

Mimo że tego rodzaju demonstracje są surowo zakazane, tym razem nikogo nie ukarano, prawdopodobnie z powodu zamieszania powstałego po tym, jak następnego już dnia Rosja wypowiedziała wojnę Finlandii, co ogłoszono przez radiowęzeł obozowy i co wzbudza sprzeczne uczucia. Przygnębienia, że agresor zamierza poszerzyć swoje wpływy, i nadziei, że to nowe uwikłanie skutecznie go osłabi.

Także w obozie następują zmiany. Zaczynają dokądś wywozić oficerów Wojska Polskiego. Już w połowie miesiąca opuszcza go stuosobowa grupa. Wśród nich - dwaj wyżsi oficerowie: generał Mieczysław Smorawiński i kontradmirał Xawery Czernicki oraz lotnicy Poznańskiego 3. Pułku, a z nimi ppor. Janina Lewandowska. (Jest to najbardziej wiarygodna data, co można stwierdzić na podstawie zapisku w notatkach majora dyplomowanego Kazimierza Szczekowskiego, wydobytych z dotu śmierci w Lesie Katyńskim kryjącym ofiary z Kozielska, Pod datą 7 lutego 1940 r. pisze: „Jest tu w obozie lotniczka - dzielna kobieta, już czwarty miesiąc z nami wszelkie trudy i niewygody niewoli znosi, a trzyma się wzorowo.”. Wobec tego świadectwa dane z Innych źródeł, wymieniających 6 lub 18 grudzień 1939 są mniej prawdopodobne.)

Z samego rana rozlegają się okrzyki „wachtiora”.

- Sobirajties' z wieszczami! (zabierajcie się z rzeczami)

Zagonieni do cerkwi długo czekają na ciąg dalszy. Wreszcie, zmarznięci na kość, kierują się ku klasztornej bramie, przez którą tak niedawno, a może bardzo dawno (?) wchodzili.

Jezioro Seliger od tygodnia jest skute grubym lodem tak wytrzymałym, że można po nim jeździć samochodami lub wozami konnymi, czeka ich więc nieporównanie trudniejsze zadanie. Przebrnąć w zniszczonym, lekkim ubraniu i obuwiu przez śnieg i lód, wystawiając twarze na siekące, lodowate podmuchy wiatru i trzaskający mróz, a potem - przez ostaszkowską ulicę Wołodarskiego - do stacji, gdzie z ulgą wsiadają do zakratowanych więźniarek - „stołypinek”. (Nazwa „stołypinki” pochodzi od imienia premiera rządu Rosji za panowania cara Mikołaja II, Piotra Stołypina, który je wprowadził do transportu zesłańców politycznych na Syberię i więźniów kryminalnych.)

Dokąd nimi dojadą? To wielka niewiadoma.

ZAKAZANA ZONA

W oparciu o: Stanisław Świaniewicz, *W cieniu Katynia*, Czytelnik, Warszawa 1990, oraz zapiski znalezione w dołach śmierci.

KOZIELSK - miasteczko w obwodzie smoleńskim, położone około 240 km od Moskwy, przy kolei Smoleńsk - Tuła (niegdyś słynąca z samowarów), to dawna posiadłość książąt Puzynów - uzdrowisko znane z siarczanowych źródeł i doskonałego klimatu. W XVI i XVII w. należało do Polski.

W odległości 16 km, na terenie opustoszałych, zdewastowanych w 1917 roku klasztoru i cerkwi, na wzgórzu otoczonym pięknym lasem sosnowym, w sąsiedztwie rzeki, władze sowieckie utworzyły obóz najpierw dla przeciwników politycznych, potem dla tysięcy polskich oficerów zawodowych, rezerwy różnych broni i służb oraz cywilnej elity intelektualnej i zawodowej, od początku przeznaczonych do unicestwienia. Chodziło o pozbawienie Narodu Polskiego najbardziej wartościowych jednostek zdolnych kierować ogółem.

Obóz kozielski stanie się więzieniem dla 300 kapłanów, 400 lekarzy, 5 generałów (generał dywizji Henryk Minkiewicz-Odrowąż, generałowie brygady Mieczysław Smorawiński i Bronisław Bohatyrewicz, kontradmirałowie Xawery Czernicki i Jerzy Wołkowicki oraz setek urzędników państwowych i różnych zawodów cywilnych: profesorowie i wykładowcy uniwersyteccy, nauczyciele szkół średnich, lekarze, sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, urzędnicy sądowi, inżynierowie, agronomowie, technicy, publicyści, literaci, przemysłowcy, kupcy, ziemianie oraz przedstawiciele arystokracji (trzej książęta: Lubomirski, Radziwiłł, Mirski - zwolnieni na skutek interwencji trzech domów panujących w Europie: Anglii, Rumunii i Włoch). Wszystkich generałów odnaleziono w grobach katyńskich, poza nim jednym. Ocalał i przebywał potem w Anglii. Sam przypuszczał, że zawdzięcza to wydarzeniu z przeszłości, gdy - jako oficer carskiej marynarki - brał udział w bitwie morskiej pod Cuszimą między flotą japońską i rosyjską i jako jedyny sprzeciwił się poddaniu okrętu przeciwnikowi.

Świętej pamięci ks. Zdzisław Jastrzębiec Peszkowski - ocalony więzień Kozielska, Kapelan Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie - powie o nich:

Byli to najlepsi ludzie, jakich miała Polska. Polska elita. Cechowało ich niezachwiane przywiązanie do Polski, wola dalszej walki, duma narodowa i oficerska i optymizm. Byli wierni słowom ministra spraw zagranicznych Józefa Becka: Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor. (Ksiądz Peszkowski -

ocalony więzień Kozielska, w wieku 21 lat przewieziony wraz z grupą współwięźniów do obozu Pawliszczew Bór, a następnie Griazowiec, oficer Armii Andersa, po wojnie - w Anglii, gdzie kończy studia doktoranckie na wydziałach filozofii i literatury polskiej na Oksfordzie, potem w Stanach Zjednoczonych, gdzie w 1954 r. zostaje księdzem katolickim. Po transformacji ustrojowej wraca do Polski, by ogłosić światu prawdę o ludobójstwie katyńskim i błogosławić ekshumowane ciała ofiar różańcem. Jedyne na świecie kapelan Golgoty Wschodu i Pomordowanych na Wschodzie. Zmarł w 2007 roku, spoczywa w podziemiach budującej się Świątyni Opatrzności Bożej, na warszawskim Wilanowie - niespełnionym dotychczas Votum Dziękczynnym Narodu Polskiego, podjętym przez Sejm Czteroletni (Wielki) za Konstytucję 3 Maja 1791 roku, dającą nadzieję na przywrócenie Polsce niepodległości.)

Sam widok obozu z zewnątrz budzi grozę nie tylko więźniów, ale i okolicznych mieszkańców. Mówią o nim „Zakazana Zona”, a pytani o powód, oglądając się na boki i spluwając przez lewe ramię, by „odczynić zło”, odpowiadają.

- Świętych zakonników słudzy szatana precz wygnali, żeby ich miejsce zająć!

Administrację obozu i jego straż stanowi służba bezpieczeństwa NKWD różnych stopni. Oficerowie bez przerwy przesłuchują więźniów, badając możliwości zwerbowania ich do współpracy, lecz oni pozostaną wierni honorowi polskiego oficera i Ojczyźnie. Zachowując dumną postawę wobec wroga, przestrzegają dyscypliny wojskowej i posłuszeństwa wobec wyższych rangą, co pozwala zachować wysokie morale. Wysiłki enkawudzistów nie przyniosą efektu.

Spośród 4566 jeńców z Kozielska uda się im wyłowić jedynie 245 rokujących - ich zdaniem - nadzieję na kolaborację. Trafiają do obozu w Pawliszczewie Borze, następnie w Griazowcu, potem do więzień w Moskwie, a - po amnestii w 1941 r. (słynna umowa Sikorski - Majski) - do Armii Andersa.

W sumie w trzech obozach: Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, liczba ta wyniosła 448.

Pierwsza partia jeńców (prokuratorów i sędziów oraz ludzi kultur i ziemian, których potem, podobnie jak szeregowych żołnierzy, odeślą do innych łagrów lub wymienią z jeńcami niemieckimi) została przywieziona tutaj w nocy z 26 na 27 września 1939 r. z Wilna. Następne, złożone z oficerów i podoficerów, przybywały sukcesywnie, mniejszymi i większymi grupami, z innych obozów (Starobielsk, Ostaszków, Pawliszczew Bór, Szeplitówka, Gorodok, Kaniówka i in.), zlikwidowanych wiosną 1940 roku.

Kozielsk to prawdziwa forteca, przypominająca pod tym względem Ostaszków. Ogrodzona w czworoboku wysokim murem i zasiekami z kolczastego drutu, na każdym rogu

ma strzeżoną bez przerwy wieżę strażniczą. Między wieżami, w równych odstępach, wznoszą się „grzybki” obserwacyjne, a przy bramie wejściowej dzień i noc czuwają dwaj żołdaci z karabinami maszynowymi. Obóz podzielono na dwie strefy.

Pierwsza (obóz główny), tzw. MONASTYR, obejmuje klasztor (klasztor został zdemolowany w 1917 roku), teren przyklasztorny i dwie cerkwie („Grób Agamemnona” i „Grobowiec Indyjski”). To największe skupiska więźniów. Ogromne wnętrza cerkwi i klasztoru podzielono na ponumerowane bloki. Każdy z nich ma dowcipną nazwę: „Cyrk” (blok główny), „Szanghaj”, „Małpi Gaj”, „Filharmonia”, „Hotel Pod Wszą”, „Pałac Nędzy”. Wszystkie zostały zabudowane pięciopiętrowymi narami, na których gnieźdzą się w nieopisanym ścisłu mężczyzn - niższych oficerów oraz podoficerów; głównie z zaboru sowieckiego.

Rzędy prycz tworzą prawdziwy labirynt wąskich uliczek, po który jeńcy (jeśli akurat nie pracują) spacerują całymi dniami, zawierając znajomości i przyjaźnie, wymieniając informacje. Panuje tu nieprzerwany hałas, ponieważ włączone między godziną szóstą rano a jedenastą wieczorem głośniki-szczekaczki bez wytchnienia nadają albo muzykę, albo ideologiczne pogadanki, albo ogłoszenia władz obozowych.

Na obszarze klasztornym znajdują się ponadto przytulone do murów pustelnie-eremy, czyli małe pojedyncze cele. W każdej z nich na dwóch piętrach, dwuosobowych narach tłoczy się dziesięciu jeńców. To szczególnie nie uciążliwa lokalizacja, także ze względu na bliskość latryny - podłużnego dołu, przez środek którego przerzucono dwie deski do kucania w pozycji tyłem do siebie, bez przerwy oblegane z powodu powszechnych tu dolegliwości żołądkowych.

Drugą strefę, podobóz zwany SKITEM (dla oficerów wyższych rangą, ale i tych z zaboru niemieckiego), usytuowano kilkaset metrów dalej w sporym lasku. Od pierwszej przedziela ją biegnąca środkiem obozu strzeżona droga.

Stanowi kompleks luźnych zabudowań - mniejszych domków oraz pięknych jeszcze, pomimo zniszczeń, stylowych, drewnianych i murowanych willi służących niegdyś pielgrzymom oraz starcom i kalekom pozostającym pod opieką mnichów. Ci ostatni, podobnie jak ostaszkowscy zostali umordowani podczas rewolucji październikowej. Również tutaj poszczególne wille mają swoje nazwy. „Dom Starców” (generałowie), „Bristol” (pułkownicy) i „Majorowy Dom” (majorzy).

Nad całością czuwa kadra kierownicza NKWD. A więc: komendant obozu starszy lejtnant Wasilij Korolew, szef gospodarczy obozu, Demidoricz - politruk, pan życia i śmierci więźniów, mjr Ejłman - cenzor i dostarczyciel listów od rodzin, komisarz Sazonow, Żyd

Sierotkin - oficer śledczy odpowiedzialny również za przywóz i wywózki oraz tajemniczy, wszechwładny kombryg Wasilij Michajłowicz Zarubin specjalizujący się w przesłuchaniach - „doprosach”, które bardzo różnią się od tych, które prowadzą inni oficerowie śledczy NKWD. Pomagają oni dowództwu z całym poświęceniem.

Jeden z nich, komisarz obozowy, kpt. Aleksandrowicz, z wyglądu podobny do Gruzina lub Żyda, ubrany w skórzaną kurtkę, częściej niż inni, pozwala sobie na kontrolowaną niedyskrecję i nadzwyczajną uczynność wobec więźniów, co służy budowaniu zaufania i uprawdopodobnianiu kłamliwych wiadomości służących manipulacji. Każdego traktuje indywidualnie, wszystkich przyjaźnie, co sprzyja „rozwiązywaniu języka”. Tym łatwiej udzielają odpowiedzi na zwykłe niby pytania o status społeczny, pochodzenie, zawód, warunki pracy, rodzinę, przyjaciół, poglądy polityczne czy wyznawaną religię. Jeśli któryś próbuje podać nieprawdziwe dane, koryguje go, zaskakując znajomością faktów. Wystarczy, że zajrzy do jego czerwonej teczki personalnej, którą ma przed sobą. Teczki te bardzo spęczniają, zanim z terenu obozu zniknie ostatni „wojennoplennyj”, co świadczy o doskonale działającej sowieckiej maszynie wywiadowczej. W sztuce tej przewyższa go tylko kombryg Za rubin, bardziej inteligentny i wyrafinowany.

Przesłuchiwanie, niezależnie od tego, kto i w jaki sposób to robi (pozostali śledczy odznaczają się bezwzględną brutalnością), nie wiedzą, że właśnie ważą się ich losy. Życie lub śmierć. Spojrzą jej w oczy 3 kwietnia 1940 roku, kiedy rozpoczną się wywózki z obozu.

GRÓB AGAMEMNONA

Przeliczeni, sprawdzeni, stłoczeni w zimnych, okratowanych „ciepłuszkach” (wagony towarowe przystosowane do przewozu aresztantów, zaopatrzone w piętrowe, drewniane nary, żelazny piecyk ustawiony na środku, z rurą wyprowadzoną przez dach oraz wycięty w podłodze przy drzwiach kanał sanitarny - „toaletę podróżną”), na dwukondygnacyjnych narach, po raz wtóry ruszają w nieznaną. Z okiennego otworu pod sufitem wieje mroźne powietrze, więc je zatykają, czym mogą, co i tak niewiele pomaga. Jedyne źródło ciepła to własne, ogrzewające się wzajemnie ciała.

Po całonocnej podróży z biegiem Wołgi (kompasy wskazują kierunek południowy), zatrzymują się na stacji Selizarowo, gdzie - doprowadzeni pod Konwojem do wojskowej stołówki - dostają śniadanie. W żelaznym piecyku Dłonie ogień, żołądki rozgrzewa gorący kapuśniak z kaszą jaglaną, zgrabiałe ręce niemal odzyskują czucie. Jest to jedyny ciepły posiłek, jaki otrzymają podczas tej długiej, kilkudniowej (z postojami) trasy. Ciągnie się w nieskończoność. Obok głodu i pragnienia najbardziej doskwiera ziąb. Z kloaczego kanału wyrąbanego przy rozsuwanych, zadrutowanych od zewnątrz drzwiach, cuchnie obrzydliwie. Janina - skurczona i sina - chucha w dłonie, aby choć trochę je ogrzać, co tylko nasila mdłości i ból głowy. Pociąg lekko zwalnia, słychać przesuwanie zwrotnic. Ktoś odchyła szmatę przesłaniającą „okienko”.

- Panowie, to Wiaźma!

Po długim postoju bez celu, bez możliwości skorzystania z toalet (sprawa szczególnie dla niej przykra), jadą dalej.

- Dokąd nas wiozą? Mógłby pan zerknąć na kompas? - zwraca się do nieodłącznego kapitana Sidora.

- Zboczyliśmy lekko na południowy wschód, niestety.

- Wschód... Jeszcze dalej od Polski... Tym trudniej to wytrzymać.

Przymyka oczy, by ukryć łzy, i nieoczekiwanie przysypia. Budzi ją gwizd parowozu i zgrzyt hamowanych kół. Wagony wyrównują rytm, przestają trząść, metaliczny hałas przechodzi w szum buchającej spod kół pary i wszystko cichnie. Tym głośniejsze wydają się tupot nóg na zewnątrz, nawoływania strażników i pisk odsuwanych drzwi.

- Wysiadać! Skariej!

To jakaś bocznica, bo wkoło tylko ściana dorodnych, zielonych świerków. Niebo szare i niskie zawisło tuż nad ich wyniosłymi koronami, pod nogami błoto, w powietrzu lodowata wilgoć. Widać, że niedawno padało.

- Od razu czuć, że jesteśmy na południu. Nie to, co w Ostaszku, gdzie zima w pełni - pocieszają się wzajemnie.

Wyładowują się niezdarnie - sztywni, obolali, głodni i zmęczeni. Popędzani przez zbrojnych w karabiny, niecierpliwych konwojentów, ustawiani w długiej kolumnie, przeliczeni i sprawdzeni przez dowódcę konwoju według listy, ruszają wąską, leśną, podmokłą przesieką. Kiedy powieje wiatr, z konarów drzew spadają na nich gęste, zimne krople. Na szczęście przed nimi wolna przestrzeń. Poza nią, w sporym oddaleniu - miejskie zabudowania.

Któryś z konwojentów łaskawie informuje:

- Eto Kozielski

Brną przez długie, brudne, rozwleczone, zawalone błotem ulice, na próżno wypatrując jakiegoś większego obiektu, który mógłby okazać się nowym obozem, a tym samym szansą na odpoczynek. Mijają dwie wybiedzone kobieciny i kilku wynędzniałych muzyków oraz bieda-domki, poza którymi rozciąga się pustka, przewiana mokrym, zimnym wiatrem. Pokonują ją resztkami sił po dwóch przeszło godzinach, kiedy już stracili nadzieję, że kiedykolwiek dotrą do celu.

- Jakiego celu? Gdzie?...

- Nie wiadomo.

Wleką się ostatkiem sił, potykając się i upadając, poganiani przez eskortę wulgarnymi słowami i brutalnymi gestami, toteż z ulgą witają daleko, jeszcze, gdzieś poza pasmem leśnym, zarys cebulastych kształtów. To cerkiewne kopuły, górujące ponad wierzchołkami sosen i ciemny mur poniżej dobrze widoczny, co świadczy, że mają przed sobą twierdzę na wzniesieniu.

Przed nimi gęsty sosnowy las. Osłania wprawdzie przed powiewem wiatru, lecz droga staje się coraz trudniejsza. Rozmiękła i śliska, nogi grzęzną w błotnistym gruncie. Pada deszcz ze śniegiem. Kiedy reszcie staną na skraju lasu, oczom ukazują się potężne zarysy ogromnej, trującej ponad okolicą budowli. I nagle wszyscy wiedzą.

- To tutaj!

Potężne, wysokie, szare mury otacza szeroka fosa i kolczaste zasieki. Konwojenci kierują czoło kolumny na prowizoryczny, drewniany most wiodący do bramy. Pilnują jej dwaj wartownicy z pepeszami i psami. Pełno tu błota. Lśniące oficerki z miękkiej cielejącej skóry nurzają się nim po kostki, a miejscami do połowy łydek. To dla konwojentów okazja do kpin.

- Pany oficery, a kaloszy nie mają!

Sami, rzecz jasna, takowe posiadają, co każe im spoglądać na „Polaszków” z pogardliwą wyższością.

Ponad murem wypiętrzają się cerkiewne kopuły bez krzyży, co nikogo nie dziwi. Wiedzą już, że ten chrześcijański znak razi socjalistyczną wrażliwość. Poniżej widać też szczyty jakichś rozległych dachów. Ponad nimi łopoczą czerwone chorągwie. Ktoś zorientowany wyjaśnia:

- To z okazji obchodzonej przed paroma dniami 22. rocznicy rewolucji październikowej.

- Październikowa w listopadzie?

- U nich wszystko pokręcone. Nawet kalendarz. Nie gregoriański, jak w całym cywilizowanym świecie, tylko juliański.

Obok widnieją zabudowania pustego, starego, zniszczonego monasteru, do rewolucji - domu dla mnichów. Mury wzniesione w czworobok, opatrzone w cztery wieżyczki, na których czuwają strażnicy z karabinami maszynowymi. Pomiędzy nimi, w równych odstępach, sterczą niższe zwyzki, wciąż obsadzone strażą.

Janina, mimo zmęczenia, wszystkie te szczegóły pilnie rejestruje w pamięci, lecz nie mówi, bo usta ma zupełnie zdrewniałe, a gardło spuchnięte. Czuje dreszcze, głowę rozsada ból, a nogi ma jak z waty. Pociąga nimi jak staruszka, toteż okrzyk: „Stop!” wita z ulgą.

Dowódca konwoju wymienia kilka słów ze strażnikami, pokazuje jakieś dokumenty, po czym zaczyna się odliczanie. Wchodzą dziesiątkami, uważnie obserwowani przez czujnych „wachtiorów” i obwąchiwani przez pieska. Nie są agresywne. Janina nawet jednego, który podchodzi bliżej, głaszcze po łbie i ten dotyk psiej sierści zupełnie ją rozkleja. Jak żywe stają przed jej oczami ulubieńcy ojca - Tedi i Digan, a co za tym idzie - sam ojciec i bliscy. Zwłaszcza Mieczek i Gusia.

Stoją w szyku, pośrodku dużego placu przypominającego dziedziniec klasztorny na Iłowej. Najwięcej miejsca zajmują tu dwie duże cerkwie i stary klasztor ze śladami świeżych zniszczeń. Tu i tam przysiadło kilka murowanych budynków.

- Czy oni wszystkie swoje sanktuaria zmienili na więzienia?

- Urodzaj na „wrogów narodu”, co robić!

Z megafonu umieszczonego na słupie telegraficznym przed jedną ze świątyń rozlega się melodia, którą już znają, tylko słów nie rozumieją:

Sajuz nierieszimych riespublik swobodnych. (Związek niezależnych republik swobodnych.)

Nieco wyżej powiewa czerwony sztandar z sierpem i młotem, ponad głowami rozpięto ogromny transparent z wielkim napisem, zapewne hasłem, które niewielu poza Janiną potrafi odczytać. Olbrzymie tablice wypełnia kolorowy tekst. To fragmenty sowieckiej konstytucji.

Pojawia się jakiś osobnik, okazuje się, że to oficer polityczny (politruk) i zarazem szef gospodarzy obozu, kpt. Demidowicz, i rozpoczyna się znany już więzienny rytuał zakwaterowania: lista obecności, przejęcie jeńców od konwojenta i - mała odmiana - wchodzenie dziesiątkami do budynku Urzędu Badań.

Zasiadający za biurkiem komisarz kpt. Aleksandrowicz rejestruje każdego w księgach z dopiskiem: „Bywszy gienierał bywszej polskoj armii w położeniu wojennoplennowo”, (Były polski generał byłej polskiej armii o statusie jeńca wojennego) i od razu dokonuje podziału na dwie grupy. Pierwsza - złożona z niższych oficerów, duchownych i cywilów - pozostaje na miejscu. Druga - majorowie, pułkownicy, generałowie, wyżsi urzędnicy państwowi oraz arystokraci i ziemianie - przechodzi dalej.

Janina i jej trzech przyjaciele szczęśliwym trafem - nadal są nierozłączni. Niebawem okaże się, że gdyby ich nawet rozdzielono, we dnie mogliby przebywać razem - oficerowie z podoficerami. Nawet do łaźni będą chodzić wspólnie. Jedynie w nocy każdy musi pozostawać na swoim bloku.

Po załatwieniu formalności grupa Janiny - pod strażą uzbrojonego enkawudzisty - zostaje skierowana do łaźni. Zanim jednak wpuści ich do środka, muszą sobie sami narąbać drewna, do czego wyznacza kilku stojących z przodu.

- Do piłowania wystąp!

Tępa piła gnie się w niewprawnych dłoniach, siekiera ześlizguje się z twardych, mokrych, śliskich kłoców, co ogromnie go bawi. Zaczyna padać leszcz ze śniegiem - znak, że i tutaj wkrótce zawita zima. Zmarznięci na kość niecierpliwą się, że muszą tu stać, zamiast już grzać się w łaźni, lecz duma nie pozwala okazać wrogowi słabości, więc milczą. Tym bardziej że młody enkawudzista spogląda na nich szyderczo i złośliwie.

- Razdiewatsa! (Rozbierać się!) - wrzeszczy nagle.

Nie reagują, bo niewielu zrozumiało rozkaz, a ci, którzy pojęli, sądzą, że się przesłyszeli. On jednak powtarza, tym razem łamaną polszczyzną.

- Razbieraćsia. Skariej! A wiesz tam!

Wyciąga ramię ku kolumnie parnikowej stojącej obok sterty sosnowych bali.

- Diezinfekcyja! Poniali?! (Dezynfekcja! Zrozumieliście?!)

- Jak to rozbierać się? Na takiej zimnicy?!

- Skariej! - odkrzykuje.

Wymachując pistoletem, gestami kieruje ich w stronę parnika i obrazowo poucza, aby wiazali zdejmowane ubrania w węzłki.

Cisną się w wielkiej, zimnej, ciemnej sieni, skrępowani obecnością łaźiebnej - grubej baby w białym fartuchu i czepcu na głowie, rozłoszczonej tym natłokiem golasów. Przekrzykując, ile sił w płucach, hałaśliwą muzykę z głośnika na słupie, wrzeszczy:

- A wy czego goli do rozbieralni wlatujecie!

- Do rozbieralni? A to nas ten chłystek załatwił! Pod gołym niebem rozbieralnię nam urządził!

Spoglądają gniewnie na stojącego przy drzwiach, roześmianego od cha do ucha żołdata.

Ona tymczasem nie przestaje zrządzić.

- Tak wam spieszo grzeszne ciała wyszorować? Teraz co? Na golasa strzyć się będziecie?

Z ciemnego kąta wyłania się chłopisko w białym fartuchu z ręczną maszynką do strzyżenia w rękę.

- Dawaj! Pospieszyć się! Nie wy jedni tutaj. Zaraz druga grupa przyjdzie. No, który pierwszy?

Goli głowę za głową tępym narzędziem, więc syczą z bólu, a łaźiebna co chwila podmiata ostrzyżone włosy na szuflę i wrzuca je na zimne jeszcze palenisko w sąsiednim pomieszczeniu. Posłużą na podpałkę. Dzięki temu mokre, świeżo narąbane drewno zapłonie bez większych kłopotów.

Sama łaźnia rozczarowuje zwłaszcza tych, którzy wiedzą, co to jest klasyczna ruska bania. Nie ma tu ani piętrowych drewnianych półek, gdzie biało i mgliście od gorącej pary, ani brzoźowych mioteł, którymi można wychłostać przemarznięte, zmaltretowane ciało, by poczuć się jak nowe narodzony, ani paleniska z rozpalonymi kamieniami, na które można chlustać wodę z cebrzyków, by podnieść temperaturę powietrza i zagęścić parę. Jest tylko niski piec z wielkim kotłem napełnionym wodą, która nie zdążyła się jeszcze nagrzać, i kilka kubłów oraz miednic. Są też prysznic; również lodowate.

Wracają do rozbieralni niedomocy, szczękając zębami. Za chwilę będą nimi zgrzytać ze złości. W kącie leżą węzłki z ich odparowanymi ubraniami, a przy drzwiach stoi strażnik figlarz i - patrząc, jak każdy szuka swojego - szczyrzy zęby z uciechy. Łaźiebna wręcza im po komplecie obozowe bielizny (płócienną koszulę - rubaszkę, i kalesony na tasiemki, niektóre zerwane), poganiając, by szybciej się ubierali.

- Skariej! Skariej!

Podczas gdy naciągają na siebie siermiężne, ale czyste „stroje” i jeszcze ciepłe po dezynfekcji, wilgotne mundury, młody enkawudzista - nacieszywszy się złośliwością wyrządzoną „tym krwiopijcom” - wychodzi na dwór i od razu wpada w gniew na widok chuderlawego marudera który najwidoczniej zlekceważył jego rozkazy i nie wszedł z wszystkimi do łaźni, a teraz stoi, odwrócony tyłem, przy stosie drewna i cały dygoce.

- A ty szto, cziorz pabieri! W banii nie paszoł? (A ty co, niech to diabli wezmą! Do łaźni nie poszedłeś?)

Przyskoczywszy do „buntowszczyka”, (buntownika) zamierza chwycić go za kark, lecz jego wyciągnięte już ramię opada, bo chudzina przemawia nagle kobiecym głosem.

- Ja żenszczyzna! (Jestem kobietą).

Zaskoczony, chce to sprawdzić.

- A nu, padajdi ka mnie! (A to, podejdz do mnie!)

Kiedy to, nieświadoma jego zamiarów, uczyni, niespodziewanie łapie ją za piersi. Odgłos wymierzonego policzka i wulgarne przekleństwo rozlegają się jednocześnie. W rezultacie zezwala jej wejść do rozbieralni w ubraniu, kiedy mężczyźni wyjdą stamtąd, w kompletnej już garderobie.

Splukuje się pospiesznie pod gorącym teraz prysznicem, poparzona, bo nie ma możliwości wymieszania wody, toteż nie zdąży się rozgrzać. Na szczęście idą do stołówki na gorącą kolację. Fasują ją do menażek. Jedzenie niezłe - kasza jęczmienna ze słoniną, kapuśniak, wędzona ryba i 20 dag czarnego chleba. Cywilna obsługa traktuje ich uprzejmie - same kobiety, kilka osób mówi po polsku.

- Wygląda na to, że będziemy tu mieli warunki lepsze niż w Ostaszkowie - pocieszają się wzajemnie.

Nie wiedzą, że to tylko pozory. Na początek.

Nowy już strażnik prowadzi ich do jednej z dwóch tutejszych cerkwi, ogromnej i wysokiej, zabudowanej szeregami pięciopiętrowych prycz tworzących kwartały-bloki. Poprzedzielane wąskimi przesmykami, podobnie jak prycze i rzędy, są ponumerowane. Inaczej można by się w tym gąszczu pogubić. Panuje tu półmrok, bo w międzyczasie zapadł wczesny zimowy zmierzch, a rzadko rozmieszczone, słabe, nagie żarówki, pojedyncze świece i lampy naftowe, tzw. kopcilki, pełgające w różnych punktach, robią wrażenie, że się weszło do jakichś katakumb, wypełnionych porażającym, ogłuszającym zgiełkiem nakładających się na siebie dźwięków: pogwar rozmów, ochryplą i suchy zbiorowy kaszel i górujące ponad tym wszystkim, rozwrzeszczane głośniki podłączone do obozowego radiowęzła. Właśnie nadają ogłoszenia regulaminowe w języku polskim:

1. Nowo przyjęci kwaterują się w przydzielonych zonach. Każdy blok typuje blokowego - łącznika z władzami, odpowiedzialnego za wybór dyżurnych do sprzątnięcia i za pilnowanie wychodzących do pracy. Obie zmiany muszą być obsadzone.

2. Zabrania się udziału w nielegalnych zgromadzeniach (w tym - religijnych), gry w karty, hazardu i pokątnych spekulacji.

3. Wartościowe przedmioty można sprzedawać oficjalnie wyłącznie przedstawicielom Państwowego Zarządu Kosztownościami, a za uzyskane środki dokonywać zakupów w obozowej „ławoczkie”.

4. Zachęca się do udziału w życiu kulturalnym obozu, które koncentruje się głównie w klubie, gdzie wyświetlane są filmy, odbywają się uroczystości państwowe, wygłaszane są referaty, odczyty, toczą się dyskusje na różne interesujące tematy i gdzie można posłuchać koncertu.

5. Do dyspozycji więźniów jest biblioteka z bogatym wyborem książek oraz gazet i czasopism radzieckich stanowiących źródło aktualnych informacji o świecie.

6. Na terenie obozu działają ponadto koła zainteresowań: teatralne, muzyczne, sportowe. Każdy znajdzie coś dla siebie. Informacje można uzyskać w klubie.

7. Jeńcy są zobowiązani podporządkować się rozporządzeniom tutejszych władz. Najbliższe dotyczy fotografowania i szczepień ochronnych przeciwko tyfusowi.

8. Zabrania się kontaktowania między zonami.

9. Nakazuje się współpracę z oficerami śledczymi podczas „doprosów”. Brak otwartości i wprowadzanie funkcjonariuszy w błąd będzie uważane za sabotaż i karane.

10. Zezwala się na pisanie listów do rodzin w ilości jeden miesięcznie. Tale pobierać u cenzora - mjr. Ejlmana. Adres zwrotny: „KOZIELSK, OBWÓD SMOLEŃSKI, DOM OTDYCHA imieni GORKOWO, SKRYTKA POCZTOWA 12” (Kozielsk, Dom Wypoczynkowy im. Gorkiego).

- Dom wypoczynkowy? - nie wytrzyma Janina. - To przecież więzienie!

Starszy pan, rozgrywający na pobliskiej pryczy partyjkę szachów z kolegami, na chwilę przerywa grę.

- Inaczej list nie pójdzie. I nie radzę zamartwiać rodzin złymi wieściami. Najlepiej pisać, że wszystko w porządku. Najważniejszy znak, że się żyje. Jak się komu zbierze na biadolenie, towarzyszowi cenzorowi czasu nie starczy na czytanie, z czego opóźnienie może powstać niepotrzebne i zamiast miesiąc na odpowiedź czekać, można dłużej. Znacznie dłużej - kończy z naciskiem świadczącym, że bez końca.

- Ciszej! - upomina go ktoś. - Nic nie słyhać!

- Chciałem tylko informacją służyć - starszy pan milknie, urażony, a radiowęzeł wciąż nadaje.

11. Za naruszanie regulaminu grozi kara karceru od 3 dni wzwyż.

12. Pracę w obozie wykonuje się na dwie zmiany. Jest obowiązkowa.

13. W obozie działa szpital i ambulatorium. Kto zachoruje, będzie miał zapewnioną opiekę.

14. Aresztanci winni okazywać szacunek tutejszym władzom poprzez stosowanie się do regulaminu. Jest wywieszony na tablicy informacyjnej w klubie.

Zakazy i nakazy mnożą się, huczą pod czaszką, szumią w uszach, drażnią nerwy - namolne, nienawistne, doprowadzające do szału. Jazgot głośnika jeszcze ten stan nasila. Rośnie napięcie nerwowe.

- Dom wariatów, słowo daję!

- Panowie! Nie można by tego ściszyć?

- Nie da się - odpowiada za wszystkich ten sam, co przed chwilą starszy pan. - Tak przemyślnie, pod samym sufitem umieścili głośniki, że nawet z najwyższej nary nie dosięgniesz.

- I długo tak mogą?

- Od świtu do nocy. Od szóstej do dwudziestej trzeciej nic, tylko muzyczka albo propagandowy bełkot. Na zmianę. Bez przerwy. Nie ma od tego ucieczki. Sieć obozowych megafonów, jak pajęczka, jest rozsnuta ponad obozem. Słychać je na blokach, na dworze, w łaźni. W latrynie też. Tak o nas dbają! A chodzi o to, żeby nam swoją propagandę o wspaniałych sowieckich osiągnięciach wcisnąć.

- Litości! Człowiek własnych myśli nie słyszy.

- Nie ma rady. Albo to polubisz, albo zwariujesz. A najlepiej nie słuchać. Nawet, kiedy Szopena nadają, bo przy okazji - w przerywnikach polską kulturę atakują. Wysztydają, wyśmiewają. Myślą, że dzięki temu poglądy polityczne zmienimy. Grunt to nie podejmować z nimi dyskusji, tylko czuwać nad słabszymi psychicznie.

Z tymi ich filmami tak samo uważać. Agitacja. Ale nie damy się!

Część bloków zajęta, lecz wiele jeszcze pustych. Nad wolnymi pryzkami nie ma półek na podręczne rzeczy. Znak, że każdy musi ją sobie zrobić sam. Przyjaciele Janiny z góry obiecują męskie wsparcie.

Chociaż jest zmęczona i przygnieciona psychicznie, stara się trzymać fason.

„Nie złamią córki generała Dowbora, obiecuję ci, tatku” - powtarza w duchu, aby się wewnętrznie umocnić.

Nie takie to łatwe, kiedy zewnątrz jest się skulonym kłębkim, a tutaj zimno i jakby mokro od unoszącej się z setek ust pary i wody kapiąc z przeciekającego w wielu miejscach dachu.

Mimowiednie dotyka ukrytego pod mundurem Medalionu z ukrytym w nim skarbem, polecając się Chrystusowi cierpiącemu i - podniesiona na duchu - czuje w sobie przyływ sił.

Pomalowane na biało ściany wyglądają jak pokryte liszczem, a łuszcząc się pod wpływem wilgoci wapno odsłania kolorowe postacie świętych, których „władza robotnicza” chciała skazać na niebyt.

Nowo przybyli, skierowani do wolnego kwartału, spieszą do upatrzonych prycz, więc te najlepsze - dolne - zajmują najszybciej. Kolegom Janiny udaje się dopaść jednej z nich, przy ścianie, aby zapewnić jedynej tu kobiecie choć odrobinę intymności. Robią, co mogą. Pomagają napychać słomą przydziałowy siennik i zagłówek, mocują koc do wyższej nary, tworząc zasłonę, zachęcają do zajęcia miejsca, próbują żartować.

- Po prostu luksus w porównaniu do gołych desek w wagonach!

- Co ja bym bez was, panowie, zrobiła! Dziękuję!

- Głupstwo. My, lotnicy, musimy się przecież wspierać, prawda - śmieje się por. Kulikowski.

- Rodzeni bracia nie zajęliby się mną lepiej. Jesteście dla mnie jak rodzina. Proponuję, abyśmy mówili sobie po imieniu. Jak przyjaciele. Janka jestem! - wyciąga rękę.

Ściskają ją i całują, wymieniając swoje imiona.

- Józef. Ale można Ziutek.

- Michał. I nic już nie da się z tym zrobić. „Miś” zarezerwowany dla żony.

- A ja to co?! - wtrąca się profesor Górski, który nagle się przy nich zjawia. - Janek jestem. Po prostu Jasiak.

- No to mam swoich trzech muszkieterów - Janina ma łzy w oczach. Przyjmiecie mnie na czwartego? Nie mam wprawdzie konia, ale za to postaram się o psa.

- Psa?

- A co? Pełno ich tutaj i wcale nieagresywne. Raz-dwa któregoś oswoimy. Jednego już obłaskawiłam.

- My tu już niejednego przygarnęliśmy. Każdy prawie blok ma zaprzyjaźnionego czworonoga. Za resztki z „pańskiego stołu”, ale bardziej zakazane serce, zamiast nas pilnować, ostrzegają, kiedy nadchodzi „krasnoludek” - starszy pan włącza się znowu.

- Krasnoludek?

- Tak nazywamy „wachtiorów”.

Aby się do reszty nie rozkleić, bo rozmowa zaczyna krążyć wokół bliskich i domów rodzinnych, Janina czym prędzej wsuwa się do swojej sypialnej „szuflady”. Leży płasko na wznak, z uczuciem ulgi, bo wyrównane krążenie przywraca lekkość umęczonym nogom, a parawan z koca daje złudzenie intymności. Przez chwilę przestaje nawet słyszeć namolny jazgot głośników. Ogarnia ją senność, przymyka ciężkie powieki. Jedyne dyskomfort to brak powietrza i zatkany katarem nos utrudniający oddychanie.

- Ja się w tej trumnie uduszę!

Deski górnej pryczy, których można dotknąć wyciągniętą ręką przytłaczają, w uszy wdziiera się kakofonia dźwięków. Zatyka je dłońmi.

- Boże, królestwo za minutę ciszy, bo pękają mi bębny!

Spod sufitu brzmią muzyczne akordy, wkoło gwar jak w monstrualnym ulu pełnym brzęczących szerszeni, a w niej - gwałtowny przypływ tęsknoty za mężem. To trudniejsze do zniesienia niż głód, chłód i poniewierka. Jedyna nadzieja w Bogu. Zaczyna się modlić i to przynosi ulgę. Podobnie jak przeprowadzona w myślach rozmowa z ojcem:

„Liczy się siła ducha, tatku, a tej mi nie zabraknie. Podobnie jak nie zabrakło jej tobie. Wytrwam! Muszę tylko odsłonić ten parawan”.

Podniósłszy koc, bierze parę głębszych oddechów, musi go jednak czym prędzej opuścić. Z sąsiedniego bloku wpatruje się w nią z niedowierzaniem kilka par błyszczących z ciekawości oczu.

- Kobiety nigdy nie widzieli czy co?

Poleżawszy chwilę i zastanowiwszy się, ponownie unosi koc. W samą porę, by zobaczyć nadchodzącego „krasnołudka”.

- No jak, blokowy wybrany?

Ponieważ odpowiedzi brak, decyduje sam; zapewne jednak z polecenia zwierzchników.

- W takim razie wyznaczam por. Adama Solskiego. Porucznik Solski, pokazać się! Żeby każdy wiedział, kto tu odpowiada przed naczelnikiem Korolewem i starszyzną.

Zaledwie odejdzie, w głównej nawie cerkwi rozpoczyna się jakiś ruch a w ślad ożywa cała przestrzeń. Sponad krawędzi prycz wychylają się ogolone głowy, wielu schodzi na dół, co tym z górnych pięter utrudnia brak drabinek.

Wszystkie uliczki zaludniają się sunącymi po nich cieniami, wszyscy kierują się ku strefie zajętej przez nowo przybyłych. Z opuszczonych prycz dobiegają westchnienia ulgi. To współnicy od spania korzystają z okazji, aby się wygodnie wyciągnąć, bo każdą narę okupuje dwóch, a nawet trzech sublokatorów. Ciekawi wieści ze świata, obstępują nowych, zadają

pytania Sami też udzielają informacji o tutejszych porządkach. Najbardziej bulwersuje sprawa listów. Słysząc narzekania.

- Jasne! W domu wypoczynkowym nie może się dzieć nic złego a traktują nas po królewsku!

- Zwłaszcza w transporcie! A że zamiast berła - bagnet i kolba karabinu w robocie, to po prostu drobiazg!

W tej sytuacji niepodobna uleżeć. Zapominając o zmęczeniu, Janina dołącza do lotników z oddziału kpt. Sidora. Właśnie zbliża się ku nim wysoki mężczyzna z psem u nogi, w cywilnym ubraniu, o regularnych rysach, wąskim rasowym nosie i pociągłej twarzy o łagodnym owalu. Ponad pięknie sklepionym czołem piętrzy się burza czarnych, niesforny włosów. Uderza jego otwarte, rozumne spojrzenie i stanowcze usta świadczące o sile charakteru. Lecz obok tej siły wewnętrznej jest w nim jakieś ciepło. Samym wyglądem wzbudza zaufanie. Tym bardziej wyjątkowo modulowanym głosem.

- Witamy serdecznie, drodzy bracia! Skąd Bóg prowadzi?

Jego twarz promienieje życzliwością i dobrocią.

- Bóg? Dobry dowcip. Diabeł raczej! Czerwony! - pada gdzieś z tyłu.

Kobietą intuicją odczuwa przykrość wyrządzoną temu miłemu człowiekowi. Czuje się w obowiązku zareagować. Mimo woli wysuwa się do przodu.

- I my, w imię Boże, witamy. A przybywamy z Ostaszkowa.

Nieznajomy cywil znów się uśmiecha, lekko zdumiony.

- Czy ja dobrze słyszę? Kobieta?!

- We własnej osobie! Podporucznik czasu wojny, pilot Janina Lewandowska - wyciąga ku niemu rękę.

- A ja... ksiądz major Leon Ziółkowski, nieformalny kapelan obozowy. (Ksiądz major Jan Leon Ziółkowski (1889-1940) ukończył Wyższe Seminarium Duchowne Archidiecezji Krakowskiej i Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Święcenia przyjął w 1913 roku. W Polsce Niepodległej kapelan Odrodzonego Wojska Polskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. i kampanii wrześniowej w 1939 roku. Ostatnią Mszę Świętą odprawił 17 września 1939 r. w Tarnopolu. Kilka godzin później wzięty do niewoli sowieckiej, osadzony najpierw w Starobielsku, następnie w Kozielsku. Podczas ekshumacji grobów katyńskich prowadzonej przez Niemców w 1943 r. znaleziono jego wizytówkę z imieniem i nazwiskiem, stopniem wojskowym, dwa modlitewniki, różaniec, dwie fotografie, łańcuszek na szyję, drewnianą papierośnicę oraz legitymację KOP.)

- Mój Boże, mamy więc kapłana!

- Nie jednego. Nie jednego! Ale się nie afiszujemy. Nie lubią nas tutaj, bo im robotę psujemy.

- Proszę księdza. To ja... Ja chętnie pomogę w tym... psuciu.

- Dobrze z ciebie dziecko - robi jej maleńki znaczek krzyża na czole. - Niech cię Pan Bóg strzeże! Porozmawiam, z kim trzeba. Nie możesz zostać w „Grobie Agamemnona”!

- Słucham?

- Tak nazywamy naszą cerkiew. Jest i druga. „Grobowiec Indyjski”.

- Dowcipne, choć trochę makabryczne. Tylko świątynie zamienili na sypialnie? Widziałam tu jakieś budynki.

- Gdzież tam. Nie zmieściliby wszystkich. Są jeszcze w „Monastyrze” osobne bloki.

- W „Monastyrze”?

- Tak się nazywa obóz numer jeden. Główny. Ten, w którym jesteśmy. Dla niższych rangą, ale głównie dla tych z zaboru sowieckiego.

- A dla wyższych?

- Oni mieszkają w „Skicie”. To obóz numer dwa, przeznaczony dla pochodzących z zaboru niemieckiego. Domki, wille... Pułkownicy w „Bristolu”, majorowie w „Domu Majorowym”, generałowie - w „Domu Starców”, razem ze swoimi ordynansami.

- A te bloki, o których ksiądz wspomniał? Też je jakoś ponazywano?

- Oczywiście. Blok główny to „Cyrk”. Najliczniejszy. To naprawdę cyrk. Sześćset osób jak sardynki w puszcze. U nas trochę mniej. Pięćset. A pomniejsze jeszcze ciekawiej nazwano: „Szanghaj”, „Małpi Gaj”, „Filharmonia”, „Hotel Pod Wszą” (co nie znaczy, że tylko tam hodują te żyjątka). Mamy też „Plac Nędzy”, można powiedzieć: centrum.

- Na Iłowej też mieliśmy taki plac. Spacerniak. A władze tutejsze te nazwy uznają?

- No nie. Wolą numery. Nasz „Grób Agamemnona” nosi numer 21. A wracając do tematu... Spróbuję załatwić dla pani osobne pomieszczenie. Nie uchodzi, aby... Może na eremach? To przyklepione do muru cele pustelników. Pojedyncze. Już ich, niestety, nie ma. A w klitkach, gdzie dawniej mieszkał jeden mnich, teraz kwateruje dziesięciu jeńców. Dla jednej osoby, chociaż kobiety, wyjątku nie robią, to na nic. Wcisnęli do każdej po dwie dwuosobowe nary, a na każdą - pięciu ludzi. Musi się znaleźć inne rozwiązanie. Ale nie o tym chciałem.

Jest tu taki jeden, wprawdzie enkawudzista, ale... inny. Jak nie bolszewik. Ludzki, uprzejmy, życzliwy. Bardzo kulturalny. Kombryg Wasilij Michajłowicz Zarubin. Nazywamy go, trochę przewrotnie, „Imbryk”, ale bez złośliwego podtekstu. (Wasilij Michajłowicz Zarubin był szarą eminencją obozu w Kozielsku, podlegali mu wszyscy enkawudziści. On

właściwie nie przesłuchiwał, tylko zapraszał na rozmowę, traktując swojego „gościa” uprzejmie, wręcz przyjaźnie. Sympatycznym wyglądem i miłym sposobem bycia wzbudzał zaufanie. Tym bardziej że miał nienaganne, wręcz wytworne maniery, był wykształcony i odczytany, znał kilka języków. Często nawet sam składał wizyty, zwłaszcza wyższym oficerom, dyskutując z nimi na tematy społeczne, polityczne lub filozoficzne. Kiedy zaś zapraszał do siebie, traktował niby miłych, szanownych gości. Często wolał dobrą herbatę, papierosami, ciastkami, jabłkami, a nawet - co było niespotykanym luksusem - pomarańczami. Ponieważ odnosił się do oficerów z szacunkiem, odpłacali mu tym samym. Do tego stopnia, że jemu jednemu salutowali, spotykając na obozowych ścieżkach. Nie zdawali sobie sprawy, że od jego opinii zależy ich los. Życie albo śmierć. On zaś rozpracowywał ich perfidnie pod kątem wykorzystać czy zlikwidować. W rezultacie to on właśnie wydał na nich ostateczne wyroki śmierci; prawdopodobnie w porozumieniu ze ścisłym swym współpracownikiem, komisarzem NKWD Siemionem Niechoroszewem, gdyż to on pisał raporty do gen. Wsiewołoda Mierkułowa w Moskwie, gdzie dokonywano analiz jednych i drugich, po czym podejmowano ostateczną decyzję. Podobno był dawniej dyplomatą i to zapewne sprawiło, że nie zorientował się że ich ściśle obserwuje, ocenia i wypełnia teczki obszernymi raportami kierowanymi do Moskwy, dokąd zresztą często wyjeżdżał. Na początku marca 1940 r. opuszcza obóz. Po wojnie będzie działał na terenie USA jako szef sowieckiej grupy szpiegowskiej.)

Szczególną estymą darzy naszych generałów. Poproszę któregoś. Może generała dywizji Henryka Minkiewicza? To najstarszy rangą oficer wyższy i ma tu ogromne poważanie. Można powiedzieć, że w jego dłoniach spoczywa rząd dusz. To człowiek mocny duchem, wielki umysłem i sercem. Dzięki niemu mamy doskonale zorganizowaną sieć oficerów łącznikowych utrzymujących komunikację pomiędzy blokami. Dba o jedność, łagodzi spory, wycisza konflikty. Nie pozwala na krytykanctwo, nawołuje do zachowania godnej postawy, radzi, by spory odłożyć do czasu zwycięstwa nad wrogiem. Ma taki autorytet, że opanował początkowy chaos i nikt nie śmie się mu sprzeciwić. Organizuje i sam wygłasza odczyty, wieczory literackie kontroluje nasze tajne czasopismo literackie.

- O, a gdzie drukujecie?

- Drukujecie? Przepisujemy ręcznie. Kierują tym panowie redaktorzy [im Poker i pułkownik Andrzej Chałaciński⁸⁹. Mamy też co dzień nieoficjalny „Dziennik mówiony”. To prawdziwa obozowa instytucja zorganizowana, oczywiście, przez generała Minkiewicza.

- A strażnicy?

- „Krasnoludki”? Żeby nie wiem jak się starali, nie są w stanie zlokalizować

mówiącego, choć głosu nie oszczędza. Usłyszymy go po wyłączeniu głośników, a skąd - nie wiadomo. Tyle tu zakamarków, a chóry cerkiewne to prawdziwy labirynt. Tym bardziej nieuchwytni są autorzy tekstów.

- A konfidenci?

- Wśród nas? Niemożliwe!

- Można się tylko cieszyć, że mamy takiego dowódcę, ale... Żeby generała trzymać w łagrze?

- A jakże! Trzech. Obok Minkiewicza są: Bohatyrewicz i Wołkowicki, dziś podobno dwaj nowi z wami przybyli. Wspaniali ludzie. Mieszkają osobno, swoimi ordynansami, ale czuwają nad obydwoma obozami. Chociaż są przedzielone drogą i niezbyt dobrze skomunikowane, znajdujemy sposoby, aby utrzymać łączność.

- A ten kombryg... Można mu wierzyć? Na łowej też mieliśmy takiego milusińskiego od manipulacji. Komisarz Iwan Aleksiejewicz Jurasów. Jak urągowisko, z domieszką krwi polskiej.

- Pozna go pani. Wszystkich po kolei wzywa do siebie na „doprośy”. i znaczy na przesłuchania. Od razu podkreślę, że gen. Minkiewicz surowo zabrania zaśmiecania polskiego języka rusycyzmami. To nasz punkt honoru polskiego oficera. Ten Zarubin, chociaż wzywa każdego wielokrotnie, to inny enkawudzista, który nas nie obraża. I nigdy nie robi tego nocami, co inni oficerowie śledczy, badający o każdej porze, wzywający swoje ofiary przez strażnika, nękający godzinami, na przemian to uprzejmi, to ordynarni. A najgorszy spośród nich to karzeł Sierotkin. Małe to, 150 cm wzrostu może dlatego dodaje sobie powagi trzymanym na biurku mauserem?

- Czy to znaczy, że ów „Imbryk” to gość w porządku?

- Trudno powiedzieć. Mimo wszystko trzeba uważać, co się mówi, bo każde słowo zapisuje i w teczce osobowej trzyma, chociaż - jak inni - w oczy nas nimi nie kłuje. Każdy ma taką teczkę. Czerwoną. W niej całe dossier.

Różnych sztuczek z nami próbują. Szantaż, przekupstwo, zastraszanie, wrzask, wyzwiska, to znów sama słodycz. Wszystko ich interesuje. Poglądy polityczne, ocena sytuacji militarnej w Europie, upodobania, związki rodzinne, przynależność partyjna, wyznawana religia, pochodzenie społeczne, rodzina, przyjaciele, wykształcenie, zawód, praca... Jeszcze mnie tyłki o numer butów nie pytali.

- Do czego im to potrzebne?

- Myślę, że mogą to potem wykorzystać przeciwko nam. Dlatego ostrzegam. Bo kiedy wezwą w środku nocy i zaczną indagować, można stracić czujność. Zwłaszcza jeśli się jest

nieuprzedzonym. Najważniejsze to nie wierzyć w ich udawaną szczerłość. Najszczerze są tutaj psiska. Nie wiadomo, z jakiego powodu, ale lubią nas - głaszczą łeb towarzyszącego mi owczarka niemieckiego.

- To prawda! Przekonałam się o tym, zanim nas wpuścili do środka - uśmiecha się Janina bezwiednie.

- Jeden dał mi się nawet pogłaskać.

- One też potrzebują ciepła, a od enkawudzistów go nie otrzymują. Dlatego każdy barak, każdy blok ma tu „swojego” czworonoga, z którym więźniowie dzielą się własnymi porcjami. Ten akurat mnie sobie wybrał.

Tarmosi łagodnie kosmate psie ucho, a groźny wilczur ziewa z rozkoszy otwartym pyskiem i przymyka ślepią.

- Dobre stworzenia potrafią się odwdzińczyć, charakterystycznym warczeniem zapowiadając zbliżającego się „krasnoludka”. To szeregowi enkawudziści, bezduszne tłumoki, głuche i ślepe narzędzia w rękach swoich rozkazodawców. Z jednym wyjątkiem. Na jednego nie warczą. Na Leona. To wprawdzie prosty chłopak, ale poczciwy z natury. Sam nie wiem. Dlaczego jego imieniem ostrzegamy dalsze bloki. Wystarczy krzyknąć: „Leon” idzie! Zanim rzeczywiście któryś „Leon” nadejdzie, po „nielegalnej działalności” nie ma śladu. A propos, prawdziwy Leon to dowód, że wszędzie mogą się trafić dobrzy ludzie. Drugi taki to pomocnik komendanta Korolewa i kwatermistrz obozowy, kpt. Urbanowicz. Po prostu robi swoje, nie posuwając się za daleko, nie wyzywając na więźniach wrzaskiem, bo to podobno Polak, chociaż piąta woda po kisielu. Ależ się rozgadałem! Myślę, że - na początek - sporo się pani dowiedziało. Dobranoc. Z Panem Bogiem.

Odchodzi z psem przy nodze i szybko niknie w jakimś zaułku.

Janina leży w mundurze i płaszczu na sienniku, który - po poniewierce w więźniarce - wydaje się królewskim posłaniem. Przymyka oczy, myśli biegną do Batorowa.

Jest już po wieczornym apelu i wyłączono światło, co sprzyja alienacji, nie zdając sobie z tego sprawy, w dłoniach tuli Medalion Dowborów. Tę złotą nicią snującą się poprzez pokolenia, z serca ojca do serca udręczonej córki. Udaje się jej nawet wyłączyć receptory słuchu tak skutecznie, że jeśli nawet słyszy, co się wkoło dzieje, świadomie nie rejestruje repertuaru szczekaczek, szmeru rozmów czy kroków snujących się między pryzkami spacerowiczów.

To oczywistość niezauważalna, jak oddychanie. Ktoś opowiada komuś swoje wakacyjne przygody, ktoś głośno martwi się o żonę i dzieci, skądś dolatuje deklamacja Mickiewiczowskiej Świtezi, którą natychmiast czułym uchem wychwytuje.

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie, Do płużyn ciemnego boru wjechawszy, Pomnij zatrzymać tve konie, Byś się przypatrzył jezioru (...).

Słowa te w mgnieniu oka przenoszą ją daleko stąd, do batorowskiego parku. Zacienioną aleją podąża w kierunku Jeziora Lusowskiego - dłoń w dłoni Mieczka. Czuje zapach wody, słyszy dziecięce nawoływania i śmiechy i czuje obejmujące ją silne, opiekuńcze mężowskie ramię. Jego usta przy jej uchu.

- Moja. Moja żona... „Jaskółeczka” moja!

Nie patrząc, widzi jego uśmiech. Jedyny, nienazwany, zniewalający, błyskawiczny jakby kadr filmowy, co się pojawia pod zamkniętymi powiekami i natychmiast znika. Wraca za to świadomość otaczających ją realiów, przywołana donośnym wołaniem.

Dobiega nie wiadomo skąd. Może spod cerkiewnych chórów, a może z górnych pięter - wyodrębnione z panującego tu zgiełku.

- Godzina dwudziesta pierwsza. Zarządzam trzyminutową ciszę. (Każdego dnia, regularnie o godz. 21.00, na każdym bloku rozlegał się taki właśnie lub podobny okrzyk: „Proszę o ciszę”. Było to hasło do trzyminutowego, wspólnego skupienia modlitewnego. Wszyscy przerywali wszystkie czynności oraz rozmowy, zatrzymywali się w miejscu i trwali w milczącej modlitwie. Tę nagłą ciszę szanowali przedstawiciele wszystkich wyznań. Chociaż inicjowali ją katolicy, reagowali także prawosławni, protestanci i żydzi. Również ateiści i agnostycy.

Nikt nie reaguje na wydzierającego się „wachtiora”, który wpada do cerkwi, rozwścieczony tym „aktem sabotażu”).

W jednej chwili milkną wszelkie odgłosy. Poza Szopenowskim nokturnem wypełniającym przestrzeń.

Zdumiona, patrzy na znieruchomiałe, oniemiałe cienie - każdy tam, gdzie go zaskoczyło tajemnicze wezwanie. Instynktownie wznosi myśl ku Bogu, bo nie wie, co się dzieje.

Dokładnie po upływie trzech minut, co sprawdza na zegarku, wszystko wraca do poprzedniego stanu, lecz ona - nazbyt poruszona, by próbować zasnąć, udaje się na rekonesans do sąsiedniego, zasiedziałego bloku.

- Co to było? - zatrzymuje pierwszego lepszego spacerowicza.

- Cowieczorna łączność modlitewna pomiędzy wszystkimi podobozami, zawsze o dwudziestej pierwszej.

- W ciszy? Nie razem?

- To nasza tajemnica. Nasze wspólne trzy minuty dla duszy. Praktyki religijne

zakazane, a cały obóz modli się razem dzień w dzień. Nie tylko katolicy. Wszyscy. Nawet ateści milczą przez szacunek.

Ogarnia ją pragnienie wyśpiewania radości, która w niej raptem wybucha. Dotarłszy do swojej „szuflady”, zamiast się położyć, zaczyna cichutko nucić. Nie wie, co śpiewa, nieświadoma, że robi to coraz głośniej i że nie śpiewa już sama. Jej czysty, wyszkolony, kobiecy alt elektryzuje męskie serca. Włączają się kolejne bloki, śpiewa cały „Grób Agamemnona”. Śpiewa tak potężnie, że góruje nad głośnikowym jazgotem.

Wszystkie nasze dzienne sprawy

Przyjm litośnie, Boże prawy.

A jak będziemy zasypiali, Niech Cię nawet sen nasz chwali (...).

- Nie l'zia! Zapieszczono! Małczat'! (Nie wolno! To zakazane! Milczeć!)

W odpowiedzi z ciemności wybrzmiewają kolejne strofy i nie pomoże, iż pobiegł do radiowęzła, aby nagłośniono audycję. Zanim to się stanie i zanim wróci w towarzystwie innych enkawudzistów, wszystkie bloki „twardo śpią”.

Żadne zakazy dotyczące praktyk religijnych nie są przestrzegane, nawet za cenę kar regulaminowych. Najczęściej stosuje się karcer w baszcie przy głównej obozowej bramie, co zazwyczaj przytrafia się przewodnikom duchowym, kapłanom. Mimo to służą współbraciom ofiarnie, spowiadając, udzielając pociechy duchowej i w najtajniejszych zakamarkach sprawując niedzielne i wynikające z roku liturgicznego nabożeństwa.

Pod wpływem modlitwy, a zwłaszcza tego śpiewu, Janina odzyskuje dawną swoją energię i przedsiębiorczość. Niewola to jeszcze nie koniec. To nowe wyzwanie.

„Muszę je podjąć. Dość biadolenia i rozczulania się nad sobą. Czas najwyższy zacząć działać. Włączyć się w ten nurt oporu, który - jak widać - wartko już płynie. Pora zanurkować, córko generała Dowbora!”.

Zastanawiając się, od czego zacząć, przypomina sobie o formie do wypiekania hostii głęboko ukrytej pomiędzy rzeczami osobistymi, na dnie walizeczki.

„Księżda już poznałam, pierwszy krok zrobiony. Ucieszy się, kiedy mu powiem, że jestem gotowa wypiekać komunikanty. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale coś wymyślę. Jeśli nie ja, to ksiądz major, a może nawet sam generał, o którym wspomniał. Generał Minkiewicz. Do tego moi trzej muszkietierowie - kochany Michał, Józef i Jan.

Potrzebuję kilku rzeczy: woda, mąka pszenna, ogień i odosobnione miejsce. Reszta - bagatela. O jedno tylko błagam Cię, Chryste! Abym nie musiała sprzedawać obrączki, którą włożył mi na palec Mieczek. Jeśli jednak inaczej nie zdobędę mąki, to... Trudno. Jedynie Medalion jest nie do ruszenia. Nie oddam go nikomu nawet za cenę życia.”

Wydobywa spod ubrania bezcenną relikwię Krzyża i - ucałowawszy ją z uszanowaniem - czule przytula do policzka.

Nagle milkną wyłączone głośniki i ta niesamowita CISZA po prostu poraża. Obezwładnia. Trzeba się do niej przyzwyczaić, tak ogromny stanowi kontrast z całodniowym jazgotem.

Westchnąwszy z ulgą, owija się starannie kocem (może to uchroni przed inwazją pluskiew?), nagle spragniona snu. Z jego krawędzi zawracają czyjś anonimowy głos, niemożliwy do zlokalizowania w tej ciżbie i ciemnej przestrzeni.

- Dobry wieczór, tu nasz „Dziennik mówiony”. Głos wolnych Polaków - niesie się od głównej nawy - mocne, władcze, wyraźne. - Rozpoczynamy nasze „nocne rodaków rozmowy”. Mówi do was porucznik Leonard. (Por. Leonard Korowajczyk był, wraz z por. Januszem Libickim, odpowiedzialny za cowieczorny „Dziennik mówiony” w obozie Kozielskim.) Dziś witamy nowo przybyłych kolegów, nie powiem, że z radością, bo cieszyć się z niewoli nie sposób. Od razu jednak pospieszam z wezwaniem. Nie wolno nam tracić nadziei.

W związku z tym chcę poruszyć ważną kwestię. Mowa o bliskiej już ofensywie brytyjsko-francuskiej przeciwko Niemcom i Sowietom. W gór serca, bracia! Bolszewicy nie ośmielą się więzić nas dłużej, aby się nie narażać naszym sojusznikom. Wolność za progiem, uwierzcie! Alianci nie pozwolą, żebyśmy zgnili za drutami! Dlatego trwajcie. Nie upadajcie na duchu, bo jeszcze się Polsce przydamy! Są przecież Polskie Siły Zbrojne n Zachodzie. A po zwycięstwie wrócimy do naszych domów.

- To dlaczego nie zaatakowali szwabów we wrześniu? - odzywa się jakiś sceptyk, którego natychmiast popiera następny.

- Prawda! Ruszą się dopiero wtedy, kiedy sami porządnie oberwą Tylko my, Polacy, potrafimy się bić „za naszą i waszą wolność”!

- Za wszystkich karku nadstawiamy, a jak my w potrzebie, to głowy w piasek!

- Właśnie! Taki ich honor!

- Racja! Jakoś nie wierzę w tę ich ofensywę. To zwykłe „jopy” rozsiewane przez obozowe władze! (Jop - jeden oficer powiedział. Były to plotki rozpowszechniane przez władze obozowe ustami agentów NKWD lub samych funkcjonariuszy, mające wpływać na nastroje więźniów i dezinformować ich, powodując frustrację.)

- Koledzy, nie tędy droga! - głos z głównej nawy brzmi karcąco.

- Czy tylko narzekać potrafimy? Jeśli tak, na pewno nie doczekamy wolności. Mamy być mocni i mamy wierzyć. Polski oficer nigdy się nie poddaje. Bóg - Honor - Ojczyzna! Pod

tym sztandarem podołamy wszystkiemu.

Przy okazji kilka ogłoszeń. Jutro, po wieczornym apelu, w sektorze 21., rząd 3., pryzca 335. zapraszam na wykład historyczny z cyklu Zwycięstwa polskiego oręża na przestrzeni dziejów. Będzie to odczyt na temat wydanej przez polskie rycerstwo bitwy pod Kłuszynem oraz zajęcia Moskwy przez wojska Rzeczypospolitej w 1610 roku. Jedyne taki przypadek w historii, panowie! Nawet Napoleonowi to się nie udało. Mieliśmy, rodacy, nie tylko Hołd pruski. Był także ruski w 1611 roku na Zamku Królewskim. Warszawie. Rezultat zwycięstwa naszego oręża nad dziesięciokrotnie silniejszą armią rosyjską pod wodzą hetmana Żółkiewskiego rok wcześniej. Kłaniał się Białemu Orłu w koronie dwugłowy carski orzeł w osobie Wasyla IV, na kolanach przed polskim królem Zygmuntem III. Obiecywał, że nigdy już Rosja nie podniesie ręki na Polskę.

Gdzieś z głębi ciemności przerywa mu pełen gorzkości głos.

- Nigdy? A zabory, krwawo tłumione powstania, Sybir i knuty! I teraz siedemnasty wrzesień! To mało?

- Przeniewiercy!

- Zdrajcy!

- Uczcie się, bracia! Odpłacimy im! Pamiętajmy lepiej o chlubnych kartaich naszej historii. Wystarczy wspomnieć zwycięstwo pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku, czy niedawną wojnę polsko-bolszewicką w 1920 roku.

Nie wolno nam poddać się teraz duchowo. Nie wolno obniżyć morale. W każdym momencie pamiętajmy o honorze polskiego oficera.

Tu mówca zmienia lekko temat.

- To także nasz wygląd zewnętrzny. Dbajmy o czystość, o schludność mundurów. Nasze bryczesy i kurtki skórzane, których „krasnale” tak nam zazdroszczą, mają nas odróżniać od ich niechlujstwa, a skórzane pasy z koalicijkami i (niestety, pustą) kaburą, umieszczone równiutko na lewym biodrze.

Niech nasze wysokie oficerskie buty z czarnej miękkiej skóry cielęcej będą zawsze wyglansowane i lśniące. Niech tych, którzy noszą brezentowe buciory, szlag trafi z zazdrości! I pamiętajmy. Za żadną cenę nie mogą trafić na „Plac Nędzy” do „ławoczki”. To rozkaz samego generała Minkiewicza, Nie zachowamy godnej postawy bez oficerów na nogach! „Jak cię widzą, tak cię piszą” - mówi nasze ludowe przysłowie, a przysłowia, jak wiadomo, są mądrością narodów.

Panowie, żegna się z wami wasz sprawozdawca, porucznik Leonard i oddaje głos koledze Januszowi, który naświetli aktualną sytuację międzynarodową.

Zapada cisza świadcząca o wysokim stopniu zainteresowania tym problemem. Wszyscy słuchają z wielką uwagą.

- Koledzy, wita was Janusz i od razu uprzedzam. Informacje, które dziś przekażę, jak zwykle, pochodzą z prasy sowieckiej, lecz do innej nie mamy dostępu. Jednak i z tej można coś istotnego dla nas wyczytać między wierszami. Z pewnością cieszy was wiadomość o przystąpieniu do wojny nowych państw. Mocna koalicja antysowiecka i antyniemiecka to nasza wielka nadzieja. Będą z tego gruzy, a na nich Polska!

Narodzi się Polska nowa, potężna. Polska - mściciel! Już powstał polski rząd we Francji. Mamy nawet premiera. Generał Władysław Sikorski! W nim nadzieja na niepodległe państwo polskie!

On się dogada z zachodnimi koalicjantami, jeszcze wypłyniemy. Jeszcze się możemy doczekać, że i ruscy ze szwabami wezmą się za łby. Wtedy...

- Byłbym ostrożny - wtrąca nagle jakiś sceptyk, okazuje się - por. Świaniewicz. (Główny świadek zbrodni katyńskiej, jedyny ocalony, który dotarł najbliżej Lasu Katyńskiego, aż do stacji Gniezdowo, tam skąd ofiary odjeżdżały na egzekucję.)- Obawiam się, że kiedy dojdzie do pokojowych rokowań, Polska będzie obiektem targów pomiędzy wielkimi mocarstwami. A w wojnę Stalina z Hitlerem nie wierzę.

- Grunt, że już się uwikłali w wojnę z Finami. I bardzo dobrze. Może nam dadzą spokój.

- Aha, może jeszcze wypuszczą?

- Wypuszczą? Oni nas wymordować gotowi - wtrąca inny pesymista, czemu większość gwałtownie zaprzecza.

- Jeńców wojennych? To by było pogwałcenie zasad przyjętych w cywilizowanym świecie!

Coraz gorętsze spory zagłuszają mówcę, który zdaje się im przysłuchiwać, gdyż umilkł.

- Oni i zasady. To dzicz! Po co nas bez przerwy przesłuchują?

- Żeby wiedzieć, z kim mają do czynienia.

- Albo wybadać nastroje. Jesteś za socjalizmem - żyjesz. Nie jesteś - da świętego Piotra! Dobrze radzę - uważajcie na Zarubina. To chytra sztuka.

Dyskusja zaognia się, zatacza coraz szersze kręgi. Są i tacy, którzy zastanawiają się nad przyczynami klęski wrześniowej, obwiniając rząd i dowództwo armii, dlaczego nie przewidzieli sowieckiej zdrady, a potem wydali zakaz oporu.

Kapitan Sidor nie zgadza się z nimi.

- A ja jestem dumny, że to my pierwsi daliśmy odpór Hitlerowi, że nasza stolica walczyła jeszcze po zajęciu całej Polski przez Niemców. I gdyby nie sowiecki nóż w plecy, inaczej byśmy śpiewali. Nasze teraz zadanie to pokazać, z kim mają do czynienia. Honor Polaka i wiara w etos niepodległej Ojczyzny. Nie złamią nas!

Janina sekunduje mu całym sercem, nie ma jednak odwagi przemówić. Jako jedyna kobieta przed tak licznym męskim audytorium woli milczeć. Tym bardziej że głośnie rozmowy alarmują nocnego strażnika, wobec czego prowadzący „Dziennik” przypominają, że trwa cisza nocna.

Na koniec informują jeszcze o pozostałych jutrzejszych spotkaniach. Oficjalnym, jakim jest nauka słówek rosyjskich w klubie, i tajnym - wykład niedawno przybyłego profesora wileńskiego⁹⁵ na temat pracy ludzkiego mózgu - sektor 18., rząd 1., prycza 174. (Profesor Godtowski z Uniwersytetu Wileńskiego, szanowany w obozie za swoją godną postawę i przykład).

Dokładnie o godzinie szóstej rano budzi ich jazgot włączonych głośników, z których płyną nienawistne dźwięki państwowego hymnu Sowietkowsko Sojuza. Rozbrzmiewają długo, uroczyście, lecz nikt - poza służbą łagrową - nie staje na baczność. Ciemności punktowo rozświetla nikły blask żarówek, z wilgotnych ścian ściekają strugi wody, z ust buchają kłęby pary. Obolałe, zziębnięte ciała swędzą i pieką od ukąszeń cuchnących pluskiew i wszy, toteż ubierają się pośród powszechnego drapania, poganiani przez dyżurnych blokowych odpowiedzialnych za poranny apel. Muszą ich przeliczyć i złożyć meldunki oficerom NKWD.

Zaledwie odejdą, ktoś (Janinie wydaje się, że rozpoznaje głos księdza Ziółkowskiego) rzuca hasło:

- Panowie, do... modlitwy.

I już cała cerkiew rozbrzmiewa słowami znanej wszystkim pieśni.

Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki: Bądź pochwalon, Boże wielki! (...)

Nikt ich jednak nie prowadzi do stołówek. Śniadanie muszą wystać w potężnej kolejce do kuchennego okienka na „Placu Nędzy”.

Janina, tak jak pozostali, podstawia swoją menażkę pod wielką chochlę z odrobiną gorzkiej, za to gorącej, kawy zbożowej i pokrywkę, na której ląduje kupka jęczmiennej kaszy z kawałkiem gotowanego dorsza, przynależną, na dwustugramową porcję czarnego, czerstwego, zakalcowatego chleba musi poczekać. Stanowi jedną piątą okrągłego, kilogramowe bochenka, ze względu na kształt właśnie, trudnego do podzielenia. Jest wydawany co piątej osobie, toteż gromadzą się piątkami, aby dokonać podziału, co nierzadko

prowadzi do nieporozumień.

Tu przydaje się jej kobieca ręka. Sprawnie pokroiwszy chleb na równe trójkąty, wręcza je kolegom.

- Wyobraźcie sobie, że to kawałek tortu.

Nieznajomy porucznik rezerwy, dokooptowany do czwórki „muszkietierów”, nie kryje zdumienia, że ma do czynienia z kobietą.

- Niebawale! Żeby z płcią piękną wojować?!

- A co, nie przydam się? - mimo zmęczenia i bólu głowy próbuje żartować. - Nawet chleb udało mi się sprawiedliwie podzielić. To mało?

Wracając do „Grobu Agamemnona”, niemal wszyscy pochłaniają „w marszu” swoje porcje, popijając, dla rozgrzewki, kawą, lecz - nie zaspokoiwszy głodu - zaczynają się dobierać do swoich pajdek chleba, nie bacząc, że to przydział na cały dzień. Poza obiadową zupą, kaszą z kawałkiem ryby i kolacyjną „gołą” zbożówką na nic nie mogą już liczyć. Lecz głód bierze górę nad rozsądkiem.

Przed wejściem do cerkwi okazuje się, że „Piąty” również kwateruje tutaj. Zanim odejdzie na swój blok, przedstawia się damie.

- Pozwoli pani, porucznik rezerwy Stanisław Świaniewicz. Wilnianin Jak to się stało, że pani tutaj?! To nie pomyłka?

Ubawiona wybucha śmiechem.

- Nie. Nie wzięto mnie za mężczyznę. Podporucznik czasu wojny Janina Lewandowska we własnej osobie, chociaż zainteresowania niewątpliwie mam męskie. Lotnik pilot z Aeroklubu Poznańskiego.

- Jestem poruszony. I tak sama?

- No nie. Mam opiekunów. Kapitanowie Sidor i Górski oraz podporucznik Kulikowski - prezentuje stojących obok kolegów.

- Kto by pomyślał! To na razie. Do zobaczenia, mam nadzieję, na wykładzie profesora Godłowskiego o pracy naszego mózgu. Będzie ciekawie, bo to świetny specjalista. W dodatku nietuzinkowy człowiek. Spokojny, opanowany, o wysokiej kulturze osobistej i takiej sile wewnętrznej, że udziela się innym. Warto go poznać, zapewniam.

Przy okazji obiecuję ciekawy kontakt. Będzie generał Wołkowicki, nasz przyjaciel. To on zachęcił profesora do prowadzenia wykładów. Wychodzi.

Przed Izbą chorych od samego rana formuje się tasiemcowa kolejka oczekujących na obowiązkowe szczepienie przeciwko tyfusowi brzuszemu. Nikt, oczywiście, do środka nie wchodzi; na to nie ma czasu. Wszystko odbywa się pod gołym niebem.

Dla Janiny to kolejna krępująca sytuacja. Stojąc w równym rzędzie, ramię w ramię z kolegami, musi - jak inni - odsłonić lewą pierś (stara się przy tym zasłonić Medalion). Taka metoda ułatwia pracę i sanitariuszce, i lekarzowi.

Miedsiestra (pielęgniarka) posuwa się wzdłuż szpaleru z umoczoną w spirytusie watką, którą taśmowo dezynfekuje nagie torsy. Za nią podąża lekarz wojskowy w białym kitlu na polskim mundurze i aplikuje szczepionkę. Zanim rozpocznie, udziela informacji o skutkach.

- Po pierwszym zastrzyku mogą wystąpić torsje i wysoka gorączka, która szybko minie, więc się nie przejmujcie. Kolejne szczepienie za dziesięć dni, już bez sensacji.

Sarkają, lecz nic nie mają do powiedzenia. Podobnie jak przeciwko wzywaniu na „doprosy” do budynku Urzędu Badań obok obozowej bramy, lub tam, gdzie sobie życzy śledczy. W tej sprawie, jak się przekonają, nie ma wytchnienia, bo nigdy nie wiadomo, kogo i kiedy wyrwą. Dzieje się to przeważnie nocą, kiedy wciąż powtarzające się pytania doprowadzają badanego do kompletnego wyczerpania fizycznego i psychicznego.

Przesłuchujący są za to nie do zdarcia, ponieważ pracują na zmianę. Nie sposób też przewidzieć charakteru przesłuchania uzależnionego od chwilowego nastroju, a może przyjętej na ten moment taktyki. Raz jest to uprzejma rozmowa, innym razem chłodna dyskusja polityczna (w tym celuje kom bryg Zarubin), częściej wrzask, groźby, upokarzające wyzwiska, szyderstwo, co nieoczekiwanie przeobraża się w przyjazną życzliwość i współczucie, i ponownie w agresję. Biada, jeśli odpowiedzi, udzielane w różnych okolicznościach, w różnym stanie zmęczenia i nerwowego rozstroju, nie pokrywają się ze sobą. Łatwo to sprawdzić. Każde słowo jest skrupulatnie notowane i przechowywane w indywidualnej osobowej kartotece - czerwonej teczce - weryfikowane z innymi źródłami, często pochodzącym z miejsca zamieszkania. Są tam fotografie z profilu i en face, odciski palców raporty z przesłuchań, zeznania innych jeńców, sprawozdania władz obozowych, kopie wysyłanych i otrzymywanych listów, charakterystyka właściciela, szczegółowy życiorys, pochodzenie społeczne, stan majątkowy, wykształcenie, zawód wykonywany, przynależność partyjna, służba wojskowa, przekonania polityczne, religijne itp.

Zdarza się, że śledczy - uznawszy czyjąś przydatność - proponuje jeńcowi współpracę agenturalną w części Polski zajętej przez Niemców lub rolę informatora obozowego; bardzo rzadko z powodzeniem i niemal wyłącznie, gdy kandydat należy do mniejszości narodowej. Tu sprawdza się teoria gen. Dowbora-Muśnickiego, który twierdził, że tylko rdzenny Polak potrafi oddać życie za Polskę, co podkreślał jeden z mówców na jego pogrzebie przed trzema laty.

Niemal wszyscy zaszczepieni cierpią na dolegliwości zapowiedziane przez polskiego lekarza. Janina, o dziwo, znosi je łżej. Wysoka temperatura rzeczywiście szybko ustępuje, a torsje szczęśliwie ją omijają. Kierowana nieprzepartą potrzebą „zbadania tutejszego rynku wymiennego” i zaopatrzenia „ławoczki” (chodzi o mąkę), namawia przyjaciół do wspólnej wyprawki po „złote runo”, czyli zdobycie dodatkowej żywności.

Okazuje się, że to niewielki kiosk na obrzeżu „Placu Nędzy”, bez przerwy oblegany. Można tu kupić tytoń, sprzedawany na dekagramy cukier, wodę kolońską, kawę zbożową i zapalki. Jest i mąka. Każdy w pierwszej kolejności kupuje cukier, także ze względu na opakowanie. Zwłaszcza gdy nie jest zwinięty w tutkę z kawałka moskiewskiej „Prawdy” lub „Izwestii”, tylko czysty, szary, gruby papier. Można go wykorzystać do pisania listów (biały jest nieosiągalny). Skądinąd i gazeta nie jest do pogardzenia.

A nuż uda się z niej coś ciekawego wyczytać! Wszyscy są przecież spragnieni wieści ze świata, jeśli to nawet informacje o osiągnięciach gospodarki kolchozowej oraz zapewnienia o przyjaznych stosunkach z Niemcami. Zawsze można mieć nadzieję, że coś się jednak między wierszami znajdzie.

W obozie nie obowiązują międzynarodowe normy ujęte w konwencji genewskiej, kombryg Zarubin kieruje się własnymi i nikt mu w tym nie przeszkadza. Nawet jeńcy wiedzą, że on tutaj rządzi naprawdę i że to jemu, jako najwyższemu stopniem wojskowym oficerowi NKWD, podlega cały tutejszy zespół śledczy z komendantem Korolewem na czele.

To on utrzymuje stały kontakt z generałem Wsiewołodem Mierkułowem (w 1953 r. Mierkułow popadł w niełaskę i został stracony) - naczelnikiem 1. Wydziału Specjalnego NKWD ZSRS, zastępcą Ławrientija Berii, co zdradzają łączący go z Moskwą pracownicy centrali telefonicznej i on jeden często wyjeżdża do stolicy, lecz w jakim celu, nikt nie wie. Mogą się jedynie domyślać, że ma jakieś specjalne zadanie do wykonania. Aby zaskarbić sobie sympatię jeńców, osobiście sprowadza, z myślą o nich, kilkaset różnojęzycznych książek i prenumeruje kilka czasopism: „Ogoniok”, „Bolszewik”, „Partyjnoje Stroitelstwo” oraz „Sputnik Agitatora”.

To człowiek wszechwładny i bardzo tajemniczy. Podobno był swego czasu sowieckim ambasadorem w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Może dlatego bardzo się różni od swoich współtowarzyszy. Jakby przybył z innego wymiaru. Odznacza się wysoką kulturą osobistą, ujmującym sposobem bycia, nienagannymi manierami, rozległą wiedzą właściwą ludziom wykształconym, odczytaniem, biegłą znajomością języka niemieckiego i francuskiego, słabiej - angielskiego, oraz niezmiennie przyjacielskim, pełnym szacunku traktowaniem oficerów, zwłaszcza wyższych stopni.

Wręcz zabiega o dobre stosunki towarzyskie z nimi, a jego przesłuchania mają formę salonowej pogawędki przy herbatce, ciastkach, owocach i dobrych papierosach. Bez wyciągania teczek osobowych. Większość początkowo o nic go nie podejrzewa. Przez myśl im nie przejdzie, że to po prostu jedna z metod śledczych, że jego celem jest rozpracowanie ich i wyodrębnienie jednostek użytecznych, gotowych do współpracy. Tym chętni przyjmują „zaproszenia” do jego elegancko urządzonego gabinetu z dywanem na podłodze, koronkowymi firankami i zasłonami w oknach, wygodnymi fotelami i parującym tulskim samowarem na biurku, w miejscu, gdzie inni śledczy trzymają jaskrawą lampę świecąca prosto w oczy albo nawet pistolet, jak karzeł Sierotkin.

Nie podejrzewając podstęp, miękną w tym luksusowym otoczeniu, rozluźniają się i łatwo dają się wciągać w dyskusje na tematy zręcznie przez niego podsuwane. Rozprawiają więc szczerze o polityce, snują rozważania filozoficzne, światopoglądowe, zwierają się z upodobań, a nawet pragnień, opowiadają o rodzinie, a on wszystko to - zaledwie wyjdą - skrętnie notuje. Ten sprytny system sprawia, że wie o każdym wszystko, co chce wiedzieć i czego w inny sposób nigdy by mu nie powiedzieli. Nie płoszy ich propagandowymi hasłami, nie zniechęca, za to bez przerwy zapewnia o swojej dla nich sympatii, jednocześnie dystansując się od swojej pracy.

- Mierzi mnie, że muszę robić, co robię. Wiercie mi! - zapewnia z nutą szczerości w umiejętnie modulowanym głosie.

Wyświadcza im różne drobne przysługi i „z przyjemnością” pożycza książki, dzięki czemu nie muszą korzystać z obozowej, oferującej lektury wyłącznie propagandową.

Każdy, kto się z nim zetknie, sam jako człowiek honoru, zaczyna mu wręcz współczuć, że biedaczek musi wykonywać taką niewdzięczną robotę. Szczególnie po doświadczeniach z przesłuchaniami u innych śledczych - brutalnych, złośliwych, często tępaków. Tym bardziej mu wierzą, nie podejrzewając, że są ofiarami inteligentnej, cynicznej, okrutnej gry obliczonej na ich rozpracowanie i wykorzystanie. Nie przeczuwają, że od jego decyzji będzie zależał los tysięcy ludzi. Życie (na usługach sowieckiej władzy) lub okrutna śmierć. Nie ma wyższego szarżę więźnia, którego by osobiście nie przesłuchał. Niektórych - wielokrotnie, w tym Janinę jako wyjątek. Jedyna kobieta - jeniec wojenny, a do tego arystokratka. A jeszcze i córeczka takiego tatusia! Nic się przed nim nie ukryje, chociaż nie wszystko od razu zdradza.

We wszystkim pomagają mu podlegli oficerowie i podoficerowie śledczy, służą liczni politrucy, bez przerwy kręcący się między więźniami, usiłujący wpływać na ich przekonania i badać nastroje. Wśród nich wyróżnia się szczególnie kpt. NKWD, Aleksandrowicz. On zaś

wszystkie raporty swoich podwładnych dokładnie analizuje i - z gotowymi wnioskami wyjeżdża do Moskwy, by niebawem powrócić i kontynuować pracę. Jako wysoki funkcjonariusz NKWD robi, co może, aby jak najlepiej wypełnić powierzone mu przez partię zadanie, toteż przez palce patrzy na działalność sklepiku, bo tu krzyżują się ze sobą liczne interesy. Jest to zatem doskonałe źródło informacji, stwarzające możliwość dyskretnej inwigilacji, ale i punkt bogacenia się skarbu sowieckiego państwa, o co dbają przedstawiciele Państwowego Narządu Kosztownościami.

Przy okazji kwitnie tu giełda. Można wymienić złote na ruble i odwrotnie, a także można wszystko (wbrew zakazowi, podobnie jak w Ostaszewie) pokątnie sprzedać lub kupić. Zwłaszcza za ruble otrzymane z oficjalnej sprzedaży wartościowych przedmiotów (zegarki, złote obrączki, sygnety, wieczne pióra). A giełda, czyli kilku spryciarzy, wciąż dyktuje nowe ceny, codziennie ogłasza nowe kursy rubla w stosunku do złotego. Jest to zabronione, a winni są nazywani spekulantami i - w razie wpadki - karani 5-dniowym aresztem w baszcie. Mimo to ryzykują.

Według aktualnych ustaleń kilogram cukru kosztuje cztery ruble, mąki trzy, wieczne pióro - dwadzieścia, przy czym za rubel liczą dwadzieścia złotych. Podczas kiedy przed wojną za kilogram cukru płacono złotówkę, najlepszą walutą są zegarki - najwyżej cenione - ręczne, ale i kieszonkowe mają wzięcie. Można je sprzedać w każdej chwili, nie tylko przedstawicielem państwowym, lecz i tutejszym funkcjonariuszom, nieraz na raty. Jednak nie wszyscy oficerowie decydują się na utratę pamiątki rodzinnej lub prezentu od drogiej osoby.

Należy do nich kpt. Sidor, na którego piękną, złotą omegę ostrzy zęby pewien „krasnolud”. Chłopisko wyjątkowo tępe, do tego zarozumiałe z powodu swojej domniemanej wyższości nad „zakliuczionnymi” (więźniami), a tym bardziej Związku Radzieckiego nad innymi krajami, zwłaszcza nad Polską.

Wzbudza litościwą wzgardę, a kpt. Sidor wciąż powtarza:

- Nigdy nie pozwolę, aby mój zegarek po ojcu przeszedł na prawosławie.

Oficerowie kpią z „ruskiego zakapiora” w żywe oczy, wyciągając na rozmówki dowodzące jego głupoty.

- To mówisz, że w Rosji wszystko najlepsze?

- Wsio! - odpowiada z przekonaniem.

- Aha, to znaczy, że wsio u was jest?

- „Kanieszna!” - twierdzi niezłomnie.

- A kolibry u was jes't'? - przygważdża ktoś biedaka znienacka.

Po chwili wahania idzie va banque.

- Nu da. U nas mnogo kolibrow - unosi buńczucznie głowę.
- A kak u was kolibry prodajut? Na sztuki czy na kilogramy?

Już się nie waha.

- Kanieszno na kilogramy! - oświadcza dumnie.

Więcej pytań nie ma, lecz widok ich dziwnych uśmiezków trochę go peszy, więc odchodzi z niepewną miną. Czuje przez skórę, że coś tu wyszło nie tak. Kiedy zniknie, któryś rzuca z oburzeniem:

- I taki durak nam rozkazuje! Pozwólcie panowie, że powtórzę z< panem Zagłobą: „Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?”.

Ostatecznie kpt. Sidor sprzeda swoją omegę, do czego zmusi go głód, jednak nie „znawcy kolibrów”.

„Ławoczka” to także miejsce spotkań towarzyskich, bo kręci się tam mnóstwo ludzi. Jednostajność coraz krótszych dni, w chwilach wolnych od pracy, można urozmaicić poprzez nawiązywanie nowych znajomości i ciekawe rozmowy. I można poczuć szerszą przestrzeń wkoło siebie, co nie jest możliwe na blokach, gdzie na każdym kroku czuje się oddech sąsiada.

Co najwyżej można bez końca krążyć po niby-uliczkach między pięciopiętrowymi pryzami, jak w jakimś miasteczku z koszmarne snu, do czego niebawem zaczną się ograniczać ze względu na pogodę. Już od 26 listopada zaczyna padać śnieg, a niebawem nadejdą mrozy. Jak jedna inaczej urozmaicić monotonię, brak nadziei, zżerającą wszystkich tęsknoty za bliskimi, za wolnością, za krajem. Wielu wpada w depresję, rodzą się konflikty. Te żągnięją starsi wiekiem i wyżsi stopniem oficerowie oraz kapłani. Wyciszają, usiłują czymś zająć, radzą uczyć się obcych języków, a nawet rosyjskich słówek.

- Poznaj język wroga! To patriotyczny obowiązek.

Nie na wszystkich udaje się wpłynąć. W początkach grudnia obóz elektryzuje straszliwa wiadomość.

- W „Skicie” powiesił się chorąży z Grodna. Nie wytrzymał.

Prosto ze sklepiku Janina udaje się do punktu bibliotecznego. Ma nadzieję, że - jeśli szczęście dopisze - uda się jej zdobyć coś z rosyjskiej klasyki, choć propagandową pozycją nie pogardzi. Chodzi o sam komfort czytania. Oderwania się od beznadziejnej rzeczywistości, od wciąż ponawianych pytań.

- Co z nami będzie?

- Czy to jakaś kara niebios ten nasz los? Polski los!?

Wszyscy bez przerwy zadają sobie to pytanie, na które nikt nie znajduje odpowiedzi.

Aby za wiele nie myśleć, dobrze jest znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Jedni strugają z drewniaków figurki szachowe, którymi potem grają, inni piszą pamiętniki lub wiersze, a nieliczni nawet malują i rzeźbią. Jest taki, który usiłuje „zbudować skrzypce”. Deski z pryczy już przyciął i wyszlifował, ma nawet smyczek z włosia końskiego, brakuje mu tylko strun, więc wciąż krąży po śmietniskach w nadziei, że coś znajdzie, któregoś dnia wraca, uradowany, że strunami oderwanymi od czyjejś roztrzaskanej mandoliny.

- Stradivarius się schowa, zobaczycie!

Kiedy temperatura powietrza opadnie poniżej 20 stopni Celsjusza, położenie jeńców staje się tragiczne. Dokuczają zimno, nie mają ciepłej odzieży, wielu choruje, wzrasta śmiertelność. Nie jest też łatwo zadbać o schludny wygląd, czego wymaga wyższa kadra oficerska i własny honor. Brakuje odpowiedniej ilości wody, a obowiązek pracy, (żaden kraj, który podpisał konwencję genewską z 1929 roku, nie zmusza oficerów do pracy), do której nie otrzymują roboczych ubrań, powoduje niszczenie mundurów i obuwia. Próbuje sobie jakoś radzić. Na przykład, izolując od lodowatego podłoża cienkie oficerskie zelówki drewnianymi deszczułkami.

Mimo rozmaitych przemysłowych zabiegów tylko jednostki wytrzymałyby harówkę, do jakiej nie przywykli, gdyby nie pomyślny układ panujący w obozie. Do pracy chodzą kolejno, w systemie dwuzmianowym poszczególne bloki „służbowe”. Pozostałe w tym czasie odpoczywają i zajmują się swoimi sprawami: cerowanie, łatanie, szycie, czyszczenie mundurów i oficerek, a także samokształcenie i życie towarzyskie. Następnego dnia podmieniają kolegów aktualnie pracujących. Harują na różnych stanowiskach, bez drugiego śniadania i gorących napojów, marząc o obiadowej zupie, z porcją kaszy na gęsto albo - dla odmiany - z kawałkiem gotowanej ryby lub solonym śledziem. Długo na to czekają. Aż do powrotu za druty. Obiad jest wydawany między godziną szesnastą a siedemnastą, po zapadnięciu ciemności, bo dzień zimowy krótki. Nie ma od tego ucieczki. Każdy musi coś robić. Wyznaczani regularnie dyżurni od rana sprzątają na blokach, czyszczą teren i latryny, lub pracują w kuchni (zajęcie najwspanialsze z możliwych). Pozostali są pędzeni poza teren obozu: do pobliskich kołchozów, na rampę kolejową do ładowania świerkowych bali.

Wyżywienie, choć nienajgorsze, nie zaspokaja głodu. Dlatego w „ławoczkach” kwitnie handel wymienny. Nie przypuszczają, że będzie jeszcze gorzej. Że będą się dożywiać nasionami traw, żołądziami z rosnących w koło licznych dębów, a nawet korą drzew albo (wiosną) młodymi pędami sosny. Już teraz, z powodu braku warzyw, owoców i mleka, wielu cierpi na kurzą ślepotę, co sprawia, że po zapadnięciu zmroku przestają widzieć i snują się po blokach jak ślepcy, bez możliwości poruszania się po całym obozie, co pozwoliłoby

odwiedzić znajomych lub zawrzeć nowe przyjaźnie pomagające trwać. Najbardziej cierpią dotknięci szkorbutem zwaną „cynką”. Cieknące ropą rany na ich ciałach sięgają kości, a zęby wyjmuj z gnijących dziąseł jak rzodkiewki z ziemi.

Ograniczeni do wysłuchiwanie audycji nadawanych przez Radio Moskwa lub Rozgłośnie Smoleńską, do czytania „Prawdy” (sporadycznie - w wersji polskojęzycznej) albo do oglądania propagandowych filmów wyświetlanych w klubie, robią się nerwowi i gwałtowni, choć każdy zdaje sobie sprawę, że to skutek świadomego eksperymentu. Element zamierzonej indoktrynacji mającej przeobrazić ich w ludzi myślących na sposób sowiecki. Bardzo o to dbają pracownicy miejscowego radiowęzła mając fałszywymi lub odpowiednio spreparowanymi wiadomościami. Próżne wysiłki. Nie są w stanie przebić się przez mur obronny patriotyzmu, bez przerwy wzmocniany przez czuwających nad współbraćmi kapłanów i wyższych oficerów działających przy pomocy ofiarnych obozowych łączników.

Janina, po rozmowie z księdzem Ziółkowskim, który z radością zaakceptował jej zamiar wypiekania hostii, decyduje się czynnie włączyć do obozowej konspiracji, również jako oficer łącznikowy między poszczególnymi blokami i zonami. Nie czekając na oficjalne zatwierdzenie swojej misji, postanawia działać a priori.

„Przede wszystkim - rozpracowanie terenu. Muszę poznać wszystkich blokowych i jak najwięcej ludzi. Zaczę od „Cyrku”, bo to największe skupisko. Potem zajmę się „Grobowcem Indyjskim” i eremami. „Grób Agamemnona” rozpoznam mimochodem; to moje podwórko.”

Z megafonów płynie zapowiedź „bardzo ciekawej audycji”. Rosyjskojęzyczny spiker serdecznie zaprasza i prosi „wojennoplennych” o uwagę. Jeszcze chwila i „szczekaczki” - po krótkim wstępie informacyjnym - zaczynają bezczelnie opluwać Powstanie Listopadowe, a powstańców nazywają zdrajcami, twierdząc, że - jako poddani rosyjskiego cara - popełnili zbrodnię zdrady stanu.

- Tego już za wiele!

Oburzona, dotknięta w swych najświętszych uczuciach, zrywa się, aby pobiec do budynku komendantury. Aby zaprotestować. Powstrzymuje ją obawa przed zwróceniem na siebie uwagi. Zawróciwszy do „Grobu Agamemnona”, sama siebie mityguje.

„To tajnej działalności nie posłuż.”

Na szczęście audycja dobiega końca, lecz jazgot nie milknie. Teraz ze szczytu telegraficznego słupa rozbrzmiewa hałaśliwa muzyka ludowa, a więc - chociaż i to przykre - oddycha z ulgą.

Kapitan Sidor, który - obserwując ją od paru chwil - domyśla się, co przeżywa,

śpieszy z pocieszeniem.

- Nie myśl już o tym, Janeczko. Nie warto. Oni na to właśnie liczą. Że nas złamią. Zapal sobie, to cię uspokoi - częstuje ją skrętem.

- Dziękuję, rzuciłam. Zapomniałeś? Ale żeby tak o naszych bohaterach narodowych! To uderzenie poniżej pasa, przyznasz Ziotku.

- Pozwolisz więc, że ja puszczę dymka? Jedyne rady to ignorować oszczerstwa. Niech się produkują. Niech się mają nadzieję, że coś wskórają. Ze zresocjalizują nieświadomych politycznie polskich panów, że pokochamy „najbardziej demokratyczny kraj świata”, Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich, którego braterskie narody żyją w niesłychanym dobrobycie, a zmierzają do jeszcze większego dzięki pięcioletnim planom. Że zachwycimy się wyższością ustroju socjalistycznego nad innymi formami rządzenia. Ustroju, który winduje na szczyty nauki i kultury tę krainę „mlekiem i miodem płynącą”.

- Zapomniałeś o „niecnych knowaniach imperialistów, którzy prowadzili brudne wojny, jak to czyni Japonia, przeszkadzając Chińczykom w zdobyciu niepodległości, którą można uzyskać tylko poprzez wprowadzenie tego cudownego ustroju” - drwi Janina.

Nic tak nie pomaga na zgryzotę, jak kpina z tego, co ten stan powoduje. Pokrzepiona na duchu, czuje nowy przyływ energii.

- Dzięki, Ziotku. Grunt, to się nie poddawać!

Podniósłszy się z pryczy, otrzepuje i wygładza mundur, po czym udaje się prosto do „Cyrku”.

Pachnie tu świeżym drewnem. Niektóre spośród pięcio - i czteropiętrowych prycz jeszcze niewykończone, a ich przyszli lokatorzy właśnie je zbijają. Zewsząd rozlega się stukot młotków, co stanowi miłe urozmaicenie w jakimś monotonnym marszu żałobnym płynącym ze szczekaczek.

Podchodzi do pracujących niepostrzeżenie, trochę ubawiona ich zaskoczeniem.

- Szczęść Boże! A cóż to, sami musicie sobie łóżka przygotować?

- Daj Boże! A to niespodzianka! Jaki piękny kwiat wyrósł na tej wrażej glebie! Mundur polski, oficerski, a w środku dama! Jest tu pani może lekarzem?

- Jeńcem wojennym, jak wszyscy - śmieje się tak wesoło, że ich także zaraża dobrym humorem.

- Ale pryczy nie kazano pani zbijać?

- Miałam szczęście.

- Nie to, co my, którzyśmy pierwszą noc spędzili, siedząc, na gołej podłodze, oparci o siebie plecami. Dlatego tak się zwijamy, choć to niełatwe z powodu braku gwoździ.

Nie chcąc przeszkadzać w tak ważnym zajęciu, żegna się, obiecując przyjść za kilka dni. Zanim jednak odejdzie, do rozmowy włącza się wyjątkowo wychudzony człowiek leżący na dolnej, już ukończonej narze.

- Kiedy usłyszałem kobiecy głos w tym męskim zagłębieniu, pomyślałem, że to prawdziwy dar Opatrzności Bożej dla nas. Zobowiązująca obecność wyzwająca rycerskość i dobre, opiekuńcze instynkty. Hamująca zbytnią swobodę języka i obyczajów, przypominająca dom rodzinny i bliskich, to nie przypadek. Szkoda tylko, że dzieje się tak z pani szkodą.

- Zawstydz mnie pan. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie pan. Ksiądz katolicki. A co do pani... Musimy mieć ufność, że Bóg nas nie opuści.

Nikt nie dostrzega podchodzącego cichutko oficera politycznego, który przekrzykując głośniki - woła:

- Boga niet! Nikto jewo nie widieł! (Boga nie ma! Nikt Go nie widział!)

Janina czuje się „wezwana do tablicy”, więc - uprzedzając księdza - bierze na siebie poskromienie żołdackiej pychy.

- A byli wy w Amierikie?

- Niet - odpowiada bezwiednie.

- Nu Amierika... Jes't' li ona?

- Kak że? Kanieszna jes't'.

- Prawilno wy skazali, no Amieriki nie widieli, a gawaritie, szto ana jes't'!?

Wybuch głośnego śmiechu z kilkudziesięciu gardeł przegania go tak skutecznie, że nieprędko się na tym bloku pokaże.

Zaczynają płynąć dni naznaczone morderczą pracą, „doprosami”, plagą robactwa, nasilającymi się chorobami, niedożywieniem, brakiem elementarnych przedmiotów służących normalnej egzystencji, a zwłaszcza tęsknotą za bliskimi. Każdy niecierpliwie wyczekuje listów, które im przekazuje

(albo zatrzymuje) cenzor, w zależności od własnego widzimisię. Piszą je ołówkami (zwykłymi lub kopiowymi), gdyż wieczne pióra zostały sprzedane. Pierwsze odpowiedzi dotrą do nich dopiero po miesiącu - odczytywane wielokrotnie, całowane i oblewane łzami, niezależnie od tego, czy zawierają smutne, czy radosne wiadomości. Koją tęsknotę, pomagają trwać. Cieszą nawet te, które otrzymują współtowarzysze - zazdrośnie strzeżone, jak największe skarby i noszone na sercu. Jeden z wymówek pod adresem męża:

„Ty tam sobie odpoczywasz w domu wczasowym, a ja tu z dziećmi głoduję!”.

Zmylił biedaczkę adres zwrotny, maskujący charakter miejsca, w którym przebywa jej

mąż. Jak jej to wytłumaczyć? Nie ma szans. List z takim wyjaśnieniem nie opuściłby obozu.

Słabszym psychicznie zaczynają puszczać nerwy. Stojąc w kilometrowych kolejkach po posiłki lub gorącą wodę, do sklepiku czy latryny, głośne narzekają, a nawet, bywa, kłóca się pomiędzy sobą. Silniejsi duchem pocieszają innych, jak mogą.

- Panowie, spokojnie. To nie może trwać wiecznie! To się niebawem skończy! Niedługo stąd wyjedziemy. Podobno mają nas fotografować!

W „Grobie Agamemnona”, na bloku, gdzie przebywa Janina, kosztem zlikwidowanych kilku prycz, wspólnymi siłami, urządzono „salon”. Jest tu stół i ławy, więc życie towarzyskie kwitnie. Można pogawędzić, pograć w warcaby, szachy lub - rzecz zabroniona - w karty. Wszystko własnej produkcji.

Trwa partia preferansa. Gracze, podnieceni, zapominają o świecie. Podobnie obserwatorzy. Janina siedzi zgięta wół na swojej pryczy, przyglądając się grającym i czochrając sierść przygarniętego obozowego psiska, które z rozkoszy aż mruży ślepią. Od paru dni nie odstępował jej na krok, więc mu nadała imię Digan Drugi. Na pamiątkę jednego z ulubieńców ojca.

- Jakby warczał, prosimy o ostrzeżenie - kpt. Górski uśmiecha się do niej porozumiewawczo.

- Oczywiście! - oddaje uśmiech i niemal natychmiast „odlatuje”.

Przymknawszy oczy, nadal głaszcze psi łeb spoczywający teraz na jej stopach i ogrzewający je swoim ciepłem. Myślni daleko stąd, pędzi oto poprzez batorowskie pola na swoim gniadoszu. Obok - Gusia, na kasztance. Wiatr rozwiewa końskie grzywy, chłodzi rozpalone, dziewczęce policzki.

Skręcając na drogę obok kuźni, spoza krzaków rozlega się chłopięcy wrzask, ujadanie wiejskich kundli poszczutych przez małych łobuziaków. Czuje ich charakterystyczną woń, nie zdając sobie sprawy, że to psi zapach tutejszego Digana. Galopujące wierzchowce pędzą jak szalone, umykają przed psimi gębami, serce wypełnia szczęście i dzika jakaś radość. Z tego pędu, z pokonywania przestrzeni!

Pochylona bezwiednie przytula się do kudłatego łba zwierzęcia, wymawia nadane mu imię i wtedy czar pryska. Czyjś gromki śmiech przywołuje ją do rzeczywistości.

Nad graczami stoi strażnik Leon i trzyma się za brzuch, zachwycony, że udało się mu podejść „przestępców” z nienacka.

- Nu kak! „Leon” idiot, a wy szto? - wykrzykuje wesoło.

Śmieją się wszyscy, pewni, że ten nie doniesie, lekko zdumieni, że Digan Drugi nie warczał, jak zwykle, kiedy ostrzegał przed nadchodzącym „krasnołudkiem”. Janina nie ma

wątpliwości co do przyczyny.

- To mądre psisko. Dobrze wie, że nasz Leon nie jest groźny.

Okazuje się, że przyszedł z wezwaniem na przesłuchanie.

- Kapitan Sidor - na „doprosy”!

- Masz ci los! Kto wzywa?

- Sierotkin.

- Tego tylko brakowało! Z tym kurdupłem łatwo nie pójdzie. Janko, proszę o zdrowaśkę. Ty też za mnie westchnij, kolego Michale. I ty, Jasiu - prosi, wychodząc i kreśląc nieznacznym znakiem krzyża na piersi.

Gra zostaje przerwana, a Janina trwa w oczekiwaniu na jego powrót, jak na bombie z opóźnionym zapłonem.

Pokój przesłuchań jest niemal pusty. Na ścianie głównej - portrety Lenina i Stalina oraz herb Związku Sowieckiego: sierp i młot z czerwoną gwiazdą. Drugą ścianę zasłaniają potężne szafy wypełnione teczkami osobowymi więźniów, lecz główny mebel to wielkie biurko ze stojącą na środku lampą elektryczną i jedną (na tę okazję) teczką osobową obok. Za biurkiem fotel i niemal tonący w nim karzeł Sierotkin. Pomiędzy drzwiami a stanowiskiem śledczego - samotny taboret.

Na widok jeńca enkawudzista każe mu siadać, po czym leniwie sięga do szuflady biurka. Wyjąwszy rewolwer, odbezpiecza go, i demonstracyjnie mierząc ofiarę znaczącym spojrzeniem, kładzie go na blacie w zasięgu swojej ręki.

Po chwili przerwy (wszystko wskazuje na to, że mu się nie śpieszy) przysuwa do siebie teczkę, waży ją w dłoniach i powoli otwiera.

„Jest grubsza niż ostatnio, czy mi się zdaje?” - zastanawia się więzień.

Tamten długo przegląda dokumentację, niektóre papierki wysuwa, popatruje na siedzącego, znów zagłębia się w czytaniu.

„Aha, chcesz mnie zmiękczyć; znana sztuczka! Nie tak prędko, burku!” - myśli oficer.

Sierotkin, uznawszy najwidoczniej, że nadszedł odpowiedni moment, przybiera chłodno uprzejmy wyraz twarzy i rozpoczyna posiedzenie, o to, co przed chwilą wyczytał.

- Wasza familia? Otczestwo? (Nazwisko, imię ojca.)

- Sidor Józef, syn Józefa.

- Wasze sosłowije? (Jakiego jesteście stanu.)

- Szlachcic.

- Znaczy pamieszczik, krwiopijca! Wrzód na ciele ludu pracującego Polski pan! Sługus burżuazji!

Nawymyślawszy mu, zasypuje gradem kolejnych pytań.

- Data i miejsce urodzenia?
- Stan majątkowy? Ile ziemi, bydła, drobiu?
- Wykształcenie, gdzie, kiedy? Z jakim wynikiem?
- Miejsce pracy, jej charakter?
- Poglądy polityczne?
- Stan rodzinny?
- Stosunek do religii, jakie wyznanie?
- Przynależność partyjna?
- Stosunek do służby wojskowej?
- Gdzie wzięty do niewoli?
- Stosunek do Związku Radzieckiego?

Każdą odpowiedź skrzętnie zapisuje, choć wszystkie te dane już ma.

Chyba nie jest zadowolony z wyniku, bo znów zaczyna rzucać wyzwiskami, co wspomaga świeceniem lampą po oczach i pieczętuje oskarżeniem.

- Kontrewolucjonista! Walczyłeś ze Związkiem Radzieckim! Działaleś na jego szkodę! Wiesz ty, co za to grozi? Jedno jest pewne, że swojej młodej żonki nie zobaczysz! Pewno już sobie kogoś przygruchała.

To zabolalo i natychmiast odbilo się w nienawistnym błysku oczu, i śledczy z zadowoleniem odnotowuje i... ponownie zmienia taktykę. Jego twarz przybiera uprzejmy wyraz, na wargach pojawia się obleśny uśmiech, os łagodnieje.

- Nie musi tak być. Możecie odmienić swój los, panie kapitanie. Wy inteligentny, mądry człowiek. Czy tak trudno uznać zdobycze rewolucji i potęgę Rosji? Warto ten atut wykorzystać. Trzeba się tylko przekonać do tego, co osiągnęliśmy dzięki rewolucyjnym przemianom. Rosja to wielki, bogaty kraj. Prędzej czy później zapanuje nad światem. Trzeba z silniejszym trzymać. Co wy na to?

- Nie bardzo rozumiem.

- Ależ rozumiecie. Nie musicie odpowiadać teraz. Jeszcze się spotkamy. A może jednak teraz? Muszę akurat wyjść, a wy tu sobie posiedźcie.

Uśmiecha się serdecznie, zabiera mausera, wkłada teczkę do zamykanej na klucz szafy, gasi jaskrawą lampę i wychodzi.

Kapitan długą chwilę uspokaja nerwy, a potem siedzi bezmyślnie i nagle opuściły go siły. Rozgląda się po pomieszczeniu, zatrzymuje wzrok i bładzie biurka. Coś tam leży obok lampy! Zbliża się ostrożnie, co chwila oglądając się na drzwi, lecz nadal ryzykując w nadziei,

że to jakiś dotyczący go dokument. To coś zupełnie innego. Legitymacja z hitlerowską „gapą”(pogardliwa nazwa emblematu orła znajdującego się na niemieckich mundurach i dokumentach, rzadko na szyldach, używana przez Polaków pod okupacją niemiecką) i napisem: „Polizeipräsidium Kattowitz”. (Komenda Policji w Katowicach.)

- No pięknie! Najwidoczniej Herr Sierotkin pracował dla Niemców. Jest z tego dumny. Jasne. Przecież to teraz przyjaciele Sowietów!

Zaledwie zdąży usiąść z powrotem, w otwartych gwałtownie drzwiach ukazuje się mała postać śledczego. Jego mina świadczy, że wie, co przesłuchiwany robił przed chwilą i że odczytał dokument, na czym mu - nie wiadomo dlaczego - najwidoczniej zależało, bo nagle z dumą oświadcza:

- Musicie wiedzieć, że byłem prezesem Związku Oficerów Rezerwy Katowicach!

Jeśli sądził, że tym mu zaimponuje i zmobilizuje do podjęcia współpracy, to się pomylił. Spojrzawszy w jego oczy, pojął, że plan się nie powiódł i raz jeszcze ulega metamorfozie. Wyjmuje teczkę i mausera, odbezpiecza go z trzaskiem, kładzie na biurku. Odrzuciwszy maskę dobrego wujaszka znowu jest sobą.

- Gordyj Polaczyszka! (Hardy Polaczek.) No to zaczynamy od nowa. I radzę mówić prawdę, bo jak się coś nie zgodzi, inaczej zaśpiewasz!

Kiedy kapitan wróci na blok późno w nocy, oczekująca na niego Janina nie potrzebuje o nic pytać. Musi za to pomóc mu wejść na górną pryczę, gdyż ślania się na nogach.

W „SKICIE”

Utworzenie „Skitu” od początku miało na celu odseparowanie wyższych szarż od niższych, aby te pozbawić dowódców, pozostawić samym sobie. Lecz, choć wzajemne odwiedziny są surowo zakazane, jedni i drudzy znajdują sposoby, aby tego nie przestrzegać. Robią to albo za pośrednictwem pracujących po obu stronach rosyjskich pracowników cywilnych, albo kiedy „skitowcy” przychodzą do monastyrskiej łaźni. Wystarczy wmieszać się pomiędzy nich. To sprzyja utrzymaniu wzajemnej więzi i wysokiego morale. Nad wszystkim czuwa gen. Minkiewicz przy pomocy oficerów łącznikowych, których wyznacza sam lub inni generałowie. Przekazują oni wszystkie rozkazy dowództwa, wykonywane potem ściśle przez pozostałych oficerów, których wciąż obowiązuje posłuszeństwo wobec wyższych rangą. Niesubordynacja uznana byłaby za dezercję. „Krasnoludkom” zdaje się to nie przeszkadzać. I tak wiadomo, że nikt z kozielskiego obozu nie ucieknie. Nie ma szans.

Ksiądz major Ziółkowski, ze względu na Janinę, niecierpliwie czeka na okazję do rozmowy z generałem Minkiewiczem. Nadarzy się, kiedy strażnicy przyprowadzą do bani (łaźni) generałów z ich ordynansami. Zaczajony w rozbieralni przedstawia mu sytuację.

- Generale, czy pan wie, że jest wśród nas dama?

- Jak to, dama?

- Prawdziwa dama. Córka generała Dowbora-Muśnickiego, ale to wiadomość poufna. Mieszka z nami w „Grobie Agamemnona”, wprawdzie otoczona przyjaciółmi, ale... Młoda kobieta wśród setek mężczyzn!

- Rozumiem. Dziś jeszcze postaram się o rozmowę z generałem Zarubinem. A propos. Czy nie wolałby ksiądz także zamieszkać w „Skicie”? Jest w obozie wielu kapelanów wojskowych, dbających o wspólne modlitwy i religijne uroczystości; chociażby prałat Wojtyniak, ksiądz Kantak czy Skrela. Mnie jednak miło byłoby współpracować z księdzem bliżej. Oczywiście za obopólną zgodą.

- Generale, pójdę, gdzie Pan nasz powoła! Tymczasem spieszę pocieszyć naszą lotniczkę.

Generał dotrzymuje słowa. Janina, przeniesiona do „Skitu”, otrzymuje samodzielną kłitkę w bloku N, w komórce pod schodami - koło „Bristolu”, enklawy pułkowników. Chociaż żałuje rozłąki ze swoimi „muszkietierami”, oddycha z ulgą.

- Nareszcie sama!

O ileż prościej zadbać o własną higienę, a to przecież nie jedyny przywilej. Panują tu inne niż w „Monastyrze” stosunki. Nie musi już stać godzinami, jak tam, w kilometrowych

kolejkach - deszcz i błoto, mróz i śnieg - aby odebrać swój przydział. Odrobinę cukru, zapalki, machorkę, bibułkę do skręcania papierosów (to wymienia na żywność) lub dzienną porcję żywieniową.

Wyznaczani co dzień dyżurni oficerowie, odpowiedzialni także za sprzątanie pokoi, przynoszą - z własnej kuchni polowej, którą prowadzi dr Wroczyński - nie tylko jedzenie, ale i wodę do mycia naczyń. Nawet jedzenie jest tu lepsze, gdyż swoi kucharze starają się jak najlepiej przyrządzać strawę. Serwowana przez nich kasza zawsze jest dogotowana, a otrzymywane produkty dzielone sprawiedliwie. Działa tu również świetlica niezależna od obozowego klubu usytuowanego w „Monastyrze”. Nie to jednak cieszy ją najbardziej.

- Wreszcie się do czegoś przydam! A zacznę od wypieku hostii - oświadcza księdzu Janowi, który - korzystając z zaproszenia generała Minkiewicza, także przeniósł się do podobożu nr 2.

Już pierwszego wieczoru, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, bierze do ręki polską książkę. Nie jest to wprawdzie cały wolumen, tylko kilka kartek (trzeba się dzielić z innymi), ale za to Trylogia Henryka Sienkiewicza! Drugi tom, Ogniem i mieczem. Jutro dostanie kolejne stronicę, a te powędrują do kogo innego.

Trafia na opis brawurowej akcji ratunkowej przeprowadzonej przez panów Wołodyjowskiego, Zagłobę i Rzędziana, którzy odbili ukochaną Skrzetuskiego, kniaziównę Helenę, z rąk Bohuna. Czyta go kilkakrotnie, myślami przy swoim Mieczku, a w nocy śni się jej Czarci Jar nad dzikim brzegiem Waładynki, gdzie - pod strażą wiedzmy Horpyny i karła Czeresa przebywała porwana przez zakochanego Kozaka Kurcewiczówna. Budzi się udręczona sennymi majakami, w których Skrzetuski co chwila zamieniał się rolami z Mieczysławem, a dziki Kozak Bohun przeobrażał się komendanta Korolewa.

Mimo to z samego rana skwapliwie wymienia przeczytane kartki na nowe, aby jak najprędzej powrócić do lektury. Nie starcza tego na długo, bo już czeka następna partia. Jak dzieci wymieniają się wrażeniami, dyskutują o każdej postaci, rozpamiętują najdrobniejsze szczegóły fabuły, jakby to wszystko działo się naprawdę.

Ten, który pisał „dla pokrzepienia polskich serc”, miałby pełne prawo do satysfakcji, gdyby spoglądał na nich z zaświatów.

Mimo że z natury opanowana, kiedy wylewa pierwszą porcyjkę mącznej zawiesiny na blaszkę foremki, ręce drżą jej tak mocno, że część cennego surowca znajdzie się na podłodze. Przy kolejnych próbach, choć nadal podniecona, pracuje z coraz większym wyczuciem i z coraz większą satysfakcją spogląda na rosnący stosik małych białych krążków.

Nie martwi się o „wpadkę”, bo pod drzwiami czuwa czworonożny „dyżurny”, który

wywyższy niebezpieczeństwo w osobie nadchodzącego „krasnodudka” wystarczająco wcześniej, by zdążyła ukryć dowody „przestępstwa”: miskę z rozrobioną pszenną mąką, blaszaną formę przywiezioną z Łłowej oraz butelkę z olejem do kopcilki. Wykonana z wielkiej puszki po „swinnoj tuszonkie” (konserwa wieprzowa), dzięki grubemu na palec knotowi, daje niezbędną, mocny płomień.

Zajęcie nie należy do łatwych. Wymaga maksymalnego skupienia i wzmożonej uwagi. Płomień syczy i kopci, wywołując duszności i kaszel, ten z kolei (plus głośnikowy jazgot) może zagłuszyć szczekanie Digana Drugiego. Nie przejmuje się perspektywą karceru, tylko utratą narzędzi pracy, a przede wszystkim - dekonspiracją. Lepiej, aby władze obozowe nawet się nie domyślały, że coś takiego dzieje się pod ich bokiem.

Dziś szczęście jej nie dopisuje. Jeszcze biały stosik niziutki, a tu nagle przestają nadawać muzykę i rozlega się głos zapraszający na seans filmowy o Puszkynie. To jednocześnie zapowiedź „krasnodudkowego” nalotu, czekając na psie ostrzeżenie, gasi lampę i pospiesznie ukrywa wszystko w schowku pod podłogą, za szafką z rzeczami osobistymi. Zaledwie skończyła, rozlega się warczenie i w ślad - ponaglące nawoływania strażnika.

- Paszli w kino!

Chwyciwszy czapkę i płaszcz, wypada na korytarzyk i - ubierając w biegu, podąża do świetlicy. Tu już wszystkie miejsca siedzące są zajęte, lecz kilku naraz dżentelmenów oferuje jej swoje. Światło gaśnie i rozpoczyna się projekcja. Patrzą z zainteresowaniem, bo to pomoże oderwać się rzeczywistości, a Puszkina to przecież poeta rosyjski, nie bolszewicki.

W jakiejś chwili przez salę przetacza się nieartykułowany, gremialny krzyk zdumionego oburzenia. Oto na ekranie ukazują się obsceniczne obrazy wyszydające papieża i Kościół katolicki. Bez namysłu, wszyscy jak j den mąż, gwałtownie zrywają się na równe nogi i wychodzą, głośnie tupiąc obcasami na znak protestu.

Tym razem zamysł komunistycznej resocjalizacji nie powiódł się, jednak od tego dnia drzwi świetlicy (także klubu w „Monastyrze”) podczas wyświetlania filmów będą zamykane od zewnątrz, więc podobne sekwencje można sabotować tylko zbiorowym śpiewem i tupaniem lub odwracaniem się tyłem do ekranu.

Janina uważa, że wypiekanie hostii to za mało. Pragnie być jeszcze bardziej przydatna. Na własną prośbę zostaje jednym z łączników obozowych. Jest szanowana za odwagę i lubiana za to, co sobą reprezentuje: piękny śpiew podczas tajnych spotkań a - przede wszystkim - „pachnące domem rodzinnym” siostrzane ciepło.

Sama jej obecność i przykład, z jakim znosi wszystkie obozowe niedogodności, pomaga brać się w garść, aczkolwiek niejednego, słabszego psychicznie, dopada depresja, co

nie raz powoduje scysje, a czasem awantury o przysłowiowe drobiazgi. Wyżsi rangą oficerowie czuwają, by do nich nie dopuszczać, maksymalnie wypełniając współtowarzyszom wolny czas.

Podobnie jak w Ostaszku i w „Monastyrze”, także tutaj, kwitnie bogate życie religijne. Można śmiało stwierdzić, że stąd promieniuje. Podobnie jak wszystkie zarządzenia wewnętrzne pochodzące od dowództwa, czyli Sztabu Głównego, na którego czele stoi niekwestionowany szef, generał Minkiewicz. Mimo że wszystko, co związane z praktykowaniem, jest surowo zakazane. Nikt tego nie przestrzega. Zawsze znajdzie się jakiś zakamarek, gdzie można wziąć udział w potajemnej Mszy Świętej, wypowiedać się i otrzymać kazańskie błogosławieństwo. Nawet podczas spacerów na placu obozowym każdy wie, że widok oficera idącego pod rękę z księdzem, oznacza sakrament pojednania. Przystępują do niego nawet ci, którzy od dawna nawet się nie modlili, a teraz decydują się na spowiedź generalną z całego życia.

Oprócz wyższych oficerów wojsk lądowych w „Skicie” przebywa trzydziestu oficerów z dowództwa Marynarki Wojennej Warszawa - Gdynia, jeden z nich, kontradmirał Wołkowicki - przystojny, elegancki, zawsze zadbany mężczyzna z ciemną bródką, często spaceruje po głównej drodze dzielącej oba podobozy - samotny i zamyślony. Czasem towarzyszy mu któryś z generałów. Wszystkich łączy przykładne koleżeństwo i dbałość o honor polskiego żołnierza w niewoli. Prym wiodą dwaj najbardziej szanowani generałowie - Minkiewicz i Smorawiński. Zwłaszcza pierwszy imponuje swoim autorytetem, równowagą, spokojem i hartem ducha, przez co ma pozytywny wpływ na pozostałych.

Tymczasem wielkimi krokami zbliża się Boże Narodzenie. Zwiastują ją trzaskające mrozy, które zaczęły się tu od połowy grudnia, poprzedzone obfitymi opadami śniegu już 25 listopada. Najbardziej poszkodowani są pensjonariusze „Monastyru”, pracujący na dworze. Zwolnieni od chodzenia „na rabotu” są tylko majorowie, pułkownicy i generałowie. Pociuszają się szeptanymi wiadomościami na temat rychłego wyjazdu.

- Trzymajmy się! To już długo nie potrwa!

Coraz jednak ciężiej znosić niepewność własnego losu, co jeszcze pogłębia nagła przerwa w dostarczaniu listów z zaboru niemieckiego. Docierają tylko od rodzin z terenów zajętych przez Sowieców. Doprowadza to więzionych do skrajnej rozpacz, aż po utratę apetytu i wprost fizyczny ból napiętych do ostateczności nerwów. Coraz też ciężiej podolać morderczej pracy i coraz trudniej utrzymać zalecaną przez generałów godną postawę, kiedy zmaltretowane ciało nie poddaje się osłabłej woli.

Generał Minkiewicz daremnie usiłuje wymóc na Zarubinie, by - jako człowiek honoru

- wpłynął na władze obozowe.

- Panie generale, przypominam, że nikt w całej Europie nie zmusza oficerów - jeńców wojennych, do pracy.

Tamten, jak zwykle uprzejmy, z autentycznym współczuciem wypisanym na twarzy, szeroko rozkłada ręce.

- Proszę mi wierzyć, generale, nie mam na to wpływu. Mój kraj nie podpisał konwencji genewskiej, nad czym osobiście ubolewam. Tylko nasza dobra wola sprawia, że oszczędzamy oficerów wyższych.

Mówi to z takim akcentem szczerości, że nie można mu nie wierzyć

Szczególnie ciężkie warunki panują na stacji kolejowej, dokąd maszerują pieszo, odmrażając nogi, a potem ładują ciężkie bale sosnowe na towarowe wagony. Na rampie zalegają wielkie stopy soli topniejącej pod wpływem śniegu i osadzającej się na butach oraz nogawkach spodni, które niszczą błyskawicznie. Innych na zmianę nie mają, a obiecwana ciepła odzież i walonki jakoś nie nadchodzą. W związku z tym muszą bez przerwy reperować ubrania i cerować przeżarte solą skarpety, które trzeba wspomagać owijaczami, w polskiej armii używanymi tylko przez szeregowych. Niewprawieni w tej - jak się okazuje - niełatwej czynności wzdychają:

- Cóż poradzić. Niewola!

Jeszcze ciężiej harują oczyszczający dachy z lodu, który trzeba rąbać podobnie jak zwisające z okapów, ogromne sople, co bez odpowiedniej odzieży, w śliskich skórzanych oficerkach i niewygodnych mundurowych płaszczach staje się zajęciem karkołomnym. Stosunkowo lepsze warunki mają pracujący w pobliskim sowchozie przy młocce jęczmienia, a najlepsze w obozowej kuchni lub magazynach. Myją wiadra i podłogi, noszą skrzynie i worki, a prawdziwi szczęściarze obierają kartofle. Mówi się o nich, że pełnią „służbę żarcia”. Najgorsze zajęcie to czyszczenie latryn (każdy blok posiada własną, własnoręcznie wykonaną). Paradoksalnie władze obozowe uznają to za „liohkij trud” (lekka praca) i kierują do niego chorych. Długo tu nie wytrzymują i prędko znikają z obozowej przestrzeni.

Najbardziej cierpią cywile - ludzie starsi, nieprzyzwyczajeni do wysiłku fizycznego, zwłaszcza w tak ekstremalnych warunkach. Należą do nich lekarze, adwokaci, profesorowie, prokuratorzy. Tych zaczęto nagle wywozić małymi grupami liczącymi od pięciu do dwudziestu osób. Ubrani w letnie płaszcze, cienkie półbuty i słomkowe kapelusze, wychodzą na 30-stopniowy mróz pod silnym konwojem, ociągając się i żegnając ze znajomymi, odpychani brutalnie kolbami karabinów, popędzani krzykiem.

- Nie ogliadywatsa! (Nie oglądać się)

Dumnie więc się prostują, unoszą głowy i - spoglądając na enkawudzystów z pogardą - starają się iść równym krokiem, odprowadzani przez pozostających zatroskanymi spojrzeniami. To troska także o własny los. Nikt nie jest niczego pewien. Wciąż coś się dzieje, bez przerwy następują rotacje więźniów między blokami mające na celu zapobieżenie zawieraniu przyjaźni. Łatwiej przecież manipulować samotnymi, pozbawionymi wsparcia.

Jeszcze większy niepokój budzą kolejne posunięcia. Oficerowie pochodzący z zaboru sowieckiego są przenoszeni z „Monastynu” do „Skitu” odwrotnie. Ich miejsce zajmują sukcesywnie pochodzący z terenów zaanektowanych przez Niemców i to właśnie budzi wśród nich ogromne poruszenie. Potwierdza „jopy” rozpowszechniane przez funkcjonariuszy na temat wymiany jeńców, a to z kolei wiąże się z mobilizującą nadzieją na powrót do domów. Nawzajem dodają sobie otuchy.

- Przetrwaj koledzy! Za wszelką cenę wytrzymać do końca. Do momentu opuszczenia obozu i powrotu do domów!

Ten imperatyw wyzwala w nich pomysłowość, dodaje sił, by chociaż trochę poprawić warunki bytowania. Młodszy i silniejsi, za przykładem „muszkietarów” Janiny, którzy jako pierwsi urządzili na swoim bloku w „Grobie Agamemnona” coś w rodzaju mini-klubu, przystępują do przebudowywania nar. Podwyższają górne, dzięki czemu na dolnych można siedzieć, nie zginając kręgosłupa, a w „Grobowcu Indyjskim” i w „Cyrku” - wzorując się na „Grobie Agamemnona”, kosztem dwóch zlikwidowanych dolnych przyzwolonych po wywiezieniu ich właścicieli w nieznanym kierunku - na kilku blokach powstają „salony” wypoczynkowe. Przy ustawionych tam stołach i ławach wykonanych własnym sumptem można teraz wygodnie pisać listy, grać w szachy karty, a w wieczór wigilijny przygotować wspólnotową wieczerzę.

Z jednym tylko nie mogą sobie poradzić, choć poświęcają na to wielki czas. Trwa ustawiczna walka z plagą wszy i pluskiew, lecz praca to syzyfowa. Niektórzy, uzdolnieni manualnie, podejmują się zajęć zarobkowych bardzo cenionych. Jedni potrafią naprawić buty, co kosztuje 3 ruble, inni zszywają, łatają i cerują mundury oraz bieliznę.

Dopóki na blokach trwa ruch, póki coś się dzieje, jakoś sobie radzą. Kiedy jednak zgaśnie światło i umilkną szczekaczki, rozpoczyna się najcięższa dla każdego pora. Każdy sam ze swoją tęsknotą do bliskich, niepokojem o ich los i z rozpaczliwymi o nich myślami, tym bardziej niecierpliwymi, im bardziej realne wydaje się odzyskanie wolności. Nie ma od tego ucieczki. Wszystkich dręczy bezsenność dodatkowo powodowana masowym chrapaniem lub głośnym nieraz łkaniem setek współtowarzyszy. To, dla odmiany, powoduje ataki bezprzedmiotowej złości, nieraz wyładowywanej na bogu ducha winnym, najbliższym

sąsiedzie.

W połowie grudnia obozowe szczekaczki ogłaszają akcję „fotografia”. Ogoleni, podstrzyżeni (już ich nie golą na łyso), ustawiani grupami przez poszczególnych blokowych, po odstaniu w niekończącej się kolejce, pozują do zdjęć. Podobno będą potrzebne do legitymacji, których - jak wieść niesie - zażądali Niemcy. Budzi się nowa nadzieja.

- A więc wymiana jeńców!

- Prawdę mówili!

- Już niektórych wywożą!

- Na razie policjantów, kto wie, czy nie do Ostaszkowa, bo tam ich trzymają - zamykają im usta ci, których stamtąd niedawno przywieziono.

Mimo to nie tracą otuchy. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość, bo dzienna norma obozowego fotografa to sto pięćdziesiąt fotek. Łatwo policzyć, kiedy skończą, biorąc pod uwagę tysiące oczekujących.

Ci, którzy mają to już za sobą, w czasie wolnym od pracy mogą zająć się własnymi sprawami. Łatają bez końca drząc się odzież, piorą bieliznę, która - wobec deficytu mydła - nie robi się od tego bielsza, ale i tak nie mają na zmianę, toteż czekając, aż wyschnie, chodzą bez niej. Lecz najważniejsze zajęcie to „wszawa”. Nie wystarczy samo pranie. Trzeba jeszcze pozbyć się pasożytów oraz ich jaj ze szwów, no i z głów - przegrana sprawa, bo ambulatorium nie dysponuje żadnymi środkami insektobójczymi.

Wielką ulgę stanowią - mimo wysiłków władz, aby to utrudnić - zawierane przyjaźnie. Możliwość szczerzej rozmowy, zwierzeń, dzielenia się wspomnieniami, a nawet zdobytym jedzeniem, to po prostu skarb.

Obok akcji fotografowania trwa kolejny etap szczepień przeciwtyfusowych, więc na brak zajęć - obok normalnej pracy i codziennych, także nocnych „doprosów” - nie narzekają. Tym bardziej że nie sposób bojkotować nieobecnością wszystkie koncerty, filmy czy prelekcje organizowane przez naczalstwo w trosce o „rozrywki kulturalne „zakliuczionych”.

Janinę szczególnie zainteresował film dotyczący życia lotników, pokazami akrobatycznymi pt. Mużestwo (Męstwo), lecz zniechęcił propagandowy podtekst. Mimo to wraca ze świetlicy bardzo poruszona.

„Boże mój! Zasiąść znów za sterami! Wzbić się wysoko, aż ponad chmury, poczuć się wolną, jak ptaki podniebne, a potem wylądować na pewnej polanie, gdzie czeka ktoś o zniewalającym uśmiechu. Ten jedyny, najdroższy...”

Nie zdając sobie sprawy, że płacze, na oślep dociera do swojej komórki pod schodami i rzuciwszy się na posłanie, szlocha rozdzierająco.

- Mieczku! Mieczku najdroższy!...

Nie słyszy, że ktoś wchodzi do jej azylu, lecz czuje dłoń na ramieniu, zrywa się, nieprzytomna, zapominając, gdzie się znajduje.

- Mieczuś!

Poznawszy swoją pomyłkę, opada z powrotem na barłóg, zawstydzona i raptem zła.

Porucznik Kulikowski, któremu udało się przedrzeć do „Skitu”, dobrze ją rozumie i nie zwraca uwagi, że nie chce z nim rozmawiać. Usiadłszy obok, bierze za rękę, pociesza.

- Nie wstydz się mnie, Janeczko. Czuję to samo. Ja też wariuję z tęsknoty.

Sięgnąwszy w zanadrze, wyjmuje fotografię ślicznej, młodziutkiej blondyneczki.

- Spójrz, to moja ukochana. Moja Klaudia.

Kierowana nagłym impulsem, także sięga po zdjęcie - podniszczone, ze śladami łez. Przedstawia szczęśliwą, roześmianą młodą parę.

- To moja ślubna fotografia. Mieczysław i ja...

- No widzisz! Mamy dla kogo żyć! Mamy do kogo wracać. Wierz że wrócimy. Do naszych ukochanych. Do wolnej, wielkiej, potężnej Polski. Zobaczysz.

Po jego wyjściu, kładzie się na wznak z fotografią w ręku. Nie czuje zimna ani głodu. Wpatrzona w ukochane rysy, oddaje się rozmyślaniom.

„Mój Boże, teraz dopiero widzę, jaka byłam szczęśliwa i jak strasznie jest teraz. Ale wierzę. Wierzę mocno, że to się skończy i powrócą dawne dni. Jeszcze wszystko nadrobimy, Mieczku. Wszystko! Znowu będziemy spacerować alejami batorowskiego parku, będziemy jeździć konno i szybować ponad chmurami. Czekaj na mnie, wróć. Wróć na pewno. Do Ciebie!”.

Dnia 15 grudnia 1939 roku obóz elektryzuje wspaniała nowina. ZSRR został wykluczony z Ligi Narodów i powstała Anglo-Irlandzka Koalicja dla Finlandii, co władze obozowe - po wyemitowaniu tej wiadomości z radiowy zła - usiłują odpowiednio naświetlić. Nikt tego nie słucha. Wszyscy świętują

- Dostaną za swoje, kacapy!

- Jeszcze im pokażemy!

- Niech no tylko do naszych we Francji dotrzemy!

- Już niedługo.

A organizatorzy wieczornych „Dzienników mówionych” na blokach jeszcze ich podbudowują. Umacniając na duchu, wspomagają tym samym siły fizyczne. Tego wieczoru wszystkie blokowe „salony” pękają w szwach. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów aż buzuje tam radość. Jedni siedzą inni stoją wkoło, najbliżej koczujący przynajmniej patrzą w

ich stronę, nasłuchują. Starają się wyłapać poszczególne słowa zagłuszane wszechobecnym jazgotem szczekaczek. Oto wyodrębnia się spośród niego znana, droga sercom, legionowa melodia. Nie mamy wyłogów. Jeszcze chwila i zaczynają rozróżniać treść. Rozlegają się, natychmiast uciszane, okrzyki.

- Nasza lotniczka śpiewa!

- Panowie, to Janina!

- Jest z nami! Przyszła!

A ona, wyśpiewując ten przywieziony z łowej tekst, myślami powraca do jego autora. Spotkanie tam przypadkiem porucznika Straży Granicznej Michała Lubienieckiego.

„Przeżył czy nie na tej strasznej wyspie Skriebel? A może uciekł? Może spotkał swoją Jadziunię i dzieci?...”

Jej czysty, mocny, ciepły kobiecy głos budzi wzruszenie, a dwie ostatnie zwrotki - euforię. Proszą, by je powtórzyła i włączają się do śpiewu.

Gdy wrócim z niewoli do domów i chat, Przez rzeki, jeziora i góry, Pierś naszą pokryją nie wstęgi ni haft, Lecz proste, żołnierskie mundury.

Gdy zajdzie potrzeba, gdy zechce tak los, Niepomni na groby i rany, Swe zdrowie i życie oddamy na stos

Dla Ciebie, nasz kraju kochany.

Ledwie wybrzmiały ostatnie słowa, rozlega się ostrzegawcze warczenie Digana Drugiego (wszędzie za nią chodzi), które zwiastuje nadejście któregoś „krasnoludka”. Wybuchają gromkim śmiechem.

- Poczciwe psiska. Zamiast nas pilnować, pokochały, a pilnują swoich panów.

Ktoś zaczyna grać Międzynarodówkę na skrzypcach. Strażnik wycofuje się, jak niepyszny, a oni długo pokładają się ze śmiechu.

METODY KOMBRYGA

Wszelkie niewygody obozowej egzystencji to dla Janiny nic w porównaniu z udręką tęsknoty i niepokoju o bliskich. Nie skarży się ani na mróz, ani na skąpe racje żywnościowe, mężnie znosząc głód i słabości ciała, lecz brak wiadomości z domu doprowadza ją do rozpaczki.

- Żadnego znaku życia! Ani słowa od Mieczka i Gusi! Co z nimi?

Nie może uwierzyć, że nikt nic o niej nie wie (przecież pisała!) i z wiarą wystaje wraz z innymi w kolejkach przed „monastyrskim” klubem na wietrze i mrozie. Czeka wytrwale, aż nadejdzie kolej na literę „L”, ponieważ listy są wydawane w kolejności alfabetycznej. I za każdym razem gdy pomocnik cenzora, młody kapitan NKWD, przejdzie do litery „M”, nie wycytując jej nazwiska, z ciężkim sercem, połykając łzy, odchodzi wolniutko, jeszcze się oglądając.

- Ja tego nie wytrzymam!

Natychmiast jednak bierze się w garść.

- Jesteś Polką, bądź dzielna! Bądź córką swojego ojca! Nie przynieś mu wstydu tam, na wyżynach niebieskich!

Ponieważ jednak serce nie sługa, smutku opanować nie potrafi. Pragnie go podzielić z przyjaciółmi, więc natychmiast skręca w stronę „Cyrku”, gdzie przebywają teraz Michał z Józefem, przeniesieni z „Grobu Agamemnona”. Źle trafiła. Blokowy informuje ją, że obaj pracują dziś poza obozem, na rampie kolejowej w Kozielsku.

Rozczarowana idzie na eremy, do Janka Górskiego, ale i jego nie zastawszy, zawraca do „Skitu”.

„No i dobrze - pociesza się. - Przynajmniej komunikantów więcej napiekę. Do Bożego Narodzenia pięćset muszę przygotować”.

W miarę, jak wlewane na rozgrzaną formę rzadkie ciasto tężeje i schnie, jej dłonie i twarz stają się czarne. Na szczęście dyżurni dostarczają jej odpowiednią ilość wody do mycia, a generał - dodatkowe mydło.

Nic to wobec rosnącego stosiku białych krążków, które sukcesywnie dostarcza księdzu Ziółkowskiemu. Gdzie on je przechowuje, nie wiadomo, najważniejsze, że już używa do cichych Mszy Świętych, potajemnie celebrowanych w różnych zakamarkach, z wystawionymi czujkami.

Podobnie postępują inni obozowi kapelani. Nie ustają w posłudze, niosąc pociechę religijną nawet innowiercom, jeśli o to poproszą, a przyłapani na zakazanych praktykach,

dzielnie znoszą najdłuższy nawet karcer. Tym ofiarniej pełnią potem swą powinność, spowiadając, sprawując Eucharystię, przewodząc uroczystościom religijnym i uczestnicząc w patriotycznych, podczas których dużo się śpiewa.

Polska pieśń religijna i patriotyczna ma wielką moc i spełnia w obozie ogromną rolę. Jednoczy duchowo, wzmacnia psychicznie, utwierdza w wierze i ufności w szczęśliwe zakończenie cierpień. Otwiera serca, uszlachetnia, dodaje otuchy w sytuacji, kiedy nikt nie wie. Ani jak długo tu będą, co z Polską, z sytuacją międzynarodową, z rodziną...

Tym bardziej, że radiowęzeł wciąż karmi kłamliwymi wiadomościami, oszczerstwami na temat Polski, kpinami z polskiego wojska, wyzwiskami na „polskich panów w lakierowanych butach, pijących krew głodującego ludu, wyzwolonego przez Sowietów dzięki wkroczeniu do Polski 17 września 1939 roku” i wszelką możliwą propagandą. Ma to służyć pohańbieniu Polski i werbowaniu przekonanych o jej „podłej kondycji”, naiwnych, młodych oficerów. Niewiele wskórają. Pośród tysięcy znalazły się tylko nieliczne jednostki rokujące nadzieję na współpracę, z czego sami „wybrani”, w większości, nie zdają sobie sprawy.

Umiejętne i ofiarne działanie wyższych oficerów i kapłanów przeciwstawia się temu owocnie. Pod ich wpływem ogół krzepnie, integruje się w poczuciu godności ludzkiej i narodowej. Znakomita większość rozumie, co chodzi. Dlatego serca rosną, kiedy wargi wyśpiewują błaganie skierowane do Boga i Jego Matki. Każde, jeśli jest przy tym obecna, niezmiennie tonuje Janina, ciesząc się w duchu, że potrafi robić to profesjonalnie, przeświadczona, że dla takiej właśnie publiczności Bóg ją przygotowywał, toteż śpiewa najpiękniej, jak potrafi.

Pod Twą obronę, Ojczyźnie na niebie, Grono Twych dzieci swój powierza los.

Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie,

I broń od zguby, gdy zagraża cios (...).

Najbardziej jednak, podobnie jak inni, kocha pieśni do Matki Bożej. Próżno wtedy szukać suchych oczu. Nie ma takich. Wzruszeniu ulegają nawet najtwardsi, frontowi żołnierze, z całego serca błagający:

Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi, Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi.

Wygnańcy Ewy, do Ciebie wołamy, Zlituj się, zlituj. Niech się nie tułamy (...).

Ponieważ w megakopciłce kończy się paliwo i płomień słabnie, decyduje się przerwać wypiek. Zaledwie zdąży sprzątnąć ślady „przestępstwa” Digan Drugi, dotychczas spokojnie drzemający przy drzwiach, unosi łeb i zaczyna warczeć.

- Oho, nieproszony gość!

Rozejrzawszy się uważnie po swojej klitce, pada na pryczę, szczelnie owijając się

kocem. Udaje nawet, że nie słyszy skrzypnięcia drzwi i wezwania.

- Janina Marianowna Lewandowska, na dopros!

„Budzi się” powoli, dopiero gdy usłyszy rozkaz po raz drugi, udaje spokój, choć wewnątrz jest spięta.

- Kto mnie wzywa?

- Kombryg Zarubin.

Idąc za strażnikiem, przypomina sobie wszystkie rady udzielane przez księdza Ziółkowskiego.

- Zachować przytomność umysłu, nie poddać się podejrzanemu urokowi bądź co bądź enkawudzisty i uważać na słowa!

Generał przyjmuje ją w swoim eleganckim biurze, powstawszy na powitanie. Ścisną jej dłoń i - jak klasyczny dżentelmen - z szacunkiem całuje, po czym - wskazawszy gestem miejsce w wygodnym fotelu - proponuje poczęstunek.

- Napije się pani herbatki? Może ciasteczko? Jabłuszko? Pomarańczkę?... Zaraz podadzą. A może papieroska? Pali pani?

- Nie, dziękuję.

- Tak myślałem. Dama, która sama robi sobie skręta z gazety i machorki! To do pani nie pasuje. Mimo wszystko należnym przydziałem pani nie gardzi?

- Częstuję nim kolegów.

- Słusznie, słusznie. I bardzo szlachetnie. Można przecież sprzedać?...

- To mnie nie interesuje.

- Naturalnie. Bardzo przepraszam. W takim razie herbatki pani nie odmówi!

Chociaż uprzedzona, nie spodziewała się aż takiego wersalu. Zwłaszcza po przesłuchaniu u Sierotkina, do którego trafiła wkrótce po kapitanie Sidorze. Lecz ta wyszukana uprzejmość w jakiś sposób obliguje i ją. Chcąc nie chcąc, bezwiednie wchodzi w rolę dobrze wychowanej osoby.

- Nie, dziękuję, to zbyt cenne. Po co ten kłopot!

- Jaki kłopot? Co za kłopot? To dla mnie prawdziwa przyjemność gościć polską damę. Porozmawiać na interesujące tematy, posłuchać, co ma do powiedzenia wykształcona kobieta, znająca się na muzyce, po konserwatorium muzycznym, śpiewaczka, do tego sportsmenka - lotniczka, szybowniczka, pilot!

- To może... herbaty poproszę. Dziękuję.

W duchu głowi się, skąd on wie, że skończyła konserwatorium, że śpiewała i uprawiała szybownictwo. Nie rozgłaszała tego, podobnie, jak niemal nikomu nie zdradziła,

czyją jest córką. Jeśli zaś on wie aż tyle, to może oznaczać jedno. Musi być w obozie informator. Może nawet niejeden?

„Tak czy tak, wiem, co powinnam powiedzieć, a czego nie muszę” postanawia.

Wchodzi ordynans z samowarem, dwoma szklankami i dużą cukiernicą na wielkiej, srebrnej tacy. Obsłużony oboje jak wytrawny kelner porządnego lokalu, wychodzi, by wrócić z koszyczkiem wypełnionym lśniącymi, pomarańczowymi kulami.

Mimo że pachną na cały pokój, postanawia nie ruszyć ani jednej. Poprzestaje tylko na herbacie, której rozmyślnie nie słodzi.

- Niech nie myśli, że taka jestem spragniona słodczy!

On tymczasem uśmiecha się mile, jednocześnie uważnie ją obserwując. Mieszając cukier w swojej szklance (jak każdy Rosjanin zostawia w niej łyżeczkę!), rzuca od niechcenia:

- Widzę obrączkę na palcu, dawno pani zamężna?

Ponieważ nie wie, co wie on, mówi prawdę.

- Nie bardzo. Pół roku dopiero.

- Oj, to przykro. Młodzi, zakochani, a tak szybko rozłączeni. Mąż, jak mu na imię?...

- Mieczysław.

- Aha. Pan Mieczysław też oficer?

- Starszy sierżant, rezerwista lotnictwa. (Mieczysław Lewandowski podczas wojny został awansowany do stopnia podpułkownika, o czym jego żona nie mogła wiedzieć).

- Hmm... A brał może udział w wojnie 1920 roku?

- Przecież za młody!

- No tak... A gdzie on się teraz podziewa?

- Nie mam pojęcia.

- Ach jej, bardzo mi państwa żal. Tacy młodzi, niedawno po ślubie i - kto wie - możecie się już nigdy nie zobaczyć.

Uśmiecha się sympatycznie, w bystrych oczach nieklamane współczucie. Przez sekundę daje się na to nabrać. Szybko mruga powiekami, aby ukryć wzbierające w oczach łzy i właśnie wtedy jego spojrzenie, na ułamek sekundy, staje się szpiclowskie. To ją sprowadza na ziemię.

„Przecież ta kanalia mi grozi! Nie zobaczę męża... Grozi mi śmiercią. Poczekajmy, za moment powinien coś zaproponować. Ksiądz Jan to przewidział”.

Mimo wszystko panuje nad swoją mimiką, a czujność ukrywa pod niby smutnym uśmiechem. To go najwidoczniej zadowala. Z nagłą ożywiony, wylewnie serdeczny, zmienia

temat.

- Nigdy nie miałem jeszcze przyjemności obcować tak blisko z prawdziwą śpiewaczką. To doprawdy wspaniały zbieg okoliczności i miałbym dla pani propozycję.

- Tak? Jakąż to?

- Jak pani wie, mamy tu zespół muzyczny i chór. Do tego świetlica klub... Dbamy o życie kulturalne naszych... pensjonariuszy. Gdyby tak jeszcze solistka wystąpiła?! Co pani na to? To się wiąże z pewnymi przywilejami, a kto wie... To przecież, w pewnym sensie, praca dla Związku Radzieckiego, więc i nagroda gotowa.

- Panie generale - przerywa mu zdecydowanie. - Od dawna nie śpiewam.

- O, a czemuż to?

- Po prostu... Po prostu straciłam głos. Przeziębłam gardło.

- Czy w obozie?

- No... tak.

- Nie szkodzi, wyleczymy. Mamy u nas przecież i szpital, i lekarzy dobrych.

- Ale tu specjalista... Laryngolog byłby potrzebny - wypala bez namysłu.

- Kto wie, może znajdzie się i laryngolog. Widzę, że panią zamęczyłem, a to nie wypada na pierwszej wizycie, prawda? Odłożymy sobie naszą pogawędkę na inny raz, zgoda?

Ponieważ zaschło jej w gardle, więc tylko kiwa potakująco głową, i on - jakby coś sobie nagle przypomniał - dodaje:

- Och, byłbym zapomniiał! A szanowni rodzice żyją?

- Niestety.

- A szanowny ojczulek... Nie walczył on przypadkiem w Bitwie Warszawskiej?

- Nie - odpowiada zgodnie z prawdą, ponieważ generał Dowbor był zaangażowany w Wielkopolsce, o czym ten człowiek nie ma na szczęście pojęcia. Nazwisko Marian Muśnicki nie kojarzy się mu z generałem Dowborem.

- A rodzeństwo?

- Jeden brat nie żyje, drugi nie wiadomo gdzie, a siostra to jeszcze studentka.

- Ten drugi braciszek na wojnie może?

- Nie. Raczej nie. Wyjechał za granicę na studia i ślad po nim zaginął.

- Przykro. Można by go odnaleźć.

- Niekoniecznie. Po wojnie sam się znajdzie.

- No tak - uśmiecha się. - Jeszcze jedno. Ciekawi mnie, jak taka piękna kobieta, śpiewaczka, dawniej mieszkała i gdzie?

- W Poznaniu, w dwupokojowym wynajętym mieszkanku. I nie byłam zawodową

śpiewaczką. Śpiewałam towarzysko, a pracowałam na poczcie.

- A latanie? Też towarzysko?

- Raczej sportowo.

- Byłbym zapomniał. Czy generał Minkiewicz to jakiś pani kreny? Przyjaciel może?

- Skądże! Tu go dopiero poznałam.

W ostatniej chwili gryzie się w język, aby nie ujawnić pośrednictwa księdza Ziółkowskiego w zawarciu tej znajomości, więc się tylko uprzejmi uśmiecha.

- No to bardzo pani dziękuję za wizytę i miłą rozmowę. To dla mnie wielkie urozmaicenie, kiedy moi rozmówcy to sami mężczyźni. Pozwolę sobie jeszcze kiedyś zaprosić.

Ujmuję jej rękę, znowu całuje, przetrzymuje w „ciepłym” uścisku co wykorzystuje, aby zadać, jakby mimochodem, jeszcze parę pytań.

- Pochodzi pani z obszaru zajętego przez Niemców. Chciałaby pan wrócić do Poznania? A może do jakiegoś kraju neutralnego?

Zastanowiwszy się błyskawicznie, odpowiada.

- Chciałabym wrócić do męża.

Mimo że była to istotnie miła rozmowa, idąc za odprowadzającym ją strażnikiem, chwieje się na nogach ze zmęczenia, wewnętrznie rozbita, bo nie może oprzeć się podejrzeniu, że właśnie przeszła próbę osvajania z czymś co enkawudzista trzyma w zanadru. Rola solistki to tylko wstęp do czegoś ważniejszego.

„Aha, tu cię mam! Najpierw solistka, specjalne prawa i przywileje, a na koniec donosicielka! Nic z tego, panie szczywany lisie! Nikogo takiego pośród nas nie znajdziesz!”.

Nie zdaje sobie sprawy, że takie działanie - choć w nielicznych przypadkach - odnosi jednak skutek. (Według badań historycznych w Kozielsku zdołano zwerbować 245 osób, w tym około 20 oficerów, którzy - bez wiedzy emigracyjnego rządu polskiego - zgodzili się na tworzenie polskich jednostek wojskowych w ramach Armii Czerwonej, lecz w znakomitej większości byli to przedstawiciele mniejszości narodowych oraz niższych oficerów rezerwy. Ci byli pod opieką Oddziału Specjalnego, a więc lepiej traktowani. Ocalili życie, a ich rodzin nie deportowano na Syberię. Należy tu jednak podkreślić, że nie wszyscy zawdzięczali ocalenie zdradzie. W sprawie niektórych (jeńcy narodowości niemieckiej) interweniowała ambasada niemiecka, w sprawie innych misja litewska i wywiad. Nie należy też z nimi łączyć kilkusetosobowej grupy osób cywilnych z niemieckimi korzeniami, które niebawem wystosują do władz obozowych prośbę o odesłanie ich do Rzeszy, ponieważ pragną walczyć po stronie niemieckiej.) Skąd inaczej wiedziano by o tajnej działalności kapłanów? Skąd

znano by szczegóły dotyczące rodzin oficerów, ich wrogi stosunek do socjalizmu i Sowietów? Ich niezłomną postawę moralną, patriotyzm i wiarę w odrodzenie wielkiej, niepodległej Polski?

Jeszcze pod wrażeniem tego dziwnego przesłuchania udaje się do willi „Starców” zajmowanej przez generałów. Chce porozmawiać z gen. Minkiewiczem. Ufa mu i szanuje go także z tej przyczyny, że w jakiś sposób przypomina jej ojca.

- Panie generale, wracam z... właściwie z rozmowy, wręcz gościny, a Zarubina. Niby miły, szarmancki, życzliwy i w zasadzie niekomunista, jednak wzbudza we mnie obawę. Jakiś atawistyczny strach, którego nie pojmuję. Co pan generał o nim myśli?

- Droga pani porucznik - generał uśmiecha się ze zrozumieniem. - Ja mu również nie ufam. No bo co taki niby szlachetny, kulturalny, oświecony człowiek robi wśród tych „młotów”? Ba, dyryguje nimi. To nie starszy lejtnant Korolew, tylko on jest tu prawdziwym carem i bogiem. Postaram się o rozmowę, czas najwyższy wybadać zagadkowego dżentelmena. Odkryć, co mu naprawdę w duszy gra. Doszły mnie słuchy, że mają zabrać z obozu psy, to z pewnością jego zarządzenie, i na pewno nie świadczy o życzliwości wobec nas. Dobrze wie, że te stworzenia na pewno nie zrobią nam krzywdy. Że są po naszej stronie.

- Mój Boże, zabiorą mi mojego Digana Drugiego!

- I wszystkie pozostałe. Aby tym bardziej nas złamać. Poczciwe psiska zamiast być postrachem, zaprzyjaźniły się z nami, odpłacając miłością za resztki z naszych nędznych przydziałów i za dobre słowo. Tego nie mogą tolerować. Nie pozostawią nam przecież zwierząt wykazujących więcej cech ludzkich od swoich właścicieli.

Generał, nie zwlekając, wysłał swojego ordynansa do Zarubina z prośbą o spotkanie, a ten, nie kryjąc zadowolenia, zaprasza go natychmiast. Mimo to - zanim gość się pojawi - zdąży wszystko na jego przyjęcie przygotować. Nawet szumiący samowar.

- Jaka miła niespodzianka! Witam serdecznie!

Powstawszy, spieszy ku wchodzącemu z wyciągniętą dłonią, pełen szacunku i radości.

- Sam chciałem pana zaprosić na pogawędkę, więc tym bardziej cieszę się z wizyty.

Gość wygląda imponująco. Jego mundur - jak spod igły, oficerki lśnić niby czarne lustro, postawa godna. Odwzajemniwszy uścisk i grzeczności nie zwlekając, przystępuje do rzeczy.

- Panie generale, poprosiłem o rozmowę, ponieważ szczerze pana szanuję. Doceniam pański wyjątkowy stosunek do nas, jeńców wojennych, aczkolwiek - z niewiadomych przyczyn - zostaliśmy pozbawieni tego statusu i jesteśmy oskarżeni o zdradę Związku Sowieckiego, przeciwko któremu - jako rzekomo jego obywatele, zwłaszcza ci z naszych

wschodnich granic - prowadziliśmy wojnę. Sam pan wie najlepiej, że było inaczej.

- No cóż... Zarubin, swoim zwyczajem, rozkłada ręce w geście niby-bezradności.

- Wobec tego zwracam się do pana, jako człowieka honoru, o uczciwą odpowiedź na jedno jedyne pytanie. Co zamierzacie z nami zrobić? I czy pogłoski o wyjeździe do Polski mają coś wspólnego z prawdą?

Kombryg długo milczy, spoglądając na swego rozmówcę z namysłem, wreszcie odpowiada:

- Proszę mi wybaczyć, nie mogę powiedzieć. Gdybym to zrobił, postradalibyście zmysły. To by było niehumanitarne. Dlatego lepiej, aby pan nie wiedział, generale.

BÓG SIĘ RODZI

Zdjąwszy z formy ostatni upieczony komunikant, Janina - zmęczona długim stanieniem nad palnikiem, rozgrzana od płomienia i okopconca sadzą ciężko opada na pryczę. Jak obliczyła, jest to pięćsetna hostia. Tyle udało się przygotować na Boże Narodzenie!

- Niedługo Wigilia, więcej nie dam rady. Czas na opłatki.

Aż się uśmiecha na myśl o niespodziance, jaką sprawi współtowarzyszom. Pomyślała o niej dużo wcześniej. Musiała przecież znaleźć odpowiedni kawałek blachy. Nie ma wprawdzie uchwytu, od czego jednak chustki o nosa!

Zwłókłszy się z nary, wykonuje parę skłonów, aby pobudzić krążenie, i złagodzić ból kręgosłupa, po czym zabiera się do roboty. Rozrobiwszy gładkie naleśnikowe ciasto i zapaliwszy knot, wylewa pierwszy placuszek, nieforemny i szarawy - nie spełnia jej oczekiwań.

- Za gruby. Trzeba dolać wody.

Chociaż bardzo uważa, nie zdoła uniknąć oparzeń, bo blacha gorąca, chusteczka cienka. Musi wykorzystać wszystkie, które posiada.

- Głupstwo, wypiorę w śniegu.

Zaferowana, nie czuje bólu dłoni ani pieczenia zażawionych od dymu oczu. Z radością układa na ręczniku kolejne placuszki, przykrywa drugim, trzeba zaczekać, aż wyschną, można odpocząć i porozmyślać.

- Miałam szczęście. Wypiec pięćset komunikantów i ani razu nie wpaść! Mimo że nie ma już mojego Digana Drugiego. Pozabierali bezużyteczne dla ich psiska, szkoda. Najwidoczniej mój Anioł Stróż sam zabrał się w tej sytuacji do roboty i teraz ksiądz Jan będzie się miał czym rządzić.

Aż się uśmiecha na myśl o jego radości. Kocha go nie tylko za wspierającą przyjaźń, że po prostu jest, że pomaga więźniom trwać i umacnia w nich ducha. W jakiś sposób przypomina jej przyjaciela ojca, księdza Stanisława Tworkowskiego - starego dowborczyka. Wspomnienie tak jest żywe, że w jednej chwili przenosi się myślą do Ba torowa. Niespodziewany szum za drzwiami niemal ją paraliżuje.

- Boże! Nie schowałam sprzętu! A jeśli to „krasnoludek”?

Oddycha z ulgą na widok znajomej twarzy w szczelinie uchylonych drzwi.

- Nie przeszkadzam? - przed nią cała już postać księdza Ziółkowskiego.

Odruchowo zerka na ręcznik osłaniający opłatki, chwilę walczy z pokusą, by o nich powiedzieć, woli jednak pokazać mu gotowe, wysuszone dzieło, nie półfabrykat. Do tego

większą ilość. Tymczasem przekazuje zawiniątko z komunikantami.

- Razem z poprzednimi pół tysiąca! - nie potrafi ukryć zadowolenia. Jak mała dziewczynka, prawie nie pamiętając, gdzie się znajduje, czeka na pochwałę.

- Niech cię Pan błogosławi, złota dziewczyno! Jak przełamię każdy na czworo, obdzielę Ciałem Chrystusa dwa tysiące wiernych. Droga do Nieba przed tobą prosta i bez wybojów.

- Drogi księżu Janie, to... kiedyś. Żeby tak droga do domu!... Nawet wyboista.

- Trzeba ufać i nie poddawać się. Pan wie, co robi. No lecę, bo petentów huk.

Jakże chętnie by się do niego, jak do ojca, przytuliła; czuje taką potrzebę. Zamiast tego skłania lekko głowę. Nie śmie posunąć się aż do tak wielkiej poufałości. To przecież kapłan!

Obozowe władze doskonale zdają sobie sprawę ze szkodliwej - ich zdaniem - działalności księży, toteż tropią ich pilnie, a przyłapanych na niedozwolonym „szerzeniu religijnego zabobonu” karzą karcerem.

- To za mało! Wychodzą i dalej robią swoje. Trzeba ich... odesłać - stwierdza kombryg Zarubin podczas narady dowództwa zwołanej około 20 grudnia.

- I koniecznie przed tym ich świętem - dodaje oficer polityczny i gospodarczy Demidowicz.

- Nie ma na co czekać - zgadza się komendant obozu, starszy lejtnant Korolew. - Przeprowadzimy to dzisiejszej nocy. Odpowiedzialni - komisarz kpt. Aleksandrowicz i oficer śledczy Sierotkin.

- Zatwierdzam! - podsumowuje kombryg.

Gdyby go teraz zobaczył któryś z oficerów, bardzo by się zdziwił, na jego zimnej, wyniosłej twarzy - ani śladu ludzkich uczuć. To po prostu maska o okrutnych ustach i zimnych oczach.

W wyniku tej decyzji „wachtiori” dobrze się nabiegają, zanim wyłowią trzystu przebywających aktualnie w obozie kapłanów, zarówno rzymsko-katolickich, jak i prawosławnych oraz protestanckich. Każdy z nich niebawem usłyszy swoje nazwisko i słowa, które mogą znaczyć wszystko: przeniesienie do innego obozu, wymianę z Niemcami, ale i śmierć.

- Wychadi z „wieszczami”. (Wychodź z rzeczami.)

Jak trudno pogodzić się z utratą duchowych przewodników. Zwłaszcza tych, z którymi współpracowała. Księżmi: Edmundem Nowakiem (polanym jeszcze w Ostaszkwie), Romanem Paszką, Józefem Skorellą, Czesławem Wojtyniakiem, a najtrudniej z księdzem

Ziółkowskim. To prawdziwa katastrofa.

Janina z płaczem upada na kolana przy swojej pryczy.

- Chryste, miej ich w Swojej opiece i nie zapomnij o nas, pozbawionych teraz wszelkiej pociechy. Dlaczego mi to zrobiłeś?! Po co kazałeś wypiekać hostie? Przecież wiedziałeś! Wiedziałeś, że się nie przydadzą, i kto je pokonsekruje? Kto rozgrzeszy, odprawi Twoją Najświętszą Ofiarę, udzieli Komunii Świętej? Dlaczego nas opuściłeś?! Jutro Wigilia!

Delikatne pukanie do drzwi przerywa tę pełną wyrzutów modlitwę, pospiesznie ociera łzy, wstaje, obciąża na sobie bardzo już sfatygowany szary, lotniczy mundur (przedtem zbyt obszerny, teraz po prostu na niej wisi, tak schudła), nie bez lęku przesuwając drewniany skobel, który zmajstrował dla niej i zainstalował przy drzwiach porucznik Michał.

Wchodzi generał Minkiewicz, tajemniczo uśmiechnięty, czymś uradowany.

- Pani Janko, mam wspaniałą wiadomość!

- Wspaniała wiadomość? Choćby i najwspanialsza nie zmieni naszego położenia. Kapłanów nam przecież zabrali!

W jego oczach zapalają się iskry.

- Jednego zostawili!

- Niemożliwe! Któż to?

- Nasz drogi ksiądz major Ziółkowski. Zapomnieli, że w karczerze od kilku dni siedzi. Przyłapali go z hostiami po wyjściu od pani. Nie wiedzieli co to jest, ale i tak na tydzień posadzili. Na wszelki wypadek. Właśnie wyszedł. Tylu kapłanów wywozili w pośpiechu, że o tym jednym zapomnieli. Sam myślałem, żeśmy go stracili.

- Boże! Dziękuję! Dziękuję panie generale za... Oboje podziękujemy Bogu za ten cud. Właśnie się z Nim wyklócałam; jak ja teraz wyglądam?

Generał śmieje się szeroko.

- Pan Bóg ma poczucie humoru, zapewniam panią. A mówiąc poważnie: nie wolno nam tracić ufności. Nigdy! W żadnej sytuacji.

- Jak bym księdza Jana słyszała! A propos ufności, panie generale Rozmawiał pan z „Imbrykiem”? Można mu ufać? Co powiedział?

- Wykręcił się sianem, jak to dyplomata.

Wychodzi pospiesznie, aby z jego twarzy nie wyczytała prawdy bo to, co usłyszał od kombryga, zabrzmiało jak wyrok śmierci.

Do wigilijnej wieczery cały obóz przygotowuje się od kilku dni. To wieczór jedyny, niemający sobie równych w całym roku kalendarzowym. Święto rodzinne. Uszczuplając skąpe porcje żywieniowe, gromadzą kęsy przeznaczone na wspólny stół - każdy blok we

własnym zakresie. Co rusz ktoś coś dokłada. Ten dwa kartofle, ów śledzia, inny rybę (smażonego lub gotowanego dorsza), kęs chleba, garstkę herbaty, pojemniczek kaszy z kisielem, chlebowe suchary czy zdobyte gdzieś jabłko lub konserwę. Będzie z tego prawdziwa uczta. Wszystko to powierzają dyżurnym.

Ci już od rana zaczynają się krzątać po blokach, starannie niż zwykle sprzątając „salony”, a pracujący akurat na drugą zmianę koledzy wypuszczają się do skitowskiego lasu po świerkową zieleń. Radosnej krzątaniu sprzyja wyjątkowo piękny dzień, bo mróz nieco zelżał i pokazało się słońce.

W każdym „salonie” stół (nawet jeśli jest to tylko czyjaś prycza) zasłany białym prześcieradłem, udekorowany sosnowymi gałązkami. Pomędzy nimi, na drewnianych, wygładzonych deseczkach imitujących tace, piętrzą się świąteczne dania - różne w różnych wspólnotach, w zależności od tego co udało się zaoszczędzić. A więc: stosy małych kanapeczek z wczorajszym lub śniadaniowym gotowanym dorszem, kombinacje różnych sałatek, kulki kaszy z cukrem, suchary z chleba, herbata, a nawet cząsteczki jabłek kupionych w „ławoczkie”.

Na środku - danie główne. Najważniejsze. Kawałtki chleba, który zastąpi opłatek podczas składania życzeń. Upieczonych przez Janinę nie starcy dla wszystkich. Pójdą na stół generalski.

Powietrze przesycone zapachem świerku, bo gdzieś tam, przy wylotach blokowych uliczek, zamocowano do frontowych wsporników nar przyniesione z lasu niewielkie choineczki. Tu i ówdzie płoną świeczki, i otaczająca je ciepła, złocista aureola podnosi świąteczny nastrój.

Po obiedzie przygotowania nabierają tempa. Także menu wzbogaca się o nowe porcyjki odjęte od ust. Wszyscy ogoleni, ostrzyżeni, wypucowali, wkładają świeżo upraną bieliznę, stroją się w zreperowane, odświeżone mundury, glansują do połysku cholewy zniszczonych oficerok, przyczesują włosy. Inni, już gotowi, wybiegają na dwór, by odmeldować pojawienie się pierwszej gwiazdy na niebie.

Po pięknym dniu wieczór nastaje jasny, księżycowy, panuje wymarzony świąteczny klimat. Tym łatwiej wypatrzeć upragnioną gwiazdkę, by - gdy się około osiemnastej (w Polsce jest szesnasta) ukaże - zgodnie ze staropolskim obyczajem, rozpocząć uroczystość modlitwą, dzieleniem się czarnym chlebem w miejsce opłatka i życzeniami rychłego powrotu do domu. To wstęp, by - wśród łez - zasiąść do wieczerzy wigilijnej.

Mimo że wszystkiemu towarzyszy nieodstępny jazgot szczekaczek, rośnie adrenalina. Oczy błyszczą, serca biją coraz mocniej, w piersiach coraz ciaśniej, bo radość miesza się z

tęsknotą do bliskich, do domów rodzinnych. Chociaż wszyscy wygłodzeni, w pierwszej chwili nie potrafią nic przełknąć. Słyszą głośnie łkania. Serca nie wytrzymują naporu tęsknoty, która przeobraża się w nieutuloną rozpacz. W uszach wciąż rozbrzmiewają słowa wzajemnych, serdecznych życzeń. Wśród nich to najważniejsze.

- Obyśmy następane Boże Narodzenie świętowali w Polsce. W wolnej Polsce, przy stole z białym obrusem i siankiem, z dwunastoma wigilijnymi potrawami, z dodatkowym nakryciem dla nieznanego wędrowca, z dziećmi przy oświetlonej choince. A w dłoniach matek i żon niech bieleje poświęcony opłatek.

Niepodobna stłumić uczuć, które w nich wezbrały. Z jakiegoś kąta przebija się, poprzez jazgot głośników, kolędowy śpiew. Wychwytyją drogą sercom melodię, włączają się, śpiewają pełną piersią. Już cały obóz klasztorny - obie cerkwie, „Cyrk” i eremy - rozbrzmiewają Bożonarodzeniową pieśnią. Nikt nie zważa ani na miotających się po „Monastyrze”, rozwrzeszczanych „wachtiorów”, usiłujących zaprowadzić „porządek” (porządek), ani na płynące z głośników wezwania do zaprzestania śpiewu.

- Małczat?! Zapreszczono!!! (Milczeć! Zabronione!)

Lecz nic i nikt nie jest w stanie uciszyć tysięcy mężczyzn w stanie euforii połączonej z nostalgią. W ciemne, rozgwieżdżone, dalekie niebo uderza modlitewny gwar i coraz głośniejszy śpiew. Przenika grube mury „Grobu Agamemnona” i „Grobowca Indyjskiego”, dachy „Cyrku” i pojedyncze klitki eremów. Krąży ponad placem obozowym i główną jego drogą, mija ją, by połączyć się w jeden potężny hymn miłości i tęsknoty, radości i żalu, nadziei i rozpacz, którymi tętni każdy tutaj blok - wszystkie złączone w wielkie wołanie, które obwieszcza światu zadziwiającą Nowinę.

Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony. Ogień krzepnie, blask ciemnieje, Ma granice Nieskończony (...).

Cały obóz kozielski świętuje i żadna siła tego nie powstrzyma. Ze wszystkich stron, z tysięcy ust, zgodnie brzmią starodawne, rzewne słowa wielbiące Nowonarodzonego.

Cicha noc, święta noc Pokój niesie ludziom wszem. A u źłóbka Matka święta Czuwa sama uśmiechnięta Nad Dzieciątka snem (...).

W zaduchu i ciasnocie lodowatych, zarobaczonych cel i wielkich przestrzeni poszatkowanych na bloki, przeobrażonych w huczące ule, przebywają tylko ciała. Duch przenika brudne, iskrzące się mrozem ściany, szybuje r - nad murami, ponad nieobjętą rozległością dzielącą ich od domów rodzinnych i ukochanych.

W „Grobie Agamemnona” szczególne wzruszenie budzi deklamacja wiersza pchor. Janusza Wedowa. (Wiersz odnaleziony przy jego zwłokach w mogile katyńskiej).

Ballada wojenno-plennych.

W dawnym klasztorze, obok Kozielska, Gdzie to jest, wszyscy wiecie, Leży kolonia tam oficerska

Najlepsza na całym świecie.

Krajobraz piękny, powietrze zdrowe, wille w sosnowych lasach.

W nich to mieszkają oficerowie na przymusowych wywczasach.

A troszkę dalej, tuż za klasztorem jest obóz w lesie schowany.

Też otoczony czułym nadzorem przez zarząd „Skitem” nazwany (...).

Poza cerkwią, w eremach, jest trudniej ze względu na małą ilość uczestników. Łatwiej ich spacyfikować i przerwać zakazaną uroczystość. Jedyne w „Skicie” strażnicy zdają się nic nie wiedzieć. Udają, że wszystko w porządku i - „nic nie słysząc” - ciekawie przysłuchują się nieznanym, chwytającym za serce melodiom.

Jak wszędzie, tak i tutaj, wigilię zorganizowano w poszczególnych miejscach zasiedlenia wyższych oficerów, lecz generałowie zaprosili do „Domu Starców” przedstawicieli pułkowników z „Bristolu” (między nimi - ppor. Janinę) i majorów z „Majorowego Domu”.

Adiutanci generalscy postarali się o piękny, pachnący świerczek, a jedyna tu kobieta kieruje przygotowaniem do wieczery. Układając skromne „potrawy” na udekorowanym zielenią stole, połyka łzy, bo właśnie przy pomniała sobie przyjęcia w rodzinnym Batorowie.

Ogromny stół w wielkiej jadalni, wkoło ukochani, na stole smakołyki, o jakich tu nawet nie ma co marzyć. Wiele z nich przyrządziła sama. Zapachniał jej nagle ulubiony przysmak - rumiany prosiaczek z jabłuszkiem w ryjku, i to ją ratuje.

- No nie! W wigilijny wieczór roją się mi potrawy z mięsa?

Z radością układa na stole stos opłatków, zadowolona z przygotowanej na ten wieczór niespodzianki. Tylko cudem ocalony ksiądz Ziółkowski został wtajemniczony wcześniej, aby je poświęcić.

- Na szczęście zdążyłem! - uśmiecha się promiennie, przybywając przed innymi.

Za chwilę oboje witają wchodzących kolejno uczestników uroczystości: wszyscy generałowie, wyróżnieni pułkownicy i majorowie, ordynansi i pomocnicza kadra oficerów prowadzących gospodarstwo.

Po modlitwie odczytanej przez kapłana z brewiarza i życzeniach przemawia generał Minkiewicz, a jego oczy wilgotnieją, gdy uroczystość kończy:

- Ufajcie. Polska się odrodzi. Nawet gdybyśmy my wszyscy tutaj zginęli.

Mogą sobie pozwolić na dłuższe świętowanie, bo willa generalska jest na innych

prawach, więc bez przeszkód śpiewają kolędy i deklamują wiersze. Kolędowaniu towarzyszą skrzypce.

Ich właściciel i konstruktor jest w kłopotliwej sytuacji. Któryś „krasnołudek”, usłyszawszy raz, jak gra, zameldował o tym komendantowi Korolewowi. Ten, pochwaliwszy pomysłowego porucznika, uczynił go „nadwornym” skrzypkiem. Chcąc nie chcąc, musi teraz przygrywać na występach w Klubie i - co gorsze - nauczyć się melodii państwowego hymnu Związku Rad. Swój podszyty kpina podziw jeden z enkawudzystów wyraził po swojemu.

- Wot, wam Poliaczki, aby pilnik i młotek dać, a wy gotowi samolot zbudować i z obozu nogę dać!

Chłopak rad by się wywinąć z obowiązku uświetniania oficjalnych uroczystości. Myśli nawet o zniszczeniu instrumentu, co koledzy stanowczo mu odradzają.

- Wpadłeś i nie ma rady. Teraz okrzyknęliby cię sabotażystą i zamknęli w karczerze.

Dzisiejszego wieczoru rekompensuje to sobie, akompaniując śpiewającym rodakom i wielbiąc Boże Dzieciątko.

Korzystając z przerwy w śpiewaniu, ksiądz Jan prosi o głos. Kochani, pozwólcie, że przedstawię wam dziś dwóch twórców. Pierwszy, ppor. Wiktor Klamer, pragnie poprowadzić ułożoną przez siebie Modlitwę obozową. (Wszystkie cytowane w książce utwory obozowe pochodzą z pamiętników wydobytych z mogił katyńskich.) To zbiór suplikacji, które będzie zanosił do Boga, a pozostali włączają się po każdej słowami „Błagamy Cię, Panie”. Czy mamy na to zgodę?

- Oczywiście!

- Prosimy!

- Wobec tego, Wiktorze, zapraszamy!

Posyła uśmiech wychudzonemu oficerowi, który - powstawszy - robi znak krzyża i, odchrząknąwszy, zaczyna:

- Z głębi serc udręczonych (...), przez przyczynę Najświętszej Panny (...), o moc cierpliwości i wytrwania... - zawiesza głos, a wszyscy, stanąwszy na baczność, odpowiadają.

- Błagamy Cię, Panie!

- O możliwość dalszej walki orężnej za Polskę...

- O opiekę Twą Boską nad krajem zbezczeszczonym przez wrogów...

- O dar nadziei, że nikłymi siłami swymi potrafimy się przyczynić do tego triumfu...

- O dar miłości czynnej i żywej do udręczonej Ojczyzny...

- O dar miłosierdzia dla naszych nieprzyjaciół...

- O Polskę wolną i niepodległą...

- O Polskę sprawiedliwą dla wszystkich swych synów...
- O Polskę miłosierną dla ubogich i uciśnionych...
- O Polskę czystych rąk...
- O Polskę czystych serc...
- O Polskę wielką, rządzą i dobrą...
- O dar wielkiego serca, jasnego umysłu dla przewodników Narodu...
- A dla nas o męstwo i szczęśliwy powrót do domu i rodzin naszych...

Kiedy wybrzmi ostatnie „błagamy”, podporucznik kończy: - Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Zapada cisza, jakby obecni nadal błagali Boga o zmiłowanie. Pierwszy opamiętuje się generał Minkiewicz, który mocnym głosem intonuje modlitwę Jana z Czarnolasu (Jest to wolne tłumaczenie Psalmu 91. O Bożej opiece):

Kto się w opiekę odda Panu swemu, A całym sercem szczerze ufa Jemu, Śmieje rzecz może: - Mam obrońcę, Boga, Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga (...).

Śpiewa w duecie z Janiną, która wkłada w to całe serce, toteż obecni - oczarowani - wolą tylko słuchać.

Teraz ksiądz Jan wykonuje gest w stronę drugiego poety i na środek wychodzi, kłaniając się, pchor. Bolesław Redzisz.

- Państwo pozwolą, że wprowadzę nastrój przed Pasterką. Oto mój najnowszy wiersz zatytułowany Msza Święta:

W Kozielsku - mrocznym lochu - gdzie wilgoć po ścianach jak łzy męczeńskie płynie w rozpaczny oparach, poczęła się odwieczna i święta Ofiara.

I broczę krwią niewoli Chrystusowe rany.

Płomienie serc, miast świecy, palą się w ołtarzu, kadzidła modlitewne ścielę się pod stopy i mrok się gęsty sączy przez ściennie witraże.

Na ziemi, gdzie wyrosła kraina Nerona, miast dzwonów, biję w niebo wartownika kroki.

Przez drut kolczasty Chrystus schodzi w piwnic mroki.

Tam, gdzie wolność zabito, by za wolność skonać.

Wszyscy płaczą, nawet generałowie, i nikt się tego nie wstydzi. Zapanowawszy nad wzruszeniem, proszą Janinę, aby zaśpiewała swoją ulubioną, znaną wszystkim dzięki niej, piosenkę z Iłowej. Długo nie daje się prosić. Zaledwie powstanie, ustają wszelkie rozmowy. Chcą usłyszeć jej czysty, ciepły, wyszkolony głos. Głos kobiecy, stwarzający złudzenie, że siedzą przy rodzinnym stole. Mocny głos górujący nad megafonowym, szumem.

Po chwili śpiewa całe towarzystwo. Modyfikują tylko trochę tekst, dostosowując go do okoliczności. Zamiast Na wyspie Iłowej wśród lasów i wód śpiewają:

Za murem Kozielska, wśród lasów i pól spędzamy dni szare niewoli (...).

Ostatnią strofę, jak za każdym razem, odśpiewują na stojąco.

Gdy zajdzie potrzeba, gdy zechce tak los, Niepomni na groby i rany, Swe zdrowie i życie oddamy na stos

Dla ciebie, nasz Kraju kochany.

Inicjatywę ponownie przejmuje gen. Minkiewicz.

- Najdrożsi! Zanim przejdziemy w wiadome miejsce na Pasterkę, czas odwiedzić rodaków w „Monastyrze”. Dla porządku podzielmy się rolami. Kto do „Cyrku”, kto do „Grobu Agamemnona”, „Grobowca Indyjskiego”, a kto na eremy. W ten święty wieczór nie może nas tam zabraknąć. Porucznik Janina, oczywiście, wybiera „Cyrk”, gdzie czekają przyjaciele - muszkietierowie, czy tak? Tam ich, jak słyszałem, przeniesiono z „Grobu Agamemnona”?

- Tak, dziękuję.

- To ja... My dziękujemy Pani serdecznie za prawdziwy opłatek. Nie spodziewałem się.

- Poczekajmy do Mszy Świętej - wtrąca wesoło ksiądz Ziółkowski. - Czeką nas jeszcze większa niespodzianka.

- Jaka? Jaka? Proszę zdradzić!

Przez chwilę czują się jak na wolności. Niby dokazujący, beztroscy chłopcy droczący się z siostrami, kuzynkami, żonami. Trzeba jednak wyjść i nastrój pryska. Tym bardziej, że czeka ich wyjście na mróz i przeniknięcie na drugą stronę strzeżonej obozowej drogi. Na szczęście strażnicy nie zwracają na nich uwagi.

W „Monastyrze” przyjmowani są - jako wyżsi stopniem - w pozycji na baczność, ponieważ wciąż obowiązują tu zależności związane z szarżą wojskową, lecz podczas życzeń atmosfera staje się rodzinna. Zwłaszcza Janina czuje się w gronie swoich „muszkietierów” tak, jakby była wśród rodzonych braci i dzieli się z nimi specjalnie na tę chwilę schowanym opłatkiem. Patrząc na ich radość i odwzajemniając uściski, stara się nie płakać.

Kiedy jednak znajdzie się z powrotem w swojej komórcie, przestaje nad sobą panować. Po raz pierwszy chyba w życiu ulega tak straszliwej rozpacz, że nie potrafi z nią sobie poradzić. Szloch rozdziera jej piersi, miota się w męce na twardym posłaniu, tłucze pięściami o siennik, zwija się jak robak, gryzie wargi do krwi, bo nie jest w stanie zagłuszyć tęsknot w która boli podwójnie. Psychicznie i fizycznie. Bezwiednie wypowiada najdroższe imiona

Mieczka, ojca, Gusi, rozmawia z cieniem Olgierda, któremu zazdrości, że nie żyje. Kiedy, splakana, uśnie, męczą ją koszmary.

Spada ze spadochronem, który nie chce się otworzyć, z zawrotną szybkością przelatując obok Mieczysława, który spływa majestatycznie, chroniony rozpiętą białą czaszą, więc rozpaczliwie woła:

- Mieczku! Ratuj mnie, Mieczku!

Lecz on, obojętny, nawet na nią nie spojrzy. Nie widzi jej ani nie słyszy wołania. Mimo to nie przestaje go błagać:

- Mieczku, najdroższy. To ja!...

Budzi ją wstrząs wywołany zetknięciem z ziemią, który odczuwa niby na jawie, i własny krzyk. Leży z otwartymi ustami, z trudem łapiąc oddech. Wzbiera w niej płacz.

Dziwna rzecz, ale nikt nikogo za to świętowanie nie karze, a na świąteczny obiad otrzymują biały chleb i gulasz wieprzowy z kaszą jęczmienną. Niektóre bloki idą nawet do łaźni. Jednocześnie w całym obozie zostaje przeprowadzona dezynfekcja. Nadprogramowa. To widomy akt zemsty. Tym bardziej że - jak zwykle - jedyny jej efekt to obniżenie temperatury na blokach, co skutkuje tym powszechniejszym kaszlem i katarem, a u niektórych zapaleniem oskrzeli lub nawet płuc. Ci nie mają szans na przeżycie.

Wszyscy chodzą z podwyższoną temperaturą, nieustannie kichają, skarżą się na rozrywający ból piersi i zębów, z czym wycieńczone organizmy, pozbawione pomocy medycznej zupełnie sobie nie radzą. Podobnie jak z nękającą wielu kurzą ślepotą.

Janina bardzo się tego boi ze względu na swój obowiązek produkowania komunikantów, aczkolwiek w blasku lampy, w kręgu płomienia, trochę się widzi. Gorzej z nocnymi spacerami na potajemne spotkania. Cierpiący na tę dolegliwość muszą mieć zdrowego przewodnika.

Zaraz po świętach cały obóz obiega „niemal pewny jop” dotyczący rychłego wyjazdu. Zdaje się go potwierdzać trwająca równocześnie wielka akcja spisu jeńców według województw. Nasila się gorączka wyjazdowa, jeden drugiego w tym utwierdza.

- To by się zgadzało! Segregują nas przed wysyłką. Kto do Niemców, kto zostaje w Sojuszu.

To drugie budzi niepokój.

- Niedobrze. Grozi nam, że - uznani za obywateli sowieckich - zostaniemy potraktowani jak zdrajcy, którzy walczyli we wrogiej, polskiej armii! Wiecie, co za to grozi. Czapa.

Mimo wszystko przygotowują się do opuszczenia obozu. Cerują dziury w skarpetach,

zszywają rozprute mundury, piorą i łatają bieliznę, a nocą leżą bezsennie, przewracając się z boku na bok albo snując się dla rozgrzewki wąskimi „uliczkami” wśród prycz, w ciemnościach rozświetlonych księżycową poświatą.

Żyją już tylko nadzieją na rychłą zmianę, bo coraz skromniejsze racje żywnościowe szans na przeżycie nie dają. Aby oszczędzić podarte oficerki, nie wychodzą na spacer, wykorzystując ten czas na szycie rękawic, nauszników i futerałów-ocieplaczy na buty, bo mróz wciąż utrzymuje się w granicach 30-40 stopni Celsjusza.

„Monastyrowcy”, nadal pozbawieni korespondencji z rodzinami, nie mogą sobie znaleźć miejsca z rozpacz. „Skitowcy” mogą wprawdzie pisać, cóż, kiedy nie otrzymują odpowiedzi. Najwidoczniej są przetrzymywane. Pytany o to mjr Ejlman wzrusza ramionami.

- Skąd wam listy wezmę? Widać, tyle swoje żonki obchodzicie, co zeszłoroczny śnieg!

Na granicy szaleństwa z niepokojem o bliskich poddają się najczarniejszym myślom. Wśród nich tej najstraszliwszej, że może nie żyją. I nie przynosi pociechy wielokrotne czytanie wcześniejszych listów. Są nieaktualne.

Janina cierpi podwójnie. Ona nie ma nawet takich. Nikt do niej nie napisał. Nikt się nie odezwał.

- Gdybym chociaż mogła znaleźć pociechę w muzyce! Dotknąć klawiszy fortepianu i śpiewać. Śpiewać o mojej miłości do Mieczka i o tęsknocie, która wyżera mi serce. O tęsknocie do jego ramion, jego cudownego uśmiechu, za który go od razu pokochałam tam, na lotnisku w Tęgoborzu.

Tym mocniej tęskni i tym bardziej pragnie się stąd wyrwać. Aby się pożalić i usłyszeć słowa pociechy, spiesz w odwiedziny do przyjaciół.

- Nie martw się. Jako pochodzący z Polski Centralnej jesteśmy tu w najlepszej sytuacji. Będziemy wydani Niemcom, a to lepsze niż zostać w Sowietach.

- Wątpię, czy nas zechcą z łap wypuścić.

- Podobno ruscy podpisali porozumienie z Hitlerem w sprawie wymiany. To niemal pewne.

- To wiadomość z Agencji Jop? Nie bardzo chce mi się wierzyć, żeby Niemcy wzięli na utrzymanie tylu „darmozjadów”. Oni podpisali konwencję genewską i nie mogą zmuszać oficerów do pracy. Nic z tego nie będzie.

- Ale enkawudziści mówią...

Przysłuchujący się rozmowie młody porucznik Mucho podchodzi jeszcze bliżej.

- Kto by wierzył bolszewikom! Siedemdziesięciu nas wzięli pod Brześciem.

Poddaliśmy się po długim oporze z braku amunicji. I co zrobił sowiecki generał, który przyjmował kapitulację? Najpierw wyraził podziw dla naszej waleczności, zapowiedział zwolnienie do domów, a potem przekazał w łapy NKWD, i oto jesteśmy.

Podchodzą inni, włączają się do dyskusji. Wśród nich por. rezerwy Stanisław Świaniewicz.

- Teraz mamy inną sytuację. Podobno trwają pertraktacje o wymianie jeńców na internowanych we Francji komunistów hiszpańskich.

- To prawda. Zobaczycie, że najpóźniej do 10 stycznia obóz kozielski przestanie istnieć - potwierdza starszy wiekiem porucznik Henryk Gorzechowski.

- Akurat! Agencja Jop!

- Nieprawda! Sam widziałem arkusze wyjazdowe tych z zaboru niemieckiego - zapewnia ktoś stojący z tyłu.

- A mnie mówiono, że nawet Anglia interweniowała już w sprawie polskich oficerów więzionych w sowieckich łagrach - dodaje inny. - Chce nas przyjąć i nawet zwrócić Sowietom koszty naszego utrzymania.

- Nie wykosztowali się zbytnio! Ładne mi utrzymanie! Cud, że z głodu nie zdechliśmy!

Kpt. Sidor i por. Kulikowski odciągają swoją przyjaciółkę na bok.

- Widzisz? To pewne, że jesteśmy na tej liście. Wszystko będzie dobrze.

Janina uśmiecha się.

- Jak sądzicie? Od razu do Poznania nas odstawią?

Do rozmowy włącza się znany powszechnie dziennikarz, pan Birnbaum, który chodzi po blokach z antysowieckimi odczytami.

- No, niekoniecznie. Najważniejsze, aby się przedostać do kraju neutralnego. Na przykład do Francji. Od razu wstąpimy ochotniczo do armii francuskiej. Pod dowództwem generała Weyganda razem pokonamy Niemców, a potem przyjdzie kolej na Sowietów i odbudowę Polski od Odry po Dniepr!

- Daj pan spokój z tym Weygandem! - gasi go jakiś sceptyk. - On już w dwudziestym roku swoje pokazał, kiedy - delegowany przez marszałka Focha jako przedstawiciel Francuskiej Misji Wojskowej - przyjechał do Polski i doradzał Piłsudskiemu oddanie Lwowa!

Pochodzący ze strefy sowieckiej nie mają powodów do radości.

- Nas, jak tylko zjawimy się w domach, od razu aresztują ponownie. Jako obywatele sowieccy podlegamy sowieckiemu prawu, a więc karze za walkę w „obcym” polskim wojsku.

- Nie prosiliśmy ich o obywatelstwo! Jakim prawem je nam narzucili?

- Prawem kaduka.

- Jedyna nadzieja, że - jak słyszałem - na granicy tureckiej stoją już wojska generała Weyganda, które lada chwila uderzą - upiera się przy swoim zwolennik opcji francuskiej, pan Birnbaum.

- Tak jest, niedługo już ruskiej przewagi. Z Finlandią wciąż sobie nie radzą, chociaż szczekaczki bez przerwy grzmią, że zwyciężają. Tylko że jakoś w Helsinkach ciągle ich nie widać.

- I nikt ich tam nie zobaczy. Sowietci nie podpisali paktu z panem Bogiem, tylko z diabłem! Co oni sobą reprezentują? Ogromne terytorium, to wszystko. Ale to kolos na glinianych nogach. Wystarczy go trącić, a przewróci się do góry brzuchem!

Przechodzący obok major Rogoziński podchodzi do dyskutujących z wesołą miną.

- Panowie, nowina z pewnego źródła! Wracam prosto od „Imbryka” i wiecie, co mi przed chwilą powiedział? Że jeszcze przed wiosną oddadzą nas Germancom!

Wiadomość jest z rodzaju elektryzujących.

- Zarubin tak powiedział? To już nie plotka. Tu trzeba działać!

- A może by podania pisać o skierowanie do strefy niemieckiej?

- Tylko jak to uzasadnić?

- Choćby tym, że... krewni po tamtej stronie mieszkają.

- Akurat! Dobrze oni wiedzą, gdzie kto ma rodzinę. Teczki pękają w szwach.

- A znacie opinię generała Minkiewicza na ten temat? - wtrąca Janina.

- O co chodzi?

- A o to, że kategorycznie zabronił. Niebawem w rozkazie to ogłosi. Żadnych podań!

Ten argument przemawia do wszystkich. Nikt nie protestuje.

JAK DŁUGO JESZCZE?

W Sylwestra obóz milczy. Nie ma się z czego cieszyć. Za to Sowietci balują. Bawią się głośno, bo dużo piją, tańczą wokół oświetlonej choinki, głośnie ryczą, zagłuszając nawet bicie serc. Jeńcy - stłoczeni na blokach przysłuchują się tym odgłosom ze smutkiem, ale i gniewem.

- Tańczcie, psubraty, dopóki możecie!
- Przyjdzie czas, że inaczej nam zatańczycie!
- Przypomni się wam dwudziesty rok!
- Skończą się dla was dobre czasy!

Wiele wskazuje na to, że lepsze zaczną się dla nich. Że łąda dzień opuszczą obóz. Tak bardzo tego pragną, że nie chcą słyszeć, iż mogą to być zwykłe jopy. Wymiana jeńców wydaje się coraz bardziej realna. Obozowe władze potwierdzają to nieoficjalnie ustami swoich funkcjonariuszy. Coraz częściej ten lub ów rzuca od niechcenia, z tajemniczą miną i udawaną życzliwością.

- Niedługo pojedziecie na rodzinę (do kraju).

Tymczasem jednak pogarszają się dramatycznie warunki bytowe. Żywność początkowo wyżywienie z dnia na dzień staje się głodowe. Śniadania składają się (zamiennie) z kilku drobnych, często zgniłych rybek kilek o słono-kwaśno-gorzkim smaku, małego, słonego śledzika, kawałka zeschniętego dorsza oraz dziennego przydziału czarnego, gliniastego chleba, którego często brakuje. W takie dni czeka ich kolacja jednodaniowa: porcja wrzątku - „kipiatoku” wystanego na mrozie pod „kipiatilnią”.

Pozbawienie chlebowego „pajka” (pajok - dzienny przydział chleba), aczkolwiek „żołądkowcy” zwijają się po nim w bólach, to po prostu dramat. Stokroć trudniej znieść bóle głodowe. Nie zapobiegnie im także obiad. Przeważnie twardy jak śrut pęczak lub kapuśniak - „szczy”, czy lurowata, niedogotowana grochówka albo „mucznica” - bryja zasypana mąką, przypominająca krochmal. Dodatkowe cierpienia dotyczą palaczy, nagle pozbawionych przydziału tytoniu. Urywa się również wydawanie cukru, herbaty i mydła.

Snują się po obozowych ścieżkach - wygłodzeni, zziębnięci, bezsilni - wielu ze szkorbutem, który powoduje wypadanie zębów oraz ropiejące wrzody na ciele i w jamie ustnej. Mimo to, karmiąc się nadzieją na wyjazd, starają się trzymać. Przecież wolność coraz bliżej. Wciąż słychać to najczęściej zadawane pytanie.

- Jak długo jeszcze? Jak długo?!

I trwają tak, zawieszeni pomiędzy nadzieją a zwątpieniem, między bezczynnością a

odbierającą resztki sił pracą. Jedno z najcięższych i najbardziej niebezpiecznych zajęć to rąbanie lodu na fosie, co nieraz kończy się załamaniem taflí. Nieszczęśników, którzy wpadli do lodowatej wody wyciąga się drągami i bosakami, a potem leżą w bolnicy (szpital) z zapaleniem płuc z którego nie mają szans wyjść.

Tymczasem po obozie zaczyna krążyć nowy jop.

- Podobno ogłosili stan pogotowia!

Nie potwierdza go ani mu nie zaprzecza znany z życzliwości wicekomendant kpt. Urbanowicz, enkawudzista polskiego pochodzenia, pełniący funkcję jakby kwatermistrza.

- Co z nami będzie? Wyjeżdżamy czy zostajemy? I jak długo jeszcze musimy czekać?

- Wyjedziecie. Ale gdybyście wiedzieli dokąd, oko by wam zbiełało.

Stąd nowe spekulacje.

- Co to znaczy? Oko może zbieleć z radości albo ze strachu. Więc jak?! Kraje neutralne czy Sybir?

Coraz niecierpliwiej liczą czas i wciąż zadają sobie te same pytania.

- Boże, ile to jeszcze potrwa?

- Ile można wytrzymać?

- Co nas jeszcze czeka?

- Dziś mijają cztery miesiące, jak nie widziałem moich dzieci. Czy je jeszcze zobaczę?

- Czy to się kiedyś skończy?

Każdego dnia gromadzą się w klubie, pod tablicą, na której wisi lista z nazwiskami szczęśliwców (znów z obu zaborów), którzy otrzymali listy. Dziwią i oburzają ich odległe daty - dowód, że były przetrzymywane.

- Ten potwór, Ejlman!

Janina przychodzi tu również, za każdym razem daremnie, coraz bardziej tym zrozpaczona.

- Boże mój, co się z nimi dzieje?! Żeby chociaż wiedzieć, czy żyją!

Wielu, aby się tego dowiedzieć, ucieka się do praktyk okultystycznych - spirytyzmu lub wróżbiarstwa. Wkrótce wywoływanie duchów wróżenie z kart przybiera rozmiary niemalże epidemii. Kiedy zaproponują to i jej, udaje się po radę do księdza Ziółkowskiego.

- Księżu Janie, warto spróbować?

- Ani mi się waż! To grzech idolatrii, przeciwko pierwszemu przykazaniu. Pamiętasz? „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. Katechizm Kościoła Katolickiego potępia go jednoznacznie.

- Ale dlaczego? Co w tym złego, że wywołany duch, na przykład, Marszałka

Piłsudskiego, rozwieje nasze niepokoje?

- Jeśli to będzie rzeczywiście jego duch, co nie jest pewne. Bo jeśli nawet duchy przychodzą, to nie wiadomo, jakie - dobre czy złe. Raczej te drugie podszywają się pod wzywane. Można się na nie nieopatrznie otworzyć i - zamiast upragnionej wiedzy - nawiązać kontakt z szatanem, co prowadzi do opętania.

- Proszę księdza, jak to możliwe?!

- Możliwe. Coś na ten temat wiem. Ale o tym mówić nie mogę. Tajemnica spowiedzi. W każdym razie przestrzegam. Takie „zabawy” nie są bezpieczne.

Jedyny obozowy kapelan nie jest w stanie dotrzeć do wszystkich. Może tylko ubolewać, że owe „zabawy” cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Również ci, którzy je organizują. Między innymi - pewien major słynący ze zdolności mediumicznych, urządzający seanse w „Hotelu Pod Wszą”. Wieść niesie, że wywołuje duchy krewnych uczestników spotkań lub bohaterów narodowych. Krążą wieści, że udało się mu przywołać ducha Piłsudskiego, lecz jego odpowiedź nikogo nie zadowoliła i niczego nie rozwiązała.

- Zachowujecie się w niewoli, jak gówniarze. Nie będę z wami gadał.

Brzmi to o tyle wiarygodnie, że koresponduje ze stylem niektórych jego niewybrednych wypowiedzi za życia, jak choćby ta w polskim Sejmie: „Kury wam sz...ć prowadzać, a nie zajmować się polityką”.

Może również świadczyć o zdrowym rozsądku organizatora tych posiedzeń. Sceptycy tylko się z tego śmieją, co nie przeszkadza spirytystom próbować dalej. Większość woli jednak słuchać rozmaitych przepowiedni wieszczących zwycięstwo dla Polski - Ojczyzny potężnej od morza do morza. Chętnie przy tym spekulują na temat realnych możliwości takiego scenariusza.

Jednak tematem numer jeden pozostaje kwestia, kiedy opuszczą obóz.

- Co tam słyhać na temat naszego wyjazdu? - to pierwsze pytanie, które każdy każdemu w pierwszym rzędzie zadaje.

Odpowiedzi bywają różne, najczęściej optymistyczne.

- Ktoś mi mówił, że widział uzbrojony konwój z psami na stacji kolejowej. Po co by przyjeżdżali, jak nie po nas?

- To chyba prawda. Podobno na bocznicę koło Kozielska podstawili już „stołypinki”. Dla kogo, jak nie dla nas?

Jakiś pesymista gasi wzbierającą już radość.

- Na wolność mamy jechać więźniarkami? Coś mi się tu nie podoba.

Wobec tego pozostają już tylko marzenia o dobrych snach. O domach rodzinnych, o

bliskich. Dlatego natychmiast po zgaszeniu światła i wysłuchaniu „Dziennika” (teraz, dla zmylenia przeciwnika) „śpiewanego”, starają się zasnąć. Lecz dobre sny należą do rzadkości. Zwykle są to koszmary, z których budzą się jeszcze bardziej zrozpaczeni. I nie pomaga wielokrotne odczytywanie posiadanych listów, bo to i ulga, że żyją, i zmartwienie, że tak im ciężko, i że są tak daleko.

W dniu 8 stycznia cały obóz żyje jednym. Późnym wieczorem wywieziono w nieznanym kierunku kolejną grupę stu więźniów cywilnych, tzw. politycznych. Sędziów, prokuratorów i ziemian. Poszli, jak ich poprzednicy, w letnich ubraniach i obuwiu, w którym zostali aresztowani we wrześniu. Przy trzydziestodwustopniowym mrozie!

- A jednak prawdę mówiono o tym konwoju i „stołypinkach” na boczniczy kolejowej! Po nich przyjechali!

Z jednej strony cieszy, że jopy się sprawdzają, z drugiej - jakże przykro patrzeć na biedaków, sunących ku bramie wyjściowej niby widma. Na próżno jednak pytają „wachtiorów”.

- Dokąd ich zabierają w taki mróz?

Milczą zawzięcie i tylko Leon mruczy pod nosem.

- Każetsa w Maskwu, na Sołowki ili Butyrki. (Zdaje się, że do Moskwy, na Solowki lub Butyrki).

- Ale dlaczego w nocy? I dlaczego w taki mróz?

- W nadziei, że żywi nie dotrą do celu - cedzi Leon przez zęby.

W połowie stycznia mrozy nasilają się nie do wytrzymania. Temperatura powietrza spada do minus 42 stopni Celsjusza, więc coraz ciężiej trwać, jednakże fala nadziei na wyjazd nie maleje. Mimo że spada na nich straszliwa wiadomość, szczególnie bolesna dla Janiny i jej krajan.

- Podobno Niemcy wysiedlają Polaków z Poznańskiego. Wszystkich oficerów i młodzież pakują do obozów koncentracyjnych.

Natychmiast biegnie do „Cyrku”, gdzie zastaje tylko kpt. Sidora.

- Zjutku, słyszałeś o naszej Wielkopolsce? Niemcy biorą odwet za powstanie z 1919 roku.

- Słyszałem i bardzo się boję o moich młodszych braci. O żonę tym bardziej.

- A ja o moją młodszą siostrę. Jak ta kochana Gusia sobie poradzi? Mogą się na niej zemścić za czyny ojca. To on przecież ustanowił nasze nowe granice zachodnie z Rzeszą Niemiecką.

- Głowa do góry! Myślę, że Gusia zdążyła się ukryć. A przy okazji. Słyszałaś może

ostatnią wiadomość z radiowęzła?

- Musiałam przegapić.

- Podobno Niemcy wysadzili w Krakowie pomnik Grunwaldzki i usunęli dzwon Zygmunta. Ciekawe, dlaczego nasi „władcy” przekazali nam te wieści? Chyba się coś Stalinowi z Hitlerem zaczyna nie układać.

- Mamy się z tego cieszyć?

- Naturalnie. Im prędzej nasi wrogowie wezmą się za czuby, tym lepiej dla nas.

W środku nocy cały „Monastyr” zrywa z pościeli wpadająca przez okna purpurowa poświata i dziwne krzyki na zewnątrz. Co silniejsi, narzuciwszy na siebie w pośpiechu płaszcze lub koce, wybiegają na majdan.

Tuż przy obozowej bramie bucha w niebo krwawy pióropusz. Płonie wieża strażnicza, a z nią karcer. Patrzą z satysfakcją na miotający się w panice „wachtiorów”, którzy klnąc i wrzeszcząc, bezskutecznie zachęcają ich do pomocy w gaszeniu.

Z mściwą radością w sercach włączają się do bezładnej gonitwy, udając aktywność.

- „Krasnoludki” puściły z dymem zwyżkę!

- Za chwilę spłonie Urząd Badań i brama!

- Dobry początek!!

- Co z tego, naprawią.

Mylą się. Władze obozowe wzmacniają jedynie nadkopconą bramę, wieża zaś do końca będzie straszyć zgliszczami. Za to Rozgłośnia (dez)informacyjna Jop działa bez zarzutu. Od samego rana megafony głośzą, że „żaden układ dotyczący wymazania Polski z map Europy przypisywany kłamliwie Związkowi Radzieckiemu i Rzeszy Niemieckiej nigdy nie został zawarty”.

Tylko nieliczni dają temu wiarę. Wszyscy natomiast zgodnie potępiają akcję dużej grupy Polaków z niemieckimi korzeniami, którzy (wbrew zakazowi generała Minkiewicza) wystosowali i podpisali z hitlerowskim pozdrowieniem „Heil Hitler!” list do ambasady niemieckiej w Związku Sowieckim, rozpoczynający się od słów:

„Prosimy o przejęcie nas z rąk sowieckich i umożliwienie wzięcia udziału w walce o zwycięstwo Niemiec”.

To dla polskich oficerów prawdziwy policzek. Ze wstydem wysłuchują teraz pogardliwych uwag wypowiedzianych przez „krasnoludków” z mściwą satysfakcją, z lekceważącym rechem.

- Wot gordyje Polaczyszki (ot, harde Polaczki), okazali się zwykłymi zdrajcami, lizusami!

- Takowy waszi oficera! (Tacy wasi oficerowie!)

Niektórzy - rozgoryczeni - myślą nawet o samosądzie. Nie dochodzi do niego tylko dlatego, że zdradziecka grupa zostaje błyskawicznie wywieziona z obozu. Lecz większą jeszcze goryczą napełnia wiadomość, że są wśród nich osoby deklarujące wolę pozostania w Związku Sowieckim, co wyraziły w podaniach złożonych na ręce komendanta Korolewa.

„Pragnę żyć i pracować w jedynym państwie świata, w którym panuje sprawiedliwy ustrój socjalistyczny, całym sercem przeze mnie popierany”.

I niewielka to pociecha, że nie ma pośród nich żadnego oficera, tylko sami cywile. Są to jednak obywatele polscy, chociaż wywodzący się z mniejszości narodowych. Urodzeni i wychowani w Polsce wyrzekli się jej przy pierwszej próbie lojalności.

To przypomina Janinie ojca, generała Dowbora.

- A jednak miał rację, nie przyjmując do Polskiego Korpusu nie-Polaków jako tych, którzy nie będą się bić o Polskę.

Wywiezienie kilku partii więźniów nie rozluźnia ciasnoty, bo na ich miejsce przybywają inni. Ze Starobielska (Miejscem mordu i mogił jeńców Starobielska jest Charków) - około dwustu młodych oficerów oraz grupa wyższych urzędników. Zostają umieszczeni na terenie „Monastyru”, w przygotowanej zawczasu spec-zonie, odizolowanej kolczastym drutem, dzień i noc strzeżonej przez uzbrojonych wartowników. Muszą to być jakieś ważne osoby, bo megafony wciąż ostrzegają przed próbami kontaktu, co tym bardziej zaostrza ciekawość, każąc szukać sposobu na obejście zakazu. Znajdują go nieoczekiwanie prędko, choć nie jest łatwy i przyjemny. Trzeba się zasadzić w latrynie i czekać na kolejną grupkę doprowadzaną tu cyklicznie pod strażą.

Dzięki temu porucznik Świaniewicz, który podejmuje to ryzyko, poznaje pułkownika Kornilowicza, zięcia Henryka Sienkiewicza i zarazem brata księdza Kornilowicza - kapelana w Domu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą. Tego samego, który udzielał sakramentu ostatniego namaszczenia (obecnie, po Soborze Watykańskim II, nazywa się go sakramentem namaszczenia chorych) Józefowi Piłsudskiemu na kilka chwil przed śmiercią Marszałka w 1935 roku. Właśnie on składa na ten temat świadectwo. Nic jednak nie potrafi powiedzieć o przyczynie tej szczególnej „opieki” nad mieszkańcami spec-zony. Po dwóch tygodniach zostaną wywiezieni w niewiadomym kierunku.

Pierwszy miesiąc nowego roku 1940 tak mocno daje się wszystkim we znaki, że kiedy minie - choć to irracjonalne - następny witają z ulgą.

Znów można pisać listy, więc z nadzieją odbierają należne im talony - każdy na jeden list. Redagują je tak, aby nie podpaść cenzorowi, a jednocześnie coś istotnego przekazać

rodzinie, więc ślęczą nad nimi całymi godzinami.

Jakby dla równowagi, między lepszymi i złymi wieściami, po obozie zaczyna krążyć nowy jop.

- Likwidują „ławoczkę”!

- Nie likwidują, tylko wycofują ze sprzedaży artykuły żywnościowe. Jest się czym przejmować, bo głód doskwiera wszystkim coraz mocniej. Martwią się ci, którzy posiadają jeszcze jakieś walory na wymianę ale i ci, którzy dotychczas nie odebrali zapłaty za „sprzedane z opóźnioną płatnością” cenne przedmioty. Jeśli nawet wpłynie kolejna rata, nie będą mogli nic kupić. Tak więc luty nie jest wcale lepszy od stycznia.

Już na początku drugiej dekady sprawdza się powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami. Szczególnie dotyka to mieszkańców byłych polskich Kresów Wschodnich. Z ust do ust przekazywana jest hiobowa wieść.

- Wysiedlają Polaków z zaboru ruskiego!

- Jak to!? Dokąd?

- Gdzież by? Na Syberię!

- Dranie! Od wieków gnoją tam naszych! Niech by lepiej zajęli się wojną z Finlandią, bo coś im nie wychodzi.

- I bardzo dobrze. Im dłużej trwa, tym lepiej!

- Chryste, nie dość, że nas uznali za swoich obywateli, co umożliwia oskarżenie o zbrodnię „zdrady ojczyzny”, to i nasze rodziny chcą zniszczyć!

Trzy dni później odjeżdżają przebywający jeszcze w obozie, nieliczni wśród oficerów, szeregowcy. Obrońcy Brześcia wiedzą, co o tym sądzić.

- Kiedy nas wzięli we wrześniu, też wypuścili szeregowych, a my - wbrew obietnicom - trafiliśmy do obozu. To może znaczyć, że i teraz mają wobec oficerów jakieś szczególne plany i tylko mamy nas zwolnieniem. Historia lubi się powtarzać.

Optymiści usiłują temu zaprzeczać. Jeden z nich, potrząsając świeżo otrzymanym listem, przekonuje.

- Nie ma obawy. Dowodem ten list! Posłuchajcie, co pisze moja żona. Wiem z pewnego źródła, że wkrótce was uwolnią. Może nawet już to się stało?

Czekam na Ciebie, kochany, z utęsknieniem. My tu co dzień - wszystkie rodziny - spotykamy się na dworcu, oczekując na pociągi ze wschodu, aby was powitać.

Potwierdza to nieoczekiwane „Agencja Jop”.

- Brytyjczycy wystosowali do Sowietów ultimatum. Do 21 lutego mają opuścić zajęte 17 września polskie tereny, a jeńców uwolnić!

Na duchu podnoszą też oficjalne informacje z radiowęzła o małej entencie, o Włochach i Japończykach w Chinach oraz o wrogich zamiarach Anglii wobec ZSRS.

- Coś się wreszcie dzieje na świecie! Szykują się zmiany!

Także pogoda zdaje się brać w tych zmianach udział. Całymi dniami rada śnieg, co powoduje podniesienie temperatury z minus 42 stopni Celsjusza do minus 30, a w południe nawet do minus 20. Mimo to praca na powietrzu wciąż jest katorżnicza, bo nagle zaczynają wiać lodowate wiatry. Przywiewają nowy cios. Poczta pantoflowa rozgłasza to natychmiast.

- Zamykają obozową bibliotekę.

- Dlaczego?

- Z jakiego powodu?

- Jak mamy żyć bez czytania?

Odpowiedź brzmi.

- Właśnie dlatego. Za dużo chętnych.

Snują się więc po obozowych ścieżkach, rozczarowani i na coś oczekujący, zrezygnowani i podnieceni. I nie pomaga, że dni coraz dłuższe i jaśniejsze, a południowe słońce coraz gorętsze. Nawet prawdziwie wiosenna końcówka lutego, zamiast nadzieją, napelnia serca nostalgią. W południe z lodowych sopli spływają strumyczki wody, a w świerkowych koronach rozlega się ptaszęcy świergot, chwilami tak ogłuszający, że budzi zdumienie. Lecz oni nie mają już sił, aby się tym zachwycać. Do udręki duchowej przyłączają się skrajne wyniszczenie fizyczne i głodowe skurcze.

Zdarza się jednak coś, co im na chwilę przywróci nadzieję.

Pewnego dnia dwaj porucznicy - Henryk Gorzechowski, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej 1939 (przebywa w obozie z synem - ułanem, Henrykiem Mikołajem) i Tadeusz Zieliński, podczas pełnienia dyżuru w obozowej kuchni, odkrywają, że na desce, która przykrywa beczkę z kiszoną kapustą, znajduje się rysunek o treści religijnej.

- To przecież - jeśli się nie mylę - fragment ikonostasu! (Ikonostas - ozdobna, pokryta ikonami część „carskich wrót”, poza które w cerkwi prawosławnej posiada wyłącznie kapłan. Wierni przebywają w oddzielonej części świątyni.) - woła pierwszy, a drugi dodaje.

- Choć to prawosławne malunki, jednak chrześcijańskie. Nie pozwolimy na taką profanację! Zabieramy ją!

- I co dalej?

- Co dalej... Niech pomyślę... Wiem! Niedługo, 28. Lutego (ta data widnieje na odwrocie płaskorzeźby), dziewiętnaste urodziny mojego Mikusia. Wyrzeźbię mu Matkę

Boską z Ostrej Bramy. Matkę Miłosierdzia. Ona go ocali.

- A duża ma być ta rzeźba?

- Raczej płaskorzeźba. Nieduża. Łatwiej schować.

- To podzielmy się tą deską - proponuje por. Zieliński. - Moja Maria będzie inna. Z Chrystusem na ręku. To będzie... Matka Boska Kozielska Zwycięska. (Płaskorzeźba ta, po raz pierwszy ujawniona podczas nabożeństwa dla ocalonych w obozie w Griazowcu koło Wołody, przejdzie cały szlak bojowy Armii Andersa - Buzutuk, Jangi-Jul i Monte Cassino. Bp Gawlina odprawił przed nią Mszę Św. przed pierwszym szturmem na Górę Klasztorną. W dniu 08.06. 1997 roku bł. Papież Jan Paweł II ukoronował ją na krakowskich Błoniach. Obecnie znajduje się w kościele Św. Andrzeja Boboli w Londynie.) Matka wszystkich nas, jeńców.

Opuszczając kuchnię, ukrywa cenną deskę pod rozpiętym płaszczem, a kolega osłania go skutecznie przed niepowołanym wzrokiem. Tegoż jeszcze wieczoru przecinają zdobycz na pół, a potem każdy, w tajemnicy, zabiera się do pracy.

Por. Gorzechowski musi się pośpieszyć, bo urodziny za pasem, najpierw jednak trzeba deskę wysuszyć. Na szczęście mróz przyspiesza proces.

Wręczając niewielką ikonkę solenizantowi, mówi ze łzami w oczach.

- Synu mój, pamiętaj. Ona cię stąd wyprowadzi. Tylko ufaj. (Gorzechowski - junior rzeczywiście ocalał. Przeniesiony z Kozielska do Griazowca, dostał się potem z armią Andersa na Zachód. Płaskorzeźbę M B Ostrobramskiej, czczoną jako relikwię, posiadał do śmierci, a jego rodzina przekazała ją w 2001 r. do Kaplicy Katyńskiej w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie przy ul. Długiej 13/15.)

Świadkowie tej sceny płaczą jak dzieci, a potem modlą się wspólnie słowami Litanii Loretańskiej. Wszyscy żywią cichą nadzieję, że ich także ocali, a wykończona niebawem płaskorzeźba por. Zielińskiego jeszcze tę nadzieję utwierdza.

Kolejnych wrzuseń dostarczy współtowarzyszom inny artysta rzeźbiarz, ppor. Michał Siemiradzki swoją płaskorzeźbą, której nadaje tytuł „Matki Boskiej, Zwycięskiej Królowej Różańca z Kozielska”, również ze swym Boskim Synem na ręku. Ksiądz Ziółkowski poświęca ją podczas jednej z konspiracyjnych Mszy świętych. (Płaskorzeźba Siemiradzkiego, przemyciona do Griazowca jako dno walizki, odbędzie potem wojenną tułaczkę przez Murmańsk, Półwysep Kola, Archangielsk, Tatiszczew koto Buzułuku, gdzie formowała się Armia Andersa, Iran, Irak, Ziemię Świętą i Egipt, aż dotrze do Anglii, gdzie w 1987 r. przejdzie pod opiekę ocalonego więźnia Kozielska, ks. prałata Zdzisława Jastrzębca-Peszkowskiego, późniejszego kapelana Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na

Wschodzie. Pobłogosławiona przez Jana Pawła II jako narodowa relikwia, zostanie przekazana przez ks. prałata oo. Jezuitom do Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli w Warszawie przy ul. Rakowieckiej w dniu 10.12.2001 r. Rok później, w 300-lecie kultu świętego (drugiego Patrona Polski), ks. bp Tadeusz Pikus intronizuje ją podczas uroczystej Mszy Św.)

Trwa obozowa codzienność. Jakby zaprzeczając pogłoskom dającym nadzieję na bliski już wyjazd, oficerowie śledczy nie przestają rozpracowywać jeńców, a wezwania na wielogodzinne „doprosy” jeszcze się nasilają, niezmiennie dręczące. To napastliwe - z obelgami, wyzwiskami i zastraszaniem, to mamiące fałszywą życzliwością, kuszące.

- Przejdź na naszą stronę, a będziesz żył.

Dziesiątki razy pytają o to samo, aż ofiara padnie - otępiona. Aż jej się język popłącze i zmać myśli. Aż zapomni, kiedy i gdzie się urodziła, w jakiej rodzinie i środowisku, w co wierzy, a co neguje. Służyła w wojsku, czy nie, co lubi, czego nie znosi. Nienawidzi czy kocha Związek Sowiecki, zna obce języki czy nie zna oraz bywała czy nie bywała za granicą. Jeśli tak, staje się tym bardziej podejrzana. Śledczy szczerze nie rozumieją, jak można wyjeżdżać za granicę i nie współpracować z tym, kto wysyła! Inaczej by ich przecież nie wypuszczono (!).

- Tak ty kanieszna szpion! (jesteś więc szpiegiem)

Tych szukają wprost obsesyjnie, a „znalazłszy”, definitywnie klasyfikują jako szczególnie niebezpiecznych, nierokujących nadziei na reedukację i wykorzystanie. Można ich tylko zlikwidować. Tak zapadają decyzje dotyczące życia i śmierci tych, którzy już się szykują do wyjścia na wolność. Decyzje głęboko utajnione przed niższymi funkcjonariuszami NKWD. Prawdopodobnie nawet nie wszyscy wyżsi stopniem o nich wiedzą. Oni tylko dostarczają materiałów. Jedyne pewny wtajemniczony to sam kombryg Zarubin. On jeden dokładnie zna cel swojej tu działalności i - paradoksalnie - tylko jemu jednemu większość więźniów ufa.

HERBATKA U ZARUBINA

Cały obóz aż huczy od murowanej wiadomości, oficjalnie głoszonej przez obozowych „krasnoludków”. Pocciwy Leon nie ukrywa, że się z tego cieszy i każdemu to powtarza.

- Lada dzień będą was wywozić. Pojedziecie na rodzinu!

Janina chodzi rozgorączkowana, zdecydowana wyjechać w pierwszej kolejności, gotowa udać się z tym nawet do Zarubina, lecz on nie wzywa jej więcej. Mogłaby ubiegać się o spotkanie przez pośrednictwo generała Minkiewicza, lecz - uznawszy to za niewłaściwe - udaje się do komendanta obozu.

- Koniecznie z nim? - upewnia się Korolew.

- Wyłącznie!

Enkawudzista uśmiecha się tak jakoś nieprzyjemnie, że wyszedłszy aż się otrząsa.

Zarubin wita ją z atencją, serdecznie uśmiechnięty, niby oczekiwanego gościa, jak dobrą, starą znajomą, co - chcąc nie chcąc - odwzajemnia. Podaje mu rękę, a on szarmancko całuje szorstką, poparzoną dłoń więźniarki, jakby była damą przybywającą na wytworne przyjęcie.

Ponieważ „dama” utrzymuje dystans, „rycerz” nagle przeobraża się w chłodnego inkwizytora. Wprawdzie nadal uprzejmy, lecz bez śladu życzliwości, proponuje herbatkę. Samowar już kipi, więc napełnia szklanki, podsuwa cukiernicę i ciasteczka, zachęca do skosztowania. Lecz jej nie w głowie ciastka, tylko wyjazd.

- Panie generale (celowo używa polskiego odpowiednika enkawudowskiego stopnia), pozwoliłam sobie zająć panu czas w nadziei uzyskania pomocy w...

Proszę bardzo. Przekażę.

- Z przyjemnością służę! - przerywa jej skwapliwie, znowu miły i przyjazny. - O co chodzi?

- O wyjazd. Bardzo, bardzo mi zależy na dostaniu się do pierwszej partii.

- Tak się pani stęskniła za mężem? - uśmiecha się wyrozumiale.

- Nie ukrywam, że... Wiem, że to zależy od pana i dlatego...

- Hm... Może i zależy... Proszę się częstować - podaje tackę z ciastkami. - Może być...

Ale nie tylko ode mnie.

- Przemawia przez pana skromność. Każdy wie, że...

- A czy pani wie, że sama może decydować o sobie?

W jego oczach pojawia się na mgnienie jakiś twardy błysk, który przejmuje ją nagłym lękiem i zwątpieniem, co on zdaje się odgadywać.

- Bardzo się cieszę, że pani do mnie przyszła. Sam zamierzałem panią prosić, jako osobę, z którą warto porozmawiać. Teraz poświęcam swój czas tylko... wybranym. Pani do nich należy.

W tym momencie opuszcza ją wszelka nadzieja. Już wie, co teraz nastąpi. Propozycja współpracy. Mimo woli prostuje się dumnie i - nie korzystając z poczęstunku - spogląda na niego wyzywająco.

Natychmiast wychwytuje tę zmianę i bez dalszych ceregieli rozpoczyna „dopros”.

- Znaczy tak... No to poznamy się bliżej. Muszę wiedzieć, komu mam pomóc, prawda?

Nie ma w nim ani śladu poprzedniej wylewności, tylko zimna poprawność.

- Nazwisko, imię, stopień wojskowy?

Zbyt dobrze zna metody śledcze, aby się zdziwić, toteż bez zająknięcia odpowiada.

- Janina Lewandowska, podporucznik czasu wojny, pilot szybowcowy i samolotowy.

- Zameżna czy stanu wolnego?

- Zameżna.

- Imię męża, jego zawód, stopień wojskowy?

- Mieczysław, starszy sierżant rezerwy, instruktor pilotażu.

- Nazwisko panięskie, imię ojca.

- Muśnicka, córka Mariana.

- A dalej?

- Co dalej?

- Coś tu chyba pani pominęła.

- Nie rozumiem.

- A ja myślę, że dobrze pani rozumie. Dowbor! Mówi to coś pani? Rodowe nazwisko, z którego jest taka dumna, a które w jego ustach zabrzmiało jak obelga, sprawia, że nie potrafi się go wyprzeć.

- Tak - oświadczam. - Z domu jestem Dowbor-Muśnicka, ale skąd?...

- A więc córka generała! No proszę. A imię ojca, jak mniemam, pomyłone? Na pewno Marian?

- Józef! - patrzy mu w oczy bez lęku.

- Przepięknie! Gościmy w naszych progach nie byle kogo. Córka generała brygady Józefa Dowbora-Muśnickiego. Carskiego oficera! Wodza Pierwszego Polskiego Korpusu na terenie Rosji i wodza Powstania Wielkopolskiego!

W duchu zastanawia się, skąd on to wszystko wie.

- Wtajemniczyłam tylko kilka osób - wszyscy poza podejrzeniem. Musiał ktoś z boku podsłuchać. Albo z moich, najpewniej przejętych, listów doszli „po nitce do kłębka”.

On tymczasem przygląda się jej, lekko rozbawiony i usatysfakcjonowany, że nie dał się wyprowadzić w pole. Jednocześnie rozważa ewentualność skaptowania tej generalskiej córeczki do współpracy. Aż się uśmiecha do tej myśli, toteż kontynuuje przesłuchanie, na razie w tym samym tonie. A nuż ją przestraszy?

- Pani wykształcenie? I zawód?

- Konserwatorium muzyczne, urzędniczka pocztowa.

- Ach jej! Nie śpiewaczka i nie pilot? - uśmiecha się z przekąsem.

- To tylko dla przyjemności. Sportowo.

- Piękne upodobania. A do jakiej partii pani należała?

- Do żadnej.

- Słusznie. A miejsce urodzenia to gdzie?

- Charków.

- Proszę, proszę. Charków... Rosjanka!

- Urodzić się można wszędzie. Ważne jest pochodzenie. Polskie pochodzenie. Z matki Polki i ojca Polaka. Dzielnego żołnierza, który Polsce poświęcił życie.

- Śmiem zauważyć, że służył też w carskiej armii. To kogo chronił? Nie Rosję przypadkiem? Czy z Rosją walczył w Powstaniu Wielkopolskim?

Tak go w tej chwili nienawidzi, że chciałaby potwierdzić. Ponieważ nie może, bąka niewyraźnie.

- Z Niemcami.

Nieoczekiwanie rozpromieniony, znowu serdeczny, woła:

- Wspaniale! To i pani nie zamierza z nami walczyć? Słowianin ze Słowianinem? Niemiec to prawdziwy wróg, prawda? Wasz i nasz.

- Wasz?! - krzywi się ironicznie.

- Pożyjemy, przekonamy się - Zarubin zmienia nagle temat, przechodząc na grunt mniej kontrowersyjny.

- To proszę mi zdradzić, jaki był stan majątkowy rodziców?

- Majątek ziemski. Niewielki.

- Niewielki... A gdzież to?

- Taka wioseczka pod Poznaniem. Batorowo.

- Szlachta? Arystokracja!

- Tak jest. Polska stara szlachta.

- A służby dużo było?

- Nie bardzo. Tyle, ile potrzeba.

- Tak... A wie pani, że arystokracja to klasa zwyrodniała? Że przyszłość należy do ludu pracującego?

- Jeśli się ten lud wykształci, przyuczy...

- Tak. Właśnie tak. Oświata dla mas! Czyż to nie szlachetna idea? Wszyscy ludzie są równi. Dość przywilejów dla jednych kosztem innych. Nie uważa pani? Taką doktrynę, zdaje się, głosił Jezus Chrystus. Wierzy pani w Chrystusa?

- Wierzę. Ale w Polsce każdy obywatel ma szansę. Wszystko zależy od zdolności, dobrych chęci i pracowitości. U nas chłop został ministrem.

- Mówi pani o Witosie.

- Właśnie.

- Przepięknie... Tylko że waszej Polski już nie ma.

Enkawudzista zapomina na moment o przyjętej roli „dobrego wujaszka”.

- Myli się pan, generale. Polska była, jest i zawsze będzie!

Jest tak oburzona, że nie myśli o przestrożach księdza Ziółkowskiego, aby trzymać język za zębami. Ale i on daje się ponieść emocjom.

- Może i kiedyś będzie. Tymczasem wasz świat runął. Świat panów i obszarników. I nie wiadomo, czy wszyscy dożyją tego „będzie”. Dziś nowe wiatry wieją po świecie. Kto mądry i nowoczesny, ten z wiatrakami walczyć nie będzie. Przyszło nowe, lepsze, sprawiedliwe. Warto dla mrzonki trwać przy starym? Chce pani jeszcze zobaczyć młodego męża czy nie? - kończy z wyraźną pogrózką.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, rezygnuje z dalszych badań. Zrozumiał, że niczego nie osiągnie, więc - dla porządku - zadaje ostatnie pytanie, już innym tonem.

- A jak oceniacie starania obozowych władz odnośnie życia kulturalnego? Czy dobrze dbamy o wasze rozrywki i o rozwój... intelektualny?

- Moim zdaniem, raczej ideologiczny - rzuca nierozważnie.

- Oto wdzięczność! - wykrzykuje. - Wydział kulturalny działa u nas bardzo pręźnie. Każdego dnia pogadanki, dyskusje, filmy, książki, prasa, koncerty. To mało?

- Nie każdy lubi to, czego nie wybrał - odpowiada dyplomatycznie.

- Ach tak! Wy wolicie, oczywiście, własne tajne zebrania i modlitwy, bo to zakazane. Czy dlatego ciekawsze?

Nie mogąc potwierdzić, bo tym samym przyznałaby się do nielegalnych spotkań, raz jeszcze ryzykuje pytanie.

- Co złego jest w modlitwie?

- A co z niej za korzyść? Modlić się do kogoś, kogo nie ma! Ciemnota.

Po raz chyba pierwszy wychylił się z ramek angielskiego dżentelmena i rasowego śledczego. Tego dla niej za wiele. Powstawszy, oświadcza dobitnie:

- Bóg istnieje! I On wszystkich rozliczy.

- Bajki głoszone przez duchownych! Tylko was przeciwko nam nastawiają. Na szczęście nie macie już waszych szamanów - buntowników. Kiedy pojmiecie, że nasi oficerowie NKWD i mądrzejsi, i bardziej oświeceni i więcej mogą? Nie lepiej ich posłuchać, zamiast jakichś spirytystów?

- Ja w tym udziału nie biorę.

- I bardzo dobrze. Może jeszcze byliby z was ludzie, ale już... nie zdążycie.

- Bo wyjedziemy?

- Wyjedziecie, wyjedziecie. To pewne.

Jego wygląd zmienia się raptem nie do poznania i ta przemiana nic dobrego nie wróży. Budzi lęk. Najwidoczniej zadowolony z wrażenia pozwala sobie na kolejną metamorfozę i oto znowu gra przed nią uroczego mężczyznę.

- Młoda pani, przystojna, wykształcona, mądra, zdolna... Proszę to jeszcze przemyśleć. Nie zwlekając!

Doskonale wie, co ma przemyśleć, i wie, że nawet za cenę życia tego nie zrobi. Rośnie w niej napięcie psychiczne, czuje, że zaczyna tracić wątek, więc milczy. Przy tym kobiecą intuicją wyczuwa w nim coś straszliwego. Coś, co budzi grozę wielokrotnie większą niż jego brutalni, tępi koledzy z NKWD.

- Boże, niech on mnie już wypuści!

Nade wszystko pragnie stąd uciec. Gdyby wiedziała, co on w tej chwili myśli, bałaby się jeszcze bardziej.

- Wraże szczenię, niech ginie!

Powstawszy energicznie, wyjmując z szafy jej teczkę, kreśli w rogu niewielki, nieczytelny dla niej znaczek, po czym żegna z daleka, nie podając ręki, tylko skłaniając lekko głowę, co czyni niejako z nawyku dyplomaty - dżentelmena.

Nie zabawi już długo w obozie. W pierwszych dniach marca nagle opuszcza kozielską „Zakazaną Zonę”. Śledztwo zakończone. Powierzone mu przez partię zadanie wykonane. Selekcja przeprowadzona. Stalin i reszta zatwierdzą wyroki: życie lub śmierć.

Być może nie chce być naocznym świadkiem ostatniej drogi oszukanych, a może po prostu przestrzega procedury. Odpowiednie dyspozycje do władz obozowych można przecież

przekazać drogą telefoniczną.

Odjeżdża via Starobielsk i Ostaszków, do końca nierozszyfrowany przez oficerów, którym dał się poznać z najlepszej strony i którzy ufnie wiążą z tym zniknięciem nadzieję na rychle opuszczenie obozu.

Nie mylą się. Wyjadą. Lecz nie tam, dokąd pragną.

Po kilku dniach do obozu przybywa nowy śledczy, pułkownik NKWD, którego nazwiska nikt nie wymienia. Jest przeciwieństwem kulturalnego, eleganckiego, przystojnego, wymuskanego dyplomaty Zarubina. To chłopisko ogromnej postury, o spasionej, czerwonej, mięsistej gębie. Od razu zyskuje przezwisko „Czerwony Diabeł”. Kiedy przechodzi przez klasztorne podwórze, każdy stara się schodzić mu z drogi. Wzbudza dziwny niepokój, jakieś złe przeczucia. Jest jak dzikie zwierzę. Emanuje wrogą, pierwotną siłą, bezwzględnością i okrucieństwem. Tym bardziej żałują miłego kombryga Zarubina. Janina już do nich nie należy.

ZAWTRA NA RODINU? JUTRO DO KRAJU?

Informacje o bliskim, coraz bardziej pożądanym wyjeździe „na rodzinę”, potwierdzone przez „krasnoludki”, a także oficerów NKWD to już codzienność. Pod tym hasłem wchodzi w marcowe, dłuższe nieco i cieplejsze dni.

Jeśli cokolwiek ich niepokoi, to wiadomość, że za ewakuację będzie odpowiedzialny „Czerwony Diabeł”. Przymusowi „obywatele radzieccy-” martwią się dodatkowo.

- Skoro nasze rodziny wywożą na Sybir, to co mówić o nas?!

Wszyscy jednakowo dziwią się wciąż trwającym „doprosom”. Zamiast (w obliczu bliskiego wyjazdu i nieobecności Zarubina) ustać, jeszcze się nasilają, a szczególnie aktywnym oficerem śledczym staje się nagle politruk Samarin. Trochę naśladuje styl nieobecnego kombryga, do którego mu zresztą daleko. Na zakończenie przesłuchania zadaje każdemu powtarzające się dziwaczne pytania.

- Co byście zrobili, gdyby wasza prośba o wysłanie do strefy niemieckiej została spełniona?

Jeśli to „obywatel niemiecki”, odpowiada:

- Przede wszystkim rodzina. To się liczy najbardziej.

- A co, gdyby was odesłano w głąb Związku Radzieckiego?

Oczekiwana odpowiedź powinna brzmieć:

- Pracowałbym dla jego dobra.

Lecz żaden z oficerów (poza nielicznymi - jak się okaże - wyjątkami) do takiej się nie zniżył. Może niektórzy, przebieglejsi, dla „zmylenia przeciwnika”. Na ogół jednak takie stanowisko jest uważane za niedopuszczalne i poniżej godności polskiego oficera.

Ostatnie pytanie niejako wieńczy dzieło.

- A co byście zrobili, gdybyście mnie przypadkowo spotkali na ulicy? Tu trzeba zachować wyjątkową rozwagę. Zamiast rąbnąć prosto z mostu coś, co samo ciśnie się na usta, lepiej grać na zwłokę, pytając z głupia frant.

- Gdzie?

Daje się na to kupić.

- No... W Moskwie na przykład.

- Trudno powiedzieć... Pewnie bym was pozdrowił, jak starego znajomego.

- A gdyby tak w Warszawie?

- Hm... Kto wie, czy bym was poznał w tłumie.

- A jeśli byście poznali? - drąży. Szczera riposta musiałaby brzmieć:

- Dostałbyś, draniu, za swoje! Zamiast tego bezpieczniej udać Greka.

- Może bym was na herbatkę zaprosił?

I tylko błysk w oku zdradza, że myśli co innego i tylko to się dla Samarina liczy, więc odnotuje w kartotece.

„Zatwardziały wróg nierokujący nadziei na resocjalizację”. Ponieważ nie jest w stanie przepytąć wszystkich, sporządza ankietę, którą „krasnołudki” roznoszą po zonach z poleceniem jak najszybszego wypełnienia i zwrotu. Wzbudza tym kpiny.

- Tyle papieru zmarnował!

- Przyda się mu zamiast toaletowego.

Wszystko wskazuje na to, że władze obozowe nadal nie zamierzają rezygnować z pozyskania współpracowników. Służy temu, między innymi, emitowany przez radiowęzeł 10 marca odczyt na temat organizacji lotnictwa w przedwojennej Polsce i o szkodach, jakie wyrządziły krajowi niemieckie naloty.

- Najwyraźniej chcą nas nastawić przeciwko Niemcom - dziwi się Janina. Słucha audycji, zdumiona przytaczanymi przez spikera ściśle tajnymi, dokładnymi danymi i ogarnia ją gniew.

- Musieli mieć u nas doskonale zorganizowany wywiad - szepcze do przyjaciół, których jak zwykle odwiedza w „Cyrku”.

W rezultacie ten szczególnie bliski temat wpływa na nią depresyjnie. Budzi tęsknotę do dawnego życia, do ukochanych. Zwłaszcza tego jedyne. Męża.

- Och, wznieść się ponad chmury! Uciec daleko stąd! Być wolną jak ptak. Szybować w przestworzach, a potem wylądować tam, gdzie czeka Mieczuś.

Po wymizerowanych policzkach spływają łzy, zatrzymują się w kącikach spękanych, owrzodzonych warg. Aby je ukryć, ucieka do swojej komórki pod schodami willi „Bristol”.

Wiele wskazuje na to, że Rosjanie są jacyś zdezorientowani. Już następnego dnia więźniowie usłyszą płynący z głośników szczekliwy głos Adolfa Hitlera przemawiającego do narodu niemieckiego. Nawołuje do zwiększonego wysiłku w walce o zwycięstwo, jakiego jeszcze w historii świata nie było.

- W jakim celu o tym trąbią?! - denerwują się oficerowie.

- Żeby nas do reszty pognębić.

- Więc się nie dajmy! Puszczajmy to mimo uszu.

Trudniej ignorować wieść o zakończeniu wojny Rosji z Finlandią, o czym dowiedzą się już cztery dni później.

- Teraz odegrają się na nas. Kogoś przecież muszą tłamsić. Jak nie Finów, to kogo?...

Wszelkie niepokoje ucina oficjalne, potwierdzające plotki Agencji Jop, zarządzenie wydane przez komendanta Korolewa.

„Ci, którzy posiadają rodziny w neutralnych państwach zachodnich, mogą składać podania z prośbą o wyjazd do nich”.

Mimo że trwa Wielki Post, w obozie wybucha euforia.

- A więc to prawda! Możemy się udać do państw neutralnych!

- Wszyscy! Jak nam udowodnią, że nie mamy tam rodzin? Nie jest to jednak pewne. Zgromadzeni przymusowo w klubie na odczytanie komisarza Aleksandrowicza oceniającego sytuację polityczną na świecie, dowiadują się o możliwym przystąpieniu do wojny Ameryki i o ewentualnym jej zakończeniu za około półtora roku.

- Zwycięzcami będziemy oczywiście my i Germania - twierdzi.

- A koalicja? - pada z głębi sali.

- Koalicja wkrótce się rozpadnie, a my jesteśmy przygotowani do wzięcia spraw w swoje ręce. Nasz przemysł zbrojeniowy kwitnie, a i Germania ma się czym bić. Trzydzieści tysięcy samolotów, dwadzieścia łodzi podwodnych! Kto da im radę?

Kiedy ktoś nieśmiało zapyta o termin opuszczenia obozu, macha ręką.

- Tak wam pilno opuścić zwycięzców? Mało u was rozumu, Polaki!

Wracając na bloki, wciąż o tym dyskutują.

- Kłamie podlec!

- Łże jak pies, żeby nas przestraszyć!

- Nie dadzą rady Anglii i Francji.

- A jeszcze jak się Ameryka dołączy!...

- Nas też tak nie zostawiaj. Minister spraw zagranicznych Józef Beck jeszcze w kwietniu i maju trzydziestego dziewiątego otrzymał od Anglii i Francji gwarancje o pomocy, poparte umowami wojskowymi, zobowiązującymi sojuszników do rozpoczęcia ofensywy najpóźniej po czternastu dniach od momentu napaści Niemiec na Polskę.

- Ale nie rozpoczęli!

- To prawda. Teraz jednak uderzą na pewno.

- Jasne! Bo sami w kuchnię od Hitlera dostali!

- Właśnie. Muszą tylko wzmocnić swoje siły na Środkowym Wschodzie. Nie bez kozery „krasnołudki” szepczą pokątnie o pewnej już likwidacji wszystkich sowieckich obozów. A jeśli tak, to gdzie by nas mieli dalej przetrzymywać?

- Gdzie?! Na Sybirze miejsca dużo. Dziesięć milionów kilometrów kwadratowych powierzchni na pewno wystarczy.

- Kochani! - wtrąca ksiądz Ziółkowski. - Nie warto tracić energii na próżne dywagacje. Trzeba zaufać Panu Bogu. On jest Panem historii, zwróćmy się ku Niemu. Mamy przecież Wielki Post.

- Racja! Na tym się skupmy!

W piątki biorą udział w potajemnych Drogach Krzyżowych i niedzielnych Gorzkich Żalach prowadzonych przez jedyne go obecnego kapelana obozowego, księdza Jana. Widząc powszechne przygnębienie, nawołuje:

- Bracia moi umiłowani! Przeżywamy Wielki Post, przygotowujemy się do świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Proszę was, ofiarujcie swoje cierpienia Chrystusowi Umęczonemu w intencji zakończenia naszej niewoli.

Dzielny kapłan, choć coraz jest słabszy fizycznie, dwoi się i troi, by godnie przygotować swoje owieczki do Wielkanocy. Bez przerwy spowiada i udziela sakramentu Eucharystii, co przysparza obowiązków także Janinie. Całymi godzinami wypieka komunikanty zarówno na potrzeby bieżące, jak i na świąteczną Paschę.

Jeden dzień, 19 marca, wyróżnia się spośród innych. To patronalne święto św. Józefa - imieniny Marszałka Piłsudskiego. Wygłaszany tego wieczoru z zakamarków cerkiewnych chórów „Dziennik śpiewany” oraz trzy-minutowe skupienie modlitewne zostają w całości poświęcone twórcy Legionów, odrodzeniu państwa polskiego po 123-letnim niebycie oraz zwycięskiej Bitwie Warszawskiej.

- Bracia, pamiętajmy o tej ogromnej zasłudze polskiego oręża. Chociaż jeszcze osłabieni po latach niewoli, obroniliśmy Ojczyznę przed bolszewicką nawałą. Więcej! Powstrzymaliśmy sowiecki pochód pod leninowskim hasłem „Przez trupa białej Polski - do serca Europy”, a więc i Europa wiele nam zawdzięcza.

- A jak nam za to odpłaca?! - słychać anonimowy okrzyk, lecz nikt tego wątku nie podejmuje.

Czują się podniesieni na duchu, pewniejsi siebie i napelnieni nadzieją. Dla Janiny to okazja, by uczcić pamięć także innego Józefa. Ukochanego ojca, gen. Dowbora-Muśnickiego. Czyni to w głębi serca, z ręką na jego Medalionie.

W dniach 21-23 marca przypada Triduum Paschalne. Wielki Czwartek, Piątek i Sobota sprzyjają głębokim przeżyciom duchowym, nad czym czuwa niezmordowany kapelan.

- Kiedy ksiądz odpoczywa? - pytają go, zdumieni, a on w odpowiedzi tylko się uśmiecha.

Co dziwniejsze, ani razu nie zostaje przyłapany przez strażników na gorącym uczynku. Kiedy się temu radośnie dziwią, oświadczą poważnie.

- Wystawiam na czatach mojego Anioła Stróża. Waszych też proszę o współdziałanie.

Dzień Wielkanocy, 24 marca, wstaje słoneczny, mroźny tylko z rana i wieczorem. Nastroje także - mimo wszystko - pogodne. Jeszcze przed świtem ksiądz odprawia Rezurekcję, na której wtajemniczeni gromadzą się w cerkiewnych podziemiach.

Janinie udało się podczas czterdziestu dni Wielkiego Postu przygotować kilkaset komunikantów. Przechowywała je u siebie, jako w miejscu najmniej narażonym na rewizję, a ksiądz Jan konsekruje je teraz partiami, na zaimprovizowanym ołtarzyku na skrzynce, podczas kolejnych Mszy Świętych.

Jedną z nich rozpoczyna piękny, ciepły, kobiecy śpiew.

Otrzyjcie już łzy płaczący, żale z serca wyzujcie, Wszyscy w Chrystusa wierzący, weselcie się, radujcie.

Bo zmartwychwstał samowładnie, Jak przepowiedział dokładnie.

Alleluja, alleluja, niechaj zabrzmi alleluja! (...)

Męskie oczy napełniają się łzami, a serca tęsknotą i radością. Janina, choć wzruszona, usiłuje panować nad swoim głosem, co nie do końca się jej udaje, więc poprzestaje na tej jednej pieśni, niosącej nadzieję, że Zmartwychwstały Pan wyprowadzi swoje dzieci z tego domu niewoli.

Po końcowym błogosławieństwie, zbliża się do niej nieśmiało wysoki, przystojny, mimo wyniszczenia, młodzieniec o uderzająco szlachetnych rysach twarzy.

- Bardzo przepraszam, ale ja... Słyszałem, że jest między nami kobieta... Lotniczka. A tu, widzę, jeszcze - artystka! Nie bardzo w to wierzyłem. Proszę darować śmiałość, chcę podziękować. Serdecznie... Usłyszeć nagle taki śpiew... tutaj, to naprawdę... To tak, jak bym do domu wrócił. Do mojego Sanoka. Wystarczyło tylko zamknąć oczy.

Pani pozwoli. Podchorąży, kawalerzysta, dowódca plutonu 20. Pułku Ułanów w Grudziądzu, Zdzisław Jastrzębiec-Peszkowski, rocznik 1918, zaprzysięgły harcerz „od urodzenia”. Wzięty do niewoli po 17. września. W Zakazanej Zonie od października.

Janina odnosi wrażenie, że stoi przed nią świętej pamięci Olgierd, tak bardzo ten miły chłopak przypomina go wewnętrznym żarem w głosie i spojrzeniu, a jednocześnie niepojętym jakimś ciepłem. Również żołnierską energią i dumą.

Pod wpływem nagłego impulsu wyciąga rękę i leciutko muska jego wychudzony policzek, po czym szybko odchodzi, a on długo jeszcze stoi w miejscu, wzruszony tą nieoczekiwaną, siostrzaną pieśczętą.

Przez cały ten dzień w obozie panuje ożywiony ruch. Już od rana pozdrawiają się wzajemnie radosną wieścią.

- Chrystus zmartwychwstał!

- Prawdziwie powstał! - brzmi prawidłowy odzew, lecz na usta ciśnie się inny, który dodają.

- I my zmartwychwstaniemy!

Chociaż świadomi wielkości tego święta (łatwiej przecież urodzić się niż powstać z martwych), obchodzą je skromniej niż Boże Narodzenie. Z głodowych porcji żywieniowych niepodobna oszczędzić choćby odrobiny. Ich świąteczne śniadanie składa się jedynie z okruchów posolonego chleba. Są u kresu sił i nie ma na to ratunku. Nawet jeśli ktoś dysponuje jeszcze czymś wartościowym do sprzedania, nie ma już „ławoczki”, a więc i produktów.

Wprawdzie na blokowych stołach, zasłanych prześcieradłami i przystrojonych świerkową zielenią, królują kiełbasy, jaja i szynki, nie można się nimi pożywić. To tylko wykonana z drewna, świąteczna dekoracja. Niektórzy próbują skubać miękkie, seledynowe pędy wyrastające na końcach ciemnozielonych gałązek, lecz inni ich powstrzymują.

- Nie ruszać! Idźcie do lasu i tam sobie skubcie do woli, aż zaspokoicie głód. Tych tutaj dla wszystkich i tak nie starczy.

Dożywają się nimi rzeczywiście, żując w ustach, a ich cierpki smak pomaga znosić głód i odświeża oddech. Stanowią też zastrzyk witaminowy ratujący przed skorbutem i wypadaniem zębów oraz przed kurzą ślepotą.

Jedynie w generalskiej zonie podano wykonaną przez Janinę sałatkę z kartofli, buraków i śledzia. Jest też jedno prawdziwe, cudem skądś zdobyte jajko. Wszystkie składniki dostarczyli ordynansi, lecz kto to sponsorował, nie zdradzili.

Nic tego dnia nie jest w stanie zmaćcić optymistycznych, bo wyjazdowych nastrojów. Wszyscy się wzajemnie odwiedzają, życzą rychłego powrotu do Polski, spacerują, dyskutują. Biorą także udział w wybranych przez siebie odczytach i wykładach przygotowanych na tę okazję przez dowództwo.

Lany poniedziałek wstaje pochmurny, jakby zachęcał do tradycyjnego polewania wodą oraz udziału w jeszcze liczniejszych niż wczoraj spotkaniach naukowych. Jedyny zgrzyt pośród tej świątecznej podniosłości to widok snującego się po obozowych ścieżkach „Czerwonego Diabła”. Działa na nerwy, budzi złe przeczucia. Z nikim wprawdzie nie rozmawia, lecz sam jego widok mrozi każdego, kto go pechowo spotka.

Równy po świętach ucinają się raptem wezwania na „doprosy”, co trochę zdumiewa, trochę niepokoi, ale w sumie nastraja optymistycznie.

- Nareszcie dali nam spokój!

- Nic nie osiągnęli, więc zrezygnowali.
- Teraz naprawdę czas myśleć o wyjeździe.

Nie są świadomi, że ich los został ostatecznie przypieczętowany i że spośród nich tylko garstka odzyska wolność - ci, co do których władze żywią nadzieję, iż dadzą się ideologicznie zmanipulować i wykorzystać. Jedni i drudzy żyją tym samym - graniczącą z pewnością nadzieją, że to koniec niewoli. I nic nie jest w stanie powstrzymać ich przed szykowaniem się do podróży. Nawet powtórny zakaz korespondencji wydany pod koniec marca ani coraz podlejsze i coraz skąpsze racje żywnościowe, przeważnie same zupy - rzadkie, wodzianki - raz z niedogotowanymi krupami, innym razem na rybich cuchnących odpadkach albo z kapustą, peluszką, soczewicą czy makaronem. Przy tym chleba jak na lekarstwo i to nie zawsze.

W tej sytuacji trudno zachować żołnierską postawę czy zadbać o wygląd. Zmaltretowani głodowymi skurczami snują się pokuleni, z twardymi, wydętymi, pustymi brzuchami, z poczerniałymi, wychudzionymi twarzami i płonącym głodową gorączką wzrokiem. I niewiele pomaga żucie młodych, miękkich, seledynowych pędów sosnowych. Młodzi, wysportowani, silni mężczyźni, którzy tu przybyli jesienią, wyglądają teraz jak żywe, pokryte wrzodami trupy. Wszyscy cierpią na rozstrój żołądka, więc przed latryną stoją niekończące się kolejki. Miary przygnębienia dopełnia istna plaga rewizji na blokach. Tym bardziej że zbeczelniałe „krasnołudki” podkradają przy okazji, co się da. Nawet najwięksi optymiści tracą pewność siebie.

- Oni już na nas położyli krzyżyk - zapewniają.

Lecz najtwardsi, szczególnie wyżsi oficerowie, spieszą z pocieszeniem.

- To najlepszy dowód, że lada chwila wyjedziemy. Tracą darmową siłę roboczą, więc oszczędzają wydatki. Wytrwajcie. Za wszelką cenę wytrzymajcie! - tłumaczy gen. Minkiewicz.

Gorączka wyjazdowa to się podnosi, to opada, a wtedy górę biorą nastroje pesymistyczne.

- Jak tak dalej pójdzie, nie doczekamy ani wyjazdu, ani końca wojny.

- Położyli na nas lachę. Nawet na „doprosy” nie biorą.

- To chyba lepiej? Jakby cię „Czerwony Diabeł” wziął na spytki, żywy byś nie wyszedł.

- A propos, widział ktoś może „Imbryka”? Jak zniknął na początku marca, zdaje się - szóstego, tak się nie pokazał. (W dniu 5 marca 1940 r. Stalin i inni członkowie Politbiura podpisali wniosek Ławrientija Berii skazujący polskich oficerów wziętych do niewoli w 1939

roku na śmierć, nic więc dziwnego, że Zarubin nie miał już w obozie nic do roboty).

- Po co ma tu siedzieć, skoro nie przesłuchuje?

- A słyszeliście, co powiedział generałowi Minkiewiczowi, kiedy go spytał, co z nami będzie?... Ze dla naszego dobra nie może powiedzieć.

- To chyba nic dobrego nie wróży?

- Na to wygląda. Jedyna nadzieja, że zdążymy wyjechać.

- Podobno akcja „Wywózka” w toku.

- Skąd to wiadomo?

- Jak to, skąd! Obozowa Agencja Informacyjna Jop od paru dni nadaje bardzo intensywnie.

- No jeśli Jop... Prędeż nam rosa oczy wyje!

Mimo wszystko wyjazd do krajów neutralnych wydaje się coraz bardziej realny, więc krzywa podniecenia znów zwyżkuje. Sprzyja temu kalendarzowy pierwszy dzień wiosny, 21 marca. Nic to, że południowe słońce roztopiło śnieg i trzeba brodzić przez kałuże, nabierając wody do zniszczonych, zmatowiałych oficerek. Nie budzą już takiej jak przedtem zazdrości obozowych „krasnoludków”.

W nocy wszystko z powrotem zamarza, a słupek rtęci na lagrowym termometrze wskazuje minus 10 stopni Celsjusza.

- A w Polsce prawdziwa wiosna! - rozmarza się ktoś, co rozwiązuje języki.

- W lasach kwitną zawilce i nie ma już mrozu.

- A moja Basieńka plecie z nich sobie wianki na główkę. Panie Boże, kiedy przytulę moją córeczkę?

- Och, szybciej się stąd wyrwać!

„GODZINA PAPUGI”

- To godzina, kiedy w obozie zaczynają kompletować listy z nazwiskami wyjeżdżających. Na różnych blokach różne nazywana. „Godzina papugi”, bo przypomina to wyciąganie losów przez papugi kataryniarzy występujących na ulicach miast. Inni zwą ją „godziną ruletki”, co się tłumaczy podobnie. Nikt nie wie, kogo i kiedy wyczytają.

Z nastaniem kwietnia coraz intensywniej zaczyna pachnieć wiosną coraz mniej śniegu na obozowych ścieżkach. Wieją świeże, ciepłe wiatry, serca nabrzmiewają nadzieją.

- Może i nas stąd wywieją? - cieszą się więźniowie.

Nowy, „stuprocentowy jop” wypuszczony przez obozowy ośrodek dezinformacji zdaje się to potwierdzać.

- Wszyscy Polacy wracają do Polski!

Podniecenie ludzi zdaje się udzielać murom, buzuje nim nawet powietrze. Tym bardziej intensywnie, że nagle zostaje zniesiony obowiązek pracy, a w ślad pojawia się nowa sensacja. W pierwszej chwili uznają ją za primaaprilisowy żart, brzmi jednak prawdopodobnie.

- Szykuje się wywózka poza obóz, do punktów rozdzielczych. Można wybierać. Albo Germania, albo Związek Radziecki. Co komu milsze!

„Krasnoludki” roznoszą po blokach pisemne deklaracje, wtykają każdemu do ręki, lecz generał Minkiewicz uznaje to za prowokację. Jego rozkaz w tej sytuacji brzmi jednoznacznie.

- Jakakolwiek deklaracja wykluczona. Trzeba żądać odesłania do dowolnego neutralnego kraju. Jako jeńcy wojenni (nie kryminalni ani polityczni, jak chcą Sowieci), mamy do tego pełne prawo.

Jeśli nawet nie wszystkim się to podoba, nikt nie waży się przeciwstawić dowódcy. Wyżsi rangą oficerowie ucinają nawet próby dyskusji na ten temat.

- Żołnierz nie mędrkuje. Rozkaz to rozkaz!

Po nieprzespanej nocy, z samego rana gromadzą się przed budynkiem administracji. Kto żyw stara się docisnąć do otwartego okna, przez które widać zasiadającego za biurkiem komendanta Korolewa. Trwa nieruchomo, wpatrzony w aparat telefoniczny. Nie wiadomo skąd, każdy wie, że czeka na telefon z Moskwy i że zadzwoni o dziesiątej. Nad tłumem unosi się cichy pogwar, którego nie zagłusza po raz pierwszy milczący radiowęzeł. Im bliżej do dziesiątej, tym na majdanie robi się ciszej. I nagle w tej nieprawdopodobnej ciszy rozlega się brzęczyk telefonu. Wszyscy wstrzymują oddechy, a Korolew sięga po słuchawkę.

- Jes't', słuszajus', tawariszcz lejtnant! (Tak jest, słucham, towarzyszu lejtnancie) - mówi służbiście i rzeczywiście cały zamienia się w słuch.

Wszystkie spojrzenia zawisły na jego ustach. Po krótkiej chwili pada z nich pierwsze nazwisko. (wciągane przez Korolewa na listy wywozowe dyktował z Moskwy zastępca Zarządu NKWD ZSRR do spraw Jeńców Wojennych, lejtnant bezpieczeństwa państwowego Chochtow.)

Dla pewności, żeby się nie pomylić, przeliterowuje je głośno i dokładnie, po czym czeka na potwierdzenie, raz jeszcze powtarza w pełnym brzmieniu i skrupulatnie wpisuje na listę. Ci przy oknie przekazują je stojącym z tyłu i tak - ponad stłoczonymi głowami - lotem ptaka dociera do pierwszego wybrańca losu. Oszalały ze szczęścia, wznosi w górę ramiona, ściska najbliższych stojących, śmiejąc się głośno, bezładnie coś wykrzykuje. Inni go uciszają, bo oto pada kolejne nazwisko. I następne... Jedno po drugim, w niewielkich odstępach. Po setnym połączenie z Moskwą zostaje przerwane, Korolew odkłada słuchawkę na widelki i wychodzi, a setka szczęściarzy, szalejąca z radości, ściskana przez kolegów, spieszy na swoje bloki, aby się przygotować do Wielkiej Chwili. Płacząc i śmiejąc się, wołają:

- Nareszcie! Nareszcie koniec niewoli!

Nie zwracają uwagi na głosy sceptyków.

- Koniec albo początek nowej!

Zostają zakrzyczani przez optymistów.

- Niemożliwe! Najwidoczniej w Moskwie działa jakaś francusko-brytyjsko-rosyjska komisja weryfikacyjna. Skąd by inaczej wiedzieli, dokąd kogo odesłać?

- A skąd te wiadomości? Na pewno nowy jop!

- Może i jop, ale logiczny.

- Aha, komisja! Prędzej papugę na enkawudówkę wyszkolili i teraz wyciąga nazwiska, jak losy.

- Pytanie, kto tam jest kataryniarzem!?

- Jak to kto? Nasz wymuskany „Imbryk”.

- Racja! Nie ma go tutaj, to musi być tam!

- To by było poniżej jego kombrygowskiej godności!

Mówią tak pół żartem, pół serio, bo - chociaż są trochę zawiedzeni, że nie ich „wyciągnięto” - jednak cieszą się, że AKCJA WOLNOŚĆ została rozpoczęta! Janina porusza się między nimi, jak w transie, prawie nieprzytomna.

- Nie mogę czekać, aż mnie któregoś dnia o jakiejś godzinie łaskawie wyczytają! Aż wyciągną mój los, jak papuga wróżbę ze skrzynki kataryniarza! Oszaleję! Po prostu zwariuję!

Muszę coś zrobić!

Nie zdaje sobie sprawy, że mówi głośno, do siebie. Ktoś natychmiast to podchwytuje.

- Panowie, czekamy teraz na kolejną „godzinę papugi”. Tymczasem rozejść się! Następne ciągnięcie, miejmy nadzieję, nastąpi. Więcej optymizmu! Zamiast się zamartwiać, pogadajmy o czymś weselszym.

Ona jednak nie ma ochoty na rozmowy. Spieszy do „Skitu”, aby jak najprędzej zasięgnąć rady gen. Minkiewicza, którego uważa jak własnego ojca.

- Może on potrafi wpłynąć na bieg wydarzeń?

Odwrociwszy się, niemal wrasta w ziemię, sparaliżowana zimnym, okrutnym wzrokiem „Czerwonego Diabła”. Patrzy na nią jak na przedmiot, jakby nie była człowiekiem, lecz pyłkiem na drodze.

Cały ten dzień, wyczytani przez Korolewa, zebrawszy resztki sił i wyzwoliwszy w sobie nowe pokłady energii, piorą rzeczy osobiste - skarpety, chustki do nosa, czyszczą mundury i oficerki, pakują się. Ci, którzy pisali pamiętniki lub wiersze, rozmieszczają je po kieszeniach. Podobnie posiadane fotografie rodzinne oraz listy od bliskich - największe skarby.

Skazani na dalsze czekanie koledzy spoglądają na nich życzliwie, lecz nie bez zazdrości. Każdy chciałby być w pierwszej turze, rozumieją jednak, że trzeba mieć cierpliwość.

- Nie wywozą naraz pięciu tysięcy chłopów!

Wieczorem odjeżdżający dostają żywność na drogę. Osiemset gramów chleba, szczyptę cukru i trzy śledzie zawinięte w szary papier. Ten papier stanowi dla nich zapowiedź lepszych czasów. To po prostu skarb, najbardziej w obozie pożądany, prawie nieosiągalny. Na czym napisać list, z czego skręcić papierosa, o celach higienicznych nie wspominając. Papier to po prostu luksus.

- Chcą zrobić dobre wrażenie. Udowodnić, że w Związku Radzieckim jest pełna kultura - pokpiwają.

Wczesnym rankiem 3 kwietnia, przez wszystkie budynki i bloki przechodzi oficer NKWD w asyście „krasnodudka”. W ręku trzyma listy, z których wyczytuje nazwiska wybrańców.

- Sobirajties' z wieszczami i wsie w klub! (Zbierajcie się z rzeczami i do klubu!)

Nakazuje też, aby zabrali całe wyposażenie obozowe otrzymane na początku: koce, zagłówki i naczynia. Trzeba je zwrócić.

- „Porządek” musi być! - śmieją się w duchu.

Niektórzy próbują podpytać enkawudzistę o cel podróży.

- Dokąd nas zabieracie?

Odpowiada, co mu ślina na język przyniesie, różnie w różnych blokach.

- Jedziecie na Zachód.

- Do krajów neutralnych.

- Do szkoły komunizmu.

- Do domu. Wystarczy?

Jasne, że wystarczy! Nie mają powodu, by wątpić. Wieściły to od dawna wszystkie jopy.

- Czy to w końcu ważne, dokąd?

- Gdzie nas zawiozą, tam pojedziemy. Byle stąd się wyrwać!

- Ale najpierw zażądają podpisania deklaracji. Po co by je rozdawali? Koniecznie chcą wiedzieć, co wybieramy.

- Nic nie będziemy podpisywać. Generał Minkiewicz wyraził się jasno. Jesteśmy żołnierzami, nie złamiemy rozkazu.

Żegnają się z najbliższymi współtowarzyszami, padają sobie w objęcia, wymieniają domowymi adresami. Dziwią się, dlaczego nie wyjeżdżają blokami, usiłują odgadnąć, czym władze kierują się przy typowaniu poszczególnych jeńców do wyjazdu, i dochodzą do wniosku, że to kwestia przypadku, że nie ma w tym żadnego systemu. Zgrupowano przecież ludzi w różnym wieku, różnych stopni i zawodów; zarówno rezerwistów, jak i żołnierzy zawodowych.

Najbardziej palącym problemem zarówno dla odjeżdżających, jak i jeszcze oczekujących, pozostaje cel wywózki. Od personelu zdołali dotychczas wyciągnąć tę jedną informację, że odjazd nastąpi ze stacji Kozielsk, gdzie stoją już „stołypinki” i to jest ta słynna łyżka dziegciu w beczce miodu.

- Na wolność w więźniarkach!

- Tylko w Przodującym Kraju Rad taka rzecz może się przydarzyć!

- W dodatku nie wiadomo, dokąd!

- Wszystko jedno. Aby jak najprędzej!

Każdy aż się pali do drogi. Ktoś wpada na świetny pomysł.

- Mimo rozłączenia bądźmy, koledzy, w kontakcie. Skoro pierwsza partia ma jechać koleją, to następne także. Najpewniej tymi samymi wagonami. Pierwsi poznacie trasę. Nie trzymajcie tego pod korcem. Zostawiajcie grypsy i zapisujcie na ścianach czy ławkach nazwy mijanych stacji. Szczególnie ostatniej.

Również generałowie przekazują przez oficerów kategoryczne instrukcje.

- W punktach rozdzielczych mogą od was żądać podpisania deklaracji. Niech nikt nie waży się tego robić! To rozkaz! Kto by go złamał, zostanie uznany za dezertera z polskiej armii. Jedno, czego macie żądać, to skierowania do krajów neutralnych. Tam jeszcze się Polsce przydamy.

Janina jest o tym przekonana. Tego samego zdania był przed laty jej ojciec, stojąc przed trudnym wyborem: rozbrojenie Polskiego Korpusu, czy walka skazana na klęskę.

- Nasz wybór nie jest aż tak dramatyczny, tatku - pociesza się.

Między gotowymi do wyruszenia w drogę szczęśliwcami jest por. rezerwy Henryk Gorzechowski senior. Nie potrafi się jednak cieszyć. Rozdzielono go z synem. Próbuje temu przeciwdziałać.

- Spakuj się Mikuś i bądź gotów. Do klubu ze mną nie wejdiesz, bo nie ma cię na liście, ale czekaj w pobliżu. Idę do komendantury.

Stanąwszy przed Korolewem, uderza w błagalny ton.

- Grażdanin kamiendant, (panie Komendancie) proszę was o dopisanie mojego syna, Henryka Mikołaja Gorzechowskiego, do dzisiejszego transportu! To jeszcze dzieciak. Nie rozłączajcie nas! Błagam jak ojciec ojca! Bo chyba ma pan dzieci?

Korolew rozkłada ręce.

- Nie mogę. Wkrótce i tak wszyscy się spotkacie.

Jakże przykro patrzeć na pożegnanie ojca z synem. Obaj płaczą rzewnie.

- Mikuś, trzymaj się kochany! - szepcze starszy pan, biorąc go w ramiona. - Zobaczysz, wrócisz do domu. Matka Boska Ostrobramska, nasza wileńska Matka Miłosierdzia ciebie ocali. Ufaj. I strzeż Jej jak życia własnego!

Musi odejść, bo grupa wyjazdowa wchodzi już - między podwójnym szpalerem „krasnoludków” - do klubu. Z tyłu cisną się gromadnie pozostający jeszcze na miejscu. Chcą ostatni raz popatrzeć na odjeżdżających, bo podejść już do nich nie można. Wszelki kontakt zabroniony. Lecz nikt nie jest w stanie zamknąć im ust i stłumić okrzyków.

- Do zobaczenia w Polsce!

- Trzymajcie się!

- Szczęśliwej podróży!

W obszernej sali klubowej, gdzie przez ubiegłe cztery miesiące musieli obejrzeć dziesiątki propagandowych filmów, „krasnoludki” poddają każdego szczegółowej rewizji, lecz nie interesują ich żadne listy, zdjęcia czy zapisane kartki, tylko wartościowe przedmioty. Jeśli ktoś jeszcze je posiada, dziś straci. Kontrolerzy przywłaszczają je, niemal się z tym nie

kryjąc, a właściciele nie protestują. Sądzą, że odwróci to uwagę od drogich sercom pamiątek ukrytych w mundurowych schowkach.

Ponownie spakowani, dostają lepszy niż zwykle posiłek pożegnalny. Duże porcje kaszy z olejem i po kawałku gotowanego dorsza. Posileni, lecz nienajedzeni, są konwojowani do łaźni, a stąd - za obozową bramę, druty i fosę, gdzie oczekują samochody ciężarowe i uzbrojony konwój. Jest już dobrze po południu, słońce wysokie i jaskrawe. Mimo że pod strażą, kroczą radośni, uśmiechnięci, z podniesionymi głowami, jakby przybyło im sił - żegnani przez salutujących kolegów. Niby niechący upuszczają na ziemię pudełka po zapalkach, nawet je przydeptując, lecz patrzący od razu domyślają się, o co chodzi. Kiedy je potem podniosą, w każdym znajdą jakąś informację nakreśloną pospiesznie ołówkiem.

- Podczas rewizji szukają broni.
- Obchodzą się z nami uprzejmie.
- Nie odbierają rzeczy osobistych, chyba że coś ukradną.
- Nie wiadomo, dokąd jedziemy. Mówią o Germanii, Sojuszu, a nawe-o Litwie.

Młody ułan, Henryk Michał Gorzechowski wpatruje się w odchodzącego ojca z uczuciem, że mu pęknie serce, stara się jednak „być mężczyzną” Starszy pan przeżywa rozstanie z synem jeszcze mocniej. Odwróciwszy się. już z pewnej odległości, woła:

- W razie czego, opiekuj się mamą!

Jeszcze chwila i ciężka brama zamyka się za ostatnim wybrańcem więc żegnający zaczynają się powoli rozchodzić. Przez myśl im nie przejdzie, że ci, którym tak zazdroszczą, stoją właśnie w osłupieniu na widok silnego, obcego konwoju uzbrojonego w pepesze, obstawiającego przejście pomiędzy fosą a dwiema ciężarówkami z zakratowanymi, zamalowanymi farbą oknami i że samo przejście przez ten szpaler przeobrazi ich euforyczną radość w zwątpienie i lęk.

Obóz tymczasem nadal żyje nadzieją. Wszystkie rozmowy dotyczą jednego. Kto i kiedy trafi teraz na listę. Nie brak i malkontentów.

- Skąd pewność, że będą dalsze listy? Poluźnili bloki i na tym koniec:

Lecz inni usiłują bronić marzeń.

- Jakie poluźnienie?! Raptem stu...

Ci zarzucają pytaniami napotkanych oficerów NKWD.

- Będą nas jeszcze wysyłać?
- Budut. Zawtra damoj! (Będą. Jutro do domu.) - odpowiadają niezmiennie.

Na wszelki wypadek, choć nikt nie zna dnia ani godziny, wszyscy trwają w pogotowiu, podtrzymywani na duchu myślą o następnej „godzinie papugi”. Ta świadomość

wyzwała w nich ostatki energii.

Użyją jej do bojkotu obiadowej zupy tak cuchnącej i rozwodnionej, że niepodobna jej przełknąć. Największy gniew budzi brak chleba.

- Przecież się nam należy!

- Dlaczego chleba nie ma?

Nikt się tym nie przejmuje.

- Niet (nie) - informuje szef gospodarczy Demidowicz. - Niet i wsio! (Nie ma i koniec.)

Równie niewzruszony pozostaje na nieoczekiwane zamknięcie obu „kpiatilni”.

- „Kipiatok” tylko zimną się wydaje. Teraz wiosna, można zimną wodę pić.

To dodatkowa udręka - popijanie lodowatą wodą zimnego kapuśniaku. Żoładkowie jęczą potem z bólu. Próbuje sobie radzić, rozpalając ogniska, nad którymi można rozpuścić śnieg w menażkach i podgrzać wodę, lecz niewielu udaje się znaleźć drewno, bo poszukujących - choć na blokach coraz luźniej - jeszcze tysiące. I coraz trudniej znieść głód i chłód, który ciągnie od wilgotnych ścian czy to dzień, czy noc, więc tym gorzej wyczekują na „godzinę papugi” i na swój „szczęśliwy los”. Od rana nasłuchują, czy od strony komendatury nie rozlegną się okrzyki.

- Dzwonią z Moskwy!

- „Godzina papugi” rozpoczęta!

- Nadeszła „godzina ruletki”!

Kto żyw, dąży pod wiadome okno, poza którym komendant lub jego zastępca, kpt. Urbanowicz, maksymalnie skupiony, jedną ręką trzyma już słuchawkę aparatu przy uchu, a w drugiej ma wieczne pióro.

W pewnej chwili (około godziny dziesiątej) w absolutnej ciszy wymawia kolejne głoski pierwszego nazwiska. Lejtnant Chochłow, rozpoczął w Moskwie nadawanie. „Papuga” wyciąga losy. Im ich więcej, tym jej godzina dłuższa. Komendant, przeliterowawszy każde nazwisko, raz jeszcze, dla pewności, głośno je odczytuje. I na to właśnie, z zapartym tchem, czekają.

Kiedy wpisze na listę pięćdziesiąt nazwisk, czuwający z boku oficer NKWD biegnie z nią na bloki, by osobiście powiadomić każdego o jego szczęśliwym losie. Im więcej szalejących z radości, tym więcej rozczarowanych.

- A nuż więcej nikogo nie wypuszczą?!

Nie ma.

Kiedy jednak 4 i 5 kwietnia z samego „Monastyru” wyjdzie 1287 oficerów, odzyskują wiarę.

Janina cała aż kipi z podniecenia, nasłuchując swojego nazwiska. Nie doczekawszy się, krąży po obozie jak w gorączce, rozdygotana, dodatkowo przejęta rozstaniem z przyjaciółmi - Michałem i Jankiem i pełna wyrzutów sumienia, że cieszy się pechem Józefa, który jeszcze z nią pozostał. Kiedy w swojej bezładnej wędrówce trafi wreszcie do „Cyrku” na blok nr 17, zastaje go tak zrozpaczonego, że w pierwszej chwili jej nie poznaje. Skruszona, zaczyna go pocieszać.

- Przyjdzie kolej i na nas. Albo wiesz co? Idę do Korolewa. Pomóż sobie, to i Bóg ci pomoże! Babunia Korsońska niezłomnie w to wierzyła.

Niewiele myśląc, pędzi do komendantury.

- Grażdanin komiendant! Po co wam jedyna tu kobieta? Wpiszcie mnie do jutrzejszego transportu. Ja muszę!...

- Po tichońku. (Spokojnie.) Przyjdzie czas i na was. Co wam tak śpieszno? Dzieci przecież nie macie, a mąż, jak kocha, to poczeka.

- Ale ja bardzo proszę!

- To nie ode mnie zależy. Jak „po tielifonu skażą” (powiedzą przez telefon), pojedziesz. Moskwa decyduje, ja wykonuję. Dobrą radę tobie dam. Nie spiesz się tak, a kto wie - może na zdrowie ci wyjdzie?

Następnego dnia cały obóz wstrzymuje oddech. Nie ma ani jednej „godziny papugi” i nikt nie znika za obozową bramą. Z tym większym napięciem śledzą nieoczekiwaną akcję likwidacji „Skitu” i przenoszenia „skitowców” do „monastyrskiego” „Cyrku”. Nie ruszają tylko generałów i pułkowników.

- Czyżby zniknął podział Polski na zabory?

Janina przebywa na bloku nr 17, znowu razem z kpt. Sidorem. Choć to pewna pociecha, szaleje z niepokoju.

- Czy na pewno skierują nas do Poznania? I czy razem?

- Jesteśmy lotnikami, więc chyba tak, ale z nimi niczego nie można być pewnym.

- Trudno, byle tylko jak najprędzej wyjechać. Byle gdzie! Wszystko lepsze niż Kozielsk. Ciekawe tylko, dlaczego zlikwidowali „Skit”?

Dnia 7 kwietnia sprawa się wyjaśnia. „Papuga wyciąga losy” wyższych szarż. Wyjeżdżają generałowie: Minkiewicz, Smorawiński, Bohatyrewicz i Czernicki, oraz dwudziestu pięciu pułkowników, tyluż majorów i ksiądz Ziółkowski. To dla pozostałych wielki cios.

- Zabierają nam największe autorytety!
- Wszystko jasne. Zabierz pasterza, a owce się rozproszą!
- Został nam tylko kontradmirał Wołkowicki! (Należał do ocalonych.)

Obozowe władze traktują tę grupę wyjątkowo. Podczas rewizji nikt ich nie okrada, a po kąpieli w łaźni zostają potraktowani sutym obiadem. W „karcie dań” znalazły się rarytasy: kotlety, wino i kawior. Na drogę dostają podwójne przydziały białego chleba i po trzy śledzie w białym papierze.

- Biały papier, podczas gdy szary zalicza się do przedmiotów luksusu!

Odchodzą po południu, pod wzmocnioną, lecz grzeczną eskortą. Dumni, w doskonałych nastrojach, kroczą pomiędzy wyprostowanym na baczność dwuszeregiem zegnających, niby przed gwardią honorową. Wyprężeni jak struny oficerowie, z palcami przy daszkach, po raz ostatni oddają swoim dowódcom honory wojskowe, a potem biją brawo. Pragną w ten sposób wyrazić wdzięczność i zapewnić, że rozkazy wypełnią. Dają temu wyraz także w okrzykach.

- Do zobaczenia we Francji!

Nawet enkawudziści przyłączają się do owacji, co nikogo nie dziwi, tak imponująco wyglądają i nikt (poza strażnikami na wieżach) nie przeczuwa, że już za parę chwil ci ze speckonwoju czekającego za bramą, poużywają sobie na „wysokich panach oficerach”, co się zowie.

Od tego dnia nic już nie zakłóca tempa wywozek i nikt nie wątpi, że obejmą wszystkich. „Siedzą na walizkach” jak na szpilkach, zabijając czas i głód grą w karty, czego już nikt nikomu nie zabrania, zaczytywaniem porozdzielanych stron polskich książek, opalaniem się na słońcu, choć 9 kwietnia wraca przelotnie zima. To „czarny” dzień.

Radiowęzeł nadaje wiadomość o zajęciu Norwegii przez Niemców.

- Zwyciężają szwaby! Idą do przodu!
- Co z Polską, co z nami?
- A co na to Szwecja i Stany Zjednoczone?
- Musi być jakaś reakcja!

Następnego dnia znowu rozpacz. Daremnie wyczekują na „godzinę papugi”. Tym gorzej, że przez kolejne cztery dni również nic się nie dzieje. Snują się - zgnębieni, oniemiałi, a kiedy ktoś się odezwie, to tylko, aby retorycznie zapytać:

- Może dziś pojedę?
- Dlaczego mnie nie biorą?

Od 14 kwietnia machina rusza ponownie. Kolejne grupy mijają obozową bramę,

radośnie machając rękami do coraz mniej licznych, pozostających. Janina niemal odchodzi od zmysłów i wciąż zamęcza prośbami obozowe władze, pragnąc wymusić przyspieszenie wyjazdu. Momentami traci nadzieję, że to w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

- Zgniję tutaj i nikt się nie dowie, gdzie zniknęłam!

Lecz nawet kpt. Urbanowicz, do którego się udaje, licząc na jego polskie korzenie, nie jest w stanie nic zrobić.

- Czekać. Trzeba czekać.

Trwa więc w pogotowiu, od dawna spakowana. W walizeczce, którą zabrała ze sobą z Poznania, leży dodatkowa, uprana para skarpet, zmiana starannie połatanej bielizny osobistej, szczotka do włosów, pilnik do paznokci, kilka spranych chusteczek do nosa, ręcznik, sweter i trochę zaoszczędzonej na drogę żywności: parę chlebowych sucharów, szczypta cukru i herbaty. Także forma do wypiekania hostii.

Nareszcie los uśmiecha się i do niej. Nadchodzi upragniony dzień 20 kwietnia - ciepły, lecz zamglony. Radość tym większa, że „papuga wyciąga” także los kpt. Sidora. Pędzą do „Cyrku”, aby tam czekać na oficera NKWD, który niebawem pojawi się z listą i oficjalnie wyczyta stu szczęściarzy, których na dziś wyznaczono. Wreszcie się doczekała! Wreszcie to słyszy.

- Janina Marianowna Lewandowskaja z wieszczami! (Nazwisko Janiny Lewandowskiej, córki Mariana, ur. w 1914 r. figuruje na liście wywozowej NKWD z Kozielska pod numerem: 040/1, pozycja 53, nr akt 1469 (dokumenty przekazane Polsce przez prezydenta Rosji Borysa Jelcyna w 1993 r.)

Trochę zdziwiona, że Zarubin nie naniósł poprawki imienia ojca do jej czerwonej teczki, całą uwagę skupia na tym, co się dzieje. (Por. Świaniewicz wspomina, że jego teczka miała kolor biały. Być może takie otrzymywali ocaleni?)

- Do 11.40 wszyscy w klubie! Rewizja będzie - ogłasza enkawudzista.

Wzmianka o rewizji peszy ją ze względu na ukrytą w walizeczce formę do wypiekania komunikantów, na ogół jednak pobudza do kpin.

- Skarbów nie znajdują!

- Wszystko co cenniejsze, lecz nie bezcenne, dawno „na prawosławie przeszło”.

To, na czym mi zależy, mam na sobie. Medalion z drzazgą Krzyża Świętego - rodzinną relikwię po tatce i obrączkę od Mieczka.

Zanim „krasnoludki” rozpoczną rewizję osobistą, każą zdać rzeczy „kazienne”¹⁵⁸. Dopiero wtedy przystępują do bardzo szczegółowego przeglądu bagaży. Nie zabierają jednak ani gazet, ani notatek. Rekwirują za to dziwny metalowy przedmiot, którego

przeznaczenia nawet się nie domyślają. To dla niej wielka strata. Cenna pamiątka, którą pragnęła ocalić, jako relikwię, dla swojego syna, którego pragnie dać mężowi. Udaje się za to zatrzymać Medalion. Srebrny, na grubym, również srebrnym łańcuchu, więc zagrożony chciwością kontrolera. Na szczęście nie każe jej zdejmować ubrania.

Rewizja bardziej przypomina grabież niż kontrolę. Enkawudziści zabierają wszystko, co przedstawia dla nich jakąkolwiek wartość. Przedmioty kultu religijnego - krzyżyki, medaliki, różańce czy książeczki do nabożeństwa traktują jak dowody ciemnoty „zacofanych Polaczków”.

- Na co to wam? Boga niet! (Boga nie ma!)- oświadczają z nutą wyższości.

Nikt nie podejmuje dyskusji. Nie warto.

Po rewizji i łaźni, ściśle izolowani od pozostających, około godziny 17.00 dostają obiad: sporą porcję gęstej kaszy z sosem mięsnym, co nie napęlnia pustych brzuchów, jednak likwiduje głodowe skurcze. Są dobrej myśli.

- Skoro nas karmią, nie mają złych zamiarów.

Wierzą w to tym bardziej, że nikt ich nie pogania ani im nie ubliża i że otrzymują suchy prowiant. Osiemset gramów czarnego zakalca, cukier i tytoń. Janinie podaje chleb, razem z życzliwym uśmiechem i miłym słowem, pocziwy Leon.

- Na drogę do domu!

Dopiero wtedy wybucha w niej prawdziwa radość. Czuje ją w sobie. W sercu. Nie tylko w umyśle.

- Na drogę do domu! Boże Wszechmogący, to już! Ja naprawdę niedługo zobaczę Mieczka, Gusię, babunię (nie wie, że - podobnie jak siostra - już nie żyje) i moje kochane Batorowo!

Nie potrafi myśleć o niczym innym, jak tylko o spotkaniu z mężem. Jak niegdyś, gdy opuszczała ostaszowską łowę, kroczy obok wypróbowanego przyjaciela, kapitana Józefa Sidora, z czego czerpie dodatkową otuchę. Wie, że może na niego liczyć. Jest dla niej jak brat. Łączy ich ukochany Poznań, Aeroklub i przebyta wspólna niedola. Oboje przepelnia szczęście. Niebawem spotkają swoich najdroższych. On swoją żonę, ona - najdroższego Mieczka.

Cała stuosobowa grupa, wzmocniona radością, panując nad fizycznym wyczerpaniem, z nową energią, z wezbranymi sercami, zachowując dumną postawę, bo „Sowieci patrzą”, kieruje się ku wciąż nieodbudowanej spalonej baszcie i bramie w grubych murach. Uzbrojeni wartownicy na wszystkich czterech zwyżkach ponuro spoglądają na nich z góry z odbezpieczoną bronią w rękach. Tylko oni będą świadkami tego, co się zaraz wydarzy.

Poza kolczastymi zasiekami i mostem na fosie czeka liczny konwój „strielków” - szeregowych strzelców o tępych, brutalnych twarzach, z groźnymi psami. Wszyscy uzbrojeni w pepesze i gumowe pałki.

- Po co im, Ziutku, aż takie środki ostrożności wobec wychodzących na wolność? I gdzie jakieś samochody? Pieszko mamy iść? Ładnie nas traktują! - Janina bardziej jest zdziwiona niż przestraszona.

Zanim doczeka się odpowiedzi, „strielki” - ponurzy i wrodzy - bez słowa wyjaśnienia, brutalnymi gestami nakazują im marsz. Ponieważ kolumna stoi, oniemiała, zaczynają wulgarnie kląć. Jak na komendę, rozszczekują się psy, powstaje nieopisany harmider i pośród tego wrzasku pierwsza czwórka, popychana kolbami i szturchnięciami, rusza naprzód po kostki w pośniegowym błocie.

Ze względu na roztopy ciężarówki nie mogły podjechać w pobliże obozu, toteż czeka ich wielokilometrowy marsz po rozmięklej drodze, z ominięciem miasteczka, aż do bocznic kolejowej w pachnącym żywicznie sosnowym lesie. Jest piękny, podszyty mchami, z których wychylają się fioletowe kielichy puszystych sasanek, prawie niewidocznych w zapadającym mroku. Nie czas jednak na zachwyty. Trzeba wsiadać do oczekujących na torach trzech „stołypinek” - więziennych wagonów przypominających trumny, z przedziałami bez okien, oddzielonymi od korytarza żelazną, zamykaną kratą i maleńkim otworem pod samym sufitem. Okna są tylko na korytarzu, gdzie czuwają strażnicy. Kilku ociągających się przy wsiadaniu oficerów (wśród nich kpt. Józef Sidor) zostaje brutalnie, dotkliwie pobitych pałkami. Wewnątrz panuje nieopisany ścisk. Ośmioosobowe przedziały trzeszczą w szwach, bo w każdym upchnięto czternastu więźniów. Ośmiu siedzących, po dwóch na podniesionych z obu stron półkach (ci zwisającymi nogami dotykają głów jadących niżej) i dwóch pod samym sufitem, tuż przy otworze, niby w bocianim gnieździe. Nic nie jest jednak w stanie zepsuć dobrych humorów.

- Przed nami wolność!

- Mamy nie tylko „bocianie gniazdo”, panowie, ale i wachtę!

Opatrzność, a może spryt przyjaciela, sprawia, że Janina i teraz siedzi obok niego, na najlepszym miejscu, przy kracie. Może więc podglądać, co się dzieje za korytarzowym oknem. Widzi wprawdzie niewiele, bo zdążył już zapaść wieczór, wiele sobie jednak obiecuje po nowym dniu. Tymczasem, obozowym zwyczajem, proponuje trzyminutową ciszę i wszyscy pogrążają się w modlitwie.

Mimo to, wciąż podnieceni, nie potrafią się wyciszyć, bo - zamiast ruszać - stoją w lesie. Coraz bardziej zmęczeni i zdezorientowani, przy tym cierpiący na dolegliwości

żołądkowo-jelitowe, odczuwają potrzebę znalezienia ustronnego miejsca, lecz nie sposób sforsować zamkniętej na łańcuch kraty, a strażnik pozostaje głuchy na wszelkie prośby. Toczą ciche rozmowy, próbują odgadnąć przyszłość, zapadają w niespokojną drzemkę, budzą się, znów dyskutują.

Pociąg rusza dopiero następnego dnia, 21 kwietnia, rano. I na nic nie zdadzą się prośby czy krzyki o wyjście za własną potrzebą. Gruboskórni „strielkowie” rechoczą, szczerze ubawieni.

- Walcie w sztany! (spodnie) - zarykują się ze śmiechu, nieczuli na cudze cierpienia.

Kiedy ich już dostatecznie upokorzą, rozlega się zgrzyt hamowanych na szynach kół i pozwalają wychodzić kolejno, wagonami i przedziałami, a potem stoją nad nimi z odbezpieczoną bronią, przerzucając się ordynarnymi dowcipami i wyśmiewając się z nich.

- Wot polskije pany oficery! Ot, na co wam przyszło! Nawet żeby się w...ć, muszą pytać o pozwolenie!

Janina, jako jedyna kobieta w tym towarzystwie, przeżywa podwójne męki. Na szczęście koledzy - ustawieni tyłem do niej - otaczają ją wkoło szczelnym kordonem. Gnębią ją coraz gorsze przeczucia. Dzieli się nimi z towarzyszami, kiedy już pociąg ruszy ponownie, tym razem na dobre.

- Czy tak traktuje się kogoś, kogo wypuszcza się z niewoli?

- U nich wszystko możliwe. To przecież ciemna dzicz.

Aby się zorientować, dokąd jadą, ci z „bocianiego gniazda” obserwują przez podsufitowe okienko, co dzieje się na zewnątrz.

- Cienie rzucane przez południowe słońce wskazują kierunek zachodni - stwierdzają.

- Czyżby jednak do Polski?!

- W każdym razie z pewnością nie na Syberię.

- Więc dokąd?

- Bóg jeden wie - stwierdza ktoś filozoficznie.

- Wiem i ja. Do Smoleńska! - mówi kpt. Sidor.

- Odezwał się jasnowidz! - kpi ten spod okienka.

- Tylko uważny obserwator. Spójrzcie, koledzy. Jest tu napis na ścianie za moimi plecami. „Minęliśmy Smoleńsk”! Wiadomość od naszych. Zgodnie z umową!

Wszyscy chcą to zobaczyć na własne oczy. Wstają, przeciskają się, czytają.

- Rzeczywiście. Wygląda na to, że tam właśnie jedziemy.

- Nic pewnego. Tamtych powieźli na Smoleńsk, ale czy i nas?

- Racja! Szukajmy dalej!

Gorączkują się tak, że strażnik uznaje za stosowne wysłać im spoza kraty „piękną wiązanekę ruskich przekleństw” dla ochłody, więc działają ostrożniej, aby się nie zdradzić.

- Mam. Jest! - wykrzykuje nieznajomy porucznik siedzący vis-à-vis Janiny.

„Wysiadamy na stacji Gniezdowo”.

Teraz każdy zagląda za własne plecy.

- O, jeszcze i to!

„Stacja Gniezdowo, widzę enkawudzistów rozstawionych od stacji aż po linię jakiegoś lasu. Z psami, uzbrojeni. Dużo ich”.

Późnym wieczorem transport zatrzymuje się na dłużej i wszystko wskazuje na to, że dalej nie pojedzie. Jeszcze nie wiedzą, że to dworzec towarowy stacji Smoleńsk. Z „bocianiego gniazda” sływa informacja.

- Panowie, to Smoleńsk. Widzę dwie początkowe litery na jakimś budynku. Sm...

- Może tu nas nakarmią?

Od wczorajszego obiadu nic prawie nie mieli w ustach, bo prowiant na drogę pochłonęli zaraz po zainstalowaniu się w wagonach, niewiele pozostawiając na śniadanie. Są spragnieni i cierpią z powodu braku toalet. Nikt jednak nie daje hasła do wysiadania. Po wielogodzinnym oczekiwaniu, podczas którego otrzymują po skąpej porcji wody, wreszcie ruszają. Zaczyna świtać. Skład jedzie powoli, a „bocianie gniazdo” nadaje.

- To cały czas dworzec towarowy. Ależ długi! Ciągnie się kilometrami! Cały obstawiony przez tych z pepeszami. Starzy znajomi z NKWD. Jakby mogli, wysadziliby nas w powietrze samym wzrokiem.

Pociąg przyspiesza, a spod sufitu kolejna rewelacja.

- Panowie, widziałem kopuły cerkiewne w Smoleńsku!

- I nie zatrzymaliśmy się? Przecież oni w cerkwiach właśnie jeńców trzymają najchętniej!

- Nawet tu nas nie nakarmili!

Zmęczony „wachtowy” opuszcza posterunek, odpoczywa. Wagon trzęsie niemiłosiernie, podskakuje na zdezelowanych szynach, twarde ławki obijają boki aż do kości, wszyscy marzą o zakończeniu tej męczarni. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów kończy się istotnie.

- Więc jednak! Muszą tu mieć jakiś ośrodek.

Na zewnątrz słychać krzyki, szczekanie psów, warkot motorów.

- Czyżby już?!

- Co to za stacja?

- Koledzy z piętra, obudźcie nasze „Sokole Oko”, bo pomrzemy w nieświadomości.

Po dłuższej chwili spod sufitu spływa znana już ze ściennych grypsów nazwa.

- Gniezdowo.

- Co tam widać?

- Moment... O niech cię! Stacja maleńka, za to plac olbrzymi! Wszędzie NKWD i psy.

I... Nie uwierzycie. Tawariszcz pułkownik! (Towarzysz pułkownik) „Czerwony Diabeł” kozielski prym między nimi wiedzie! Szarogęsi się, jakby tu dowodził. (widział go tam z wnętrza pustego wagonu na drugim torze por. Świaniewicz, który pisze o tym w swoich książkach wnioskując, że człowiek ten - specjalista od brudnej roboty - obok kombryga Zarubina, który przygotował raport., o więźniach i zdecydował o ich życiu lub śmierci - odegra! główną rolę w realizacji decyzji Stalina z 5 marca 1940 roku. Że to on zorganizował akcję i kierowa! mordem.)

- O, to chyba tu będziemy wsiadać.

- No przecież na ścianie stoi jak wół: „Wyładowują nas w Gnie-zdowie”.

- Może coś do jedzenia dadzą?

- Panowie, czuję, że niedługo skończy się to nasze piekło.

Zewsząd słychać okrzyki.

- Wsiadamy tutaj!

- Tu wsiadamy!

- Nareszcie!

TAJEMNICA LASU KATYŃSKIEGO

W odległości 30 km na zachód od Smoleńska, w dolinie Dniepru, wzdłuż głównej drogi na północ i na zachód, rozciąga się niewielki czterohektarowy kompleks leśny. Od najbliższej położonej osady o nazwie Katyń został nazwany Lasem Katyńskim. Pagórkowata okolica, niegdyś własność polskich rodzin Koźlińskich i Lednickich, nosi też nazwę Kozich Gór.

Po zwycięstwie bolszewickiej rewolucji październikowej cały las przejął Narodowy Komitet Spraw Wewnętrznych - NKWD. Niebawem, w najbardziej malowniczej jego części, nad stromym brzegiem Dniepru, powstanie ośrodek wypoczynkowy dla wysokich funkcjonariuszy tej instytucji. Do ich dyspozycji zostanie zbudowana wspaniała willa - o powierzchni 1500 metrów kwadratowych, zwana „Zameczkiem”. Usytuowana zaledwie półtora kilometra od drogi głównej zapewniała wygodny dojazd oraz izolację niezbędną zarówno do odpoczynku, jak i pracy, kiedy wkrótce (przeobrażona w spec-zonę, ogrodzona wraz z częścią lasu drutem kolczastym i chroniona przez uzbrojone patrole z psami) stanie się miejscem kaźni dla rozstrzelanych tu kilkuset tubylczych „wrogów narodu”.

Wiosną 1940 roku, kiedy liczba owych „wrogów” - tym razem cudzoziemców - sięgnie tysięcy, egzekucje odbędą się pod osłoną już tylko drzew, na stosunkowo niewielkiej polanie w połowie drogi między „Zameczkiem” a szosą, nad ośmioma ogromnymi dołami wykopanymi w suchym piasku przez koparki. Podobnej operacji nie znały dotychczas dzieje. Począwszy od 3 kwietnia, będą tu sukcesywnie przywożeni w autobusach bez okien, w 30-osobowych grupach, bo tyle jest pojedynczych cel w tzw. czarnych woronach, (czarnych krukach) drogą między stacją kolejową Gniezdowo a Lasem Katyńskim. Wysadzani na polanie obrzeżonej pięknymi świerkami, rewidowani i ostatecznie ograbiani z resztek cennych przedmiotów znajdą śmierć w przygotowanych zawczasu masowych mogiłach. Skrępowani powrozami, wpadną do nich, klęcząc, zepchnięci kopniakiem, z rozłupanymi czaszkami, zamordowani z bliskiej odległości, strzałem w potylicę z niemieckiego samopowtarzalnego pistoletu Walther kaliber 7,65 mm. Lecz trzymające je ręce należą do Rosjan. Egzekucja odbywa się według planu opracowanego przez tajną policję Czeka jeszcze w początkach rewolucji październikowej, kiedy w piwnicach więzień i na placach całej Rosji masowe rozstrzeliwano „wrogów ludu”.

Aby zamordować trzydziestu ludzi, kaci potrzebują trzydziestu, czterdziestu minut. Działają sprawnie, ze znajomością rzeczy. Dwóch ofiarę obezwładnia, wykręcając ręce do tyłu, trzeci krępuje i - by zagłuszyć patriotyczne okrzyki - zatyka usta ofiary trocinami lub

ziemią, knebluje jakąś szmatą albo okręca głowę płaszczem. Bardziej opornych kłuje bagnetem. (Ślady takiego działania stwierdzono podczas ekshumacji w 1943 roku.) Kiedy ostatni skazaniec spadnie na leżące już w dole ciała kolegów, kierowca „czernowo worona” wraca na stację Gniezdowo po następną partię. Zanim z nimi wróci, oprawcy zdążą ułożyć ciała jedne na drugich, na przemian - głowami do nóg. Miejsca musi wystarczyć dla wszystkich oczekujących „na wolność”. Osiągają ją błyskawicznie, bo śmierć następuje natychmiast. Kula z łatwością przebija kość potylicy, by przez mały otwór u podstawy czaszki przejść przez mózg i wyjść przez wylot w czole, pomiędzy nosem a linią włosów. O strzelaniu w tył głowy (poza raną wlotową) świadczą dodatkowo pochylone ku przodowi głowy ekshumowanych ofiar. Mimo tej precyzji nie obejdzie się bez „błędów w sztuce”. Niektóre ofiary dają jeszcze oznaki życia lecz nikt się tym nie przejmuje. Poruszając się potem ziemię zobaczą na własne oczy okoliczni mieszkańcy, o czym złożą świadectwo.

EGZEKUCJA

Janina zbyt jest osłabiona i zbyt mocno doskwierają jej mdłości, by zareagować na łoskot spuszczanego łańcucha, żelazny zgrzyt odsuwanych drzwi wagonu i wreszcie krat. Nawet wrzask korytarzowego konwojenta, którego toporną twarz zdążyła poznać na pamięć, dociera do niej jakby zza ściany.

- Wychodzić z rzeczami! Powoli! Pojedynczo! Trzydziestu. Reszta czeka!

Jak w transie, wspomagana przez przyjaciela, z walizką w rękę, odliczona jako pierwsza, przesuwa się do wyjścia. Obecność kpt. Sidora tuż za nią, mocny uścisk jego ręki i słowa, że są u celu, przywracają siły, więc - jak przystało polskiemu oficerowi - dumnie prostuje plecy i unosi głowę.

„A jednak się udało, dzięki Ci, Panie Boże. Co za dzień! Przecież to 22 kwietnia. Dziś moje urodziny! Skończyłam 32 lata. Zdam ci jeszcze, Mieczku, urodzić syna. Obiecuję”.

To, co się działo z jeńcami po przybyciu na stację Gniezdowo niedaleko Katynia, wiemy z relacji por. rezerwy, Stanisława Świaniewicza, który - uratowany w ostatniej chwili - patrzył na wszystko z pustego wagonu, gdzie go tymczasowo umieszczono. Po latach stwierdzi, że ocalenie zawdzięczał prawdopodobnie opinii Zarubina, któremu podobały się jego przedwojenne publikacje o Leninie jako dobrym ekonomście oraz jego podróże do Niemiec w latach 1936-1937, przez co został oskarżony o szpiegostwo.

Pozostałe świadectwa pochodzą z dzienników wydobytych z grobów katyńskich oraz z zeznań niejakiego Kriwoziercewa - naocznego świadka, mieszkańca okolic Gniezdowa, zatrudnionego na tamtejszej stacji w charakterze robotnika kolejowego, który w kwietniu 1940 r. widział jeńców w polskich oficerskich mundurach przesiadających się ze stołypinek do więziennych karetek („czornych woron”), odjeżdżających w kierunku Katyńskiego Lasu. Znał nawet osobiście jednego z kierowców. W 1943 r. wyjechał razem z wycofującymi się Niemcami do Niemiec, a po skończonej wojnie złożył na ten temat zeznanie przed Komisją w Norymberdze. Niebawem zginął w tajemniczych okolicznościach po tym, jak pochwalił się koledze swoją wiedzą.

Jeszcze krok i staje w otwartych drzwiach wiodących do - jak sądzi - wolności.

Pierwszy szok przeżyje na widok swoistej „ścieżki zdrowia” utworzonej przez zwróconych ku sobie twarzami, uzbrojonych wartowników. Pod daszkami enkawudowskich, okrągłych czapek - niewidzące, zimne oczy.

Z sercem ściśniętym złym przecuciem przenosi wzrok dalej i c w niej pęka. Od okolicznych pól, zarośli i lasów ciągną świeże wiosenne wonie, na wysokim niebie fruwiąją

ptaki. Na dalszym planie widać zabudowania stacyjne, zupełnie opustoszałe, co wydaje się dziwnie niepokojące. Pod nogami - trawiasty niby-peron, łączący się z ogromnym, równym placem ogrodzonym płotem, częściowo porośniętym zieloną wiosenną trawą, z płachtami topniejącego śniegu gdzieniegdzie. Jest otoczony kordonem uzbrojonych enkawudzistów. Osadzone na karabinach bagnety połśniewają złowieszczo, bo dzień jest słoneczny. Przy żołdackich nogach ujadające, rwące się z uwięzi psiska.

- Czy jesteśmy aż tak niebezpieczni, że bagnety nastawili?

Lecz nie to szokuje najbardziej, tylko widok wysokiego, zwalistego bruneta w średnim wieku, z wykrzywioną czerwoną, mięsistą głową. Ze zdumieniem, ale i zgrozą rozpoznaje w nim „Czerwonego Diabła” - kozielskiego pułkownika, który w obozie zastąpił eleganckiego Zarubina. Emanuje jakąś złą, wrogą energią. Od razu widać, że on tu rozkazuje. Ubrani w długi płaszcz, w enkawudowskiej charakterystycznej niebieskiej czapce z czerwonym otokiem, z rękami w kieszeniach, miota się po placu, coś wykrzykując i co rusz popatrując ku drodze biegnącej za płotem, prostopadle do torów kolejowych. Simą po niej dwa autobusy bez okien.

- Chryste, czornyje worony, niedobrze! To jakaś pułapka?

Zaczyna się modlić, co przynosi ulgę, lecz nie przywraca nadziei.

Na placu, nieco z boku, parkuje wojskowy łazik. Przy nim - szpakowaty kpt. NKWD po pięćdziesiątce. Nie wie, że to naczelnik więzienia w Smoleńsku, jednak ją intryguje. Widać, że i on nadzoruje to, co się tutaj dzieje.

- Może to kierownik punktu rozdzielczego, do którego nas teraz skierują? - ogląda się na kapitana Sidora, lecz on - szary na twarzy - zdaje się jej nie słyszeć.

Zaledwie autobusy wjadą na plac, „Czerwony Diabeł” kieruje jeden z nich ku drzwiom, w których stoi Janina. To po prostu blaszana trumna z drzwiami przystosowanymi do wsiadania od tyłu. Ma je tuż przed sobą” o kilka kroków. Nawet mysz z boku się nie przeciśnie. Ponaglona wrzaskiem, zdąży jeszcze dostrzec żołnierskie brezentowe buciory oblepione zaschniętymi grudami błota oraz wąski skrawek błękitu pomiędzy dachem wagonu a „czornym woronem” i, brutalnie popchnięta bagnetem, znika w jego wnętrzu. I nagle wie.

- Nigdy już nie zobaczę Mieczka ani mojego Batorowa...

Ktoś każe jej przesuwać się wąskim, biegnącym przez środek korytarzykiem do przodu, aż do pierwszego, pojedynczego przedziałiku po prawej stronie. Jest tak ciasny, że - aby zapewnić sobie przestrzeń do oddychania - trzeba wciskać się do niego tyłem i pozostać w zgarbionej pozycji, taki jest płytki, wąski i niski. Za nią w milczeniu postępują inni - przeprowadzani kłótwami i ubliżaniem. Klatka vis-à-vis dostaje się kpt. Sidorowi, który szedł

za nią. Dopóki drzwi są otwarte i wpada przez nie światło dnia, mogą się porozumiewać wzrokiem, bo głosu nie są w stanie wydobyć.

Szok jest tak potężny, że materialnie czuć unoszącą się w tej ciasnej przestrzeni niemą panikę. Dopóki więźniarka nie ruszy, nikt się nie odzywa. Cisza taka, że - zda się - nikogo tu nie ma. Jakby wszyscy naraz stracili głos. Przywraca go warkot zapalnego silnika, bo nagle w ciemnościach wybucha chóralny lament. Zbiorowy jęk rozpacz i grozy, tak porażający, że niemal natychmiast - jakby się sam siebie przeląkł - zamiera.

Janina, upuściwszy trzymaną przed sobą walizeczkę i wychyliwszy się do przodu z wyciągniętymi ramionami, napotyka dłonie przyjaciela i ten uścisk przynosi ulgę, łagodzi strach. To pożegnalny gest. Wiedzą o tym oboje. Nagłe szarpnięcie rozdziela ich. Trwają teraz - każde w swoim boksie, każde z własnymi myślami. Więźniarka trzęsie, podskakuje na wybojach, na wszystkie strony miotając zamkniętymi w swym wnętrzu. Poprzez ryk silnika przebijają się pojedyncze pytania, na które brak odpowiedzi.

- Dokąd nas wiozą?

- Dlaczego jak bydło?

- Po co im te bagnety na broni? Przecież nie uciekamy!

- Co z resztą?

- Ta podróż to nic dobrego, panowie!

Janina czuje, jak jej plecy przywierają bezwładnie do ściany, co oznacza, że samochód skręcił mocno w lewo. Mimo że zwolnił, bo na drodze pełno wykrotów, rzuca nim tak, że aż dzwonią blachy. Po paru chwilach leci do przodu, potem znowu w tył, z czego wnioskuje krętość drogi. Że musi to być wąska leśna przesieka, świadczy odgłos ocierających się o ścian gałęzi. Nie wie, że prowadzi na południe, ku Dnieprowi.

- Do lasu nas wywieźli?! - wykrzykuje mimo woli, a głos Józefa podpowiada.

- Może punkt rozdzielczy tu mają? Może nareszcie wypuszczą nas ze swoich łap!

Ani przez chwilę mu nie wierzy, więc milczy. Jakiś dodatkowy zmysł podpowiada jej, że wszystko skończone. Czuje się, jakby uszło z niej powietrze i tylko dzięki napierającym ze wszystkich stron ściankom utrzymuje się na nogach. Ugniata je boleśnie oparta na stopach walizka, lecz na to nie ma rady.

Gdyby mogli widzieć okolicę, nabrałiby pewności, że istotnie zmierzają do punktu rozdzielczego, gdzie wszystko się wyjaśni i gdzie będą mogli wnieść skargę na to oburzające traktowanie. Autobus mija właśnie majaczący za ścianą lasu „Zameczek”. Jeszcze parę minut i zatrzymuje się na skraju leśnej polany. W otwartych z hukiem drzwiach - twarze konwojentów wrogie i ponure. Odczłowieczone jakieś, złe.

- Wylezaj! (Wyłaź!)

Stłamszeni, zduszeni, pragnąc jak najszybciej zaczerpnąć powietrza, ruszają hurmą. Stają w pół kroku - brutalnie odpychani i obrzucani wyzwiskami.

- Pa adnamu, skatina prokliataja! Polskije pamieszcziki, wragi naroda! Z wieszczami! (Pojedynczo, bydło przeklęte, polscy bogacze, wrogowie narodu! Z rzeczami!)

Wyciągani pojedynczo, wyszarpywani na zewnątrz, kluci ostrzami bagnatów, jeśli któryś trwa uporczywie w tym swoim ciasnym, strasliwym, ostatnim azylu (są i tacy), znikają kolejno za zamykanymi sukcesywnie drzwiami. Kiedy zatrzasną się za pierwszym, powstaje wrzawa.

- Co to ma znaczyć?

- Na co czekamy?

- Cisza! Słyszeliście?!

Nagle zamilknięcie świadczy, że słyszeli.

„Jeszcze Polska nie zginęła!” I, bezpośrednio po tym okrzyku, pojedynczy strzał z pistoletu.

Odpowiada mu ich zbiorowy jęk. Mieszanina panicznego strachu, gniewu, rozpacz i bezsilnej rezygnacji. Nieartykułowane jakieś wołanie niemające nazwy, do głębi porażające, wstrząsające niebiosą, ale nie oprawców.

Janinę wywlekają jako przedostatnią. Jeszcze tylko kapitan Sidor czeka na swoją kolej.

- Z Bogiem, Ziutku!

- Bóg z tobą, Janeczko!

Zdrętwiała, obolała, popychana od tyłu, wlecze się na sztywnych nogach przez wąski korytarzyk, u którego wylotu zapiera się nagle, oślepiąca słonecznym blaskiem i paralizującym bezwładem. W uszach brzmi jeszcze dwadzieścia osiem wystrzałów i ordynarne wrzaski katów oraz dumne - ofiar. Choć wie, co ją za moment czeka, instynkt samozachowawczy nie chce tego zaakceptować. Przez moment ludzi widok pięknej leśnej polany, obrzeżonej zielonymi świerkami, zastanawiają wysokie pryzmy świeżej ziemi ciągnące się wzdłuż długich, głębokich rowów. Wszystko to ogarnia w ułamkach sekundy, lecz nie chce wiedzieć, co oznacza. Czuje się mała, bezradna i zagubiona, bo nie ma tu ani jednego współtowarzysza, tylko ona i enkawudziści. Dłużej niepodobna udawać.

- Osiągnęłam kres...

- Wylezaj!

Ten wrzask tuż nad uchem i tępy cios kolby pistoletu w plecy, a także świadomość

NIEUCHRONNEGO, nagle ją przeobraża. Wybucho w niej gniew i dumne poczucie tego, kim jest:

„Córka polskiego generała potrafi umrzeć godnie. Nie splamię tchórzostwem nazwiska Dowborów-Muśnickich!”.

Wyprostowana jak struna, uniósłszy głowę, woła z całych sił:

- Jeszcze Polska nie zginęła!

Są to ostatnie słowa, jakie wypowie na tej ziemi. Zanim upadnie na trawę, czyjaś ręka wtyka jej do ust garść trocin. Do tych ust, które nigdy już nie zaśpiewają. Ta sama ręka wrywa walizkę i odrzuca na stos obok. Dwoje innych silnych rąk łapie ją brutalnie pod pachy. Unoszą jak piórko, boleśnie wykręcając ramiona do tyłu. Ktoś trzeci wiąże nadgarstki szorstkim powrozem, podciąga na plecach ku barkom, przerzuca jeden jego koniec wokół szyi. W ten sposób obie pętle są połączone. Szarpnięcie pierwszej automatycznie zacieśniłoby drugą. Widać, że ta okrutna śmierć ma być dodatkowo haniebna i upokarzająca dla „gordych Polaczyszków”.

Specjalista od wiązania niechęcy dotyka piersi ofiary i na jego tępej bezdusznej twarzy maluje się zdumienie.

- Baba! - mruczy pod nosem, obmacując ją sprawnie w poszukiwaniu czegoś cennego. Zegarka, wiecznego pióra czy choćby scyzoryka. Nie znalazłszy niczego, poza srebrnym, zabytkowym medalionem na jej piersiach, klnąc wulgarnie i obraźliwie (rozczarowany, że to nie złoto), jednym szarpnięciem zrywa gruby łańcuszek, na którym wisi, boleśnie kalecząc delikatną wychudzoną szyję.

Utrata rodzinnej relikwii, pamiątki Odkupienia, boli mocniej niż skaleczenie. Pragnąc w naturalnym odruchu uwolnić ręce, by ją odzyskać, szarpie więzy i pętla zaciska się na gardle. Zapada się w sobie. Niemal nie słyszy radosnego chichotu jednego z oprawców, który nagle zobaczył jej ślubną obrączkę. Czuje za to każdym nerwem, jak ją brutalnie ściąga, chociaż tak łatwo schodzi z wychudłego palca.

„Taki więc koniec, taką wolność przygotowali nam sowieccy mordercy!” - myśli, podczas gdy tamci dwaj ciągną ją pod pachy w kierunku wykopu w ziemi.

Ze wszystkich sił, wbrew logice, usiłuje się im wyrwać, co tylko pogarsza sytuację, bo zaciskająca się na szyi pętla dławi oddech, więc znów wiotczeje. Doprowadzona na krawędź gigantycznego dołu, przez mgnienie oka widzi na jego dnie pomordowane ciała kolegów leżące w beładzie, jedne na drugich. Jedni wyprostowani, inni jacyś poskręcani, niektórzy z oficerskim: płaszczami zarzuconymi na głowy. Leżą twarzami w dół lub wykręconym: do góry, zalani krwią, z roztrzaskanymi czaszkami. W ich otwartych rozpaczliwie ustach, z

których wysypują się trociny, zamarł jakiś ostatni krzyk. Lecz są i tacy, którzy zastygli w pozycji klęczącej, do jakiej ich zmuszono przed śmiercią, by dokonującemu mordu ułatwić i przyspieszyć wykonanie zadania. I żeby tym bardziej upokorzyć „wroga Związku Radzieckiego”.

Z głębokości, jakby z trzewi rozdartej ziemi, wydobywa się niehumaniczny jakiś jęk czy skowyt. Niektóre ciała poruszają się w ostatnich, śmiertelnych konwulsjach. A w niej tylko ta jedna, ostatnia świadoma, błyskawiczna myśl - wielowątkowa, lecz przedziwnym jakimś sposobem skondensowana.

„Złota nić... Złota nić tatki. Czy sięga aż tu? Do tej jamy, gdzie trafią z rękami skrzepowanymi katowskim powrozem? Zerwie się tam w dole, czy będzie się snuć poprzez wszystkie polskie serca aż do skończenia świata?

O to Cię błagam, Chryste! Aby ją inni przejęli. Nie rozerwali tej nici złotej. Tysiące serdecznych nici biorących początek w piersiach tu leżących. Niech przenikną te doły śmierci, niech się snują od serca polskiego do serca. Niech trwają, coraz mocniejsze. I niech...”.

Trzymające ją z tyłu ręce twardnieją, brutalny nacisk na ramiona zmusza do uklęknienia nad krawędzią (co za hańba: klękać na rozkaz wroga!). Pluton morderców działa z opracowaną zawczasu precyzją. Dwóch ciągle ją trzyma, trzeciemu ktoś inny podaje pistolet. Widzi to kątem oka i czuje na kości potylicznej zimny, twardy dotyk stali. Słyszczyć suchy trzask naciśniętego spustu. Huk wystrzału rozlega się w niej czy we wszechświecie?... Pchnięta gwałtownie twardym buciorem, spada w ciemność, z tym jedynym imieniem resztką świadomości wykrzykanym w jej wnętrzu: „Mieczku!!!”.

Delikatne, wychudzone poniewierką i głodem kobiece ciało miękko opada na ciała współtowarzyszy, lecz oddzielona od niego w ułamku sekundy dusza unosi się ponad mogiłą w otoczeniu ich nieśmiertelnych, wolnych dusz. Za chwilę dołączy jeszcze jedna. Ostatnia. Piękna dusza przyjaciela, który, swoją do końca wyjątkowo dumną i buntowniczą postawą, wzbudzi w mordercach osobistą nienawiść. Zmuszony do skoczenia w dół i położenia się na zabitych lub tylko rannych, odczuje całą grozę swego położenia. Ginie od dwukrotnego wystrzału.

Zanim oprawcy skończą układanie zwłok, rozlega się warkot nadjeżdżającego „czornowo worona”. Przybyły kolejne ofiary. To nic, poczekają...

Martwe ciało Janiny, jedynej kobiety wśród tysięcy mężczyzn, nie czuje poruszających się pod nią, jeszcze żyjących kolegów ani tym bardziej ciężaru następnych, ani ziemi, którą oczekują w pogotowiu robotnicy zasypują doły. W konarach drzew śpiewają

ptaki, z traw wykwitają pierwsze wiosenne kwiaty: białe zawilce, szafirowe przylaszczki i puszyste fioletowe sasanki. Słońce stoi w zenicie, darząc swym blaskiem i ciepłem jednakowo - katów i ofiary.

OCALENI

Decyzja o likwidacji więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa została podjęta przez Stalina i Berię 5 marca 1940 roku, po kilkumiesięcznej selekcji przeprowadzonej podczas przesłuchań przez głównych odpowiedzialnych za to śledczych (w Kozielsku - kombryg Zarubin). Wtedy dopiero z Moskwy zaczęły nadchodzić telefoniczne wykazy skazanych oraz rozkazy ułaskawiające wybranych, co świadczy, że zbrodnię zaplanowano z zimną krwią i z dużym wyprzedzeniem.

Kiedy ostatni transport przeznaczonych na śmierć opuści Kozielsk, przychodzi kolej na 245 ocalonych, którzy w przyszłości dadzą świadectwo prawdzie. (Różne źródła podają różne dane dotyczące liczby ocalonych z trzech obozów (Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk I tak mówią o 245 lub 205 z Kozielska, 124 lub 112 z Ostaszkowa i 79 lub 78 ze Starobielska.) Spośród nich wszystkich, jedynym, który znajdzie się w bliskości Lasu Katyńskiego (30 kwietnia 1940 r.), na stacji Gniezdowo i nie trafi do dołu śmierci, jest profesor Uniwersytetu Wileńskiego, por. rezerwy Stanisław Świaniewicz. Przyszły autor wielu książek (m.in. Zbrodnia katyńska i W cieniu Katynia), wcześniej - ekspert od problemów gospodarczych Rosji sowieckiej. W ostatniej chwili, kiedy jego współtowarzysze wsiadali już do czornych woron wiozących ich na egzekucję, na mocy jakiegoś nagłego, tajnego, zapewne telefonicznego rozkazu z Moskwy, zostaje umieszczony w pustym wagonie, skąd przez szparę widzi wywożonych w niewiadomym kierunku kolegów.

Odwieziony potem przez obecnego na placu naczelnika więzienia w Smoleńsku do aresztu, następnie przetransportowany do Moskwy, skazany na osiem lat łagrów w republice Komi, amnestionowany rok później (po zawarciu porozumienia między emigracyjnym rządem Sikorskiego a rządem sowieckim - umowa Sikorski - Majski), w 1942 r. trafia do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Tu, jako jedyny świadek, wskaże punkt (stacja Gniezdowo), od którego należałoby rozpocząć poszukiwania polskich oficerów jeńców wojennych z 1939 roku, niezbędnych w tworzonej przez gen. Władysława Andersa Polskiej Armii. Po wojnie, już jako starszy człowiek przerywający na emigracji w Anglii, opisze to w książkach o Katyniu.

Przyczyny jego ocalenia należałoby dopatrywać się w decyzji kombryga Zarubina - szarej eminencji kozielskiego obozu. Być może uznał, że człowiek, który jeszcze przed wojną interesował się rosyjską kulturą, był zwolennikiem niepodległości Białorusi i Ukrainy oraz szukania dróg współzycia z Rosją i zachwycał się poezją Puszkina oraz Lermontowa, a ponadto napisał książkę o Leninie jako dobrym ekonomiście, może być przydatny Związkowi

Radzieckiemu.

Również niektórzy z pozostałych ocalonych, którym dane było przeżyć wojnę, staną się potem świadkami pobytu w obozach oraz wywózek. Opuścili łagry, kiedy nie było w nich już ani jednego skazanego na śmierć. Nieświadomi tragicznego losu wywiezionych wcześniej współziomków, ze zdumieniem i oburzeniem (przecież czekali najdłużej, co ich doprowadziło na skraj rozpacz) usłyszą na pożegnanie pozornie bezsensowne słowa komendanta Korolewa.

- Mielicie szczęście!

Dziwią się również, że tylko ich poddano na sam koniec dodatkowemu szczepieniu przeciwko tyfusowi i cholercie i sarkają na pobyt w nowo zorganizowanych obozach: Pawliszczew-Borze zwanym Juchnowskim, a następnie Griazowcu koło Wołody.

- To taka wolność? Taki wyjazd „na rodzinę”?

Są teraz lepiej traktowani, a ich warunki bytowe znacznie się poprawiają. Mają też w swoim gronie kapłana. To ks. prof. Kamil Kantak, obywatel wolnego miasta Gdańska - jedyny ocalony duchowny wywieziony z Ostaszkowa, przebywający tam do końca, przeoczony podczas grudniowej czystki, podobnie jak ks. Ziółkowski. Większość doczeka tu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej oraz układu Sikorski - Majski amnestionującego jeńców i zezwalającego na utworzenie w Związku Sowieckim Polskiej Armii pod wodzą gen. Władysława Andersa, do której trafią i z którą opuszczą „niehumanitarną ziemię”. Tymczasem nie zdają sobie sprawy, że to skutek selekcji dokonanej przez Zarubina i innych śledczych.

W sumie, ze wszystkich trzech obozów (Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków), udało się im, spośród 14 552 jeńców, (są źródła podające liczbę 15 131 jeńców) wyselekcjonować 448 naiwnych, młodych sympatyków komunizmu lub tylko uznanych za rokujących resocjalizację. Być może potrafili omamić ich ideałami sprawiedliwości społecznej, głoszonej jakoby przez samego Chrystusa, którego istnieniu skąd inąd sami zaprzeczali. Są to tylko domniemania. Prawdziwych motywów tych decyzji nie znamy. Poza jednym przypadkiem. Dotyczy por. lotnictwa Jana Mintowta, który - patrząc, jak z Kozielska wyjeżdżają kolejne grupy kolegów, nie wytrzymując napięcia, co rusz biegnie do Korolewa.

- Co ze mną? Kiedy znajdę się na liście?

- Wasz „doproszenie” rozstrzyga się w Maskwie (Wasza sprawa rozstrzyga się w Moskwie)

- odpowiada ten nie zmiennie i niezrozumiale, więc nalega tym energiczniej.

- Dlaczego? Czy sami nie możecie zdecydować?

Odpowiedź brzmi jeszcze dziwniej.

- Uspokójcie się, bo pożałujecie.

Po latach złoży świadectwo, że zawdzięcza życie koledze z dzieciństwa, obecnie oficerowi KGB (dawniej NKWD), Pieti Pszenicznemu z Hersonia, rodzinnego miasta obydwu.

Zasadniczo selekcyonerzy zawiedli się. Spośród przebywających w Griazowcu kilkuset wybranych wyodrębniono trzydziestu. (Są źródła mówiące o dwudziestu, a nawet sześćdziesięciu). Ci zostaną przeniesieni do Moskwy i osadzeni w więzieniu na Butyrkach, a potem na Łubiance (zapewne w celu większego zmiękczenia), gdzie są traktowani ze specjalnymi względami. Mimo to, na koniec, wytypują zaledwie („Zaledwie” lub „aż”, zważywszy, że jednostki rządzą masami.) trzynastu pewnych. Ich los ulega prawdziwej metamorfozie. Zamieszkają w Centrum indoktrynacji, w tzw. Willi Rozkoszy, na przedmieściach Moskwy, w niebywałym luksusie. Prym wiedzie tu grupa Zygmunta Berlinga.

Pozostali ocaleni wstąpią potem (po słynnej amnestii w 1941 r.) do Armii Andersa. Uczyni to również, zwerbowany uprzednio, płk Zygmunt Berling, by przekazywać swoim mocodawcom informacje o wszystkich poczynaniach dowództwa, a po decyzji Andersa o wyprowadzeniu wojsk do Iranu zdezerterować. Awansowany przez Sowietów do rangi generała, pod patronatem Związku Patriotów Polskich i Wandy Wasilewskiej, utworzy oddziały Wojska Polskiego dowodzonego przez rosyjskich oficerów i podporządkowanego Armii Czerwonej, a następnie - przeszedłszy słynny szlak bojowy „Spod Lenino do Berlina” - w Polsce Ludowej nadal pracuje dla Moskwy.

EKSHUMACJA

Mogilami jestznaczona historia Polski.

Takiej mogiły jeszcze nie było.

(Fragment sprawozdania prezesa Zarządu Głównego PCK Kazimierza Skarżyńskiego po powrocie Komisji Ekshumacyjnej; z Katynia 14 maja 1943 r.)

Do odkrycia mogił w Lesie Katyńskim mogło dojść już w 1941 rok., (od późnego lata tereny te kontrolują Niemcy), kiedy w okolicy wioski Kozie Głowy, w odległości około 300 m od Lasu Katyńskiego, przybywa pociąg roboczy Banzug 2005 München, składający się z ośmiu wagonów. W jednym z nich mieszka czterdziestu pięciu polskich przymusowych robotników z Wielkopolski, z zadaniem czuwania nad przejezdnością torów kolejowych na tyłach frontu wschodniego. Wśród nich - Teofil Rubasiński jeden z brygadzystów.

Właśnie jego brygadę wybiera przypadkowo kobiecina, która pewnego dnia pojawia się nie wiadomo skąd z nieprawdopodobną informacją.

- Prawda to, że wy Polacy? - zagaja niezłą polszczyzną.

- A jeżeli tak?

- Znaczy prawda. To i powitam was po polsku. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków. Amen - zdejmują czapki.

- Polacy! Boże Ty mój! Prosto z Polski?! Jaż także samo Polka. Siemianienko po mężu, ale z domu Kozłowska. Ot, nareszcie ja dożyła, żeby rodaków na koniec spotkać.

- Nam też przyjemnie. Teofil Rubasiński, Janek Wachowiak i Zygmunt Musielak - przedstawiają się jej kolejno.

- A wiecież wy, że ubiegłej wiosny NKWD wymordowało tutaj naszych oficerów? Tysiące! W dołach pochowani.

- Co pani mówi?!

- Nie wierzycie? Dowód pokażę. Schowałam.

- No, chyba że tak.

Następnego dnia przychodzi znów i - rozglądając się wkoło - wyciąga spod fartucha polską, mocno sfatygowaną, oficerską czapkę z orzełkiem.

- Proszę bardzo! Wyrzucił ją któryś biedniaga (biedaczyna), jak się z wagonu do worona przesiadał. I „Jeszcze Polska nie umarła!” krzyknął. Mąż mój, który czapkę podniósł i mnie oddał, na własne uszy słyszał.

- A gdzie grobów szukać?

- Niedaleczko. Ze trzysta metrów będzie. Drzewka tam na polance młodziutkie posadzone dla niepoznaki. Łatwo znaleźć.

Odchodząc, starannie ukrywa znów czapkę w fałdach szerokiego fartucha.

Zaintrygowani, tego jeszcze dnia udają się na wskazane miejsce, lecz wojskowych szczątków nie uda się im znaleźć. Natrafiają jedynie na kilka cywilnych, w dodatku bardzo starych. (Są to mogiły wymordowanych po zwycięstwie rewolucji październikowej własnych obywateli - „wrogów narodu”.)

Kobieta więcej się nie pojawia, co zaciekawia ich tym bardziej, próbują więc podpytywać innych tubylców. Jeden z nich, o nazwisku Kozłów, po kilkudniowym namyśle, zgłasza się z propozycją.

- Chcecie, to sam was do polskich grobów zaprowadzę.

Uczyniwszy to, radzi:

- Teraz nie ruszajcie. W nocy kopcie, a to i was tu pochowają.

Po zapadnięciu ciemności (na szczęście świeci księżyc) wracają do młodziaka z łopatami. Podkopawszy się pod jedną z sosenek, znajdują pod warstwą piachu dwa ciała leżące twarzami w dół, w polskich, oficerskich mundurach. Jedno z dystynkcjami majora, drugie - kapitana. Skrępowane na plecach ręce, rozłupane głowy, pętle na szyjach...

Widok jest tak porażający, że czym prędzej zasłaniają go piaskiem i - mówiący Anioł Pański za dusze, wycofują się, rozglądając wkoło ze strachem. Nie odważywszy się kopać po raz drugi, poprzestają na postawieniu w tym strasznym miejscu dwóch brzoźowych krzyży.

- Każdemu po jednym.

Przeżegnawszy się, odchodzą czym prędzej.

Zamordowani śpią pod nimi cicho aż do kwietnia 1943 roku, kiedy okupujący te tereny Niemcy - podobnie jak polscy robotnicy - dowiedziawszy się o nich od miejscowej ludności, natychmiast postanawiają to wykorzystać. W dniu 13 kwietnia tegoż roku informują światową opinię publiczną.

„Odkryto masowe groby polskich oficerów w Związku Sowieckim pod Smoleńskiem, zamordowanych przez NKWD”.

Następnego dnia Emigracyjny Rząd Rzeczypospolitej w Londynie wydaje na ten temat oświadczenie, dając tym Stalinowi pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych już 25. tegoż miesiąca. W międzyczasie, specjalnie powołana Międzynarodowa Komisja, składająca się z przedstawicieli dwunastu państw - wybitnych naukowców i specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej - przygotowuje się do udziału w ekshumacji, by ustalić

sprawcę, ponieważ Rosjanie natychmiast „odwracają kota ogonem”. To nic oni, tylko Niemcy dokonali tego bestialskiego mordu!

Zanim 28 czerwca Komisja przybędzie do Lasu Katyńskiego, aby wyjechać już 30. tegoż miesiąca, prace i badania są bardzo zaawansowane. Prowadzi je oddzielna, specjalna, sądowo-lekarska komisja niemiecka, która kieruje profesor medycyny sądowej z Wrocławia Gerhard Buchtz.

Także Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża już 15 kwietnia przysłał czteroosobową Komisję Techniczną z Kazimierzem Skarżyrskim na czele oraz dwunastoosobowy zespół badawczy, który odlatuje z Okęcia dwa dni później, wraz z księdzem Stanisławem Jasińskim, wysłanym przez metropolitę krakowskiego, księcia kardynała Adama Sapiechę, by udzielał zabitym ostatniego błogosławieństwa. Są wśród nich anonimowi działacze Ruchu Oporu z zadaniem zebrania dowodów identyfikujących sprawców i przekazania wniosków drogą radiową Polskiemu Rządowi Emigracyjnemu w Londynie oraz znany literat i dziennikarz wileński Józef Mackiewicz.

Profesor Buchtz - dla celów naukowych - wywiezie do Wrocławia obfity materiał badawczy, w tym siedem ekshumowanych czaszek. Wśród nich jedną kobietą - Janiny Dowbor-Muśnickiej-Lewandowskiej, co się okaże dopiero po latach.

Ekshumację obserwują zagraniczni korespondenci: szwedzcy, szwajcarscy, holenderscy, norwescy, belgijscy, węgierscy, rumuńscy i niemieccy dziennikarze, a okupujący te tereny Niemcy zapewniają wszystkim całkowitą swobodę oraz warunki niezbędne do pracy. Także zakwaterowanie i wyżywienie.

Wygodny autobus turystyczny rusza spod hotelu w Smoleńsku, zaledwie ostatni członek Komisji Specjalnej zajmie miejsce. Opuściwszy ruiny miasta, jadą wolno pośród zalegających pobocza wypalonych samochodów, stosów żelastwa i wykrotów. Mijana po drodze pusta stacyjka Gniezdowo przypomina, że tylko cztery kilometry dzielą ich od celu. Pogoda nie sprzyja pobytowi pod gołym niebem, bo siąpi deszcz, więc myślą o nim niechętnie. Jedyne pociecha, że przybywają tam po raz ostatni. Mają już za sobą przesłuchania okolicznych mieszkańców, sekcję dziewięciu zwłok wydobytych wcześniej przez działające już Komisje, oględziny 982 ciał z pierwszego rozkopanego grobu oraz gotowe sprawozdania z tego etapu prac. Mimo że oswojeni z potwornością, nie potrafią zachować dystansu. Dobrze wiedzą, co ich znowu czeka. Trwają w milczeniu, psychicznie przygotowując się do kolejnej traumy.

Kiedy na piątym kilometrze autobus skręci w leśną przesiekę i przystanie przed szlabanem, ciężko wzdychają. Po raz ostatni głęboko. Kiedy miną podniesioną przez

niemieckich wartowników barierę i wysiądą na tamtej polanie, nie będzie to możliwe ze względu na straszliwy, słodko-lepki odór śmierci i rozkładu, który uderza w nozdrza, wywołując duszności, kaszel i zmuszając do zasłaniania nosa i ust maskami z gazy nasączonej środkami dezynfekcyjnymi. Zawczasu je wyjmują.

Obrzeżoną starym lasem świerkowym polaną porastają młode sosenki z seledynowymi pędami na końcach gałęzi. O wiele młodsze od otaczających je starych drzew. Trzy lata wcześniej nie było ich tutaj. Zasadzone po mordzie miały na zawsze ukryć zbrodnię.

Pod nogami - miękki dywan z wilgotnej dziś trawy, przed nimi wał świeżej, piaszczystej ziemi. Poza nim - otwarta mogiła, a w niej tysiące ludzkich zwłok w polskich oficerskich mundurach. Wiele już wydobytych, widać, że są ułożone warstwami - jedna na drugiej, na waleta, równi z wyprostowanymi nogami i rękami (jeśli nie są związane z tyłu). Niektóre nierozpoznawalne, inne lepiej zachowane.

Wykrzywione męką twarze skierowane przeważnie w dół. Liczne z rozwartymi do krzyku ustami, co widać po odwróceniu. Wiele ze skamieniałymi w nich trocinami, ziemią lub kłębkami wołoku umocowanego sznurem wokół głowy. Ich ręce są powiązane na plecach podwójną pętlą połączoną z szyją. Bywa, że rany postrzałowe w tyle głowy zasłaniają poły płaszczy. Widać, że nie oddali życia bez walki. Ciała tworzą lepką masę. Są zmumifikowane, zlepione płynami organicznymi, sprasowane pod ciężarem własnym i ziemi, która je okrywała.

Okolo pięciuset metrów dalej, za przesłoną z gałęzi, mającą na wzniesieniu białe ściany „Zameczku”, lecz dziś jego przestronne okna nie odbijają słonecznych promieni, jak wtedy. Zroszone deszczowymi łzami zdają się płakać po pomordowanych. A może nad zbrodniami dawnych mieszkańców luksusowej willi - „zasłużonych” pracowników NKWD?...

Ekipa miejscowych robotników - w kombinezonach, długich gumowych butach i rękawicach ochronnych, w maskach z gazy i czapkach na głowach, stąpa po ciałach, rozdzielając je mozolnie, z najwyższą ostrożnością żelaznymi hakami, wspomagając się szuflami, a nawet kilofami. Układają każde na noszach i przekazują stojącym wyżej, dźwigając po ułożonych ukośnie deskach albo (z głębszych warstw) windując na sznurach. Tamci odnoszą je na wolną przestrzeń, by dołączyć do już wydobytych, leżących wzdłuż ścieżek, i wracają po następne.

Komisji Polskiego Czerwonego Krzyża powierzono niełatwe zadanie. Bezpośredni kontakt ze zwłokami. Trzeba je przeszukać, wydobyć znajdujące się w kieszeniach przedmioty, dokonać ich selekcji, także po sekcji zewidencjonować. (Kierownikiem zespołu

lekarskiego PCK, dokonującego sekcji zwłok był polski lekarz dr Marian Wodziński.) To dowody zbrodni, które pomogą zidentyfikować zmarłych i wskazać sprawców. Rosną stopy niepotrzebnych, kiedyś cennych, przydatnych, przedmiotów. Zmoknięte, stłamszone strzępy poszarpanych hakami mundurów, rosyjskojęzycznych gazet (daty z marca i kwietnia 1940 roku pomogą wskazać właściwego zbrodniarza), zgniecione pudełka po zapalkach i papierosy, drewniane cygarniczki, oślizgłe papierowe banknoty (polskie złote i rosyjskie ruble), chusteczki do nosa, przejrzone komisyjnie skórzane, zbutwiałe portmonetki, legitymacje, książeczki do nabożeństwa, świadectwa szczepienia na tyfus, pokryte zielonym nalotem, porozcinane oficerki. Inaczej nie można ich zdjąć. Niegdyś starannie pielęgnowane, lśniące, dodające szyku, budzące zawiść obozowych „krasnowłoków”, którzy nie mogli ich zdobyć za żadną cenę. Żaden oficer nie pozbyłby się tego nieodłącznego atrybutu oficerskiego stopnia.

- Między sponiewieranymi pamiątkami po zamordowanych kwitną gdzieś fioletowe puszyste sasanki i - nomen omen - złociste nieśmiertelniki. Mimo że wszechobecny fetor śmierci przyprawia o mdłości, Polacy uśmiechają się na ten widok do siebie.

- Nieśmiertelniki! Mimo wszystko cała Polska nie umarła!

Wszystko to przeznaczone jest do spalenia, w odróżnieniu od przedmiotów trwałych lub niezbędnych do wyświetlenia prawdy. Metalowe guziki z orzełkami, oderwane od czapek orły, medale, medaliki, różańce, odznaki, pamiątniki, fotografie, notesy, aluminiowe wojskowe blaszki rozpoznawcze - identyfikatory, dowody osobiste, karty osobowe, listy. Te, podobnie jak fotografie bliskich z czułymi dedykacjami, poruszają najmocniej. Zwłaszcza od dzieci. Trudno nie zapłakać, czytając takie słowa: „Kochany tatusiu!”, „Drogi Ojczusiu!”, „Tateńku mój Najukochańszy!”, „Kochamy Ciebie, tatulku, tęsknimy...”. Nie wszystkie można odcyfrować. Zwłaszcza pisane atramentem i chemicznym ołówkiem ze względu na wilgoć, która rozmyła pismo. W lepszym stanie są litery drukowane i pisane zwykłym ołówkiem.

Każdy z tych przedmiotów trzeba wziąć do ręki, opisać, skatalogować, a następnie włożyć do oznaczonych kopert i skrzyń. Oddzielnie papierowe, metalowe, skórzane, drewniane... To bardzo odpowiedzialne i przykre czynności, wymagające rozcinania mundurów, kieszeni i oficerskich cholewek, a więc bliskiego kontaktu ze zwłokami. Inaczej nie sposób rozpiąć guzików. Mimo to pracują ofiarnie, świadomi, że przyczyniają się do identyfikacji i ofiar, i katów.

W obecności przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża zabezpieczono 3000 eksponatów zapakowanych w 9 skrzyniach oraz 22 pamiątniki, które trafiają do oddzielnej

małej skrzynki. Niektóre źródła podają, że było ich aż 39, lecz tego nie da się zweryfikować. Jako dowody winy Rosjan, powierzone pieczy profesora Gerharda Buchtza z Wrocławia, zostaną potem przetransportowane pod konwojem do Krakowa. Armii Krajowej uda się wykraść Niemcom rzecz najcenniejszą. Pamiątki. Po skopiowaniu oryginały (razem z przedmiotami zdobytymi przez członków AK obecnych przy ekshumacji) powędrują do Londynu, gdzie zostaną zdeponowane w Studium Polski Podziemnej. Kiedy w 1945 roku wybuchnie tam pożar, cudem uratowane z płomieni, znajdą miejsce w Sztapie Naczelnego Wodza - Oddział Specjalny, L.dz. 4846/A/Tajn.44.Londyn, dn.6.VII 1944. Będzie to dowód tym bardziej wiarygodny i niepodważalny i nie jedyny że eliminuje podejrzenie o jego spreparowanie i podłożenie do grobów przez Niemców na użytek Komisji. Wyjmowano je przecież komisyjnie z rozcinanych kieszeni - wilgotne, przegniłe, cuchnące.

Tymczasem koszmar trwa. Odslaniają się coraz głębsze warstwy ziemi, ukazując wciąż nowe rzędy zwłok w polskich oficerskich mundurach. Każdemu nadaje się numer i wpisuje na listę porządkową. Każde poddaie się sekcji, po czym obecny przy tym kapłan skrapia wodą święconą i błogosławi. Potem już można pogrzebać je po chrześcijańsku po raz drugi. Niestety, we wspólnych grobach, bez trumien. W oddzielnych zostaną pochowani jedynie generałowie brygady Mieczysław Smorawiński i Bronisław Bohatyrewicz odnalezieni w jednym wydzielonym grobie, a także odkopani później: generał dywizji Henryk Odrowąż-Minkiewicz i kontradmirał Xawery Czernicki. Ostatnie ciała spoczną w nich trzy dni po przerwaniu prac 7 czerwca 1943 roku.

Sekcje wykażą, że wloty kul znajdują się nad karkiem, kanał pocisku biegnie ku górze, do otworu wylotowego w twarzy - pomiędzy nosem a linią włosów, co wskazuje na to, że strzelano do skazańców z tyłu, przykładając pistolet do kości potylicznej czaszki. W kilku odkryto dwie rany postrzałowe, w jednej - trzy. Między łopatkami zdarzają się rany po czworokątnych bagnetach (takich właśnie używała wtedy Armia Czerwona), niektóre na wylot. Zadane jeszcze żyjącym. Czującym.

Oględziny zwłok dowiodły, że mord sprzed trzech lat musiał być precyzyjnie zaplanowany. Nawet powrozy, którymi wiązano ofiary, mają jednakową długość, zaś analiza mikroskopowa udowodni, iż wyprodukowano je w Związku Sowieckim. Wśród członków komisji niemieckiej nie małą konsternację wzbudza fakt pochodzenia kul kaliber 7,65, w kilku przypadkach 6,35. Produkowała je niemiecka firma Geco w fabryce Gustawa Gen-schowa w Durlach, wszakże niemieckie służby ustalą, że - jeszcze przed Wybuchem wojny - eksportował on swój towar do Polski i krajów bałtyckich oraz Związku Sowieckiego, co potwierdzą polskie źródła. Obok jednakże tej amunicji znaleziono również pociski produkcji

sowieckiej.

W sumie odkryto osiem masowych mogił o głębokości od 1,80 do 3 metrów. Największa z nich ma kształt litery L o bokach 26 na 8 metrów, z 2800 zwłokami w polskich oficerskich mundurach, ułożonymi w dwunastu warstwach. Wszystkie pochodzą z obozu nr 13, czyli kozielskiego.

Poza nimi natknięto się na oddzielne, starsze groby z zamordowanymi w latach dwudziestych, rodzimymi „wrogami narodu”.

Do chwili przerwania prac 3 czerwca 1943 roku (ze względu na upały odór staje się nie do wytrzymania), wydobytych na światło dzienne zostało 4300 zwłok. Zgodnie z rachubą - wszyscy z „Zakazanej Zony” kozielskiej (sowieckie źródła podają liczbę 4421) (różne źródła podają różne, jednak zbliżone dane, np. 4 566). Z tego zidentyfikowano 2815, w tym - z całkowitą pewnością - 2730 ciał.

Na podstawie oglądu zwłok fachowcy stwierdzą rzecz porażającą i niewiarygodną. Niektóre ofiary zostały zastrzelone w pozycji leżącej (żywe!) na martwych ciałach kolegów, najwyraźniej zmuszone do tego przez oprawców. Warto podkreślić, że przy zamordowanych nie znaleziono żadnych kosztowności, co mogło być skutkiem albo sprzedaży, albo grabieży. Jedno i drugie miało miejsce.

Komisja Międzynarodowa wytrzymała na posterunku zaledwie trzy dni, komisja Polskiego Czerwonego Krzyża - pięć tygodni. W efekcie prac trzech komisji powstały trzy niezależne od siebie raporty, zakończone jednak zbieżnymi wnioskami. WINNI SĄ ROSJANIE. Potwierdzają to końcowe wnioski wszystkich komisji. Niezbite dowody stanowią znalezione przy zwłokach przedmioty, szczególnie skrawki gazet i zapiski z datami wyjęte z posklejanych, rozcinanych kieszeni ofiar. Na wszystkich widnieje rok 1940. Niemców tu jeszcze nie było. Zaatakowali Związek Sowiecki dopiero rok później, w czerwcu 1941 roku.

Ustalono, że ofiary zabito i pogrzebano przed trzema laty, w przybliżeniu wiosną 1940 roku, co stwierdzili również patomorfolodzy. Dokonano również mikroskopowych badań przekroju poprzecznego z kilku młodych pni sosnowych rosnących na grobach, co wykazało jednakowy przyrost w trzech zewnętrznych słojach rocznych, podczas gdy pomiędzy nimi była ciemna obwódka. Na tej podstawie rzeczoznawca leśnictwa stwierdzili, że posadzono je wiosną 1940 roku. Pytanie, dlaczego na mogiłach? Przed tą datą, co poświadczyli okoliczni autochtoni, nic tu nie rosło. Odpowiedź brzmi. Aby ukryć mord.

Znaleziono także odpowiedź na pytanie zadawane Stalinowi przez gen. Andersa w 1941 roku: „gdzie są polscy oficerowie?”. Po zestawieniu danych osobowych ciał

wydobytych z mogił z osobami figurującymi na liście zaginionych, okazało się, że stanowią jedną trzecią tamtych poszukiwanych. Może to oznaczać, że pozostali z listy Andersa znaleźli śmierć w innych miejscach kaźni, wówczas jeszcze nieodkrytych.

KLAMSTWO KATYŃSKIE

Grób pod Smoleńskiem (...) przerasta ludzką wyobraźnię i ludzką wiedzę.

Tego jeszcze nie było. Dzieje nie przekazały nam wypadku tak totalnego mordu, dokonanego w sposób tak nikczemny i w jeszcze bardziej nikczemny zatajonego.

Można by przekopać na głębokość kilkuset metrów cały glob ziemski od bieguna do bieguna i nigdzie, nigdzie pod słońcem nie dokonano by takiego odkrycia, jak w Rosji pod Smoleńskiem.

(„Wiadomości Polskie”, nr 18, Londyn, 2 maja 1943 r.)

Unicestwienie polskiej elity wojskowej, zawodowej i kulturalnej zaplanowane przez Stalina wspólnie z Hitlerem to największa tragedia całego Narodu Polskiego. Tragedia, do której sprawcy nie przyznawali się przez dziesięciolecia, a świat wolał udawać, że w to wierzy. W okresie od 3 kwietnia do 13 maja 1940 r., w ciągu pięciu tygodni, bez najmniejszych zakłóceń, w ścisłej tajemnicy co do celu wywózek, tak precyzyjnie przeprowadzono całą, niezwykle trudną logistycznie akcję, że po tysiącach ludzi zaginął wszelki ślad. Na próżno gen. Anders upominał się o polskich oficerów potrzebnych tworzącej się polskiej armii.

Ślad ten wskazał, informując tym samym o przebiegu tej narodowej hekatombi, siedemdziesięcioletni mieszkaniec okolic Lasu Katyńskiego, Iwan Kriwoziercew. Swoim świadectwem zadał kłam insynuacjom sowieckim, rozpowszechnianym po odkryciu grobów katyńskich przez Niemców w roku 1943, że to oni sami dokonali mordu. Zeznał, że polscy oficerowie, w marcu i kwietniu 1940 roku, dzień w dzień w trzech wagonach więziennych przybywali do stacji Gniezdowo, gdzie przeładowywano ich do „czornych woron” i - pod konwojem NKWD - wieziono do Lasu Katyńskiego, od lat znanego jako miejsce kaźni „wrogów ludu”. Tym samym potwierdził wnioski trzech komisji biorących udział w ekshumacji w 1943 roku. Dodatkowo jego prawdomówność zdaje się potwierdzać fakt, że - po tych zeznaniach - chociaż aktualnie przebywał na Zachodzie - dosięgła go zemsta sprawców. Znalaziono go powieszono.

Zeznania Kriwoziercewa korespondowały również z wcześniejszym świadectwem ocalonego więźnia Kozielska, por. Stanisława Świaniewicza, który po raz ostatni widział obozowych kolegów z Kozielska na stacji Gniezdowo koło Smoleńska wiosną 1940 roku. Dziwnym trafem w tym samym czasie przestały od nich przychodzić listy do rodzin.

Rosjanie od początku usiłowali zataić prawdę o losie polskich elit, które sami wymordowali. Wyparli się tego już w sierpniu 1941 roku, po napaści Hitlera na ZSRS, po

strategicznym zawarciu przymierza z zachodnimi: aliantami i nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z londyńskim Polskim Rządem Emigracyjnym. Wyrazili również zgodę na utworzenie Polskiej Armii na terenie Związku Radzieckiego pod dowództwem gen. Andersa oraz na amnestię dla więźniów i zesłańców. Wszystko to gwarantowała Umowa z 30 lipca 1941 r., podpisana przez ambasadora sowieckiego w Wielkiej Brytanii Iwana Majskiego i Wodza Naczelnego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, gen. Władysława Sikorskiego. Mimo że Polacy przebywając na sowieckiej ziemi (w łagrach, więzieniach i na zsyłce) tłumnie zgłaszali się na miejsce zborne w Buzułuku, Tatiszczewie i Jangi-Julu, nie było wśród nich oficerów poza nielicznymi, ocalonymi z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Ci zaś składali świadectwo, że więziono tam tysiące polskich jeńców i że wszyscy wyjechali przed nimi; podobno do krajów neutralnych.

Pytania o los nieobecnych, stanowiących 45% całego polskiego korpusu oficerskiego Polskich Sił Lądowych (ok. 15 000), kierowane do władz sowieckich w ponad pięćdziesięciu notach przez powołany przy Sztapie Armii Referat do Spraw Poszukiwań Zaginionych Oficerów, nie dały rezultatu. Było już za późno, więc Kreml preparował rozmaite kłamstwa (łącznie z tym, że zostali zwolnieni albo że uciekli do Mandżurii, a ich dalszy los nie jest znany). Rok później generał Wsiewołod Nikołajewicz Mierkułow - komisarz bezpieczeństwa państwowego, jeden z sygnatariuszy wniosku Berii o likwidacji jeńców wojennych, jego późniejszy zastępca - świadom, że w sytuacji, gdy Hitler stawał się panem Europy, Polacy mogliby być użyteczni w rozmowie z wiernym Zygmuntem Berlingiem, przyznał.

- Wobec oficerów Kozielska i Starobielska popełniono wielki błąd.

Mimo to generał, lojalny wobec aktualnego hegemonu, w przemówieniu do żołnierzy, potępił „bestialstwo Niemców i ich nieludzkie usiłowania obciążenia własną winą Związku Radzieckiego”.

Pierwszą sugestią, że zaginięcie oficerów łączy się z nazwami: Smoleńsk i Gniezdowo, był w końcu lutego 1943 roku - dalekopis 537. niemieckiego pułku łączności stacjonującego kilka mil na zachód od Smoleńska, gdzie niemiecka policja polowa odkryła masowe groby z ciałami polskich oficerów.

W dniu 14 kwietnia o godz. 17.30 Radio Berlin nagłośniło tę informację na cały świat. Jej prawdziwość potwierdził komunikat dowódcy Armii Krajowej z Warszawy nadany przez gen. brygady Stefana Grota-Roweckiego w depeszy do Naczelnego Wodza w Londynie, Władysława Sikorskiego. Opublikował ją również „Nowy Kurier Warszawski” oraz inne polskojęzyczne gadzinówki: „Goniec Krakowski” i „Gazeta Lwowska”. Rozpoczęto również publikację listy nazwisk na słupach ogłoszeniowych.

Dla Niemców odkrycie to było na rękę, ponieważ odwracało uwagę od ich klęski pod Stalingradem i dawało nadzieję na skłócenie koalicji antyhitlerowskiej. Z tego powodu niemiecki minister propagandy Joseph Goebbels kazał je rozpropagować. Rosjanie natychmiast, bo już 15 kwietnia, odparowali oskarżenie poprzez Sowieckie Biuro Informacyjne, obwiniając oskarżycieli. To nie oni, tylko „faszystowscy kaci wymordowali bestialsko przebywających na robotach jeńców przejętych w 1941 roku”.

Po odkryciu grobów katyńskich i zapoznaniu się z raportem komisji Polskiego Czerwonego Krzyża biorącej udział w ekshumacji wiosną 1943 roku, Polski Rząd Emigracyjny w Londynie występuje z prośbą do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o wdrożenie dodatkowych badań, co Stalin

- wyrzucając koalicjantowi brak zaufania do siebie i wręcz kolaborację z Niemcami - mimo wycofania wniosku na skutek nalegań Anglii i Stanów Zjednoczonych, już 26. kwietnia, wykorzysta jako pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z londyńskim rządem. Nie potrzebuje go. Ma przecież na swoje usługi grupę oddanych polskich komunistów (m.in. gen Berling ze swoją armią z radzieckim przywództwem i Wanda Wasilewska ze Związkiem Patriotów Polskich). Dzięki nim, co po latach stwierdzą niektórzy historycy, kłamstwo katyńskie stanie się KŁAMSTWEM ZAŁOŻYCIELSKIM komunistów rządzących podległą Moskwie Polską.

Po zwycięstwie aliantów nad faszyzmem, w konsekwencji nowego podziału Europy w Teheranie i Jałcie, na temat zbrodni katyńskiej panuje zmowa milczenia. Połowę Europy politycy oddali bez targów we władanie Stalinowi, co postanowiono już w lutym 1945 roku, kiedy to prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt, złożył wobec Winstona Churchilla i Józefa Stalina znamienne oświadczenie:

Mnie polskie granice nie obchodzą. Nie obchodzi mnie też kwestia kontynuacji polskiego rządu na emigracji. Faktycznie to od 1939 roku nie było żadnego Polskiego Rządu na Emigracji.

Tak alianci potraktowali polskiego sprzymierzeńca walczącego na wszystkich polach bitew II wojny światowej. Pozwolili, by Związek Sowiecki, przez kolejne dziesięciolecia, bezkarnie oskarżał o ludobójstwo katyńskie Niemców i dominował w Europie Wschodniej. Zafałszowano nawet jego datę, głosząc, że miało miejsce nie w 1940, tylko w 1941 roku, kiedy Niemcy wkroczyli do Rosji. I mimo oczywistej manipulacji (ignorując ustalenia Komisji Międzynarodowej biorącej udział w ekshumacji w 1943 roku), Zachód nie protestował. W pewnym sensie czyni go to niejako współodpowiedzialnym za ten mord. Nawet Najwyższy Międzynarodowy Trybunał podczas procesu w Norymberdze, który uznał

SS i gestapo za organizacje zbrodnicze, nie oskarża o to NKWD. Sprzyjający temu klimat powstał wcześniej, w Londynie, podczas konferencji czterech zwycięskich mocarstw (Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Związek Sowiecki i Francja). Ustalono wówczas metody proceduralne ścigania i sądzenia zbrodniarzy wojennych zawarte potem w Karcie Międzynarodowego Wojskowego Trybunału Norymberskiego.

Podczas procesu w Norymberdze wymieniono trzy główne zbrodnie wojenne, które miały być sądzone przez przedstawicieli poszczególnych mocarstw.

1. Prowadzenie wojny zaborczej - Stany Zjednoczone.

2. Zbrodnie popełnione na wodach eksterytorialnych i pogwałcenie traktatów - Wielka Brytania.

3. Zbrodnie przeciwko ludzkości - Związek Sowiecki.

Tak więc sędziami we własnej sprawie zostają reprezentanci zbrodniarzy, tzw. Komisja Specjalna N. Burdenki (od nazwiska przewodniczącego), a prokurator sowiecki, Roman Rudenko, który wnosi na wokandę sprawę Katynia oraz agresji na Polskę w 1939 roku¹⁷⁷, oskarża o obie te zbrodnie Niemców. Że jego kraj był drugim agresorem, nie wspomina. Nie wyraża też zgody na powołanie polskich świadków: przebywających na Zachodzie osób ocalonych z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa i nie dopuszcza do przedstawienia materiałów dowodowych z ekshumacji katyńskiej w 1943 roku, dostarczonych w tym samym czasie do Londynu przez żołnierzy Polskiego Ruchu Oporu.

Przywódcy wielkich mocarstw, w imię solidarności zwycięzców, nie zrobią nic, aby się temu przeciwstawić. Przeciwnie. Pomagają Sowietom ukryć tę zbrodnię przed światem, a podczas ogłaszania wyroków końcowych 30 września 1946 roku nikt nawet nie zająknie się o katyńską zbrodni. Jakby nigdy do niej nie doszło. Jakby ci pomordowani, bezbronni jeńcy nigdy nie żyli na ziemi! 21 857 istnień ludzkich! Paradoksalnie osądzono i ukarano mord popełniony w Niemczech na 50 alianckich oficerach. Indagowany o to sędzia Jakson oświadczy potem z rozbrajającą szczerością:

Rząd sowiecki nie mógł być sądzony w procesie, w którym nie Rosjanie, tylko Niemcy byli oskarżeni.

Tanio ocenił świat polską krew! Krew tych, którzy przyczynili się do zwycięstwa nad wspólnym wrogiem. Tak ją „wdzięcznie” wycenili, że Winston Churchill niefrasobliwie napisze w pamiętnikach:

23 września 1939 r. Związek Sowiecki i III Rzesza Niemiecka podpisały pakt (Ribbentrop - Mołotow) o nieagresji, z jedną tajną klauzulą dzielącą Polskę na dwie strefy (sowiecką i niemiecką) oraz całkowicie likwidującą państwo polskie, bo powracającą do

granic sprzed I wojny światowej, i drugą - o podziale Europy po jej opanowaniu. W wyniku napaści Niemców na Polskę 1 września 1939 r. i podstępnego wtargnięcia Sowieców 17 września Polskę przecięto wzdłuż linii Wisty, zaś większa jej część na wschód od rzeki przypadła ZSRS (192 tys. km kw. i 22 mln mieszkańców). Obszary na Zachód stały się własnością III Rzeszy (187 km kw. i 13 mln mieszkańców), przy czym Górny Śląsk, miasta Poznań i Gdańsk wcielono do Rzeszy. Pozostałą część - z Warszawą i Krakowem - nazwano Generalną Gubernią.

Już 28 września ustalono granicę wzdłuż Bugu na południe od Zamościa i Polska po raz drugi zniknęła z map Europy. Aby ujarzmić podbity Naród, obaj okupanci od razu przystąpili do eliminacji potencjalnych przywódców - polskiej inteligencji. Trwało to od 1939 do 1944 r., a pod okupacją sowiecką jeszcze dłużej (więzienia, tortury, wyroki śmierci, dalsze zsyłki na Syberię).

Zainteresowane zwycięskie rządy zdecydowały, że sprawa katyńska powinna być pominięta (...).

Nie dodaje tylko, z jakiego powodu. Oto, aby nie drażnić Stalina. Wygodnictwo? Tchórzostwo? Egoizm? Niewdzięczność?... Wszystko i może coś więcej?...

I nie pomoże, iż wielu ocalonych jeńców Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, osiadłych po wojnie w państwach zachodnich, składa świadectwa. Że znajdzie się świadek najbliższy prawdy - Stanisław Świaniewicz, oraz świadek naoczny - Iwan Kriwoziercew. Na nic przedstawianie dokumentów i dowodów rzeczowych (przedmioty znalezione w dole śmierci) i na nic publikacje ujawniające prawdę. Władze Kremla pozostają nieugięte. Taką postawę zachowują także w dniach od 20 listopada 1945 roku do października 1946 roku przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze, próbując - bez powodzenia - obarczyć własną winą Niemców. Mimo to Trybunał nie oskarża ani jednych, ani drugich.

Po raz pierwszy oficjalnie uczyni to Kongres USA w 1952 roku (potem blokuje tę sprawę prezydent Franklin Delano Roosevelt), podczas wojny koreańskiej, za kadencji Harry'ego Trumana, który oświadcza, że świat powinien poznać prawdę o zbrodni katyńskiej, co i tak niczego nie zmienia. (Ujawnione ostatnio dokumenty informują o doskonale zorganizowanej sowieckiej siatce szpiegowskiej, nawet w siedzibie prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta, w Białym Domu). (Skutek dziewięciomiesięcznych prac Specjalnej Komisji Śledczej Kongresu Stanów Zjednoczonych do Zbada Zbrodni Katyńskiej, powołanej w 1951 roku i raportu końcowego tejże, zwanego raportem Maddena, stwierdzającym jednoznacznie winę NKWD). (Władze USA, w sierpniu 2012 roku podjęty

decyzję o zamieszczeniu w Internecie w dniu 10 września tegoż roku, wszystkich dokumentów dotyczących tej sprawy, dotychczas przechowywanych w amerykańskich archiwach).

W powojennym Związku Radzieckim sprawa Katynia nadal jest utajniana, a władze robią wszystko, by nigdy nie ujrzała światła dziennego. W dniu 3 marca 1959 roku szef KGB Andriej Szelepin osobiście wręcza naczelnemu sekretarzowi generalnemu KPZR (Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego) Nikicie Chruszczowowi tajną notatkę, w której radzi zniszczenie wszystkich akt dotyczących tej zbrodni (teczki osobowe, karty ewidencyjne wywożonych na śmierć, wysyłane Moskwy i protokoły z egzekucji), z wyjątkiem niektórych dokument, które miałyby być przechowywane w Pakiecie nr 1 w Teczce Specjalnej w liczbie 21 857, zdeponowanej w sektorze nr 6 w tajnej części Archiwum KC WKP(b) KPZR.

Nie ma, niestety, dowodów (protokoły zniszczeń) wskazujących, że tak się istotnie stało. Sama notatka ma jednak duże znaczenie dla historyków, zawiera bowiem autentyczne liczby ofiar zamordowanych na mocy rozkazu z 5 marca 1940 roku. Nie podaje jednak innej ważnej informacji. O miejscach ukrycia zwłok więźniów z tzw. listy białoruskiej i ukraińskiej. Łącznie 21 857 zamordowanych. Wielu ich żyjących krewnych do dziś nie zna ani miejsca pochówku, ani nawet potwierdzenia ich śmierci oraz jej okoliczności, aczkolwiek w międzyczasie odkryto nowe doły śmierci.

Zmowę milczenia nad jedną z najbardziej odrażających zbrodni XX wieku nagłośniła książka z przedmową gen. Władysława Andersa Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów, a następnie publikacja polskiego historyka Janusza Zawodnego (1962). Jednak rozgłos nada sprawie katyńskiej dopiero praca brytyjskiego historyka Luisa Fitz-Gibbona (1971).

Tylko w Polsce, kraju rządzonym przez Moskwę, w imię dbałości o dobre stosunki ze wschodnim sąsiadem, mówienie o zbrodni katyńskiej, podobnie jak o wywózkach Polaków na Syberię, groziło poważnymi represjami. Prawdę o tej zbrodni usiłowano ukryć jeszcze w 1989 roku, po rzekomej transformacji ustrojowej. Dopiero 13 kwietnia 1990 roku Rosja, po raz pierwszy w historii, zdobyła się na słowa prawdy. W tym dniu agencja TASS podaje komunikat stwierdzający, że tragedia smoleńska to jedna z cięższych zbrodni stalinizmu, za którą odpowiedzialność ponosi NKWD, w szczególności Beria i Mierkułow z pomocnikami, co oficjalnie poświadcza prezydent Federacji Rosyjskiej Michaił Gorbaczow.

Jednocześnie jednak zarządza poszukiwanie dowodów strat zadanych Związkowi Sowieckiemu przez Polskę, co określono mianem anty-Katynia. Wykorzystano w tym celu sprawę jeńców sowieckich jakoby wymordowanych w polskich obozach w 1920 roku, co

miałoby usprawiedliwić „zemstę Stalina” na polskich jeńcach w 1940 roku. Po pierwsze - było ich mniej, niż podają Rosjanie, po wtóre - umierali śmiercią naturalną z wycieńczenia. Po trzecie - nikt ich do Polski nie zapraszał. Przybyli jako agresorzy, mordując, grabiąc, paląc i gwałcąc, z zamiarem opanowania kraju, a w konsekwencji - całej Europy. Czy można ich porównać z bezbronnymi polskimi jeńcami z 1939 roku?

Jednak oficjalnie, już we wrześniu 1990 roku, Naczelną Prokuraturę

Wojskową ZSRR rozpoczyna śledztwo (sprawa nr 159), które doprowadzi do ujawnienia mogił w Charkowie (więźniowie Starobielska) i Miednoje (jeńcy z Ostaszkowa), (Rosjanie, chcąc ukryć ślady zbrodni, jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku specjalnymi świdrami o średnicy 80 cm wprowadzanymi do masowych mogił, mieli je, by szybciej zutylizować, co jest zarejestrowane na zdjęciach), a w dalszej kolejności do przekazania Polsce 14 października 1992 r. przez kolejnego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna kopii niektórych tajnych dokumentów NKWD. Między innymi tajną notatkę szefa KGB Andrieja Szelepina (na podstawie tej notatki władze Federacji Rosyjskiej będą mogły twierdzić, że najważniejsze akta sprawy katyńskiej nie istnieją, w tym tzw. Lista Białoruska, Podobnego zdania jest polski premier, Donald Tusk) do pierwszego sekretarza KPZR Nikity Chruszczowa z 1959 roku wraz z dwudziestoma innymi dokumentami przechowywanymi w słynnym Pakiecie nr 1. W tym najpilniej strzeżony, zaoczny wyrok śmierci na polskich jeńców wojennych (czy trzeba innych dowodów rosyjskiej winy?) i cywilach więzionych w obozach z dnia 5. marca 1940 roku oraz notatkę szefa NKWD ZSRR Ławrientija Berii do Józefa Stal: z propozycją wymordowania polskich jeńców wojennych, podpisanej ręcznie przez Józefa Stalina, Klimenta Woroszyłowa, Wiaczesława Mołotowa, Anastasa Mikojana, Michaiła Kalinina i Lazara Kaganowicza. Oto tłumaczenie tego dokumentu (oryginał patrz s. 331).

P 13 N 144 op ŚCIŚLE TAJNE z 5 III 40 r

(W poprzek strony zamaszyste podpisy Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa, i Mikojana. Na marginesie notatka protokolarna: to w. Kalinin-za, Kaganowicz-za). ZSRR

LUDOWY KOMISARIAT SPRAW WEWNĘTRZNYCH” „MARCA z 1940 r. Nr 794/B MOSKWA

KC WKP(b) dla towarzysza STALINA

W obozach NKWD ZSRR dla jeńców wojennych i w więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi w chwili obecnej przetrzymywana jest wielka liczba byłych oficerów armii polskiej, byłych pracowników polskiej policji i organów wywiadu, członków polskich nacjonalistycznych k-r (kontrewolucyjnych) partii, członków ujawnionych k-r

(kontrewolucyjnych) organizacji powstańczych, zbiegów i in. Wszyscy oni są zawziętymi wrogami władzy sowieckiej, pełnymi nienawiści do ustroju sowieckiego.

Jeńcy wojenni, oficerowie i policjanci, przebywający w obozach, próbują kontynuować działalność k-r (kontrewolucyjną). Aktywną rolę kierowniczą odgrywali byli oficerowie byłej polskiej armii, byli policjanci i żandarmi.

Wśród zatrzymanych zbiegów i osób, które naruszyły państwowe granice wykryto także znaczną liczbę osób, członków k-r (kontrewolucyjnych) szpiegowskich i powstańczych organizacji.

W obozach dla jeńców wojennych przetrzymywanych jest ogółem (nie licząc żołnierzy i kadry podoficerskiej) - 14.736 byłych oficerów, urzędników, obszarników, policjantów, żandarmów, służby więziennej, osadników i agentów wywiadu według narodowości: ponad 97% Polaków. Wśród nich jest:

- Generałów, pułkowników i podpułkowników - 295
- Majorów i kapitanów - 2.080
- Poruczników, podporuczników i chorążych - 6.049
- Oficerów i młodszych dowodzących policji, straży granicznej i żandarmerii - 1.030
- Szeregowych policjantów, żandarmów, służby więziennej i agentów wywiadu - 5.138

- Urzędników, obszarników, księży i osadników [wojskowych] - 144 W więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi przetrzymywanych jest ogółem 18.632 aresztowanych (wśród nich 10.685 Polaków), w tej liczbie:

- byłych oficerów - 1.207
- byłych policjantów, agentów wywiadu i żandarmów - 5.141
- Szpiegów i dywersantów - 347
- Byłych obszarników, fabrykantów i urzędników - 465
- Członków różnorodnych k-r [kontrewolucyjnych] i powstańczych organizacji i różnych k-r [kontrewolucyjnych] elementów - 5345
- Zbiegów - 6.127

Biorąc pod uwagę, że wszyscy oni są zatwardziałymi, nie rokującymi poprawy wrogami władzy sowieckiej, NKWD ZSRR uważa za niezbędne:

I. Polecieć NKWD ZSRR:

1) Sprawy znajdujących się w obozach dla jeńców wojennych 1470 osób, byłych polskich oficerów, urzędników, obszarników, policjantów, Agentów wywiadu, żandarmów, osadników i służby więziennej,

2) jak też sprawy aresztowanych i znajdujących się w więzieniach w zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi 11.000 osób, członków różnorakie k-r [kontrewolucyjnych] szpiegowskich i dywersyjnych organizacji, byłych obszarników, fabrykantów, byłych polskich oficerów, urzędników i zbiegów

- rozpatrzyć w trybie specjalnym, z zastosowaniem wobec nich najwyższe go wymiaru kary - rozstrzelanie.

II. Sprawy rozpatrzyć bez wzywania aresztowanych i bez przedstawiania zarzutów, decyzji o zakończeniu śledztwa i aktu oskarżenia - w następującym trybie:

a) wobec osób znajdujących się w obozach dla jeńców wojennych:

- według informacji przekazywanych przez Zarząd do Spraw Jeńców Wojennych NKWD ZSRR, (Na marginesie ręcznie napisana adnotacja: „S. Sprawa NKWD ZSRR”)

b) wobec osób aresztowanych - według informacji ze spraw przekazywanych przez NKWD USRR i NKWD BSRR.

III. Rozpatrzenie spraw i powzięcie uchwały zlecić trójce w składzie 1.1. (skreślone ręcznie „Kabułow”) Mierkułow, [dopisane ręcznie] Kabułow i Basztakow (naczelnik 1-go Spec-wy działu NKWD ZSRR).

LUDOWY KOMISARZ SPRAW WEWNĘTRZNYCH Związku SRR Podpis: (L. BERIA) Wykonał (podpis: Beria) adnotacja odręczna: P13/144 5 III 40 r.

Za zgodność z oryginałem (pieczęć i podpis)

Postępowanie w sprawie nr 159 po czternastu latach (1990-2004) zostaje umorzone bez podania uzasadnienia i ujawnienia wyników nawet wiele lat później (rok 2012), przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu, do czego - od 5 maja 1998 r., po tym jak Federacja Rosyjska ratyfikowała Konwencję Rady Europy - zobowiązuje prawo międzynarodowe.

Mimo dowodów przekazanych Polsce przez prezydenta Jelcyna usiłują kwestię Katynia przemilczeć. Sam ten fakt nasuwa uzasadnione podejrzenie, że Rosjanie mają do ukrycia coś kompromitującego. Co gorsze, będą ich popierały polskie środowiska lewicowe, sprzyjające dawnemu (?) hegemonowi.

Po przegranych przez prawicę wyborach parlamentarnych we wrześniu 1993 roku lewicowy prokurator generalny z SLD Włodzimierz Cimoszewicz już 27 października zamyka śledztwo wszczęte miesiąc wcześniej przez prokuratora wojewódzkiego, wycofując z akt 43 tomy dotyczące sprawy i nakazując zaprzestanie czynności. W uzasadnieniu stwierdza, że wystarczy śledztwo nr 159 prowadzone przez rosyjską Główną Prokuraturę Wojskową. (W tej sprawie narzuca się analogia do postanowienia władz III RP pozostawiającego w rękach

Rosjan śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej z 10 kwietnia 2010 roku.)

Także minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie, w rządzie AWS premiera Buzka, Hanna Suchocka (późniejsza premier III RP), w lutym 2000 roku odmówi wszczęcia śledztwa w tej sprawie, o co wystąpi poseł na Sejm RP Jan Piątkowski z PiS. Podobnie zareaguje na wniosek ukarania Cimoszewicza za zamknięcie śledztwa.

Sprawą nie zajął się również Instytut Pamięci Narodowej kierowany przez Leona Kieresa.

Powstałe w Polsce Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie, z jego kapelanem ks. prałatem Zdzisławem Jastrzębcem Peszkowskim, ocalonym więźniem Kozielska, założycielem Fundacji „Golgota Wschodu”, późniejszym kandydatem do Nagrody Nobla, zdoła jedynie uzyskać zezwolenie na otwarcie polskich cmentarzy wojennych w 60. rocznicę zbrodni w Katyniu, Miednoje i Charkowie - miejscach kaźni jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

184 W tej sprawie narzuca się analogia do postanowienia władz III RP pozostawiającego w rękach Rosjan śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej z 10 kwietnia 2010 roku.

Ksiądz prałat w 1991 roku bierze udział w ekshumacji dawnych współtowarzyszy. Ujmuje w dłonie przestrzelone czaszki, namaszcza je, błogosławiąc, dotykając stułą i różańcem, modląc się za dusze i wypowiadając znamienne słowa:

- W imię Boga - przebaczam!

(Jest to Stuła Katyńska, którą ks. prałat zabierał na wszystkie spotkania związane z Golgotą Wschodu. Ciekawe jest, że kiedy w 2007 r. prezydent RR Lech Kaczyński, udawał się na obchody rocznicowe do Katynia, ks. prałat wypożyczył ją bkp. Płoskiemu, który miał ją na sobie podczas Mszy Św. w Lesie Katyńskim. W kwietniu 2010 r. sekretarz zwrócił się do Fundacji Golgota Wschodu, do której stuła i inne pamiątki po zmarłym w międzyczasie księdzu Peszkowskim należała, o jej wypożyczenie. W dniu 10. kwietnia zabrała ją na pokład samolotu Tu 154 wiceprzewodnicząca Fundacji, Teresa Walewska - Przyjatkowska. Zginęła, podobnie jak 95 pozostałych pasażerów, łącznie z prezydentem Lechem Kaczyńskim, lecz Stuła Katyńska, do której na odwrócie przymocowała wcześniej kartkę z danymi właściciela, pozostała nietknięta. Wróciła do Polski jako spuścizna po ks. prałacie i nadal stanowi własność Golgoty Wschodu mieszczącej się w Warszawie przy ul. Kanonia 8.)

On również podczas spotkań z przedstawicielami władz rosyjskich otrzymuje zezwolenie na organizowanie pielgrzymek rodzin ofiar katyńskich do grobów bliskich. Czując się dłużnikiem pomordowanych kolegów! nieustannie nagłaśnia zbrodnię katyńską na

cały świat i wciąż żąda od Rosjan: przyznania się do ludobójstwa. Czyni to, aby podobne zbrodnie nie pozostawały przemilczane i bezkarne, i aby się już nigdy nie powtórzyły. (W uchwale Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych podjętej 11 grudnia 1946 roku na 55. plenarnym posiedzeniu stwierdzono, że „ludobójstwo stanowi zaprzeczenie prawa do istnienia całych grup ludzkich, tak jak zabójstwo stanowi zaprzeczenie prawa do życia poszczególnych jednostek”. Jest tam również deklaracja, że sprawcy ludobójstwa, które „gwałci sumienie ludzkości”, bez względu na to, czy są osobami prywatnymi, czy urzędnikami publicznymi, czy mężami stanu, podlegają karze, zaś na XXIII Sesji Zgromadzenia Ogólnego 26 listopada 1968 roku została uchwalona konwencja ONZ o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości bez względu na datę ich popełnienia. Zaliczono do nich zbrodnie wojenne określone w Statucie Norymberskim Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z 8 sierpnia 1945 roku, potwierdzone przez rezolucję Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 13 lutego 1946 roku, w szczególności za „ciężkie naruszenia” wymienione w konwencjach genewskich z 12 sierpnia 1949 roku o ochronie ofiar wojny. Także zgodnie z Konstytucją RP z 1997 roku (artykuł 43): „zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości nie podlegają przedawnieniu”. Zasadę tę potwierdza również polski Kodeks karny z 1997 roku (art. 105).

Równolegle, już od roku, toczy się rosyjskie śledztwo nr 159, tak skutecznie opóźniane, że potrwa czternaście lat. Chodzi o to, by nie stawiać w przykryj sytuacji potomków zbrodniarzy (!).

Wykluczono spośród nich wyższych funkcjonariuszy NKWD oraz członków Politbiura ze Stalinem włącznie, winę pozostałych uznając za „przekroczenie władzy z ciężkim skutkiem”. Opinia publiczna dowie się o teł decyzji dopiero po upływie roku od zamknięcia śledztwa.

Jest to skutek zmiany stanowiska polityki państwowej Rosji Władimira Putina, od 2000 roku promującej przemilczanie przestępstw popełnionych w przeszłości. Dlatego właśnie we wrześniu 2004 roku Prokuratura Federacji Rosyjskiej umarza i utajnia długoletnie śledztwo w sprawie mordu katyńskiego „z powodu śmierci sprawców”. Tym samym wyklucza dostęp do akt NKWD dotyczących tego śledztwa. Władze nowej, głoszącej demokratyczne wartości Rosji, aczkolwiek dawny Związek Radziecki przestał istnieć, wciąż jak ognia unikają przyznania, że mord katyński był aktem ludobójstwa.

Umorzenie rosyjskiego śledztwa mobilizuje działającą w polskim Instytucie Pamięci Narodowej Komisję Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, która - już 30 listopada 2004 roku - wszczyna ponownie własne śledztwo katyńskie, zmierzające do

zaklasyfikowania tego czynu jako wojennej zbrodni przeciwko ludzkości, czyli ludobójstwa, tym samym niepodlegającej przedawnieniu. Śledztwo to wciąż trwa, za co winę ponosi polityczna poprawność rządzących III RP w imię dobrosąsiedzkich stosunków.

Mimo to władze Rosji wciąż pozostają nieugięte. Nie zmieni tego zażalenie rosyjskich prawników wynajętych przez rodziny ofiar, skierowane do Moskiewskiego Sądu Miejskiego w 2008 roku. Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego Rosji, 21 stycznia 2009 roku, utrzyma w mocy decyzję sprzed pięciu lat, dotyczącą umorzenia śledztwa nr 159. Jego treść nadal pozostaje utajniona, a mord katyński nazwany incydem czasu wojny oraz odwetem Stalina za rzekome wymordowanie przez Polaków jeńców bolszewickich z 1920 roku, toteż Federacja Rosyjska nie ma podobno obowiązku wyjaśniania czegokolwiek.

Wobec tego grupa piętnastu polskich obywateli - rodzin ofiar zbrodni katyńskiej - już pięć miesięcy później kieruje do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu skargę przeciwko Rosji. Zawiera ona żądanie odtajnienia 14-letniego śledztwa, dostępu do archiwalnych dokumentów, pełnego wyjaśnienia okoliczności zbrodni i wskazania jej sprawców, uznania za wojenną zbrodnię ludobójstwa w świetle prawa międzynarodowego oraz imiennej rehabilitacji niewinnych ofiar. Nie ma w niej ani słowa na temat zadośćuczynienia finansowego, co warto podkreślić. Nikt nie może skarżącym zarzucić, że kierowała nimi chęć wzbogacenia się na śmierci bliskich.

W odpowiedzi reprezentujący Rosję wiceminister sprawiedliwości Georgij Matiuszkin podczas jednej z rozpraw oświadcza, że Rosja nie ma obowiązku wyjaśniania sprawy z 1940 roku, ponieważ podpisała Europejską Konwencję Praw Człowieka dopiero w 1998 roku, a więc „wydarzenie katyńskie” nie powinno być nigdy i przez nikogo osądzone.

Należałoby w tym miejscu przypomnieć stanowisko Rosjan z 1943 roku, kiedy - oskarżając o zbrodnię katyńską Niemców - twierdzili, że było to ludobójstwo. Kiedy natomiast przyznali się do działania sprawczego kwalifikują je jako pospolite przestępstwo wojenne.

Nieoczekiwanie ponownie, choć na krótko, zmienia zdanie. Zbiega się to, niestety, z kolejną narodową polską tragedią (nomen omen) smoleńską z 10 kwietnia 2010 roku, kiedy to po raz pierwszy w historii terminu „ludobójstwo” używa prezydent Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew, do czego dodaje obietnicę przekazania Polsce wyników słynnego śledztwa nr 159. Dokładnie po siedemdziesięciu latach od katyńskiego mordu.

I znów zginęła polska elita. Nowa. Ta, która miała szansę wyrównać dawną stratę. Dziewięćdziesiąt sześć osób z prezydentem Rzeczypospolitej, profesorem Lechem Kaczyńskim. Parlamentarzyści, kluczowi urzędnicy państwowi, całe dowództwo wojskowe i

aktywni działacze społeczni!

Także i tę hekatombę - dokonaną w tym samym miejscu! - osnuwa niezrozumiała tajemnica, a nawarstwiająca się sprzeczności w stosunku do raportów rosyjskiego Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego i polskiej komisji Jerzego Millera, ministra spraw wewnętrznych w rządzie premiera Donalda Tuska, rodzą coraz więcej znaków zapytania. Mnożą się kolejne niespójne, kłamliwe lub prawdziwe, oparte na badaniach naukowych, wersje. Katastrofa czy zamach?! Im od niej dalej, tym mocniej usztywnia się kolejne stanowisko Kremla w sprawie Katynia, co jego przedstawiciele ujawniają przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu, rozpatrującym 6 października 2011 roku skargę piętnastu polskich rodzin ofiar katyńskich.

Władze Federacji Rosyjskiej - spadkobiercy Związku Sowieckiego - nieoczekiwanie i bez zająknięcia wycofują się ze słów prezydenta Miedwediewa. To, według nich, nie ludobójstwo niepodlegające - jako zbrodnia przeciwko ludzkości - przedawnieniu, tylko zwykłe „wydarzenie” albo nawet „biurokratyczna pomyłka”.

Także obiecane przez niego, przekazane Polsce przez Władimira Putina, „nowe” dokumenty nie wnoszą do sprawy niczego, o czym byśmy już nie wiedzieli. (W przekazanych następnie, obiecanych „nowych” teczkach” znajdują się - niestety - znane już sprawy Brał ważniejszej listy. Białoruskiej.) Dlatego nie ma mowy ani o osądzeniu sprawców przed międzynarodowym Trybunałem, jak to uczyniono w stosunku do zbrodniarzy hitlerowskich w Norymberdze, ani o odszkodowaniach dla rodzin pomordowanych. Tym bardziej że - jak powiedział wiceminister spraw zagranicznych Gieorgij Matiuszkin - dzieci pomordowanych nie zaznały cierpienia po ich stracie, ponieważ nie zdążyły ich poznać. Natomiast jego szef, minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow oświadczył, że wszystkie pretensje poruszone w pozwach rodzin polskich oficerów skierowanych do Trybunału w Strasburgu mogą być uregulowane na szczeblu międzyrządowym: Federacja Rosyjska - Polska.

Od tego momentu sprawa katyńska, aż do dnia 16 kwietnia 2012 roku, kiedy SKARGA KATYŃSKA zostanie rozpatrzona, istnieje już tylko w kontekście pamięci o katastrofie smoleńskiej z 10. kwietnia 2010 roku.

W tym dniu Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu zajął oficjalne stanowisko w sprawie katyńskiej. Kwalifikuje tamten mord jako zbrodnię wojenną nieulegającą przedawnieniu, nie nazywa jej jednak ludobójstwem i nie narzuca Rosji żadnych konsekwencji prawnych. Nie zobowiązuje do wznowienia śledztwa nr 159, przekazania Polsce akt i nie obarcza Federacji Rosyjskiej odpowiedzialnością za mord zlecony przez najwyższe władze ZSRS, mimo że jest jego prawną spadkobierczynią. Zarzuty dotyczą

jedynie odmowy współpracy z Trybunałem (niedostarczenie kopii dokumentów śledztwa nr 159), złamania Europejskiej Konwencji Praw Człowieka w części dotyczącej prawa do życia i okrucieństwa wobec krewnych ofiar, którym nie ujawniono miejsc pochówku bliskich. Sędziowie nie nakazują Rosji żadnego zadośćuczynienia wobec Polaków (nawet przeprosin) i nie zobowiązują do przekazania kluczowych tomów swojego śledztwa, co pozwoliłoby nareszcie zamknąć toczące się aktualnie śledztwo polskie. Świadczy to o bezradności Trybunału wobec tego państwa.

W tej sytuacji nie dziwi, że Rosjanie, z trzydniowym wyprzedzeniem, zapowiedzieli w „Moskowskich Nowostiach”, iż wyrok, który dopiero będzie ogłoszony, nie obciąży Stalina i jego współpracowników. Choć w praktyce różni się od tego „przecieku”, usztywniają swoje stanowisko. Agencja Interfax ogłasza, że Federacja Rosyjska nie zamierza już niczego nikomu do starzać. Chodzi o dalsze utajnianie dokumentów śledztwa nr 159, co oznacza, że nadal będą odmawiali współpracy z Trybunałem w Strasburgu, przy czym Ministerstwo Sprawiedliwości Rosji oświadcza, iż narazie (!) nie widzi podstaw do zaskarżenia orzeczenia.

W tej sytuacji skarżące rodziny zamordowanych polskich oficerów zapowiedziały apelację do Wielkiej Izby liczącej siedemnastu sędziów. (W lipcu 2012 r. krewni ofiar złożyli do Wielkiej Izby Trybunału ETPC w Strasburgu wniosek o weryfikację wyroku z dnia 1 kwietnia. Wielka Izba ma prawo odmówić przeprowadzenia ponownego rozpoznania sprawy, gdyby jednak tego doszło, od jej wyroku nie będzie odwołania.) Nie jest jednak pewne, czy Trybunał ją przyjmie. Oznaczałoby to przecież konieczność dalszej współpracy z władzami na Kremlu, a te konsekwentnie odmawiają i nie ma siły, by je do tego zmusić.

JEST U NAS LOTNICZKA

W Katyńskim Lesie, na cmentarnej Ścianie Pamięci, umieszczono tysiące tabliczek z nazwiskami pomordowanych oficerów. Wśród nich ta jedna dla jedynej kobiety.

Ppor. pilot

Janina Lewandowska

22.04.1908-1940 +

Inna przypomina o niej na drugim krańcu świata, na Pomniku Katyńskim wzniesionym w 2000 roku w Baltimore (Maryland, USA).

Nie brakuje ich także w Ojczyźnie:

- Kaplica Katyńska w kościele Garnizonowym w Warszawie przy ul. Długiej 13/15;
- Kościół Ojców Dominikanów w Poznaniu;
- Marmurowa płyta nagrobna na cmentarzu w rodzinnym Lusowie;
- Liczne ekspozycje w Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie (rekonstrukcja czaszki, fotografie, metryka ślubu, zawiadomienie o ślubie, wpis do pamiętnika koleżanki Heleny Stróżykównej, mały model samolotu, który stał na radiu w jej pokoju przy ulicy Niecałej, wywiady o niej);

- Obecność w Apelu Poległych podczas uroczystości poświęconych Golgocie Wschodu;

- Nazwisko Lewandowska na tablicy epitafijnej umieszczonej 11 listopada 2000 r. na murze wokół kościoła Ojców Dominikanów w Poznaniu przy alei Niepodległości, poświęconej polskim oficerom i policjantom pomordowanym w 1940 r. w Charkowie, Katyniu i Miednoje;

- Uroczysty pogrzeb czaszki z honorami państwowymi;

- Awansowana przez Ministra Obrony Narodowej ze stopnia ppor. czasu wojny do porucznika lotnictwa decyzją nr 439/MON z 5.10.2007 roku.

Awans ogłoszony 9.11.2007 roku, w trakcie uroczystości „Katyń - Pamiętamy. Uczcijmy Pamięć Bohaterów”;

- Obecność na blogach w Internecie - m.in. filmik w Epitafia Katyńskie wydany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa;

- Film dokumentalny o jedynej kobiecie, która zginęła w Katyniu nakręcony przez dziennikarza Pawła Wudarczyka. W rolę Janiny wcieli się aktorka z Krakowa, Barbara Kurzaj.

Dowody pobytu w obozach:

- Lista wywozowa NKWD transportu z 20 kwietnia 1940 r. z Kozielska nr 040/1, pozycja 53 (akta nr 1469 ujawnione w 1991 roku), sporządzona przez komendanta obozu w Kozielsku, starszego lejtnanta Korolewa, któremu przekazał ją telefonicznie zastępca Zarządu NKWD ZSRR do spraw jeńców wojennych, lejtnant bezpieczeństwa państwowego Iwan Chochłow - „Janina Marianowna Lewandowskaja urodzona w 1914 roku” (mylna data oraz imię ojca podane specjalnie przez nią samą).

To niezbity dowód, że była w Kozielsku i że została wywieziona 20 kwietnia - jako jedna spośród stu współtowarzyszy.

- Podczas ekshumacji w Lesie Katyńskim wiosną 1943 roku wśród ciał tysięcy mężczyzn natrafiono na zwłoki młodej kobiety w mundurze ppor. lotnictwa, (znaleziono przy niej znaczek z obozu ostaszkowskiego - podobóz Iłowa), czego naocznym świadkiem był przewodniczący Komis Polskiego Czerwonego Krzyża, literat z Wilna Józef Mackiewicz.

Napisze o tym w wywiadzie dla polskojęzycznego „Gońca Codziennego” (gadzinówka okupacyjna) z 3 czerwca 1943 roku. Może z tego powodu zostanie przyjęty z niedowierzaniem i stanie się jedną z przyczyn nagonki na autora, aż po wyrok śmierci wydany przez Podziemie; niewykonany

- Indeks w: Pamiętniki znalezione w Katyniu, wyd. II, Warszawa 1990, s. 344.

- Lista ofiar wydobytych z masowych grobów w Katyniu (spis z Kozielska, s. 230): Lewandowska Janina, ppor. pilot, ur. 1910 (pomyłka! 1908) z domu Dowbor (pomyłka! Dowbor) Muśnicka, por. (mylne - ppor.) lotnictwa WP.

- Dane osobowe Janiny (z Ośrodka KARTA) w: „Skrzydłata Polska”, nr 31, 30 lipca 1989 r.

„Janina Lewandowska, c. Józefa (por.), sygnatura akt: IR/34954, lista wywozowa z Kozielska: KOZ.-563-567/53 nr id. 2026”.

Kolejne dowody jej pobytu w Kozielsku (pośrednio również w Ostaszkowie), a zarazem konkretne wiadomości, kim była, pochodzą z pamiętników i notatek wydobytych z dołów śmierci. Współwięźniowie mówili o niej LOTNICZKA.

- Major Kazimierz Szczekowski 8 lutego 1940 r. pisze w swoim dzienniku:

„Jest tu w obozie lotniczka, dzielna kobieta, już czwarty miesiąc (przedtem była w Ostaszkowie) dzieli z nami wszelkie trudy i niewygody niedoli znosi, a trzyma się wzorowo (ppor. Lewandowska)”.

- Porucznik Nosowicz - z notatek:

„Wczoraj o godz. 18-19 urządzili rewię. Program dość rozmaity, lecz cokolwiek na ten temat. Była pilotka Lewandowska (ppor. Janina), rzekomo córka Dowbora-Muśnickiego,

jedyna nasza kobieta”.

- Kapitan Jakubowicz - z notatek:

„Opłatki wypieka ppor. Lewandowska w kanciapie swej koło »Bristolu« - blok N”.

- Podporucznik Włodzimierz Wajda - 26 lutego 1940 r.:

„Wczoraj była u nas na obiedzie lotniczka. Zaprosiliśmy ją. Przyjęliśmy ją kawą z cukrem i chlebem. Pięknie śpiewała”.

- Filip Kowalczyk:

„Z Ostaszkowa przewieziono ją do Kozielska. Tu zakwaterowano ją w schowku pod schodami, przy bloku oficerów zwanym »Bristol« (jako kobietę oddzielono ją od mężczyzn)”.

Pozostałe źródła informacji pochodzą od OCALONYCH z Kozielski lub z powojennych publikacji.

- Ksiądz prałat Zdzisław Jastrzębiec Peszkowski:

„Prawdą jest, iż wśród jeńców więźniów Kozielska była niewiasta Była to urocza Janina w mundurze oficera lotnictwa. Widziałem ją na własne oczy jeden raz. Ci z nas, którzy byli świadomi, że wśród nas jest kobieta, troszczyli się o nią w sposób szczególny, darząc bratnimi względami starając się ochronić ją, otoczyć serdecznym myśleniem i modlitwą. Byliśmy wściekli na bolszewików, że ją zabrali do niewoli. Krążyły o niej wieści, że nazywa się inaczej i że nosi nazwisko wybitnego polskiego generała szczególnie przez bolszewików znienawidzonego”.

- Witold Ogniewicz, „Katyń - relacje, wspomnienia, publicystyka”, pod redakcją Leszka Szczęśniaka, Wydawnictwo „Alfa”, Warszawa 1989 r.:

„Już w listopadzie przebywa tu miła Polka, lotniczka, por. D.M.” Zaprzecza to innej relacji, że przebywa tu od połowy grudnia (zrozumiała, dopuszczalna pomyłka).

- Podporucznik rezerwy Stanisław Świaniewicz:

„W obozie była też jedna kobieta. Córka generała Dowbora-Muśnickiego. Tak, por. pilot Lewandowska. Piloci wszystkim imponowali. Trzymali się razem, tworząc zwartą grupę, i zawsze lśnili czystością. Imponowali też swoim zachowaniem i solidarnością. (Podobnie trzymali się kawalerzyści). Np. gdy pani Lewandowska udawała się w ustronne miejsce, jej koledzy tworzyli dookoła niej szczelny krąg”.

- Kapitan Waclaw Mucho:

„Spotkałem panią Lewandowską w obozie w Kozielsku. Miało to miejsce, gdy przychodziła do bloku nr 17, gdzie kwaterowałem, by porozmawiać z dwoma swymi przyjaciółmi. Jednym z nich był por. Michał Kulikowski - lekarz Pułku Lotniczego z Wileńskiego, młody człowiek ok. 28-29 lat Przychodziła do naszego bloku, gdyż po pierwsze

znała tych ludzi, a z drugiej strony czuła się tutaj bezpieczna, gdyż mieszkańcy stanowili »swoją wiarę«. Ubrana była w męski mundur polskich wojsk lotniczych, który jej nie pasował. Jak na kobietę była wysokiego wzrostu, o krótko przyciętych włosach. Sposób, w jaki starała się bezskutecznie dostać do transportu wywożącego z obozu jej kolegów, robił ogromne wrażenie. Potem okazało się, że wyjechała kilka dni później, dzieląc ten sam los”.

Po wojnie kpt. Mucho uzupełnia swoją relację następująco: „Chodziły słuchy, że jest ona krewną czy córką generała NN i że pochodzi z Poznania. Ubrana była w polski mundur lotniczy męski, lecz moim zdaniem był wypożyczony, gdyż nie był dopasowany do jej figury. Wzrost jej raczej wysoki jak na kobietę, szatynka, włosy ucięte. Chciała się dostać do transportu, którym przyjaciele odjeżdżali w nieznane. Były to głośne zabiegi, wreszcie skuteczne (wzbudziły podziw dla jej odwagi i energii)”.

- Rafał Adolf Bniński, były wojewoda poznański, bliski przyjaciel rodziny Dowborów, mieszkaniec Samostrzale w Wielkopolsce. W styczniu 1941 r. przekazał Zofii Ostrołęckiej, bratanicy generała Dowbora-Muśnickiego zamieszkałej w Warszawie:

„Janina Lewandowska znajduje się w Kozielsku, ma osobne pomieszczenie pod schodami i bierze udział w obozowym życiu konspiracyjnym i religijnym - udział w Mszach Świętych odprawianych przez kapelana mjr. Jana Leona Ziółkowskiego i wypieka hostie do Komunii Świętej. Odznacza się bohaterską postawą”.

- Janusz Kazimierz Zawodny, autor książki Katyń, Lublin - Paryż 1989, z przedmową Zbigniewa Brzezińskiego, s. 30-31, na podstawie raportu Józefa Mackiewicza, naocznego świadka wydobycia jej zwłok:

„Pośród zamordowanych mężczyzn były zwłoki kobiety: podporucznik lotnictwa Janiny Lewandowskiej, córki generała Dowbora-Muśnickiego”.

- Allen Paul Katyń - stalinowska masakra i tryumf prawdy, Warszawa 2003 r.:

„Janina Lewandowska, ppor. lotnictwa, nie przyznawała się, że jest córką szczególnie nienawidzonego przez bolszewików gen. broni Dowbora-Muśnickiego. Przed wojną należała do Aeroklubu Poznańskiego. Latem 1939 wyszła za mąż za płk. Mieczysława Lewandowskiego. (Awansowany podczas wojny do st. ppłk.) W Kozielsku otrzymała oddzielne pomieszczenie. Była wysoka, miała kasztanowe, krótko obcięte włosy, chodziła w lotniczym mundurze. Pozwolono jej odwiedzać przyjaciół w innych blokach. Uczestniczyła w tajnym, intensywnym życiu religijnym; mimo zakazu uczestniczenia (i odprawiania) w nabożeństwach i Mszach Świętych. Przygotowywała nawet opłatki komunijne, prze co kilkakrotnie miała kłopoty - np. była poddawana wielokrotnym rewizjom”.

HISTORIA PEWNEJ CZASZKI

Po ekshumacji w Lesie Katyńskim Niemcy zabezpieczają znaleziony przy zwłokach materiał dowodowy i wysyłają go konwojem do Rzeszy. Są to tysiące listów, kart osobowych, zdjęć, znaczków identyfikacyjnych, medalików, guzików mundurowych z orzełkami, orzełki od czapek, medaliki, różańce, ryngrafy, książeczki do nabożeństwa, inne rzeczy osobiste oraz dziesiątki pamiętników i zapisków. Wśród nich - siedem ludzkich czaszek strzaskanych kulami. Być może dlatego ich ciał nie zidentyfikowano. Zapakowane do dziewięciu drewnianych skrzyń zostają powierzone znanemu antropologowi, profesorowi Gerhardowi Buchtzowi, dyrektorowi Instytutu Medycyny Sądowej i Kryminologii przy Wrocławskiej Akademii Medycznej, nadzorującemu prace ekshumacyjne Specjalnej Komisji Niemieckiej w Katyniu, aby - jako dowodów sowieckiej winy - dopilnował ich transportu do Niemiec.

Konwój ciężarówek dociera do Krakowa, gdzie - bezskutecznie - usiłuje je wykraść polskie Podziemie. Są dobrze chronione, lecz nie do końca bezpieczne. Wobec zmiany sytuacji na froncie i zbliżającej się Armii Czerwonej oraz deptających mu po piętach agentów NKWD i Tymczasowego Rządu Lubelskiego podporządkowanego Moskwie, profesor, świadom znaczenia tych obciążających Sowietów pamiątek, ucieka z nimi do Wrocławia.

Tu, aby tym łatwiej zgubić ślad, co jest trudne, zważywszy na specyficzną woń ładunku, ukrywa część eksponatów - w tym wszystkie czaszki - a z pozostałymi wyrusza w dalszą drogę.

- Może tak uratuję chociaż połowę!

Udaje się mu dotrzeć tylko do Radebeul, które już oczekuje w panice na wrogą armię. Jest realistą, zmienia taktykę.

- To koniec. Dalsza ucieczka nie ma szans.

Przybywszy na dworzec kolejowy, wzywa zawiadowcę stacji.

- W imieniu Rzeszy Niemieckiej i Fihrera rozkazuję wam dobrze ukryć ładunek i przechować, aż się po niego zgłoszę ja albo ktoś przeze mnie upoważniony.

- Jak?! Gdzie!? Cuchnie z daleka! Bez psów wytropią.

- Milczeć! To rozkaz! Głową odpowiadasz, zrozumiano?

- Ale...

- To sprawa wagi państwowej. Spiszysz się - nagroda. Oddasz w sowieckie łapy - wyrok!

Sam rusza w kierunku Pragi. Łudzi się, że odnajdzie tam przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, którzy przejmą kłopotliwy depozyt.

- Niezbity dowód winy Sowietów! Nie mogą odmówić!

Zanim tam dotrze, nadchodzi wieść o zajęciu Radebeul przez czerwoarmistów. Jest bezradny. Nic już nie może dla Ojczyzny zrobić. Lecz równie dobrym niemieckim patriotą okaże się zawiadowca stacji. Aby nie oddać wrogowi powierzonych sobie skrzyń, podpala je, za co zostaje aresztowany wraz z rodziną i ginie bez śladu.

Represje spotykają również najbliższych profesora Buchtza. Aresztowani, poddawani niekończącym się przesłuchaniom, muszą się tłumaczyć, że nic nie wiedzą ani o nim, ani o żadnych skrzyniach. Ratuje ich to, że naprawdę od dłuższego czasu profesor nie kontaktował się z domem.

W wyniku umowy jałtańskiej Wrocław - jako rekompensata za oddane Rosji dawne Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej - zostaje przydzielony Polskiej Republice Ludowej - PRL. W konsekwencji po zakończeniu działań wojennych, jesienią 1945 roku, Katedrę Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu obejmuje polski profesor, Bolesław Popielski.

Niebawem zgłasza się do niego niemiecki jeszcze woźny z rewelacyjną wiadomością. Chce wskazać nowemu dyrektorowi miejsce ukrycia powierzonego mu przez profesora Buchtza „skarbu”.

- Tylko nikomu ani słowa. NKWD i UB już tu węszyło. Chcieli zatrzeć ślady sowieckiej zbrodni, ale tak to już jest, że po każdej zostaje na ziemi blizna. Tak się stało i w tym przypadku. Krew ludzka upomniała się o pamięć.

Profesor dobrze wie, co mu grozi, gdyby się sprawa wydała. Mimo to bez wahania podejmuje odważną decyzję. Decyzję, która może go drogo kosztować. Uwięzienie, tortury, zesłanie na Sybir, a nawet śmierć. Jako antropologa szczególnie zainteresowały go przestrelone ludzkie czaszki. Z największą ostrożnością, w nocy, przenoszą je z woźnym do przygotowanej uprzednio skrytki w gabinecie profesora. Reszta pozostaje w podziemiach, na głucho zamurowana. Potem woźny znika.

Agenci bolszewicki długo jeszcze węszą, myszkując po całym Instytucie, w końcu jednak rezygnują. Prawdopodobnie dochodzą do wniosku, że profesor Buchtz niczego tu nie zostawił i wszystko spłonęło na stacji w Radebeul.

Tajemnica czaszek nie daje profesorowi Popielskiemu spokoju przez wiele lat, lecz nie ujawni jej nawet po zmianach (najwyraźniej im nie ufa), jakie zaszły w kraju po 1989 roku i wyjściu z Polski okupacyjnej Armii Czerwonej - aż do chwili, gdy poczuje zbliżający się kres życia.

Pewnego popołudnia 1997 roku wzywa do swojego gabinetu dwóch najbardziej

zaufanych asystentów: dr. Dobosza i dr. Jerzego Kaweckiego.

- Poprosiłem was, kochani, w niezwykle ważnej sprawie, ale najpierw musicie mi przyrzec, że dochowacie tajemnicy, dopóki nie nadejdą lepsze czasy. Pragnę powierzyć wam bezcenny depozyt. Dowody zbrodni sowieckiej dokonanej na polskich oficerach w Katyniu. Jesteście na to gotowi?

Młodzi ludzie nie wahają się ani chwili.

- Profesorze, to dla nas zaszczyt!

- Przysięgacie?

- Przysięgamy.

- Na Imię Boże?

- Tak nam dopomóż Bóg!

Profesorowi płoną policzki i błyszczą oczy. Nie mniej poruszeni patrzą, jak na ich oczach otwiera skrytkę, jak z niej kolejno wyjmuje jakieś owinięte w szmaty okrągłe przedmioty, które układa rzędem na wielkim biurku. Mimo woli wstrzymują oddechy i krzywią się, bo nagle pokój napęlnia się trupa jakąś wonią.

- Co to jest?!

Profesor milczy i tylko wciąż wyjmuje te cuchnące rzeczy. Jest ich w sumie siedem. Kiedy nie bez trudu odwinie pierwszą, aż się cofają.

- Czaszka! Ludzka!

Lecz on, wciąż bez słowa, odwija kolejne i ostrożnie odkłada. Wszystkie potrząskane od kul. Odsłoniwszy ostatnią, najbardziej pokiereszowaną zmęczony i pobladły z emocji, ciężko opada na fotel.

- Tak. Ludzkie czaszki. Należały do polskich oficerów. Bezbronnych, jeńców sowieckich obozów, zamordowanych strzałem w tył głowy. Przeleżały w ziemi, w masowej mogile, trzy lata - od kwietnia 1940 do kwietnia 1943 roku, kiedy je ekshumowano w Lesie Katyńskim koło Smoleńska.

- Ale skąd tutaj!?

- Długa historia. Podobało się Opatrzności Bożej, aby przetrwały. A teraz proszę was, byście się im dobrze przyjrzeni. Ciekaw jestem, czy zobaczycie to samo, co ja.

Pochylają się, oglądają, dotykają.

- Ależ... Panie profesorze, jedna z tych czaszek, ta najbardziej uszkodzona... To zadziwiające! Należała do... Do kobiety! Każdy antropolog to potwierdzi. Czy to możliwe?

- A więc widzicie to samo, co ja. Przyrzeknijcie mi więc. Obiecujcie że przy sprzyjającej atmosferze politycznej ujawnicie tę tajemnicę Narodowi. Ale przedtem

rozpracujcie materiał naukowo.

- Uważa profesor, że aktualna atmosfera nie jest odpowiednia?
- Im dłużej trwa, tym bardziej w to wątpię.
- Więc czekać?
- Czekać i pracować.

Dwaj młodzi naukowcy biorą sobie do serca testament szefa. Pracują bez rozgłosu, lecz solidnie, nie oszczędzając się, kilka lat, by potwierdzić, że mają do czynienia ze szczątkami ofiar katyńskich. Jednak nie udaje się im zidentyfikować ich tożsamości. Z wyjątkiem jednej. Najbardziej intrygującej. Kobiecej.

Wiele wskazuje na Janinę Lewandowską, o której wiadomo z dostępnych już publikacji, że była jeńcem sowieckich obozów. Jednak i co do niej nie ma pewności, tylko przypuszczenia, skądinąd wysoce prawdopodobne, bo oparte na posiadanej wiedzy: zeznaniach świadków - ocalonych więźniów z kozielskiego obozu, oraz wzmiankach znalezionych w pamiętnikach wydobytych z katyńskich dołów śmierci. I wciąż aktualne pozostaje pytanie:

Kim była kobieta, której ciało odnaleziono w dole śmierci? Kobieta zamordowana strzałem w tył głowy! Jedyna kobieta pośród 4421 mężczyzn z kozielskiego obozu!

Tymczasem trzeba się zająć pozostałymi sześcioma czaszkami. W efekcie, we Wrocławiu, dochodzi do pierwszego w Polsce symbolicznego pogrzebu szczątków Polaków zamordowanych w Katyniu. To sześć nierozpoznanych imiennie czaszek. Złożone we wspólnej trumnie, ustawionej na katafalku w kościele Ojców Redemptorystów pw. Matki Bożej Pocieszenia przy ulicy Wittiga 10, obok sanktuarium Golgoty Wschodu działającym w ramach parafii, przyciągają rzesze wrocławian.

Mszy Świętej żałobnej przewodniczy śp. o. Stanisław Golec, dyrektor Fundacji Lux Veritatis. Uczestniczy w niej i homilię wygłasza człowiek legenda. Bardzo już leciwy i schorowany, lecz wciąż aktywny, ksiądz prałat Zdzisław Jastrzębiec Peszkowski. Ocalony więzień Kozielska. Jedyne na świecie Kapelan Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie. Także działacz Harcerstwa Rzeczypospolitej. To dzięki niemu uroczystość przeobraża się w wielką manifestację patriotyczną. Poruszającą homilię kończy słowami, które wywołują łzy:

Matko Boża katyńska! Matko Miłosierdzia i Pojednania! W Twoje ramiona oddajemy wszystkich zamordowanych na Wschodzie. Z żywą wiarą w świętych obcowanie prosimy Cię, Matko, przygarnij ich i oddaj Twojemu Synowi. Matko Bolesna, pocieszaj tych, których serca jeszcze krwawią po stracie Najbliższych. Daj łaskę, aby jak najszybciej powstało

sanktuarium Miłosierdzia i Pojednania w Katyniu.

Matko Pokoju, daj nam łaskę życia godnego tych, którzy zginęli za Ojczyznę, stając się ceną naszej wolności. Uczyń Ich fundamentem odrodzenia i pojednania narodów w imię Boga, który miłuje i przebacza. Amen.

Wobec braku niepodważalnych dowodów co do identyfikacji czaszki jedno wydaje się pewne. Trzeba sprawdzić jej DNA.

- Bez badań genetycznych nie postąpimy do przodu ani o krok!

Na prośbę młodych naukowców emerytowany profesor dr hab. z Wrocławia, pan Andrzej Jagielski, który - jako 15-letni chłopiec, w 1939 roku, będąc w Lusowie, osobiście poznał Janinę, w kwietniu 2003 roku pisze list do tamtejszego proboszcza, ks. kanonika Ignacego Karge, z prośbą o kontakt z kimkolwiek z rodziny Dowborów-Muśnickich lub Korsońskich. Lecz, poza spoczywającymi na cmentarzu rodzicami oraz bratem Olgierdem pochowanym w Kwaterze Lotników w Poznańskiej Cytadeli, nie ma nikogo, o kim byłoby cokolwiek wiadome.

Zanim jednak dojdzie do pobrania fragmentów szczątków, okaże się, że badana czaszka, w wyniku konserwacji w preparatach chemicznych, jest bezużyteczna, jeśli chodzi o badania DNA. Bezradny jest także pan Józef Grajek, prezes Towarzystwa Pamięci Generała Józefa Dowbora-Muśnickiego i założyciel Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie, od lat poszukujący - wraz z żoną Anną - śladów pamięci i jakichkolwiek krewnych Janiny.

Żmudne badania dwóch naukowców wrocławskich trwające trzy lat pozostały bez rezultatu. Wiadomo, że jest to czaszka ofiary katyńskiej, wciąż jednak nie ma pewności, czy należała do córki generała Dowbora. Nie poddaje się tylko prezes Grajek. (Dawny, przedwojenny jeszcze mieszkaniec Lusowa, pamiętający rodzinę Dowborów i samą Janinę, prezes Towarzystwa Pamięci gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego.) Na jego prośbę do badań włącza się znany poznański antropolog, prof. Andrzej Malinowski, który wpada na pomysł, aby mocno uszkodzoną czaszkę zrekonstruować metodą superprojekcji komputerowej. W ten sam sposób odtworzy rysy twarzy, a potem nałoży wykonane aparatem cyfrowym zdjęcie i zachowane fotografie Janiny Lewandowskiej, będące w posiadaniu Muzeum.

Pracuje nad tym cały zespół naukowców z Wrocławia w składzie:

- prof. dr hab. Tadeusz Krupiński
- prof. dr hab. Zbigniew Rajchel
- doc. dr hab. Barbara Kwiatkowska (z Akademii Medycyny Sądowej)
- dr Jerzy Kawecki
- dr Hubert Szatny (doktorant nauk medycznych)

Ich wspólny wysiłek doprowadza do odkrycia, że tajemnicza czaszka z całą pewnością należała do Janiny Lewandowskiej z domu Dowbor-Muśnickiej. Dokonują tego, porównując cechy antropologiczne zrekonstruowanej czaszki z cechami widocznymi na fotografiach. W tym celu wykorzystali 14 różnych zdjęć, spośród których zdecydowało jedno z ostatnich - duże i wyraźne. Po nałożeniu na sfotografowane, odtworzone rysy twarzy, uzyskali uderzającą, niemal 100-procentową zgodność, co dodatkowo potwierdzą badania superprojekcji komputerowej.

Dzięki temu świat usłyszy o młodej trzydziestodwuletniej śpiewaczce i lotniczce, która nie zawahała się dobro Ojczyzny przedłożyć nad szczęście osobiste. Podobnie postąpiła jej młodsza siostra, Agnieszka. Zginęła, walcząc z niemieckim okupantem. Obie córki generała wypełniły ojcowski testament rzetelnie. Nie splamiły nazwiska Dowborów-Muśnickich - starej szlacheckiej rodziny o pięciowiekowej, nieskazitelnej przeszłości, do końca wierne hasłu: BÓG - HONOR - OJCZYŻNA.

EPILOG

Lusowo, 4 listopada 2005 r.

POŻEGNANIE CÓRKI GENERAŁA

Od katyńskiej tragedii Narodu Polskiego mija 68 lat. Towarzystwo Pamięci Generała Józefa Dowbora-Muśnickiego jest gotowe do uroczystości pogrzebowych jego córki, Janiny Lewandowskiej, a raczej jej czaszki. Wszystkie przygotowania ukończone, wszystkie przeszkody pokonane. Łącznie z tą najtrudniejszą. Udowodnieniem, że należała właśnie do niej.

W dniu 4 listopada 2005 roku, w auli nowej Szkoły Podstawowej im. gen. Dowbora-Muśnickiego w Lusowie - niecodzienna uroczystość. Sesja naukowa, podczas której naukowcy wrocławscy przedstawiają wyniki prac nad identyfikacją czaszki kobiecej wydobytej z dołu śmierci w Lesie Katyńskim. Dokonali tego, po trzyletnich badaniach, metodą superprojekcji, przy użyciu techniki komputerowej.

Zebrani - przedstawiciele miejscowych władz (wśród nich najbardziej zasłużeni dla upamiętnienia postaci wodza Powstania Wielkopolskiego, państwo Anna i Józef Grajkowie - twórcy Muzeum Powstańców Wielkopolskich otwartego 2 września 1996 roku, poświęconego temu powstaniu, i zaproszeni goście - z zapartym tchem oglądają wynik ich starań. Model zrekonstruowanej czaszki, którą antropolodzy przekazują uroczystym aktem tutejszemu muzeum będzie jednym z jego najcenniejszych eksponatów. Oryginał znajduje się w granitowej urnie, by za parę godzin spocząć w rodzinnym grobowcu Dowborów. Po umieszczeniu w niej - obok czaszki - dokumentacji naukowej, zostaje komisyjnie, hermetycznie zamknięta i opieczętowana.

Kustosz Muzeum, pani Anna Grajek, ze wzruszeniem przyjmuje model - dar dla tych, którzy będą je zwiedzać. Na razie mieści się w budynku szkolnym, lecz już niebawem, 28 grudnia 2008 r., zostanie przeniesione do nowego budynku przy ul. Ogrodowej 3a, wzniesionego na koszt Gminy Tarnowo Podgórne staraniem jej przewodniczącego pana Józefa Grajka, wyposażone z funduszy zorganizowanych przez Towarzystwo Pamięci Generała Józefa Dowbor-Muśnickiego. Eksponaty gromadziła przez wiele lat, jeżdżąc po całej Polsce, nie szczędząc czasu ani własnych środków, wraz ze swoim mężem Józefem, pani Anna Grajek - kustosz muzeum. Obecnie składa się ono z trzech sal poświęconych tematycznie:

1) powstańcom wielkopolskim,

2) generałowi Dowborowi i jego rodzinie,

3) okolicznościowym wystawom z zadaniem pielęgnowania tradycji narodowych, polskości, ideałów wolnościowych, utrwalania i rozwoju świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej, kultywowania pamięci walk o niepodległość Polski.

Po wysłuchaniu przemówień wszyscy wezmą udział w uroczystościach religijnych i Mszy Świętej w intencji Ojczyzny i uczczenia pamięci bohaterskiej lotniczki.

Lusowski kościół parafialny pw. św. Jadwigi Śląskiej znowu, jak przed sześćdziesięciu ośmiu laty, gości znakomitości z całej Polski. W ten piątkowy, listopadowy dzień przybyli tu, aby - tym razem - pożegnać córkę generała Dowbora-Muśnickiego. To jej oddają dziś pośmiertne wojskowe honory przedstawiciele wielu Stowarzyszeń i organizacji, licznie zgromadzone duchowieństwo z dwoma hierarchami kościelnymi na czele - ks. kard. Gulbinowiczem i ks. abp Gądeckim, oraz: prezesi i delegaci Rodzin Katyńskich z Poznania, Warszawy i Wrocławia, wiele towarzystw i korporacji, Koło Aeroklubu Poznańskiego, władze samorządowe powiatu poznańskiego i miasta Poznania oraz Gminy Tarnowo Podgórne, harcerze, z-ca dowódcy Garnizonu Poznańskiego II Brygady Lotnictwa Taktycznego z Poznania i Bazy Lotniczej w Krzesle, komendanci miejscowej policji, dyrektorzy szkół, przedszkoli, młodzież, sołtysi z Gminy Tarnowo Podgórne, naukowcy z Akademii Medycznej we Wrocławiu i Uniwersytetu Wrocławskiego - dr Kawecki i dr Dobosz, Wojskowa Orkiestra Polskich Sił Powietrznych z Poznania, Kompania Honorowa 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej im. gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego z Międzyrzecza, około 20 pocztów sztandarowych, ludność województw wielkopolskiego i lubuskiego, niemal wszyscy okoliczni mieszkańcy, goście zagraniczni - rodziny z Anglii spowinowacane z Dowborami, członkowie Aeroklubu Poznańskiego z jego dyrektorem, Piotrem Haberlandem na czele.

Przybywa „prosto z nieba”. Przed chwilą wykonał ponad lusowskim kościołem i placem rundę honorową na samolocie Wilga, jakby nawiązując do tamtej z 1937 r., kiedy to koledzy Janiny zrzucili z samolotu wiązaną biało-czerwonych róż, przelatując ponad cmentarzem. Starzy mieszkańcy dobrze to pamiętają i przyjmują z aplauzem.

Zabytkowy kościółek, jak w tamten odległy, także jesienny, listopadowy dzień, nie może pomieścić wszystkich, więc zapełniają plac i przyległe ulice za murem. Płoną świece otaczające katafalk i granitową zapieczętowaną komisyjnie urnę ze szczątkami tej, która wtedy - wysoko na chórze - grą na organach i śpiewem żegnała ukochanego ojca. Teraz jej samej oddają cześć poczty sztandarowe harcerzy i wojska, a dawni mieszkańcy, którzy ją znali i do dziś pamiętają, ze ściśniętym sercem oczekują rozpoczęcia Ofiary Eucharystycznej

za jej duszę. Czekają w skupieniu, jakby za chwilę znów mieli usłyszeć jej piękny, czysty, młody głos i zobaczyć zasiadającą przy organach młodą, smukłą, wysoką, pełną życia dziewczynę z kasztanową czupryną i wyrazistymi, ciemnymi oczami.

Uroczystą Mszę Świętą rozpoczyna gospodarz miejsca, ksiądz kanonik Ignacy Karge.

- Kompanię honorową i sztandary wprowadzić!

Przy drzwiach - poruszenie. Orkiestra gra marsza i wolna przestrzeń pomiędzy ławkami zaczyna się zapelniać. Dudni na posadzce równy marszowy krok, orkiestra wciąż gra, pojawia się niesiona przez wrocławskich profesorów granitowa urna z czaszką. Ustawiają się z boku, przy ławce, którą kiedyś zajmowała rodzina generała Dowbora.

Długi orszak koncelebransów zamyka - niby pasterz owiec - główny celebrans, Jego Ekscelencja ks. abp Stanisław Gądecki, metropolita poznański, poprzedzony przez Jego Eminencję ks. kard. Henryka Gulbinowici z Wrocławia. Kiedy - ucałowawszy ołtarz - staną na swoich miejscach, następuje poruszający moment, który u wielu wywołuje łzy wzruszenia. Obaj profesorowie dokonują oficjalnego przekazania urny na ręce prezesa Towarzystwa Dowborczyków, dr. Józefa Grajka, proboszcza ks. Karge oraz sołtysa Lusowa, Mariana Walczaka. Podczas gdy prezes ustawia urnę na niewielkim katafalku, proboszcz wita dostojnych gości i wszystkich obecnych, po czym ks. abp Gądecki rozpoczyna Eucharystię.

Kiedy odezwą się organy, głowy wielu odwracają się w tył, ku chórowi, po czym z westchnieniem powracają do poprzedniej pozycji. Każdy, kto znał Janinę, myśli to samo.

- Już nigdy nie zagra nam i nie zaśpiewa...

Tym mocniej porusza kazanie wygłoszone przez ks. kardynała Gulbinowicza. To długa, przejmująca homilia z patriotycznym akcentem, którą kończy wezwaniem:

- Drodzy bracia i siostry w Chrystusie Panu! Przypadek (a może zrządzenie Bożej Opatrzności?) sprawił, że niemiecki profesor, spośród około pięciu tysięcy odkopanych czaszek, wybrał siedem, a wśród nich tę jedyną Kobięcą. Ona nas tutaj dziś zgromadziła. Obyśmy i my potrafili zachować się tak godnie, jak ta, do której należała!

Teraz mikrofon przejmuje dyrektor Aeroklubu Poznańskiego Pilot Haberland.

- Szanowni państwo, oto przyszło nam żegnać dziś osobę niezwykłą. Tę, która w naszej małej ojczyźnie spędziła dzieciństwo i młodość, i skąd wyruszyła, by walczyć z wrogiem, który napadł na Polskę. Z tym samym wrogiem, którego wcześniej pokonał jej ojciec. Dziś jej rodzinne gniazdo wystygło i nie ma już nawet śladów dawnej świetności, kiedy gospodarzył tu nasz narodowy bohater, głównodowodzący zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim, twórca Pierwszego Polskiego Korpusu na ziemi rosyjskiej, generał brygady Józef Dowbor-Muśnicki.

Przypominam to nazwisko, chociaż wszyscy je znacie i szanujecie, aby raz jeszcze wybrzmiało zwycięsko. Przed 68 laty przyjęła go i utuliła wdzięczna ziemia wielkopolska, a jego mogiła na tutejszym cmentarzu przyjmie niebawem zbezczeszczone szczątki jego starszej córki, Janiny. Symbolicznie upamiętnia także bohaterstwo młodszej, Agnieszki, która - za udział w Ruchu Oporu - została rozstrzelana w podwarszawskich Palmirach. Przeżyła swoją siostrę tylko o dwa miesiące. To męczennice za wiarę w Boga i wierność Polsce. Wierzmy, że - w tajemnicy świętych obcowania - są tu teraz z nami. Wszyscy. Cała rodzina Dowborów. (22 kwietnia 2002 r. po uroczystej Mszy Świętej, na cmentarzu w Lusowie, w obecności władz wojskowych, rządowych i samorządowych, organizacji kombatanckich i młodzieżowych, przy rodzinnym grobowcu Dowborów-Muśnickich, w hołdzie obu córkom generała, umieszczono dwie urny. Jedna - z ziemią z Katynia i tabliczką z napisem: „Porucznik Janina Lewandowska zamordowana w Katyniu 22.04,1940 roku przez NKWD”, druga - z ziemią z Palmir - i tablicą epitafijną: „Agnieszka Dowbor Muśnicka zamordowana przez hitlerowców 21.06.1940 roku w Palmirach”.)

Na zakończenie odznacza pośmiertnie Janinę dyplomem członka honorowego obecnego Aeroklubu Poznańskiego im. Wandy Modlibowskiej. W czasie przedwojennym była jego rzeczywistym członkiem. Akt nadania odczytuje poproszona przez niego Barbara Bocian - prezes Aeroklubu Poznańskiego.

Po niej występuje pani Wioleta Ciesielska, by odczytać kolejny, utrzymany w stylu staropolskim, Akt Uhonorowania zmarłej Medalem Pamiątkowym, przyznany jej przez Wojewodę Wielkopolskiego Andrzeja Nowakowskiego.

Wiadomym wszem czynimy, iż Waszmość Pani Janina Lewandowska
Znamienita obywatelka Ziemi Wielkopolskiej
Wielkie zasługi dla rozwoju i chwały Polskiego lotnictwa uczyniła
Pierwsza wzbija się w przestworza I wzorem wielkiego ojca
Dowódcy Powstania Wielkopolskiego
Wiernie Ojczyźnie służyła I dla niej życie oddała
Przeto na uwadze mając jej mnogie dokonania
Wielkie zasługi dla Wielkopolski i lotnictwa
Oraz sławę jaką zyskała u potomnych
Pragniemy uhonorować ją pośmiertnie Medalem Pamiątkowym
AD PERPETUAM REI MEMORIAM
Na wieczną rzeczy pamiątkę.
Andrzej Nowakowski Wojewoda Wielkopolski

Poznań, Anno Domini 2005

Po Mszy Świętej i pokropieniu urny wodą święconą, z góry, od strony organów rozlega się hymn pożegnalny: Anielski orszak niech twą dusz przyjmie, a na zakończenie kościół rozbrzmiewa prastarą pieśnią, bez której, od niepamiętnych czasów, nie obejdzie się żadna państwowa czy religijna uroczystość na polskiej ziemi.

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki Otaczał blaskiem potęgi i chwały, Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:

Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie.

Ksiądz proboszcz, podziękowawszy wszystkim uczestnikom za udział w uroczystości, mocnym głosem zarządza:

- Sztandary i kompanię honorową wyprowadzić! Wychodzą powoli, pochylając drzewce przed tabernakulum i urną i ustawiają się przed kościołem w długiej procesji żałobnej. Na jej czele krzyż procesyjny otoczony lampionami, orkiestra, poczet sztandarowy Kompanii Honorowej Wojska Polskiego prowadzony przez dowódcę, za nimi pozostałe poczty, duchowieństwo i urna niesiona przez żołnierzy z II Brygady Lotnictwa Taktycznego z Poznania w asyście warty honorowej licealistek. Na końcu główny celebrans ks. abp Gądecki. Będzie przewodniczył liturgii pogrzebowej na cmentarzu. Zapadające szybko ciemności krótkiego listopadowego dnia rozświetlają niesione po obu stronach konduktu pochodnie w dłoniach uczniów lusowskiej szkoły. Za nim - nieprzebrane rzesze. Kondukt rusza wolno, jak 68 lat temu, przy dźwiękach Marsza żałobnego Fryderyka Szopena.

Cmentarz oświetlony reflektorami, orkiestra zatrzymuje się tuż przy grobowcu. Czekają na pozostałych. Kiedy wokoło nie ma już nawet centymetra wolnej przestrzeni, w niebo uderza hymn państwowy. Pochylone sztandary, uniesione głowy, rozśpiewane usta.

Jeszcze Polska nie zginęła, Kiedy my żyjemy!

Zaledwie Jego Ekscelencja ks. abp Gądecki dokona poświęcenia urny, zanim zostanie złożona w grobowcu i zniknie pod płytą nagrobną usłaną wieńcami i wiankami, prezes Towarzystwa Pamięci Generała, dr Józef Grajek, odczytuje Akt złożenia czaszki do grobu. Kończy go słowami:

Janino! Opatrzność Boska sprawiła, że po 68 latach tułaczki wojennej powróciłeś do rodzinnego Batorowa (obecnie Lusowa), by w ojczyściej ziemi spocząć na wieki. Spoczywaj w pokoju!

Dzisiaj Tobie i Wszystkim Męczennikom Golgoty Wschodu składamy najwyższy hołd oraz nasze modlitwy i Komunie Świętej ofiarujemy w Waszej intencji. Życzeniem uczestników uroczystości jest, aby sprawa Katynia - symbolu Golgoty i Wschodu - była stale

obecna w naszej polskiej świadomości.

W imieniu uczestników uroczystości trzynastu przedstawicieli władz świeckich, wojskowych i duchowieństwa, przy dźwiękach pieśni Witaj, Królowo, Matko Miłosierdzia, składa pod tekstem Aktu podpisy opatrzone pieczęciami.

Na zakończenie Kompania Honorowa Wojska Polskiego oddaje salwę honorową na cześć niewinnych ofiar Golgoty Wschodu. Uroczystość kończy się miłym akcentem uczniowskich recytacji. Szczególne wrażenie robi wiersz autorstwa Mieczysława Kierkły.

Swoim żołnierzom - wolna Polska

Przed szpalerem poległych, w asyście Aniołów, Niechaj tu rzecznik żywych Akt Chwały odczyta, Że dziś swoim żołnierzom wskrzeszonym z popiołów Hołd składa Najjaśniejsza Rzeczypospolita.

Warszawa, kwiecień 2012